

PIEKŁO MA WIELE OBLICZY

AGNIESZKA HAŁAS

POSTRONIE  
MROKU

RW2010

# Wiara, nadzieja, miłość

Erin przestała w końcu płakać, bo ileż można. Wytarła nos, wyrzuciła mokre chusteczki do śmieci i poszła do łazienki, żeby się doprowadzić do porządku.

Była wysoką, zgrabną kobietą o rudych jak ogień włosach. Lata tańca wyrzeźbiły jej ciało. Nawet teraz nie garbiła się, nie powłóczyła nogami, lecz poruszała się z gracją modelki na wybiegu.

Odkręciła kran i przez chwilę bezmyślnie patrzyła, jak przezroczystry strumień znika w ciemnym otworze na dnie umywalki. Gdyby Jeremy żył, wiele rzeczy wyglądałoby inaczej. Może miałyby teraz motywację, żeby się szarpać. Albo gdyby były dzieci... Ale nie miała nikogo, dzięki czemu wybieranie prostych rozwiązań przychodziło o niebo łatwiej.

Obmyła twarz zimną wodą, żeby pozbyć się śladów łez, wytarła czystym ręcznikiem. Rozpuściła włosy i starannie uczesała się na nowo. Po namyśle nałożyła nieco fluidu na sińce pod oczami. Tusz na rzęsy, błyszczczyk na usta. Więcej nie potrzebowała, zawsze malowała się bardzo oszczędnie.

Ucałowała swoje odbicie w lustrze i wyjęła z szafki opakowanie żyletek. Wychodząc z łazienki, na moment zgięła się wpół, przeszły ból.

Mieszkanie było wysprzątane do granic sterylności. Jeszcze tego brakowało, żeby ci, którzy się tu jutro zjawią, zastali nieporządek.

Na telewizorze leżał plik kartek. Wyniki badań, do których nie było sensu zaglądać po raz kolejny; wszystko już знаła na pamięć. Guz w lewej piersi, zajęte pobliskie węzły chłonne. Scyntygrafia uwidoczniała przerzuty do kręgosłupa i kości biodrowej. Tuż po świętach położyliby ją na oddział. Operacja, potem naświetlania i cytostatyki, żeby kupić – no właśnie, ile? Jeszcze rok, może dwa lata? Ale jaki sens, do cholery. Po chemioterapii osłabnie, jej piękne włosy wypadną... I nigdy już nie będzie mogła tańczyć.

W pokoju mroczniało, ale postanowiła nie zapalać światła. Za oknem zmierzchało. Na werandach, ogrodzeniach i krzewach migotały dekoracje z kolorowych lampek. U sąsiadów z naprzeciwka w oknie salonu pyszniła się okazała choinka.

Erin Dougall usiadła wygodnie w fotelu. Wyjęła z opakowania jedną nowiutką żyletkę i głęboko, starannie przecięła żyły na nadgarstkach obu rąk.

\*\*\*

Gnane wiatrem chmury sunęły nad lasem. Drzewa, przedwczoraj pyszniące się wszystkimi odcieniami czerwieni i złota, wczoraj już nie miały liści, zaś dzisiaj pojawiły się na nich nabrzmiewające młode pączki. W lesie na przemian następowały po sobie: wiosna, lato, jesień. Nigdy zima. Człowiek, któremu ofiarowano to miejsce, nie lubił zimy i nie tęsknił za nią.

Na dnie zarośniętego leszczyną wąwozu szemrał strumień. Na jego brzegach kwitły zawilce i przyłuszczki, sucha trawa zaczynała się zazieleniać. Śpiewały ptaki.

Na jednym z omszałych głazów wystających z wody siedział pogrążony w lekturze mężczyzna. Ubrany w dzinsy, wiatrówkę i kraciatą koszulę, wyglądał tak zwyczajnie, jak to tylko możliwe. Po prostu ktoś, kto w niedzielę wybrał się z książką do lasu.

Nagle, chociaż dzień był bezwietrzny, rozległ się przeciągły świst. Na zboczu wąwozu zmaterializował się anioł w niebieskiej szacie, o skrzydłach tak białych, że wydawały się emanować światłem. Na jasnych puklach miał wieniec z polnych kwiatów.

Człowiek odłożył książkę, schował okulary do kieszeni koszuli i wstał, by złożyć nieco niezgrabny ukłon.

– Witaj, Menarielu, cóż cię sprowadza?

– Erin nie żyje – oznajmił anioł. Jego głos przywodził na myśl chińskie dzwonki. – Zmarła wczoraj wieczorem.

Twarz mężczyzny rozjaśniła się nadzieją.

– Więc wkrótce będę mógł się z nią zobaczyć!

Anioł potrząsnął głową.

– Przykro mi, Jeremy, mam dla ciebie bardzo smutną wiadomość. Twoją żonę zesłano na Dół.

Wydawało się, że cień pod drzewami na dźwięk tych słów zgęstniał, a strumyk szumi odrobinę ciszej.

– Czym zawiniła? – spytał człowiek po przeciągającym się milczeniu.

– Odebrała sobie życie.

Mężczyzna zrobił ruch, jakby chciał się przeżegnać, ale zamiast tego ukrył twarz w dłoniach. Gdy po chwili ją unióś, miał mokre oczy. Jednak jego głos brzmiał teraz zupełnie inaczej. Zawzięcie, gorzko.

– Aż tak szybko wydajecie wyroki? Przecież musiała mieć powód... Czy sprawiedliwy sędzia wziął pod uwagę motywy?!

– Nie kwestionuje się Jego decyzji! – upomniał go Menariel.

– Daruj sobie, dobrze? Daruj sobie komentarze!

– Jeremy, rozumiem, że to dla ciebie trudne – głos wysłannika niebios złagodniał. – Jeśli chcesz, zostanę, żeby się z tobą pomodlić.

– Nie. Proszę, zostaw mnie.

Skinąwszy ze zrozumieniem głową, anioł rozpląnął się w powietrzu.

\*\*\*

Do rzeczywistości przywrócił ją ból. Czy raczej brutalnie wyrwał z przyjaznej czerni. Nie ograniczał się do jakiegoś konkretnego miejsca, lecz obejmował całe ciało. Miała wrażenie, że ranią ją tysiące igieł.

– Wraca do siebie – przemówił ochryply kobiecy głos. – Ciut za wcześnie, psiakrew. No nic. Podaj mi nożyczki, Heimo.

Ciach – odgłos przecinania tkaniny. Erin poczuła, że silne ręce ujmują ją i przewracają na bok. Potem gwałtowne szarpnięcie...

NIEEEE!

Odniosła wrażenie, że jest żywcem obdzierana ze skóry. Wrzasnęła, a raczej chciała wrzasnąć, bo z jej gardła wydobyło się coś bardziej przypominającego skrzek.

– Cicho, nie panikuj. – Zachrypnięta kobieta klepnęła ją w policzek. – Zdejmuję ci tylko bandaż.

– P-petra, m-może by tak od-od-odmo... – przemówił, jękając się, drugi, chłopięcy głos.

– Nie będziemy odmaczać. Ciotka zakazała marnować wodę. Przytrzymaj ją, dobra? Zajmę się teraz nogami. Tylko trzymaj mocno, żeby mi zębów nie wybiła!

Ujęto ją mocno za kostki. Niepotrzebnie; i tak nie miałyby siły kopać. Znowu męka odrywania przyschniętej warstwy, potem pieczenie odsłoniętej powierzchni... Erin pomału zaczynała pojmować, co się stało. Zdejmowano jej opatrunki. Dużo opatrunków.

Wypadek...? Nic nie pamiętała! Była poraniona, czy może poparzona? Boże, ale dlaczego robiono z nią cokolwiek bez znieczulenia?

Usiłowała otworzyć oczy i nie mogła, powieki były sklezione wydzieliną. Próbowwała poprosić, żeby coś z tym zrobiono, ale z gardła wyrzywały się tylko jęki.

W końcu puszczone jej nogi. Czowała, jak rany obsychają w zetknięciu z powietrzem. Jak mogli tak

postępować, dostanie zakażenia, przecież powietrze nie jest jałowe... Zaraz, gdzieś czytała, że poparzonych ludzi pakuje się do specjalnych kąpeli, żeby złuszczyć martwą tkankę... Ale jak to się miało do uwagi o oszczędzaniu wody? Co to w ogóle za szpital, w którym brakuje wody?! Jej spanikowany mózg nie potrafił myśleć trzeźwo.

– Popatrz no, nie ruszyli twarzy. Ciekawe, czemu. Ładna jest, nie da się ukryć, ale czy widziałeś kiedyś, żeby to robiło jakąś różnicę katom, Heimo? No właśnie.

Przecierano jej powieki watką umoczoną w zimnym płynie. Po chwili Erin mogła już otworzyć oczy. Z początku widziała wszystko jak przez mgłę, lecz stopniowo kontury świata uległy wyostrzeniu. Z haka wbitego w sufit zwisała staroświecka miedziana lampa naftowa, zaś nad posłaniem pochylały się dwie postacie.

– Zbudziłaś się? Słyszysz nas? Halo! Słyszysz?

– Sły-słyszysz, Petra. Gło-gło-głowę daję.

Pierwszy głos należał do karlicy ubranej w lekarski fartuch, niegdyś biały, teraz pożółkły i pełen dziur. Na głowie miała równie zniszczony czep, spod którego wymykały się pozlepiane siwe włosy.

Jąkała dla odmiany okazał się chudym nastolatkiem. Nosił okulary o szklach grubych jak denka od butelek, ślinił się i ogólnie sprawiał wrażenie lekko upośledzonego umysłowo.

Erin zamknęła oczy, ale gdy je znowu otworzyła, postacie były tam nadal. Jąkała trzymał naręcze bandaż, karlica zaś – butelkę i rolkę gazy.

– Muszę cię całą przemyć i pozawijać na nowo – wyjaśniła autorytatywnie. – Ci rzeźnicy z Dołu nie umieją opatrywać ran. Tylko łańcuchy i rozżarzone żelaza im w głowie.

Erin spróbowała wykręcić szyję na tyle, żeby obejrzeć swoje ciało. W końcu zdołała zweryfikować wcześniejsze domysły. Nie była poparzona; z jej rąk i nóg zdarto szerokie pasy skóry.

– Kto mi to zrobił? Dlaczego?! – wybuchnęła tak gwałtownie, że sama się zdziwiła. – Gdzie ja jestem? Czy to szpital? Chcę rozmawiać z lekarzem!

– L-leż spo-spo-spokojnie. – Heimo niezgrabnie pogłaskał ją po głowie. – Wszy-wszystkim się za-za-zajmiemy.

– Zostaw mnie! – Przerazenie wzmogło siły Erin na tyle, że prawie zdołała się podnieść. Karlica cmoknęła gniewnie.

– Uspokój się, głupia! Trzymaj ją mocno, Heimo.

Odkorkowała butelkę, której zawartość zalatywała kiepsko przedestylowanym alkoholem i zaczęło się przemywanie ran. Nie przejęli się krzykami Erin, która miała wrażenie, że płonie żywcem. Na swoje szczęście w końcu zemdląca.

\*\*\*

Za życia Jeremy nie należał do osób religijnych.

Prawdę mówiąc, zaskoczyło go po śmierci, że został skierowany do raju, a nie gdzie indziej, tym bardziej że w zaświatach jego podejście do wiary nie zmieniło się ani na jotę. Czasem zastanawiał się, czy przebywając w niebie, nie powinien jakoś wyraźniej odczuwać obecności Boga. Z drugiej strony sam musiał przyznać, że najbardziej ceni sobie nie jakieś tam mistyczne doznania, tylko – banalniej – spokój, najlepiej w pięknym otoczeniu. Idąc tym tokiem rozumowania, ofiarowano mu raj na jego miarę: skrawek idealnego świata, pod każdym względem pełnego harmonii.

Mógł wedle woli zmieniać wygląd swojego małego królestwa – wystarczyła chwila skupienia i już. W zależności od nastroju tworzył ukwiecone łąki, dzikie góry lub rafy koralowe, a czasem krajobrazy jak ze snu, z falującą błękitną trawą czy niebem o trzech księżycach. Dopracowanie wszystkich szczegółów – łącznie z zapachami, wiatrem, odgłosami ptaków i owadów – wymagało wysiłku, ale było warto. Udało

mu się na przykład wskrzesić park, w którym bawił się jako dziecko; stare kasztanowce, zegar słoneczny pośrodku wielkiego klombu, sadzawka z fontanną... Wkrótce potem powstało to, co uważał za swoje największe osiągnięcie – fragment Ogrodu Rozkoszy Ziemskich wzięty żywcem ze słynnego tryptyku Boscha. Ten z jeziorem oraz dziwacznymi konstrukcjami. Oczywiście bez żadnych postaci, za to wzbogacony o takie elementy, jak odbłaski słońca na wodzie i rześki zefirek. Kawałek raju w raju, taki prywatny żart.

Od pewnego momentu zauważył wszakże, że we wszystkich wizjach, jakie udaje mu się powołać do życia, znajduje się jeden stały element: święte miejsce. Raz kapliczka, kiedy indziej ruiny świątyni, czy też zaledwie krzyż na rozstajnych drogach. Nie umiał powiedzieć, z czego to wynika, bo na pewno nie z jego świadomych intencji. W końcu uznał zjawisko za subtelny komunikat z Góry. Chciano mu dać do zrozumienia, że Bóg przez cały czas o nim pamięta.

Jeszcze przed otrzymaniem wiadomości przeczuwał w skrytości ducha, że coś się szykuje. Tęsknota, której wcześniej specjalnie nie odczuwał (bo po śmierci ziemskie emocje siłą rzeczy słabną), dopadła go z ogromną siłą. Zaczęły go prześladować złudzenia, że w szumie wiatru słyszy śmiech Erin albo kątem oka widzi błysk rudych włosów... Postanowił przynajmniej pobyc w miejscu, które by mu się jakoś z nią kojarzyło; tak właśnie powstał las z wąwozem i strumieniem, inspirowany wspomnieniami z jego rodzinnych stron.

Pomny najświeższych doświadczeń, Jeremy nie zdziwił się ani trochę, gdy podczas pierwszej przechadzki po nowo stworzonym obszarze odkrył polanę otoczoną brzozami, a na niej stary drewniany kościółek, chociaż w tamtym prawdziwym lesie, który posłużył za wzór, żadnego kościółka nie było.

Po rozmowie z aniołem najpierw nie wiedział, co począć. Błąkał się to tu, to tam, potykając się i wpadając na drzewa jak ślepiec. W którymś momencie wyszedł z lasu na tropikalną plażę pod oślepiająco błękitnym niebem; potem ogarnęła go woń lawendy, kwitnącej na polach Prowansji... Dryfował po kolei przez wszystkie pieczołowicie wykreowane iluzje, lecz nie znalazł spokoju ani w cieniu doryckich kolumn, ani palm.

O zachodzie słońca trafił na wysepkę, którą kiedyś stworzył pod wpływem chwilowego kaprysu, i tam poczuł, że musi się zatrzymać.

Wysepka nie miała w sobie nic z rajskiej idylli. Jałowa, pozbawiona roślinności – z piasku sterczało tylko kilka uschniętych pni. W pewnej odległości od brzegu wznosił się samotny głaz, spod którego tryskało źródło.

Słońce powoli skryło się za horyzontem, niebo i fale zapłonęły feerią barw. Jeremy usiadł na piasku i pozwolił płynąć łzom, dopóki ich nie zabrakło; nie poczuł się jednak dzięki temu oczyszczony, a jedynie słaby i żalony. Później długo siedział bez ruchu, wpatrując się w ciemniejący bezmiar wody. Zorze powoli gasły, czerwień przeszła w fiolet, potem w granat. W górze zamigotały gwiazdy.

Pomału dojrzewało w nim postanowienie.

Jego matka zawsze mawiała, że dobra decyzja to taka, po podjęciu której ogarnia cię spokój.

Już całkiem spokojny, obmył twarz słonąwą wodą ze źródła. Potem wrócił do lasu.

W innych okolicznościach doceniłby urok nocy, pachnącej budzącą się do życia przyrodą. Między gałęziami przeświecał sierp księżycy, od czasu do czasu rozlegało się pohukiwanie sowy.

Jeremy odszukał ścieżkę prowadzącą na polanę. Kościółka nigdy nie zamykano na kłódkę, bo i po co – w raju nie ma wszak złodziei ani wandalów. Zresztą tej nocy świątynia i tak nie była pusta; przez witrażowe okna sączyła się barwna poświata. Przypadek...?

Na ołtarzu płonęły świece. Ksiądz układał świeże kwiaty przed obrazem Matki Boskiej w bocznej nawie. Przygarbiona postać w czarnej sutannie, o zmierzwionych siwych włosach, wyglądała dziwnie znajomo. Jeremy nagle uświadomił sobie, skąd zna tego starszego człowieka o czerstwym, sympatycznym

obliczu. Pamiętał z dzieciństwa jego wizyty – wielbny Thomas McElroy przyjaźnił się z jego rodzicami.

Starzec wyprostował się, mierząc go bystrym spojrzeniem.

– No proszę, kogóż to widzą moje oczy. Młody Jeremiah Dougall, jeśli się nie mylę?

– Ksiądz mnie pamięta? – zdumiał się Jeremy.

– Ależ oczywiście, że cię pamiętam, łobuzie. W dniu swojej Pierwszej Komunii strzelałeś przed kościołem z procy do wróbli, a w siedemdziesiątym dziewiątym wyjechałeś na studia do Oksfordu. Filologia klasyczna... niezbyt modna w dzisiejszych czasach dziedzina, ale jakże szlachetna. Wcześniej się doktoryzowałeś, rodzina była z ciebie dumna. Zajmowałeś się, czekaj no... średniowieczną łaciną?

– Zgadza się.

– Pewnie, że się zgadza. Widziałem w księgarni dwie twoje książki. Tę o bestiariuszach i tę drugą, z reprodukcją „Sądu Ostatecznego” Giotto na okładce... Twoja matka uważała, że prędzej czy później napiszesz jakąś powieść o średniowieczu i staniesz się sławny, jak Eco.

– Niestety, los chciał inaczej – skwitował Jeremy z bladym uśmiechem. – A właśnie, nie wie ksiądz, jak się miewają moi rodzice?

– Kiedy ich ostatni raz widziałem, oboje cieszyli się dobrym zdrowiem, aczkolwiek na twoim i moim przykładzie widać, że zdrowie to nie wszystko. Zginąłem podobnie jak ty, w wypadku samochodowym – pospieszył udzielić wyjaśnienia, o które rozmówca z grzeczności by nie spytał. – Jechałem późnym wieczorem do chorego, jezdnia była oblodzona... Zniosło mnie prosto pod koła ciężarówki. Na pewno następnego dnia pisały o tym wszystkie lokalne gazety, może i dobrze, że nie miałem okazji czytać. – Machnął ręką z kwaśną miną. – Ostatnie co pamiętam, to ryk klaksonu... potem obudziłem się tutaj. Kto by pomyślał, że w raję nadal mogą być potrzebni duszpasterze, co? A właśnie, swoją drogą, przez te pół roku ani razu nie widziałem, żebyś się pojawił w kościele. Nie czujesz potrzeby uczestniczenia we mszy?

– Umarłem jako niepraktykujący... – Jeremy speszył się. – Nie przyszło mi do głowy, że teraz powinienem... skoro już tu jestem... myślałem, że to bez znaczenia...

– Dajmy temu spokój – zlitował się McElroy. – Powiedz mi, co cię dręczy tak bardzo, że aż postanowiłeś przyjść po radę do klechy?

Filolog zawahał się. Teraz, kiedy przyszło co do czego, nie umiał znaleźć odpowiednich słów.

– Dziś rano anioł przyniósł wiadomość, że moja żona nie żyje – szepnął w końcu.

– To już ładnych parę godzin temu, więc czemu jej tu jeszcze nie ma? – Ton, jakim zostało zadane to pytanie, wskazywał, że kapłan domyśla się odpowiedzi.

– Pan ją potępił, ponieważ odebrała sobie życie. Trafiała na Dół.

– Rozumiem. – McElroy milczał przez chwilę. – Synu, oczywiście masz świadomość, że w tej sytuacji niewiele mogę zrobić?

– Czemu?

– Jak to: czemu? Ponieważ nie podważa się wyroków Boga! Pamiętasz, jakimi słowami modlimy się doń? „Bądź wola Twoja. Jako w niebie, tak i na ziemi...”.

– No dobrze, a co z Jego osławionym miłosierdziem, łaską...?

– Zapytaj raczej: co z twoją wiarą?

Jeremy nie odpowiedział.

– Chłopcze, nie zrozum mnie źle – przemówił duchowny. – Ogromnie mi ciebie żal, ale naprawdę nie wiem, jak mógłbym... Przybyłem tu niedawno, jestem zwykłą duszą tak jak i ty, nie mam wpływu na nic. Jeśli zależy ci na wstawiennictwie, spróbuj dotrzeć do kogoś z wyżej postawionych, może do jakiegoś świętego... Sęk w tym, że oni niechętnie się angażują w takie sprawy. Tutaj słowo Pana jest prawem, którego się nie kwestionuje. Dopuścić możliwość rewizji wyroku znaczyłoby uznać, że Bóg może się pomylić. A Bóg nie myli się! Jest sędzią sprawiedliwym, za dobre wynagradza, za złe karze! – McElroy

podniósł głos, ale zaraz zmienił ton na spokojny, rzeczowy. – Posłuchaj, synu. Jeśli uważasz, że dostępnymi mi środkami mogę złagodzić twój ból, powiedz, a chętnie to uczynię. Mogę cię wypowiedzieć. Pomodlić się za ciebie. Wysłuchać, jeśli potrzebujesz rozmowy...

– Nie. Nie tego mi trzeba.

– Dobrze, więc czego oczekujesz?

– Odpowiedzi. Na jedno proste pytanie. Czy można na własne życzenie opuścić raj i wyruszyć tam, do piekieł?

Duchowny ciężko westchnął.

– Twoja matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby wiedziała, że powiedziałem prawdę, ale nie mogę przecież kłamać. Tak, wolno na własne życzenie odejść z raj, żeby odszukać bliską osobę na Dole, i nie zostanie to uznane za grzech. Istnieje specjalna klauzula...

– Czyli byli już przede mną tacy, którzy próbowali? Nie licząc Gilgamesza, Orfeusza i Robina Williama?

Ksiądz nie uśmiechnął się, chyba nie załapał dowcipu.

– Owszem, zdarzają się tacy, którzy próbują. Ale z tego co wiem, prawie nigdy nie wracają. Jesteś pewien, że chcesz zaryzykować, chłopcze? Nie spuszcza głowę, patrz mi w oczy. Chcesz?

– Tak.

– W takim razie wystarczy, że wyjdiesz teraz z lasu. Droga sama cię odnajdzie, jeśli jesteś gotów nią podążać.

Jeremy podszedł do ołtarza. Ukląkł, przeżegnał się i chwilę klęczał, wpatrując się w czerwoną lampkę tabernakulum. Przeżegnawszy się po raz drugi, wstał.

– Dziękuję – szepnął.

– Nie ma za co. – McElroy westchnął raz jeszcze. – Zaczekaj, dam ci coś, a nuż się przyda tam na Dole. – Odpiął z szyi srebrny krzyżyk na łańcuszku. – Trzymaj i nie zgub. Będę się za ciebie modlił, chłopcze.

\*\*\*\*

Gdy się ocknęła, znów była zabandażowana, a ból zmalął, choć powracał z każdym gwałtowniejszym ruchem.

Lampa zniknęła z haka, zaś w pobliżu nie było nikogo. Erin z wysiłkiem uniosła się na łokciu. Leżała na barłogu z brudnych szmat, a przed światem osłaniał ją zniszczony parawan. W kilku miejscach ziały w nim dziury, przez które sączyło się żółte światło. Niestety, stał zbyt daleko, by mogła marzyć o przyłożeniu oka do którejś z nich. Wciąż była zbyt słaba, by usiąść.

Teraz dopiero do jej świadomości dotarło, że w tle rozbrzmiewają dziwne dźwięki, nijak nie kojarzące się ze szpitalem: jednostajny stukot i łomot, jakby zderzających się kawałów drewna. Poza tym nie pachniało tu środkami odkażającymi, lecz stęchlizną i smarem, jak w starej, zapuszczonej fabryce.

Z myślą, że może jednak śni, zamrugała kilka razy, ale otoczenie uparcie wydawało się jak najbardziej rzeczywiste. Spróbowała się uszczypnąć w obandażowane ramię. Zabolęło.

– Ocknęłaś się? – Zza parawanu wyłoniła się Petra, niosąc na tacy strzykawkę. W ślad za nią kuśtykał Heimo. – No i pięknie. Czas najwyższy, ciotka zaczyna się niecierpliwić. Trzeba cię postawić na nogi, moja panno, wystarczy tego leżenia.

Bezceremonialnie wbiła pacjentce igłę w zgięcie łokcia. Po kilku sekundach żyły wypełniły się ciepłem, jakby krew zaczynała żywiej krążyć – widać strzykawka zawierała jakiś środek pobudzający.

– Gdzie jestem? – ponowiła pytanie Erin. Karlica w odpowiedzi odsunęła parawan.

Za nim znajdowała się długa hala o niskim suficie, oświetlona lampami naftowymi. Wzdłuż ścian

ciągnęły się dwa rzędy krosien. Podłoga była zaśmiecona, w powietrzu unosił się kurz. Przypominało to manufakturę z czasów przed rewolucją przemysłową.

Przy krosnach siedziały kobiety w szarych, workowatych uniformach. Niektóre miały zasłonięte głowy i twarze, jak Arabki. Inne były zabandażowane tak, że odsłonięte pozostawały tylko oczy i szpara na usta.

Te nieliczne, które nie nosiły ani zasłon, ani bandaży, były zgrzybiałymi staruchami, z których każda mogła się poszczycić jakimś defektem urody. Jedna nie miała oka, inną dla odmiany szpecił potworny wytrzeszcz, jeszcze inną – ślady po ospie. Jednak najpaskudniejsza była ta, która sprawiała wrażenie najstarszej – garbata, z obliczem pokrytym brodawkami. Jako jedyna nie była zajęta tkaniem, lecz kręciła się tu i tam, nadzorując pracę. Od czasu do czasu popędzała tkaczki albo karciała je głosem przypominającym skrzeczenie ropuchy chorej na zapalenie krtani.

– Gdzie... jak... – Ośłupiała Erin bezskutecznie usiłowała znaleźć racjonalne wytłumaczenie dla tego, co widzi.

– Córeczko, chyba nie tak trudno zgadnąć, gdzie i jak – powiedziała spokojnie karlica. – Umarłaś, zostałaś osądzona, a teraz znajdujesz się tam, dokąd Pan zsyła grzeszników na bezterminowy pobyt.

Heimo bez słowa, bardzo ostrożnie pogładził włosy Erin.

– Hola, hola! Ile razy mam powtarzać? Żadnego cackania się z nowymi! – Starucha z brodawkami przykuśtykała do nich, wymachując laską. – Jazda mi stąd, oboje, ale już! Wracajcie do roboty. Ja się nią zajmę.

Uklękła przy Erin i przytknęła do jej ust manierkę.

– Wypij to. Przywróci ci siły.

Ciemny, oleisty płyn cuchnął kreozotem. Okazał się obrzydliwie gorzki. Erin zmusiła się, żeby przełknąć odrobinę, ale zaraz złapał ją kaszel.

– Nie mogę! – wykrztusiła ze łzami w oczach. – Co za świństwo!

– Pij! – rozkazała starucha. – Cóż to za kaprysy, moja panno? Za kwadrans masz siedzieć przy krosnach. Brakuje nam rąk do pracy.

\*\*\*\*

Wiatr ustał. Martwa cisza ogarnęła las.

Wyszedłszy spomiędzy drzew, Jeremy ujrzał drogę, jasną w blasku księżyca, wyłożoną kamiennymi płytami, na których widniały na wpół zatarte hieroglify.

Ledwie nań wstąpił, ponownie rozległ się świszczący dźwięk i w powietrzu zmaterializował się otoczony niebieskawą poświatą Menariel.

– Co to ma znaczyć? – spytał, marszcząc brwi. – Dokąd się wybierasz?

– Przepuść mnie, przyjacielu. Odchodzę.

– Tak po prostu? Wiesz, dokąd prowadzi ta droga? – Anioł zawiesił głos, a nie doczekawszy się odpowiedzi, jęknął: – Opamiętaj się, przyjacielu! Na co liczysz? Piekło jest większe, niż możesz sobie wyobrazić! Choćbyś szukał całe wieki, nie znajdziesz jej tam! A ja znam cię od małego i powiadam: nie wrócisz z Otchłani!

– Przestań! – Jeremy stracił cierpliwość. – Znalazł się, psiakrew, opiekun! Gdzie byliście, kiedy ona potrzebowała pomocy? Wracaj do swoich świetlistych sfer i zostaw mnie!

Wyminął anioła i ruszył dalej.

– Zaczekaj! – usłyszał nagle.

Chociaż się nie zatrzymał ani nawet nie odwrócił, nagle poczuł na czole dotknięcie ust Menariela, zimnych jak marmur. Usłyszał szept, niewiele głośniejszy niż szelest wiatru w trawach.

– Skoro podjąłeś decyzję... niech tak będzie. Jako twój stróż jestem ci winien opiekę. Nie mogę zejść



z tobą do królestwa ciemności, ale mój pocałunek będzie cię chronił, dokądkolwiek pójdziesz.

\*\*\*

Rany się nie goiły.

Nie ropiały, mimo brudnych, rzadko zmienianych opatrunków. Jednak uparcie nie chciały się zasklepić. Każdy ruch wysyłał w ciało salwy palących ukłuć. Równie dobrze mogłaby nosić włosiennicę nasączoną octem i solą.

Z początku była na tyle głupia, żeby prosić z płaczem o środki przeciwbólowe, co wzbudziło powszechną wesołość. Chichotały nie tylko okropne stare baby, ale nawet te nieszczęsnice, którym zza bandaży było widać tylko oczy. Jedynie Petra i Heimo nie sprawiali wrażenia rozbawionych.

Nie nauczono jej tkać. Bardzo szybko wyszło na jaw, że Erin jest zbyt słaba, aby przy krosnach był z niej jakiś pożytek. Kiedy okazało się, że ani drwiny, ani groźby nie skutkują, nawet garbata nadzorczyńni musiała dać za wygraną i poszukać nowo przybyłej innego zajęcia. Najpierw wysłano ją do sąsiedniego baraku, do przędzalni; wszystko wyglądało tam tak samo, tylko maszyny były inne. Nadzór sprawował brodac z paznokciami jak szpony. Ledwie zobaczył, jak Erin chwiejnie wchodzi na halę, czepiając się ściany, żeby nie upaść, ryknął śmiechem i przepędził ją.

Ostatecznie trafiła do krojczych, które – ku jej zdumieniu – cięły gotowe sukno na maleńkie kawałki. Wielkimi, tępych nożycami, strzępiącymi materiał. Trzęsąca się starowinka w kołnierzu ortopedycznym zmiatała z podłogi całe góry ścinek, które następnie lądowały w huczącej gardzieli wielkiego pieca. Takim sposobem zamykał się piekielny cykl produkcyjny – wytworzone z mozołem dobra niszczone. Mrówczy trud grzesznic niczemu nie służył. I o to w tym wszystkim chodziło.

Nadzorca krojczych jeździł na wózku inwalidzkim. Monstrualnie gruby, o białej, jakby odbarwionej skórze, wyglądał jak przybysz z innej planety. Wręczył Erin miotłę, szufłę i kosz na ścinki, w paru mrukliwych słowach streścił jej regulamin obowiązujący więźniów, a następnie przestał się nią interesować. Jak wkrótce się przekonała, niezbyt się przejmował swoją rolą. Większość czasu spędzał, grzejąc się przy piecu, wpatrzony w płomienie, siorbiąc kawę z blaszanego kubka. Tymczasem w baraku krojczych panował ogólny rozgardiasz i rozprzężenie. Trafiały tu najmniej sprawne ze skazanych – te, które z trudem się poruszały bądź nie było z nimi kontaktu. Bełkotały do siebie albo śmiały się bez powodu, niekiedy wydawały nieartykułowane wrzaski. Zamiast ciąć materiał, dziurawiły stoły albo kaleczyły sobie palce. Erin na wszelki wypadek starała się nie podchodzić do nich za blisko. Raz zagapiła się i któraś z nieszczęsnych istot zamachnęła się na nią nożycami, omal nie wyłupując oka.

Sama Erin popadła w głęboki marazm. Nie potrafiła na niczym skupić myśli, była jak swój własny cień, kukła ze szmat. Nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby próbować ucieczki. Robiła swoje, wdzięczna losowi, że jej nie biją i jedyne, co musi znosić, to niewygodna spowodowana okaleczeniami.

Nie było przerw na odpoczynek. W piekle nie potrzebuje się snu. Barak nie miał okien, więc nie mogła liczyć upływającego czasu. Nawet nie wiedziała, czy tutaj noc różni się czymś od dnia. Bywało, że nie mogła już ustać na nogach i kładła się tam, gdzie stała, jak zmęczone zwierzę. Nadzorca nie okazywał wtedy gniewu ani nawet zniecierpliwienia. Po prostu wzywał Petrę i w żyłach Erin lądował kolejny zastrzyk pobudzający.

Niekiedy zwidywało się jej opakowanie Tramalu, którego nie zdążyła zużyć za życia. Trzydzieści zielono-żółtych kapsułek w plastikowej buteleczce. Dałaby wiele, żeby mieć je teraz pod ręką.

Mimo wszystko, jak na miejsce wieczystej kaźni – nie było tu najgorzej. Żadnych kotłów z wrzącą smołą, diabłów z widłami, wrzasku torturowanych... Do takiego piekła można się było przyzwyczaić. Dostosować. Przestać liczyć godziny, porzucić wspomnienia, zobojeźnić.

Pogodziła się z myślą, że zostanie tu na zawsze.

Gdy księżyc zaszedł, Jeremy chcąc nie chcąc musiał się zatrzymać. Jeśli coś go pocieszało, to fakt, że podróż przez zaświaty nie zapowiadała się uciążliwie. Nie potrzebował jedzenia ani wody, nie musiał się obawiać zimna. Bez snu też mógłby się obejść, jednak byłoby to nieprzyjemne. Nawet egzystencja bez ciała pozostaje egzystencją i w jakimś stopniu nuży; jedyne, co wówczas pomaga, to zatopienie się na jakiś czas w namiastce niebytu, jaką stanowi sen.

Twarda ziemia stanowiła marne posłanie, ale ku swemu zaskoczeniu filolog spał głęboko i mocno; obudziło go dopiero słońce świecące w twarz. Nastął pogodny ranek, lecz w jakiś nieuchwytny sposób mniej jasny i czysty, niż bywają na ogół niebiańskie poranki. A może tylko mu się zdawało.

Jak na razie nic nie wskazywało, żeby zbliżał się do bram piekła. Droga wiła się przez monotony, żeby nie powiedzieć nudny krajobraz – nic, tylko pagórki porośnięte trawą, z której gdzieniegdzie wystawały kamienne płyty pokryte dziwnymi znakami. Niektóre, skruszone zębem czasu, leżały na ziemi, inne układały się w kręgi przywodzące na myśl miniaturowe Stonehenge. Jeszcze inne stały w nieporządnym skupiskach, niczym klocki rozrzucone przez kapryśne dziecko olbrzyma.

Trzeciego dnia wędrówki trawa zaczęła zmieniać barwę z zielonej na burą, jesienną, a menhiry ustąpiły miejsca zwykłym głazom. Popsuła się też pogoda; niebo zasnuły chmury, z których od czasu do czasu siąpiła mżawka. Późnym popołudniem Jeremy zobaczył, że roślinności z każdym krokiem zaczyna ubywać, na zboczach coraz częściej prześwituje goła ziemia. Teraz już wiedział na pewno, że zostawił raj za sobą.

Tej nocy dla odmiany nie mógł usnąć. Leżał z otwartymi oczami, wpatrując się w niebo, i wspominał swoje małżeństwo.

Zaczął się dziwnie, od fascynacji, oczarowania, które nie dawało się racjonalnie wytłumaczyć – tyle ich przecież różniło. Pracownik naukowy z Oksfordu i mieszkająca w Dublinie instruktorka tańca nowoczesnego, absolwentka szkoły teatralnej, starająca się zaistnieć w świecie estrady... Poznali się tylko dlatego, że oboje pochodzili z tej samej irlandzkiej miejscowości i przypadkiem w tym samym czasie spędzali tam urlop. Kilka razy minęli się, spacerując w dolinie. Jeremy'emu wpadła w oko płomiennowłosa nieznajoma. Zagadnął ją pod jakimś błahym pretekstem i od słowa do słowa okazało się, że mają wspólnych znajomych. Wymienili się e-mailami, zaczęli korespondować. Po paru miesiącach przyjechał do niej w odwiedziny, raz, potem drugi i trzeci.

Wkrótce potem zmienił pracę, przeniósł się na stałe do Dublina i oznajmił rodzicom, że ma narzeczoną.

Pobrali się po niecałym roku znajomości. Jak się wkrótce okazało – za szybko. Przysłowiowe przyciąganie się przeciwieństw gwarantuje wszystko, tylko nie zgodne pożycie. Ona lubiła, gdy stale coś się działo, nienawidziła stabilizacji, on dokładnie na odwrót. Narzekała, że przy nim się dusi, a on nie rozumiał, o co jej chodzi.

Z biegiem lat zamiast lepiej, było coraz gorzej. Rzuciło się w oczy, że mają odmienne cele w życiu, odmienne marzenia. Jeremy'emu nie zależało na pięknej rudowłosej maskotce – chciał mieć żonę. Niekoniecznie taką, która czeka na męża z obiadem, ale na pewno taką, z którą będzie można założyć rodzinę. Tymczasem Erin jeszcze przed ślubem postawiła warunek: żadnych dzieci. Niby się zgodził, jednak po cichu miał nadzieję, że z czasem jej się odmieni. Bolało go, że okazała się w tej kwestii nieprzejednana, tak... samolubna. Na pierwszym miejscu był zawsze taniec, teatr, a on gdzie...?

Potem zaczęła coraz częściej wyjeżdżać na występy do innych miast. Jeśli próbował do niej wtedy dzwonić wieczorami, zastawał wyłączoną komórkę. Jakby specjalnie usiłowała wzbudzić w nim zazdrość. A on nie był z tych, co robią sceny. Kończyło się tak, że zamiast się kłócić – coraz częściej nie

odzywali się do siebie. Lodowaty dom. Zaczęli sypiać oddzielnie. Erin wypłakiwała się przyjaciółkom; Jeremy uciekał w pracę, za mur z książek i artykułów. Przestał reagować na jej późne powroty, przyjął za gorzki pewnik, że znalazła sobie kogoś innego.

Omagh, najgorsze doświadczenie ich życia, odwróciło wszystko o sto osiemdziesiąt stopni. Bardzo wiele zrozumieli w dniach bezpośrednio po tragedii, w szpitalu, kiedy już podano do wiadomości publicznej, ile jest ofiar. Oboje wyszli z zamachu właściwie cało, choć od samochodu pułapki dzieliła ich jedynie ściana centrum handlowego. Kobieta, z którą Erin rozmawiała w momencie eksplozji, zginęła przygnieciona walącym się stropem.

Żadne nie powiedziało tego na głos, ale oboje czuli, że cud nie stał się bez przyczyny, że Niebo dało im szansę zacząć wszystko od nowa. I tak też uczynili, bo długa jak wieczność chwila na obróconej w perzynę ulicy, kiedy Jeremy sprawdzał puls nieprzytomnej żony, wystarczyła, żeby mu uświadomić, że rozstania mimo wszystko by nie zniósł.

Ostrożnie, pieczołowicie odbudowywali to, co ich niegdyś łączyło... Ale pół roku później ich odradzające się, jeszcze bardzo kruche szczęście przeciął rozpędzony biały van, za kierownicą którego siedział czterdziestoletni pracownik firmy telekomunikacyjnej, rówieśnik Jeremy'ego, z dwoma promilami alkoholu we krwi.

Piątego dnia zniknęły resztki roślinności. Szlak wiódł teraz przez posępne, kamieniste wzniesienia i dolinki, gdzieniegdzie poznaczone lejami jak po wybuchach. W ziemi coraz częściej ziały szczeliny, z których sączył się dym o zapachu zepsutych jaj, przyprawiający o kaszel i łzawienie. Pod wieczór opary zgęstniały tak bardzo, że mężczyzna przestał widzieć cokolwiek na wyciągnięcie ręki przed sobą.

Gdy się ściemniło, Jeremy zaczął mieć nieprzyjemne wrażenie, że nie jest sam. Zdawało mu się, że słyszy niewyraźne szepty, od czasu do czasu czuł muśnięcie chłodnego powiewu, jakby coś go mijało w odległości kilku kroków. Nie odważył się zasnąć; całą noc czuwał, oparty plecami o wielki głaz, żeby nic nie mogło zająć go od tyłu.

O świcie mgły nieco się uniosły, akurat na tyle, by mógł zobaczyć, że kawałek dalej po obu stronach drogi zaczynają się dwa szeregi posągów. Były tak zniszczone, że nie potrafił rozpoznać, kogo przedstawiają; wierzchnie warstwy kamienia odkruszyły się, zmieniając oblicza wyrzeźbionych postaci w nieforemne bryły.

Ich milcząca obecność szybko sprawiła, że Jeremy poczuł się nieswojo. Idąc, garbił się i raz po raz rzucał do tyłu nerwowe spojrzenia. Miał wrażenie, że ślepe głowy śledzą każdy jego ruch.

Gościniec okrążył wzgórze porośnięte gąszczem uschniętych krzewów i zaczął się piąć po stromym zboczu kolejnego. Wzmagający się wiatr rozganiał opary, więc widoczność poprawiała się z minuty na minutę. Nagle mężczyzna usłyszał za sobą łopot potężnych skrzydeł. Wiedziony instynktem uskoczył w bok, kryjąc się za najbliższym posągiem.

Nisko nad drogą przeleciało monstrum podobne do pterodaktyla, niosące na grzbiecie człekokształtną istotę w czarnej zbroi i hełmie z opuszczoną przyłbicą.

Jeremy odczekał dobrą chwilę, dopóki wierzchowiec wraz z jeźdźcem nie zniknęli w oddali. Spocony mimo chłodu, osiągnął grzbiet wzniesienia i ujrzał, że dalej teren się wreszcie obniża. Jałowe szarobrunatne pagórki przechodziły znów w równinę, ciągnącą się aż po zamglony horyzont. Nigdzie nie było widać żadnego muru; a jednak u stóp wzgórza wznosiła się brama.

Taka w stylu średniowiecznym, ceglana, z wartownią nad wrotami.

Niezbyt potężna; od razu pomyślał, że to nie ma prawa być główne wejście do piekieł. Prezentowała się jednak wystarczająco okazale. Po obu stronach wrót w zawieszonych wysoko żelaznych koszach płonął ogień; drgająca poświata sprawiała, że płaskorzeźby na odlanych ze spiżu odrzwiach wydawały się ożywać i wić złowrogo. Centralne miejsce zajmowała podobizna człowieka i kozła zarazem, o rogach

skierowanych ku górze.

Jeremy dłuższą chwilę kontemplował ten widok, czując chłód wzdłuż pleców. W końcu przemógł się i zaczął schodzić po zboczach, rozglądając się czujnie. Wprawdzie przy bramie nie było widać żywej duszy, a wokół panowała cisza, jednak nie podobało mu się, że znajduje się sam jeden na otwartej przestrzeni, widoczny jak na dłoni.

Jak się okazało, słusznie się niepokoił, nagle bowiem usłyszał skrzekliwy okrzyk:

– Gdzie cię diabli przynieśli, mendo niewydarzona? Punkt przyjęć dla potępionych jest nad Styksem, dwadzieścia mil stąd!

Filolog rozejrzał się, zaskoczony. Nie dostrzegłszy wołającego, uznał, że to pewnie diabelskie sztuczki, mające go nakłonić do zawrócenia. Oczywiście zawracać ani myślał.

– Głuchy jesteś, ludzki śmieciu? – wrzasnął ponownie niewidoczny krzykacz. – Zabieraj stąd dupsko, ale już, bo cię nakarmię ołowiem!

Huknął strzał. Jeremy zachwiał się, cofnął o krok. Zdumiony popatrzył po sobie. Miał rozerwaną kurtkę i koszulę, tkanina na brzegach rozdarcia lekko dymiła, ale nie był ranny ani nawet draśnięty.

Spizowe odrzwia uchyliły się ze szczękiem i skrzypieniem, a z wnętrza wylazły dwa stwory. Jeden miał popielate motyle skrzydła, trójpalczaste łapki i ptasią głowę z długim dziobem. Drugi był porośnięty jasnobrażową sierścią, ale uwagę przykuwał przede wszystkim jego rozwarty jak u minoga otwór gębowy, okolony białymi wibrysami.

Ten ptasiogłowy taszczył na ramieniu muszkiet.

Przez chwilę gapili się na przybysza, wyraźnie skonfundowani tym, że strzał nie wyrządził mu krzywdy. Jeremy uświadomił sobie, skąd ich zna. Z obrazów Boscha, jakżeby inaczej.

– Coś za jeden? Chrześcijanin, muzułmanin, żyd, a może scjentolog? – zbulgotał minogousty.

– Hinduista, buddysta czy ateista, gadaj zaraz, czemuś się po przybyciu nie zgłosił tam, gdzie należy?  
– Ptasiogłowy uniósł broń.

– Zszedłem tu z rajy... to znaczy z rajy chrześcijan. Szukam bliskiej osoby, którą zesłano na Dół. Mam wszystkie potrzebne zezwolenia – skłamał Jeremy w nagłym przypływie inwencji.

– Aaa, to inna para kaloszy. Uniżenie witamy! – Diablik odstawił muszkiet (który natychmiast zmienił się w jaszczurkę, ta zaś zniknęła w szczelinie między kamieniami) i wyszczerzył zęby w uśmiechu rasowego cwaniaka. – Czym możemy służyć? Może wódeczki na rozgrzewkę? – Ze zręcznością sztukmistrza wyciągnął z rękawa butelkę z etykietą.

– Nie, dziękuję.

– A może jednak? Patrz, to polska, firmowa czysta! „Chopin”! Znasz tę markę?

– Chcesz coś kupić? Słodycze, papierosy? – zawtórował jego towarzysz tonem bazarowego handlarza, również wyciągając nie wiadomo skąd jakieś pudełko.

– Hola tam! Sierściuch, Uriasz, nie wygłupiajcie się! – zakrzyknął ten sam głos, który wcześniej wzywał Jeremy'ego do zawrócenia, a zaraz potem spomiędzy posągów wybiegło kolejne diable. Miało posturę małego chłopca, ale oblicze zgrzybiałego staruszka. Jeremy'emu przypomniały się zdjęcia dzieci chorych na progerię, które widział dawno temu w jakimś czasopiśmie. – Rozum wam odjęło? Przecież to musi być błogosławiony, skoro kule się go nie imają! Na co czekacie? Otwierajcie bramę!

– Bramę? A to z jakiej racji? – zawarczał czwarty głos, niski i nieprzyjemny. – Łapmy go, dawno nie jadłem porządnego gulaszu!

Jeden z głazów przy drodze leniwie rozprostował kończyny, okazując się szarym, brzuchatym potworkiem, podobnym do topornej rzeźby. Wypukłe żółte ślepia błysnęły łakomie, lustrując przybysza.

– Skoro zabłądził aż tu, nikt się o niego nie upomni. Na co czekacie, frajerzy? Nie co dzień mięsko samo się nam pcha do kotła!

– Nawet o tym nie myśl. To faktycznie błogosławiony. Ma znak. – Ptasiogłowy wymownie klepnął się w czoło. – Zresztą za chudy jest, nie starczyłoby dla nas czterech.

– Panowie, przepuście mnie – poprosił Jeremy. – Spieszę się.

– Już chcesz zmykać? – zdziwił się ten o starczej twarzy. – Zostań jeszcze trochę! Wiesz, jak rzadko miewamy tu gości?

– Tak, tak – podchwycił ptasiogłowy. – Zapraszamy do wartowni. Przekąsisz coś, wypijesz. Mamy pieczone gołębie, jagnięcinę i wino mszalne...

– Dziękuję, nic nie chcę! Wystarczy, jeśli mi otworzycie bramę.

Chciał precyzyjnie się między nimi, ale twór o brązowej sierści zastąpił mu drogę, machając talia kart.

– Zagrasz z nami, przyjacielu? W kanastę, w oczko, w pokera? Bez oszukiwania! Słowo honoru, jakem Sierściuch!

– Nie zagram. Nie uznaję hazardu.

Obrażony Sierściuch nastroszył ogon na kształt szczotki do butelek.

– Na wielkiego Dajjala, co za maruda z ciebie! No to chociaż się z nami napij.

– Nie ma mowy! Naprawdę muszę już iść.

– O, co to, to nie! Nie puścimy cię, póki nie wychylisz kielicha – stwierdził stanowczo ptasiogłowy. Uczynił łapkami kilka znaków w powietrzu. Jeremy wytrzeszczył oczy, bo nagle w jego własnej dłoni znikąd pojawiła się złota czara wypełniona parującym ciemnym płynem. Po zapachu poznał, że to krew i poczuł lekkie mdłości.

– Dalej, bracie! – roześmiał się demon. – Śmiało i odważnie! Za Lucyfera i grzechy twoje!

– Za grzechy twoje! – zawtórowali pozostali, zacieśniając krąg wokół Jeremy'ego, który zaczynał się ich już trochę bać.

– W porządku, chłopcy – przerwał im kobiecy głos. – Pożartowaliście sobie, a teraz sio mi stąd. Muszę pomówić z tym panem.

Stała przy nich postać od stóp do głów spowita w czerń. Jej twarz szczelnie zasłaniał szal, w szparze widać było jedynie błyszczące źrenice.

– Wedle rozkazu... pani. – Ptasiogłowy spokorniał, kuląc się, choć w głosie kobiety nie było groźby. Odwrócił się do towarzyszy. – Słyszeliście, wiara? Nic tu po nas!

Kobieta w czerni nawet nie spojrziała za odchodzącymi.

– Daj mi to. – Wyjęła Jeremy'emu z ręki czarę i wylała zawartość. Płyn w zetknięciu z gruntem zasyczał i zadymiał, błyskawicznie się ulatniając, a po ziemi rozbiegło się kilkanaście pajaków.

– Błazny! – prychnęła pogardliwie kobieta. – Niereformowalni, słowo daję. Trzeba było ich od razu pogonić, nic by ci nie zrobili. Nikt tutaj nie ma prawa cię tknąć, dopóki nosisz znak. Jak się nazywasz?

Przedstawił się. Zauważył, że śniade dłonie nieznanym mają zamiast paznokci zakrzywione pazurki, i przeniknął go dreszcz.

– Je-re-mai-jah – powtórzyła z namysłem demonica, przeciągając ostatnią sylabę. – Ładnie. Lubię biblijne imiona. Powiedz mi, Jeremiah, zszedłeś do nas dla kaprysu czy w jakimś konkretnym celu?

Uśmiechnął się smutno.

– Czy ktokolwiek schodzi do piekieł dla kaprysu?

– O, kochany, zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jakie pomysły przychodzą ludziom do głowy. Miewaliśmy tu już i nawiedzonych okultystów, którzy pragnęli do nas przystać, i fanatyków religijnych, którzy chcieli nas nawracać. Trafiają się nawet podróżnicy z glejtem od Pana, jak ów poeta, Florentczyk... jakże mu było? Nieważne... No, a ciebie co sprowadza do Szeolu? Głód wrażeń? Próżna ciekawość?

- Nie. Chcę odnaleźć kogoś, kto został tu zesłany.
- A zatem tęsknota silniejsza od śmierci, jak w baśniach? No proszę. Kogóż ci tak brakuje?
- Czemu pytasz, pani?
- Może będę mogła ci pomóc.
- Naprawdę? – zdziwił się.

Kobieta w czerni klasnęła w dłonie. Brama, tym razem bez dźwięku, otwarła się na całą szerokość.

- Chodź.

Po drugiej stronie rozciągała się z pozoru ta sama równina, którą widział ze szczytu wzgórza, ale posępniejsza, bardziej niesamowita. Skłębione chmury pełzy leniwie niczym prehistoryczne bestie. Ziemia wyglądała na spopieloną, nie rosło na niej nawet najmniejsze źdźbło. Wsłuchawszy się w gwizd wiatru, można było wychwycić odległe krzyki i jęki.

- Witamy w królestwie płaczu – odezwała się spokojnie demonica. – Rozejrzyj się, posłuchaj. Myślałby kto, że sprawiedliwy Pan będzie bardziej wyrozumiały dla swych błądzących dzieci, co?

Jeremy napotkał jej spojrzenie i zadygotał. Czarne, bezdenne oczy poraziły go zimnem i pustką. W wyobraźni ujrzał pozbawione wody pustkowia, skąd nie wracają karawany. Kości przysypane piaskiem, wycie szakali...

*Jestem tą, która wykrada dzieci z namiotów... Konający z pragnienia czasami słyszą mój śpiew...*

Otrząsnął się tylko dlatego, że klepnęła go w policzek.

- Nie patrz mi w oczy. Znałam mężniejszych niż ty, którzy tracili od tego wzrok.

- Kim jesteś? – odważył się spytać.

- Kimś podrzędnym w tutejszej hierarchii. Moje imię nic ci nie powie. No więc, kogo chcesz odnaleźć, Jeremia? A może to tajemnica?

- Nie, to nie tajemnica. Zszedłem po żonę.

- Tak przypuszczałam. – Zamyśliła się, po czym pstryknęła palcami. – Można sprawdzić w księgach, dokąd trafiła. Prowadzimy dokładną ewidencję potępionych, inaczej dawno byśmy się pogubili. Mam przynieść dokumentację?

- Jeśli będziesz tak uprzejma, pani...

- Zaczekaj tu – poleciała, po czym rozviała się w powietrzu jak dym. Czekał, czując się trochę głupio. Miał nieprzyjemną świadomość, że tamci, ukryci w cieniu bramy, cały czas bacznie go obserwują. Na szczęście po paru minutach demonica zmaterializowała się ponownie, dźwigając zniszczoną księgę w drewnianej oprawie z żelaznymi okuciami. Usiadłszy na ziemi, rozłożyła sobie tomiszcze na kolanach, pośliniła palec i ostrożnie przewróciła kilka stronic.

- To może potrwać – zastrzegła. – Zesłańcy są księgowani według dość trudnego klucza. Na przestrzeni wieków zrobił się tu straszny tłum – tyle różnych religii, tyle narodowości – i Władca postanowił z tym w końcu zrobić porządek, podzielić Szeol na odrębne marchie, ale teraz dla odmiany nie możemy się połapać w rejestrach. Na Lilith, słowo daję, nie cierpię biurokracji... Imię?

- Erin Dougall.

- Kraj, wyznanie?

- Irlandia. Niewierząca... Ale ochrzczona. Rodzice są katolikami.

- Kiedy zmarła? Podaj ziemską datę, tu czas płynie nieco inaczej.

- W Wigilię Bożego Narodzenia roku 2001.

- Jak? Chodzi mi o czynnik sprawczy, nie biologiczną przyczynę śmierci. Wypadek samochodowy, choroba...?

- Popelniła samobójstwo.

- Dobra, to powinno wystarczyć. Samobójcy nie trafiają się nam tak znowu często. Zaczekaj chwilę. –

Mrucząc do siebie, znowu przewróciła kilka pozółkłych kart. – Angie Daumont, nie... Celia Draves, także nie... Mam! Erin Julie Dougall, lat 34, z domu Flynn, córka Patricka i Uny, wdowa... Zmarła, a jakże, śmiercią samobójczą... Wszystkie dane personalne się zgadzają?

– Co do joty.

– Doskonale. – Z trzaskiem zamknęła księgę. – Widzisz tamto czerwone pasmo na horyzoncie?

Kierując się cały czas w tamtą stronę, dojdiesz do gór. Za nimi leży kotlina, a w kotlinie jest wioska, zamieszкана przez demony i kalekie dusze. Tam zesłano twoją żonę. Przebywa w czymś w rodzaju zakładu karnego.

– Myślisz, że pozwolą mi się z nią zobaczyć?

– Och, bez problemu. To nie więzienie, gdzie trzeba sobie załatwiać widzenia; działamy na nieco innych zasadach. W ogóle wolno ci tu chodzić, gdzie ci się żywnie podoba. Mówiłam przecież, że dopóki nosisz znak, jesteś nietykalny. Pamiętaj tylko, że jeśli go stracisz, nie będzie powrotu.

Na dnie serca Jeremy'ego drgnął robaczek niepokoju.

– Mogę go...

– Pewnie. Nie powiedziano ci? Znak zniknie, jeśli twój Pan uzna, że nie zasługujesz już na jego ochronę. Sam rozumiesz, błogosławieni, choćby i o najczystszy sercu, są tylko ludźmi. Góra musi się zabezpieczać przed powrotem jednostek, które uległy naszym zgubnym wpływom. Są bardzo stanowczy w tej kwestii. Rzekłabym, nieprzejednani. No ale nie będę cię niepotrzebnie straszyć. Nie wyglądasz mi na takiego, którego łatwo sprowadzić na złą drogę. Powiedz, co zamierzasz zrobić, kiedy już znajdziesz tę swoją Erin?

– Wrócimy na Górę, rzecz jasna. Będę się domagał rewizji wyroku.

– Optymista z ciebie, kotku. – Demonica pokręciła głową. – Gdyby to było takie proste, piekło dawno by opustoszało.

– Przecież wyraźnie mi powiedziano, że jeśli zdołam do niej dotrzeć, zostanie uwolniona! Wasze prawo stanowi...

– Na włócznie Azazela, pewnie, że stanowi. – Machnęła ręką. – Jeśli do niej dotrzesz i jeśli ona wyrazi na to zgodę, możesz ją zabrać, dokąd ci się żywnie podoba. Nikt w Szeolu nie będzie wam czynił przeszkód.

– Więc w czym problem?

– Och, sam się wkrótce przekonasz. Pamiętaj, nie strać znaku, inaczej wszystko na darmo. No, ruszaj, nic tu po tobie.

– Dziękuję za pomoc, pani. – Skłonił się na wszelki wypadek; grzeczności nigdy za wiele.

– Drobiazg. Powodzenia, Jeremiah. – Wyciągnęła dłoń; uściśnęła ją odruchowo. Przeniknęło go zimno, wydające się sięgać do samych kości. Wyszarpnął rękę, a wtedy demonica parsknęła wysokim, nieprzyjemnym śmiechem, podobnym do krzyku drapieżnego ptaka. Jeremy oddalił się pospiesznie, dygocząc.

\*\*\*\*

Upłynęło kilka tygodni, a może miesięcy, nie znała sposobu, żeby to określić. Tutejszy czas rozciągał się jak guma; porażająca nuda czyniła godziny długimi jak dni.

Aż któregoś razu na manufakturę spadli żołnierze, jak stado jastrzębi. Korytarzem łączącym baraki nadbiegła Petra, potargana, bez czepka, z obłędem w oczach.

– Bienenstock, przylecieli! – zawyła. – Wylądowali! Widziałam!

Zawtórowały jej zbliżające się, chrapliwe pokrzykiwania. Któraś z kobiet zaczęła pisać, szybko dołączyły do niej inne. Wywiązał się ogólny harmider i w tym samym momencie wrota rozwarły się

z hukiem. Petra złapała Erin za rękę i wciągnęła za przepierzenie, tam, gdzie znajdował się piec. Rozpłaszczone przy ścianie, mogły obserwować przez szparę w deskach, co się dzieje w hali.

Żołnierze, uzbrojeni w karabiny i szable, nosili maski w kształcie zwierzęcych łbów, a ich oczy jarzyły się czerwono. Chwyтали kobiety, skuwali kajdankami i wywlekali na zewnątrz, w ciemność.

– Zabierają je do katowni... – wychrypiała Petra.

Erin chciała zapytać, dlaczego i gdzie to jest, ale głos uwiązał jej w gardle, gdy w poświęcie sączącej się z otwartych drzwiczek pieca zamajaczyła barczysta postać w masce pumy, szczerzącej groźnie kły.

Na Petrę w ogóle nie zwrócił uwagi. Chwycił Erin za ramię i wywłókł z kąta.

Hala szybko pustoszała, żołnierze jeden za drugim kierowali się do wyjścia. Potępione, które pominięto, zbiły się pod ścianą w ciasną grupkę, łkając.

Tak jak to się czasem zdarza w koszmarnych snach, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Erin potknęła się i upadła. Żołnierz kopnął ją w obandażowane udo; salwa bólu.

– Wstawaj, dziwko!

Niezdarnie próbowała się podnieść. Kopnął ją po raz drugi.

– Ruszaj się!

– Stać! Tej nie – zakomenderował chrapliwy głos. – Puść ją i wracaj do reszty.

Stanął nad nimi mężczyzna w czarnym mundurze i pelerynie, z karabinem przewieszonym przez ramię, ale bez hełmu i maski. Miał ciemne, posiwiałe na skroniach włosy, twarz arystokraty i spojrzenie drapieżnego ptaka.

Żołdak usłuchał natychmiast. Erin dźwignęła się chwiejnie, oparła o ścianę. Kaszląc, rozmasowała gardło.

Oficer obrócił się na pięcie z furkotem peleryny i odszedł.

\*\*\*

Równina zdawała się nie mieć końca. Pokrywały ją kraterzy, jak na księżycu. Przez chmury sączyło się dziwne, sinawe światło, nie mające wiele wspólnego z ziemskim dniem.

Jeremy wędrował długo, bardzo długo. Pomny słów demonicy dbał, żeby bez ustanku mieć przed oczami pasemko szkarłatnej łuny, które jarzyło się przez cały czas w tym samym miejscu.

Mijał zrujnowane domostwa, nagrobki skruszone zębem czasu, spalone drzewa – jakby obrazy z czarno-białego filmu dokumentalnego o wojnie – i słyszał żalosne krzyki dusz, miotanych wiatrem niby suche liście. Odczuwał przeraźliwy smutek, którego nic nie mogło złagodzić, jakby wszystkie nieszczęścia i troski świata zostały złożone na jego barkach.

W końcu dotarł do rzeki, toczącej ospale czarną wodę, a może smołę. Przeciwny brzeg tonął we mgle. W zeschniętych badyłach, które kiedyś były trzciniami, rozbrzmiewało żalosne kwilenie.

Krwawo świecące pasmo na niebie znajdowało się teraz dokładnie nad jego głową; pojął, że łuna odzwierciedlała bieg rzeki.

Przy brzegu czekał prom.

– Najpierw niech zapłaci – zażądał przewoźnik, włochaty stwór z palcami połączonymi błoną, o ślepiach jak latarki.

Z braku lepszego pomysłu, Jeremy wręczył kreaturze krzyżyk, który otrzymał od McElroya. Ku jego uldze zapłata została przyjęta.

Gdy wysiadał na drugim brzegu, mgła nieco się rozrzedziła i mężczyzna ujrzał, że przed nim wznoszą się ciemne ściany gór, od połowy niknące w szarym oparze. Ucieszyłby się, gdyby był jeszcze zdolny do odczuwania radości. Ruszył naprzód, nie zauważając, że z wiatrem wiejącym mu w twarz niesie się odór padliny.



Wkrótce jego oczom ukazał się przerażający widok. Na pagórku wznosiła się przypominająca ołtarz konstrukcja z powiązanych razem mieczy, włóczni, halabard i wszelkiej innej białej broni, naszpikowana ciałami potępionych. Nieszczęśnicy, nabici na ostrza bądź przygwożdżeni nimi do ziemi, dawno powinni skonać z upływu krwi. Jednemu z brzucha zwisały wywleczone jelita, inny nie miał obu nóg. Żyli jednak, o czym świadczyły chrapliwe oddechy i wydawane od czasu do czasu jęki.

Tknięty sprzeczną z rozsądkiem ciekawością, Jeremy podszedł bliżej, wstrzymując oddech, bo smród dławił za gardło. Nieszczęśnicy mało, że cierpieli ból zadany przez ostrą stal; gnili tu z wolna, w okrutny sposób uwięzieni pomiędzy życiem a niebytem. Ich skóra odpadała płatami, spod mięśni wyzierały kości.

Jedna z sylwetek drgnęła. Ludzki wrak, który kiedyś był młodym, dobrze zbudowanym mężczyzną, uniósł głowę, by zmierzyć przybysza smutnym spojrzeniem. Jeremy'emu zabrakło tchu, bowiem poznał cierpiącego. To był jego kolega z podstawówki, Paddy O'Rafferty. Ten Paddy, który kolekcjonował motyle i zawsze stał na bramce, kiedy grali w piłkę nożną...

Paddy – czy raczej to coś, co zeń zostało – błagalnie wyciągnął odarte ze skóry rękę.

– Stary, błagam, daj mi pić! Chociaż łyka!

– Nie mam wody – odparł ze smutkiem Jeremy.

– Kłamiesz! – W oczach tamtego zagościł obłęd. – Na pewno masz! Musisz mieć!

Jeremy przecząco potrząsnął głową.

– Przykro mi, Paddy.

Odpowiedzią był nieartykułowany wrzask wściekłości, który – jak się zdawało – podziałał cucąco na innych potępionych, bowiem zaczęli unosić głowy.

– *Du lieber Gott, wir sind verloren*<sup>1</sup>! – wykrzyknął któryś.

– *Moi glaza, o, moi glaza*<sup>2</sup> – zapłakał inny.

– *Sonia, mein Schatz! Wo bist du*<sup>3</sup>? – rozzierając zajęczał trzeci.

Masa zakrwawionych ciał ożywała, niczym kłębowisko węży. Do upiornego chóru dołączały kolejne głosy.

– *Merde, c'est le gas*<sup>4</sup> ...

– *Zurück! Zurück! Bewege dich, Dummkopf*<sup>5</sup>!

– *Dieu juste, pardonne*<sup>6</sup> ...

W szarości odzywało się coraz więcej udręczonych krzyków. Jeremy zrozumiał, że dalej we mgle kryją się kolejne makabryczne ołtarze.

Nie był w stanie wytrzymać ani chwili dłużej. Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem w tym samym kierunku, z którego przybył.

Niemożliwe, żeby przez góry prowadziła tylko ta jedna droga. Znajdzie inną.

– Zgniesz tu, świętoszku! – dobiegł go z mgły ryk Paddy'ego, a potem odgłos splunięcia. Jeremy przyspieszył kroku, prawie biegł, nie zważając na to, że kamienie osypują mu się spod stóp.

Jeszcze długo gonilo go niesione wiatrem rozzierające zawrodo.

– *Sonia, mein Schaaatz!*

\*\*\*

Ponieważ krojczych ubyło, ubyło też pracy dla zamiataczek. Nie, żeby to w przypadku Erin coś zmieniało; trwała w zawieszaniu, wykonując swoje obowiązki jak automat, pozbawiona wspomnień, lęków, nadziei...

Aż kiedyś – nie umiała określić, ile czasu upłynęło od najazdu żołnierzy, właściwie nie była już nawet pewna, czy najazd rzeczywiście nastąpił, czy może uroiła go sobie – z odrętwienia wyrwał ją odgłos

otwierających się wrót. Wstrzymała oddech, widząc, że do baraku wchodzi postać w czarnym mundurze i pelerynie.

Nadzorca natychmiast podjechał do przybysza, gnąc się w ukłonach. Na jego opasłym obliczu wykwił uśmiech słodki niczym sacharyna i tak samo sztuczny.

– Po służbie?

Demon potwierdził ruchem głowy; jego wzrok błędził po hali.

– Szukam towarzystwa. – Ochrypli głos przywodził na myśl lwi pomruk.

– O, to nie wiem, czy szanowny pan znajdzie. U nas same kiepskie sztuki, a już u mnie w ogóle ostatni syf.

– Powiadasz? No aż tak źle chyba nie jest. Masz tu taką jedną młodszą z rudymi włosami, widziałem.

– Aaa, to pewnie panu oficerowi chodzi o zamiataczkę. Fakt, jest młodsza od innych. Ale nie wiem, czy się nadaje. Solidnie ją poharatali...

– Kiedy tu trafiła?

– W przeddzień święta narodzin Syna. – Ostatnie słowo Bienenstock wyszczerzył z obrzydzeniem.

– Co ty gadasz? To już dawno powinna być w pełni sprawna.

– Powinna, co nie znaczy, że jest. Niektóre wolniej przychodzą do siebie. Jeśli wolno mi to powiedzieć, proszę pana, kaci znają się na swoim rzemiośle, my zaś mamy ograniczone możliwości...

– Marudzisz, tłusciochu. Zawołaj ją, to się przekonamy.

– Wedle życzenia. Dougaaall! – rozdarł się nadzorca na cały barak. – Pozwól no tu!

Serce na chwilę przestało jej bić, ale wyszła z cienia jak gdyby nigdy nic. Oficer drgnął na jej widok; chyba się domyślił, że wszystko słyszała, ale nic nie powiedział.

Wziął ją za rękę, żeby obejrzeć przedramię. Ku jej zaskoczeniu, zamiast szarpnięciem zerwać bandaż, ostrożnie go odwinął. Nie zabolalo ani trochę, gaza odchodziła bez trudu. Erin nie wiedziała, czy się ucieszyć, czy zapłakać na widok tego, co się wyłoniło spod opatrunku.

– Gdzie ty tu widzisz rany, Bienenstock? – parsknął demon. – Wygojone jak trzeba.

Ujął ją następnie za podbródek, odwracając twarz do światła. Wyraźnie zadowolony z oględzin, rzucił monetę nadzorcy, który pochwycił ją skwapliwie. Oficer skinął na Erin.

– Pójdiesz ze mną.

Sprawdziwszy zębami, czy moneta nie jest fałszywa, Bienenstock wyszczerzył się usłużnie.

– Mamy oddzielną izbę na tyłach... specjalnie...

– Pamiętam.

Izba była paskudna jak wszystko tutaj, ale na łóżku ku zaskoczeniu Erin leżała pościel. Nawet w miarę czysta, choć zalatująca stęchlizną. Czystsza niż to, co Erin miała na sobie.

Drugą rzeczą, jaka rzuciła jej się w oczy zaraz po wejściu, było okno. Podeszła do niego z biciem serca. Po raz pierwszy miała okazję zobaczyć skrawek zewnętrznego świata – coś więcej aniżeli trzy baraki i łączący je korytarz.

Rozczarowała się. Z okna rozciągał się widok na ponure pustkowienie. Na zewnątrz panowała noc, lecz niebo rozświetlała luna, przywodząca na myśl pożary szybów naftowych. Szyba była rozbita, z siatką pęknięć, jakby ktoś w nią cisnął z zewnątrz kamieniem; powiew ciągnący przez otwór zalatywał spalenizną.

– Wracaj – przywołał ją do porządku demon. – Popatrzysz sobie później.

Erin stanęła przed nim, zmuszając się do uśmiechu. Skrzywił się z niesmakiem, patrząc na samodzielną szmatę.

– Zdejmij to.

Poczuła chłód w brzuchu, ale usłuchała.

– Odwiń resztę opatrunków.

Trochę to trwało, część musiała odrywać siłą. Na deskach podłogi wyrósł pokaźny stosik brudnej gazy. Skończywszy, z obrzydzeniem wepchnęła wszystko pod łóżko; później się je spali.

Wszystkie rany były zagojone. Zostały po nich różowe, nierówne blizny, lekko błyszczące, jak z plastiku. Wyglądało to tak ohydnie, że aż się wzdrygnęła.

Oficer objął ją gestem, który miał chyba dodać jej otuchy.

– Nie martw się, z czasem zbledną. Wierz mi, *mulier*, nie takie rzeczy już widziałem. Masz, może to cię rozweseli. – Wręczył jej odkorkowaną manierkę. Bała się odmówić, więc posłusznie upiła łyceczek, jak się okazało, całkiem dobrego wina.

– Reńskie, rocznik 1530 – oznajmił z dumą demon. – Nie wstydz się, pij. Teraz już nie ma na świecie takich win.

Rzeczywiście, Erin miała wrażenie, że płyn z każdą chwilą nabiera smaku i woni. Choć sączyła go wolniutko, szybko poczuła lekki szumek w głowie. Z pewnym żalem odstawiła manierkę.

– Mocne. – Uśmiechnęła się przepraszająco.

– O, pewnie, że tak. Zwykliśmy je pijać podczas hulanek w Walpurgisnacht, kiedyż to było? – Oficer również się napił, nie odrywając wzroku od więźniarki. Jego oczy żarzyły się czerwono. Erin spuściła głowę, nie była w stanie w nie patrzeć.

Milczenie przedłużało się.

– Chodź – polecił w końcu demon.

Chociaż bardzo się starała, nie udało jej się powstrzymać od wzdrygnięcia, kiedy jej dotknął. Jakby dopiero teraz sobie o nich przypomniał, ściągnął rękawice i rzucił je w kąt. Spodziewała się ujrzyć porośnięte sierścią łapy, ale nie, dłonie miał normalne.

Jak na zawołanie, luna za oknem zagasła; otoczyła ich ciemność.

O ironio, w tym, jak się zachowywał, nie było nic diabelskiego. Całował jej szyję i piersi, na szczęście wolne od blizn, z niezgrabnością zrodzoną z pośpiechu. Erin zmusiła się, żeby udawać, że jej to sprawia przyjemność. Ha, na upartego cała scena mogłaby się dziać w świecie żywych. Dziwka obozowa przyjmująca esesmana... Pieprzony film wojenny.

Zepchnął ją na łóżko i wstał. Usłyszała, jak ściągał buty, potem ubranie. Zaczęła dygotać, nie mogła przestać.

Wrócił, oddychając szybko, niecierpliwie. Pachniał po ziemsku, jak mężczyzna, nie jak potwór. Po raz pierwszy poczuła, że ją także ogarnia podniecenie, mimo strachu.

– Nie bój się – szepnął.

\*\*\*

Szła burza. Nieboskłon pociemniał; horyzont raz po raz rozświetlały błyskawice. Pomruki grzmotów odzywały się coraz głośniejsze i bliżej.

Ścieżka opuściła dolinę rzeki i teraz biegła stromo pod górę, piarzystym zboczem. Jeremy przysiadł na kamieniu, żeby odpocząć. Z żalem popatrzył na swoje do niedawna porządne i wygodne obuwie. Ciężkie wojskowe buty, teoretycznie prawie nie do zdarcia, tu niszczyły się niewiarygodnie szybko. Żałował, że nie ma, jak w baśni, żelaznych trzewików na nogach, a w rękę takiegoż kostura.

Wzdrygnął się, gdy doleciał go przeciągły, upiorny wrzask. Pod chmurami kołowały bestie, w tym oświetleniu i z tej odległości widoczne jedynie jako zamazane ciemne kształty. Zdawało się, że toczą ze sobą bój na śmierć i życie; z wiatrem niesło się raz ochryple trąbienie, kiedy indziej wściekłe ryki.

Nad głową mężczyzny śmignął nietoperz, chyba przerażony nadciągającą nawałnicą. Jeremy nie przejął się tym. Pamiętał z ziemskiego życia, jak niebezpieczne są burze w górach, tu jednak

rzeczywistość rządziła się trochę innymi zasadami. Poza tym nie miał teraz siły iść dalej. Bolała go głowa, miał dreszcze i czuł się tak słaby, jakby uszła z niego krew.

W miarę jak burza się przybliżała, bestie krzyczały coraz częściej i głośniej. Przerazające dźwięki wdzierały się w uszy i napełniały serce lodem.

Kolejny oślepiający zygzak przeciął niebo, trzasnął grom. Sekundę później zaczęło padać, czy raczej sypać – nie śniegiem, lecz szarym popiołem, który wciskał się we wszelkie zakamarki odzieży, drażniąc skórę. Jeremy zmusił się, żeby wstać i poszukać bardziej osłoniętego miejsca. Gdy stanął na nogi, okazało się, że krótki odpoczynek bardziej zaszkodził, niż pomógł – mięśnie zesztyniały, ruszał się jak mucha w smole. W końcu z ulgą zwinął się w jamie pod wielkim głazem i zamknął oczy. Był tak wykończony, że mimo huku piorunów zaczął zasypiać. Czuł, że odpływa, tonie w czerni.

Nagle usłyszał przy swoim uchu kryształowy głosik.

– Czy to ty zszedłeś z rajów w poszukiwaniu kobiety o rudych włosach? Wiem, dokąd ją zesłano.

Pomogę ci, wskażę drogę.

Słowa zostały wypowiedziane najczystsza łaciną.

– Kim jesteś? – wychrypiął Jeremy, unosząc głowę. Drgnął, gdy na wysokości jego oczu zatańczyło, a potem zawisło w bezruchu niewielkie światełko.

– Może czytałeś o mnie, nazywam się Francesca. Kiedyś cierpiałam miotana przez wiatr, teraz jestem błędnym ogniakiem. Przeprowadzę cię przez góry, jeśli masz dość siły, żeby iść.

Coś skojarzył jak przez mgłę – Francesca i Paolo, dusze smagane wichrem... gdzież to było... u Dantego? Straszne, nie pamiętał już nawet tak oczywistych rzeczy!

– Czemu chcesz mi pomóc? – spytał nieufnie. Światełko podskoczyło niecierpliwie.

– Tak trudno się domyślić? Nosisz na czole znak Bożej łaski! Jeśli ci pomogę, być może Pan skróci mi karę!

Wreszcie sobie przypomniał, skąd zna jej imię. No jasne, „Boska komedia”, drugi krąg piekieł. Dziewczyna, która została kochanką swojego szwagra.

– Dobrze, pójdę za tobą. Nawet jeśli to podstęp, nie mam nic do stracenia. – Dźwignął się z westchnieniem, konstatuując, że bestie odleciały, a burza cichnie. Z nieba padały już tylko pojedyncze płatki, za to okolicę jak okiem sięgnąć zaścielał popiół. Po paru krokach Jeremy potknął się o ukryty pod tą zdradziecką kołderką kamień i omal nie upadł jak długi.

Francesca da Rimini parsknęła cieniutkim, srebrzystym śmiechem.

– Ostrożnie, słonko, nie jesteś kozicą. Trzymaj się blisko mnie i patrz pod nogi.

\*\*\*

– Chcesz zapalić, *mulier*?

Potrząsnęła głową.

Oficer zapalił papierosa. Bez zapalniczki; wystarczyło, że pstryknął palcami. Zaciągnął się, wydmuchnął dym.

Erin usiadła na łóżku, owijając się szczelnie kołdrą. W pokoju nie było zimno, ale teraz, po wszystkim, znów wstydziała się swojego wynędzniałego i pokrytego bliznami ciała.

Demon palił w milczeniu, obserwując ją. Dla niego mrok nie stanowił przeszkody; Erin widziała tylko czarną sylwetkę na tle okna oraz trzy jarzące się czerwono punkty. Papieros i bliźniacze iskry jego źrenic.

Przeciągnęła się ostrożnie; wszystko ją bolało. Prawda, brutalny nie był, ale i tak czuła każdą bliznę, jakby jego dotyk zapisał się na skórze kreszczkami ognia.

Oooh... mimo wszystko słodki był ten ból. Co tu dużo mówić. Dawno się tak nie czuła. Po części

sprawiło to wino (czy na pewno napitek składał się tylko z wina?), a po części... chyba zadziałała po prostu chemia. Wyglodzenie.

Co gorsza, patrząc na niego teraz, miała niepokojące uczucie *deja vu*. Z sylwetki był, o ironio, całkiem podobny do Jeremy'ego. Tylko te oczy...

Oficer strząsnął popiół za okno i zaciągnął się znowu, czerwony punkcik rozżarzył się jaśniej. Erin uświadomiła sobie, że dym, który wypełnił pomieszczenie, nie pochodzi z tytoniu. Z marihuany też nie; wystarczająco wielu jej kolegów ze szkoły teatralnej popalało skręty, żeby umiała bez pudła rozpoznać aromacik ziela. Ten zapach był inny – bogaty, korzenny. Dziwnie nie pasował do tego miejsca, do obskurnej, śmierdzącej pluskwami izdebki, gdzie okno straszło rozbitą szybą, a za całe umeblowanie służyło żelazne łóżko z zapadniętym materacem i jęczącymi sprężynami.

– Jak ci na imię?

Pytanie padło tak nagle, że drgnęła przestraszona. Jego głos rozwiął złudzenie; w niczym nie przypominał głosu jej męża. I dobrze.

– Celtycka krew, co? – Demon zamyślił się, usłyszawszy odpowiedź. – Spędziłem nieco czasu w waszych stronach, kiedy twoi przodkowie jeszcze czcili starych bogów.

Spodziewała się, że powie coś więcej, ale nie. Zgasił papierosa o parapet i wrócił, stąpając bezszelestnie jak kot.

Z westchnieniem pozwoliła, aby znów ją zagarnął w ramiona. Kiedy zamknęła oczy, mogła zapomnieć, gdzie się znajduje i z kim. Liczył się tylko dotyk, przyspieszony oddech, zapach; woń zwykłej, ziemskiej wody kolońskiej, z ledwie wyczuwalną nutą potu.

Demon delikatnie przeczesał palcami jej włosy. Były splątane, matowe, lecz nadal bujne; po umyciu i wyszczotkowaniu odzyskałyby dawne piękno.

– To twój naturalny kolor?

– Tak.

– No proszę. – Pocałował ją w zagłębienie nad obojczykiem. – Sugestywne.

– Czemu?

– Wszystkie rude to ladacznice. – Zaśmiał się ochryple. – A wszystkie zielonookie to wiedźmy.

Wiedział bezbłędnie, gdzie i jak ją dotykać, żeby podsycić żar. Poddała się, miękła pod jego dłońmi. Było jej ciepło i przerażająco dobrze, jakby zażyła narkotyk.

Sprężyny jęknęły. Raz, drugi, trzeci...

– Jakaś ty słodka – wymruczał, gdy już prawie zasypiała. – Ilu cię miało oprócz męża?

Zatkało ją, ale zanim zdążyła się odezwać, uciszył ją pocałunkiem.

\*\*\*

Świetlista towarzyszka sprowadziła go w dolinę, gdzie między kamieniami leżały czaszki, a drzewa i krzaki płakały ludzkimi głosami. Leniwie płynący strumień zamiast wody toczył parującą, cuchnącą posokę.

Jeremy spróbował wdać się z Francescą w pogawędkę na temat średniowiecznej Florencji, ale ona zbyła te próby smutnym stwierdzeniem, że już nie pamięta żadnych szczegółów ze swojego ziemskiego życia.

– Zatrzymajmy się – poprosił w końcu. – Padam z nóg.

– Wytrzymaj jeszcze chwilkę – poradziła w odpowiedzi. – Niedaleko stąd jest jaskinia, w której możemy się schronić.

Rychło zamajaczyło przed nimi zbocze góry, a w nim czarny otwór. Po obu jego stronach wznosiły się kikuty uschniętych drzew. Na gałęzi jednego z nich siedział przypominający kruka stworek o dwóch

parach rubinowych oczu. Dostrzegłszy światło oraz zbliżającą się jego śladem postać, wyskrzeczając brzydkie słowo, furknął skrzydłami i tyle go widzieli.

– Nie bój się, nic ci tu nie grozi – oznajmiła uspokajająco Francesca, gdy Jeremy zawahał się na progu jaskini.

Musiał się schylić, żeby nie uderzyć głową o sklepienie. Znalazłszy się w środku, zamrugał i poczuł dreszcz. Z ciemności patrzyły na niego dziesiątki czerwonych ślepi.

Nagle któryś z potworków zakrakał, a inne podchwyciły hasło:

– Znaak! Znaak! Znaak!

Wszystkie naraz poderwały się do lotu. Jeremy zdążył tylko osłonić rękami głowę. Przez chwilę powietrze było pełne łopotu skrzydeł i fruujących piór, potem wszystko ucichło. Jaskinia opustoszała.

Niewiele myśląc, wyciągnął się pod skalną ścianą, podkładając sobie pod głowę zwiniętą kurtkę. Francesca zawisła na wysokości jego oczu.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. – Westchnął. – Jestem tylko potwornie zmęczony.

– Więc spróbuj zasnąć. Ja będę czuwała. Widziałeś zresztą, że nic i nikt nie śmie cię tutaj skrzywdzić, dopóki nosisz znak.

\*\*\*

Gdy usnęła, nastąpiło coś dziwnego. Odkąd przebywała w piekle, nie miewała snów. Jednak tym razem, gdy otworzyła oczy, znajdowała się w sypialni mieszkania w Dublinie. Światło ulicznej latarni przesączające się przez zaciągnięte zasłony, leciutki zapach perfum... Złudzenie było pełne. Odruchowo popatrzyła po sobie, ale nie, blizny nie zniknęły.

Przez oparcie krzesła przewieszony był jej granatowy szlafrok. Założyła go; naga czuła się nieswojo, nawet we śnie.

Przypadkowo jej wzrok padł na oprawione w drewnianą ramkę zdjęcie Jeremy'ego, stojące na półce z książkami, i coś ścisnęło ją za gardło. Na fotografii doktor Dougall rozkładał z uśmiechem ręce nad stosem papierzyk, spod których ledwo było widać biurko. Na pewno był teraz szczęśliwy w jakimś jasnym i spokojnym miejscu. Bez niej.

– Witaj, Erin – usłyszała za sobą. Nie wystraszyła się, bo przez cały czas miała świadomość, że tylko śni. Odwróciła się powoli. W drzwiach do salonu stał obcy chłopiec. Jasnowłosey, w zbyt obszernych czarnych bojówkach, głanach i bluzie z nadrukiem.

– Zjawiał się tu naga – powiedział z odcieniem wyrzutu z głosem. Od razu zrozumiała, co miał na myśli.

– Jestem wdową – zareagowała obronnym tonem. – Póki miałam męża, byłam mu wierna.

– Wiem. Między innymi dlatego pozwolono mi do ciebie przyjść.

Z głosu sądząc, mógł mieć jakieś szesnaście, siedemnaście lat, chociaż wyglądał na trzynaście. Nadruk na jego bluzie przedstawiał kamienny nagrobek w kształcie anioła z pochyloną głową.

– Kim jesteś? – zadała pierwsze pytanie, jakie przyszło jej na myśl.

– Kimś, kto z woli Pana odnajduje zbłąkane dusze.

Erin musiała się chwilę zastanowić, zanim dotarło do niej znaczenie tych słów.

– Po co do mnie przyszedłeś? – wybuchnęła, gdy już zrozumiała. – Czemu teraz? Przecież trafiłam do piekła, jestem potępiona na wieki!

– To tak nie działa – odparł chłopiec bez śladu złości czy zniecierpliwienia. – Kwestie wyroków i kar są o wiele bardziej skomplikowane, niż myślisz. Słuchaj uważnie, mamy mało czasu. Kiedy się zbudzisz, zabiorą cię do księcia demonów, który włada spopieloną krainą. Pamiętaj, nie wierz niczemu, co ujrzysz

i usłyszysz, przebywając na zamku. Książę jest mistrzem ułudy. Dokonuj wyboru z tą świadomością i nie bój się.

– Wyboru, jakiego wyboru? – Erin chwyciła się za głowę. – Nic nie rozumiem!

– Nie szkodzi. Zrozumiesz, kiedy nadejdzie czas.

– Niech cię szlag, czemu mówisz do mnie zagadkami?

– Ponieważ nie wolno mi mówić jaśniej. W grze o dusze są pewne reguły, których musimy przestrzegać tak my, jak i oni.

– My, czyli kto?

– Domyśl się. Tak trudno zgadnąć?

Zawahala się, patrząc na niego uważnie.

– Skąd mam wiedzieć, czy i ty nie kłamiesz?

– Nie masz wiedzieć. Miej tylko przez cały czas świadomość, że nie grasz wyłącznie o swój własny los. Nie zapomnij o tym, to bardzo ważne.

Z oddali dobiegł niski, wibrujący dźwięk. Chłopiec drgnął.

– Oho, dzwon! Mój czas dobiega końca. Muszę wracać do swojego wymiaru.

– Zaczekaj! – Erin zebrała się na odwagę. – Mogę cię spytać jeszcze o jedną rzecz? Gdzie jest teraz mój mąż? W niebie?

Chłopiec popatrzył jej prosto w oczy.

– Nie. Po śmierci został skierowany do raj, ale opuścił go na własne życzenie. Wcale nie jest powiedziane, że już nigdy go nie zobaczysz.

– Kim jesteś...? – powtórzyła z nagle budzącym się lękiem.

– Och, nie żadnym aniołem ani nikim podobnym. Spójrz. – Podciągnął rękaw, odsłaniając przedramię pokryte sznytami i tatuażami. – To pamiątki z poprzedniego życia. Byłem grzesznikiem jak wielu innych.

Z każdym słowem stawał się coraz słabiej widoczny, aż wreszcie rozpląnął się w powietrzu. Erin ze smutkiem zdała sobie sprawę, że sen dobiega końca. Kontury mieszkania już rozwiewały się jak dym.

I obudziła się ponownie, tym razem naprawdę. Zamrugła; dziwnie swędziały ją oczy.

Demon stał przy oknie, już w pełnym rynsztunku – mundur, peleryna, broń. Otaczała go sina, pachnąca mgiełka. Skinął jej głową, nie wyjmując papierosa z ust.

– Dobrze, że się zbudziłaś. Przed chwilą rozmawiałem z Bienenstockiem. Zabiorę cię dzisiaj do księcia. Zasługujesz na ponowne rozpatrzenie twojej sprawy.

\*\*\*

Nad doliną ponownie rozszalała się popielista zamieć; z wiatrem niosły się dzikie chichoty, jakby zastęp czarownic wyfrunął pohulać.

Zamiast zasnąć, Jeremy znów obracał w myślach wspomnienia. Przypominało to zdrapywanie strupa z zastarzałej rany; mimo bólu nie mógł przestać. Oczami duszy przez cały czas widział Erin; przeżywał na nowo zdarzenia, które swego czasu przyjął za dowód, że mogą być szczęśliwi mimo wszystkich różnic i nieporozumień.

Złote jesienne popołudnia, kiedy tańczyła dla niego w parku. Uczesana w dwa warkoczki, wyglądała jak celtycka księżniczka.

Mieszkanie w Dublinie, które remontowali we dwójkę – wybierali kolory ścian i kafelków, użerali się z wykonawcami i nie pokłócili się ani razu.

Albo kiedy wróciła z wizyty u rodziców i zastała go z wysoką gorączką, bo chory na gripę prowadził wykłady, aż skończył z zapaleniem płuc. Najpierw skrzyczała go jak dzieciaka, a potem przez następne dwa tygodnie opiekowała się nim troskliwie i pilnowała, żeby nie wychodził z domu, zanim nie skończy

mu się zwolnienie.

Ich pierwszy wspólnie powitany Nowy Rok. Śnieg sypiący za oknem. Jej rozrzucone na poduszce włosy, jak ognista aureola. Śliczna, zarumieniona buzia.

Zapach Aqua di Gio, jej ulubionych perfum...

Na zewnątrz niebo przybrało barwę grynszpanu. Popiół sypał się nadal. Francesca nuciła piosenkę w jakimś dziwnym ludowym włoskim dialekcie.

Jeremy zamknął oczy. Paliły niemiłosiernie, nie wiedział, od pyłu czy od łez.

Wspomnienia atakowały go nadal, coraz bardziej gorzkie. Nieporozumienia, kłótnie nie wiadomo o co, drzwi gabinetu, które zatrząskiwiał jej przed nosem, jej mina urażonej księżniczki, koleżanki, z którymi niby to umawiała się na kawę, figlarne esemesy, które dostawała nie wiadomo od kogo, jej wyłączona komórka o dziesiątej wieczorem.

Przewidywalne do bólu scenki, które odgrywali wciąż na nowo, niczym para marionetek w kiepskim dramacie. Krzyczała na niego, wychodził z pokoju. Mówił coś do niej lodowatym tonem, ona zaczynała płakać.

I wreszcie – najgorsze wspomnienie ze wszystkich.

Omagh.

Pojechali tam na chrzest siostrzenicy Erin. Jakoś tak wyszło, że nie mieli wcześniej czasu kupić prezentu, więc w drodze z dworca postanowili zahaczyć o centrum handlowe. Przy stoisku z książeczkami dla dzieci pokłócili się o jakieś głupstwo, bodaj o to, czy wypada miesięcznemu szkrabowi ofiarować ilustrowaną Biblię dla najmłodszych. Ekspedientka, przysłuchująca się temu z kamienną miną, zapytała w końcu z przylepionym uśmiechem, czy może państwu jakoś pomóc. Erin z równie sztuczną uprzejmością zaczęła jej objaśniać problem i w tym momencie świat runął.

Jeremy usłyszał huk – nawet nie tyle usłyszał, co zarejestrował wszystkimi zmysłami. Instynktownie padł na ziemię, osłaniając głowę rękoma. Czuł, że sypie się na niego deszcz rozbitego szkła i na chwilę zapadła ciemność.

Ocknąwszy się, ujrzał, że cała ściana budynku leży w gruzach. Sąsiedni sklep ucierpiał jeszcze bardziej – zapadł się dach, a ubrania ze stoisk podmuch wywiały aż na chodnik. Po przeciwnej stronie ulicy eksplozja przeszła przez fasady niczym nóż przez papier.

Jego żona leżała nieprzytomna, z zakrwawioną twarzą, wśród odłamków szkła. Dopiero teraz dopadła go panika, jak lodowate kleszcze. Rzucił się odgarniać gruz, który ją przygniatał.

– Erin, obudź się!

Prawie nie słyszał własnego krzyku. Później dowiedział się, że miał uszkodzone bębny w uszach. Poza tym wywinął się prawie bez szwanku; ona oprócz skaleczeń miała wstrząs mózgu, kilka złamanych żeber i uszkodzoną śledzionę. Kiedy w szpitalu odzyskała świadomość, rozplakała się na jego widok.

– Jeremy, przepraszam... Za wszystko.

– Nie ma za co. – Pogłaskał ją po włosach zabandażowaną dłonią, mrugając, żeby odpędzić łzy.

\*\*\*\*

– Co ja widzę, Riegel, czyżbyś przyprowadził nam kolejną zdobycz? – Dziewczyna w czerwonej jedwabnej sukni, o włosach barwy miodu zaśmiała się gardłowo. – Służba ponad wszystko?

Demon w czarnym mundurze wzruszył ramionami.

– Liczę na premię.

– Och, nie wątpię, że ją dostaniesz, chociaż... – Miodowowłosa zmarszczyła nos, krytycznie przypatrując się nowo przybyłej. – Okaleczona, brudna, aż litość bierze... No nic, trudno. Zajmiemy się nią.



Erin nieco ogłupiałym wzrokiem spoglądała to na nich, to na posępną bryłę twierdzy, w cieniu której stali. Twierdza wznosiła się na szczycie wysokiej góry; powyżej i poniżej kłębiły się chmurzyska. Czy demon przywiózł ją tu konno, a może przylecieli na rogatej bestii o nietoperzowych skrzydłach? Nie pamiętała...

Riegel i dziewczyna rozprawiali o czymś z ożywieniem. Odgadła, że rozmawiają o niej, jednak nie rozumiała z ich okultystycznego żargonu prawie nic.

– Ma potencjał, wierz mi, Cynthia. Jest... otwarta na nasze wpływy.

– No, niewątpliwie, to widać. Krew wiem, mocno rozrzedzona, ale jednak. Gdyby się urodziła pięć wieków wcześniej, skończyłaby na stosie. Na Samaela, wystarczy spojrzeć jej w oczy... Myra Huckle, ta dzieciobójczyni spod Cardiff w dwudziestym ósmym, miała takie same... Pamiętasz? Musisz pamiętać.

– No pewnie. A Myra miała predyspozycje.

– Miała. Niemałe.

– Co się z nią ostatecznie stało?

– Została przyjęta i służy w czwartym kręgu. Wkrótce czeka ją promocja na samodzielnego kusiciela.

– Co ty powiesz? Zjawię się z kwiatami.

– Koniecznie. W końcu to ty ją wypatrzyłeś i przyprowadziłeś do nas.

– Bądź tak miła i daj mi znać, kiedy ceremonia. I dbajcie dobrze o tę tutaj. Widzi mi się, że będzie z niej prawdziwy klejnot, trzeba ją tylko umiejętnie poprowadzić. No ale to już zadanie dla księcia. Moje uszanowanie, doprawdy muszę już lecieć. Pozdrów ode mnie resztę ślicznotek.

Ucałował miodowowłosą w policzek, a następnie – Erin omal nie krzyknęła na ten widok – zeskoczył ze skalnego występu w przepaść i poszybował w dół dostojnie jak kondor, łopocząc peleryną.

Nawet nie zdążyła się przestraszyć, bo Cynthia ujęła ją za rękę.

– Nie bój się, kopciuszk. Nazywasz się Erin, tak? Możesz się do mnie zwracać po imieniu. Podobają ci się moje włosy? Twoje będą wyglądały jeszcze piękniej, kiedy je umyjemy i ułożymy. Pożyczę ci moje perły, nosiłaś kiedyś prawdziwe perły? Chcemy, żebyś zrobiła dobre wrażenie na księciu.

Mówiła tak szybko i tak żywo przy tym gestykulowała, że Erin nawet nie zauważyła, kiedy przekroczyły próg twierdzy. Ciężkie żelazne wrota zatrzasnęły się za nimi z hukiem.

Sama nie wiedząc czemu, zaczęła płakać. Cynthia objęła ją ramieniem jak siostrę.

– Nie smuć się, jesteś wśród przyjaciół. Chodź. Zaopiekujemy się tobą.

\*\*\*

Góry drżały od huku piorunów.

Spoglądając w dół, Jeremy nie po raz pierwszy pomyślał, że piekło – a przynajmniej ta jego część – przypomina Mordor z ilustracji Johna Howe.

Francesca wyprowadziła go na przełęcz, z której rozciągał się widok na dwie doliny, a raczej rozciągałby się, gdyby nie pełzające w dole opary. Powyżej, na tle nieba, rósł posępny cień warowni. Na szczycie budowli płonął ogień, smuga dymu stapała się z chmurami, z których znowu prószył popiół.

Warownia sprawiała wrażenie niedostępnej, chyba że z lotu ptaka. Skaliste zbocza poniżej jej murów opadały ostro, jak ucięte nożem.

– Jesteś pewna, że tam się da dojść? – zaniepokoił się.

– Tak, ścieżka wiedzie do samej bramy. Zaprowadzę cię, bez obaw. Nie chcesz przedtem odpocząć? Będzie ciężko.

– Nie – odparł stanowczo. – Idźmy.

Rychło pożałował tej decyzji. Trasa stawała się coraz trudniejsza, trzeba było mozolnie leźć do góry po skalnych zwałach. Na ziemi nie miałby z tym problemów, ale tutaj czuł się tak, jakby lada chwila miał

zemdlec. Co kilkanaście, potem co kilka metrów musiał się zatrzymać, żeby odzyskać oddech.

– Boję się – wyszeptała w pewnej chwili Francesca. Jej światełko ledwie pełgało. – Jesteśmy już tak blisko... Osłoń mnie, proszę.

Zamknął ją w dłoniach jak motyla. Poczł łaskotanie i delikatne ciepło.

– Mogę cię schować do kieszeni? – spytał niepewnie.

– Tak, błagam. Gdziekolwiek.

Umieścił ją ostrożnie w kieszeni wiatrówki. Przez warstwy materiału czuł, jak świetlista istotka drży. Istotnie, byli już bardzo blisko. Ta myśl dodawała mu otuchy.

Wreszcie stromizna skończyła się. Gdy silniejszy podmuch wiatru rozproszył opary, przed Jeremym zamajaczyła w całej okazałości ponura budowla. Czarnych wrót strzegły dwie kamienne figury z głowami szakali. Śmierdziało zgnilizną, padliną, jak na pobojuwisku.

– Jak sądzisz, wpuszczą nas? – spytał półzartem, żeby sobie dodać otuchy.

Ponieważ nie było odpowiedzi, zajrzał do kieszeni. Poczł ukłucie smutku i zawodu; błędny ogień zniknął. Francesca da Rimini opuściła go bez pożegnania.

Postąpił naprzód – nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby zawrócić, skoro dotarł już tak daleko – i ujrzał, że ścieżka urywa się na krawędzi przepaści. Oba brzegi spinał chwiejny drewniany most. Niewiele myśląc, wkroczył nań, starając się stąpać jak najciszej, chociaż w zasięgu wzroku nic się nie poruszało.

Okropny smród nasilał się. Jeremy zasłonił nos i usta połą koszuli, ale niewiele to pomogło. Raz zerknął w dół i pożałował, bowiem niżej, w opadającym niemal pionowo żlebie, leżały trupy w różnych stadiach rozkładu.

Ogoniasty potworek z wydętym brzuchem umknął prawie spod jego stóp, sycząc i prychnając. Jeremy zachwiał się; nie spadł tylko dlatego, że kurczowo trzymał się balustrady. Zdążył dostrzec, że paskudztwo ma na sobie o wiele za dużą hawajską koszulę, widać ściągniętą z jakiegoś potępieńca.

W końcu dotarł do gigantycznych wrót. Były zamknięte na głucho, a w pobliżu ani żywej duszy.

– Halo! Hej! Chcę wejść! – wykrzyknął, lecz cuchnący wiatr zdławił mu słowa na ustach. Jeremy podniósł kamień i spróbował nim zastukać; dźwięk był żałośnie cichy, a odpowiedziało mu milczenie.

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co począć z tym fantem, aż wreszcie z braku lepszego pomysłu przeżegnał się. Choć nie mógł tego widzieć, znak na jego czole rozjarzył się jasnym światłem. I wrota wolno, wolniutko zaczęły się otwierać.

\*\*\*

Twierdza od środka sprawiała równie posępne wrażenie, co z zewnątrz. Chłód grubych murów, upiorne rzeźby we wnękach, dobiegające nie wiadomo skąd jęki i westchnienia... Jednak Erin w pierwszej kolejności została zaprowadzona do łaźni, gdzie panowała zdecydowanie przyjaźniejsza atmosfera. Krzątały się służące, w szerokim palenisku trzaskał ogień. Cudownie ciepła woda w miedzianej wannie pachniała różami.

Wyszedszy z kąpieli, Erin ujrzała, że blizny zniknęły. Miała skórę bez skazy, piękniejszą niż za życia.

Służące rozczesały jej włosy, zrobiły manicure, a następnie natarły ją od stóp do głów pachnącym kremem, masując tak długo i zręcznie, aż poczuła się odprężona jak nigdy. Gdy wyschły jej włosy, została ubrana w suknię z białego jedwabiu, tak cienkiego, że przezierało przezeń ciało. Chochlik o niebieskich skrzydełkach umalował ją jeszcze zręczniejszym, niż potrafiłaby to zrobić sama. Nad skronią wpięto jej lilię. Na koniec Cynthia, która obserwowała wszystkie te zabiegi, uważnym spojrzeniem oceniła efekt i zapięła na szyi Erin ciężki naszyjnik z pereł, godny królowej.

Potem poprowadzono ją krętymi schodkami w górę, do komnaty wyglądającej jak skrzyżowanie

pracowni maga z królewską sypialnią. Stały tam szafy z księgami, stół pełen tajemniczych instrumentów oraz łoże z baldachimem przykryte kapą haftowaną w smoki. Za gotyckim oknem lśnił olbrzymi księżyc. Iluzja...?

Służące wycofały się dyskretnie, zostawiając Erin samą. Zauważyła to dopiero w momencie, gdy zamknęły się drzwi. Uświadomiła sobie, że chyba zaaplikowano jej jakiś łagodny narkotyk, może krem coś zawierał...? Nie czuła strachu, jedynie delikatny, miły rausz.

Obeszła komnatę, z przyjemnością zanurzając bose stopy w puszystym dywanie. Zauważywszy lustro w połacanej ramie, nie mogła się powstrzymać, żeby się w nim nie przejrzeć. Wyglądała olśniewająco – lepiej niż kiedykolwiek na Ziemi; tylko w głębi oczu czaił się strach.

Jej uwagę przykuł następnie stół przy łożu, uginający się od książek. Leżały tam między innymi bibliofilskie wydania „Boskiej komedii” i „Raju utraconego” z ilustracjami Williama Blake, bogato iluminowany średniowieczny rękopis „Visio Tnugdali” (Jeremy kiedyś przyniósł do domu podobny, ale dużo gorzej zachowany egzemplarz, wypożyczony po znajomości z muzeum) i jakaś współczesna książka napisana cyrylicą.

– Ciekawia cię moje lektury? – usłyszała za sobą. – Jak każdy polityk, lubię być zorientowany w tym, co o mnie piszą.

Erin odwróciła się i wstrzymała oddech. Obok lustra stał książę.

Upadły anioł, który nie stracił nic ze swej niebiańskiej urody; smukły, o włosach rudych jak jej własne. Miał na sobie zieloną szatę ze złotym haftem, na szyi wieniec z narcyzów. Uśmiechnął się, pieszcząc wzrokiem jej postać.

– Jesteś Erin, córka Uny, zgadza się? – Jego głos był jak atlas, jak miód.

– T-tak – wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

– Witaj w moich włościach.

\*\*\*

Jeremy szedł, potem biegł przez mroczne, puste korytarze. Mijał posągi o wykrzywionych twarzach, podobne do postaci z domku strachów. Nie zwracał na nie uwagi.

W końcu ujrzał przed sobą otwarte drzwi. Wypadł na wewnętrzny dziedziniec i zatrzymał się jak rażony prądem.

Omagh. Znowu tam był, w samym środku koszmaru.

Wypatroszone podmuchem fasady sklepów. Smród spalonych ciał. Krew na wrakach aut, na chodniku, na murze... Dzieciaki z hiszpańskiej wycieczki o twarzach naszpikowanych szkłem...

Trwali nieruchomo jak woskowe lalki. Jak dekoracje z planu filmowego.

Zmusił się, żeby głęboko oddychać. Pomału odzyskiwał spokój.

Zobaczył. Wytrzymał.

Mógł tylko iść dalej.

\*\*\*

– Wina? To falerno, z rzymskich winnic. Godne patrycjuszy...

– Nie, dziękuję.

Książę mimo to nalał wina do kryształowej czary i w zadumie przyjrzał się trunkowi pod światło.

– Oto wielka tajemnica wiary... Śmierć wcale nie oznacza końca. Nie znaczy, że już nigdy nie stanesz przed wyborem: ból albo słodycz, światłość albo wieczna noc. Nasz przywilej kuszenia nie ogranicza się do żywych, nawet metody nie zawsze musimy zmieniać.

Melodyjne brzmienie jego głosu hipnotyzowało, odwracając uwagę od znaczenia słów.

Nieoczekiwanie pochylił się, pocałował Erin w szyję, potem nakrył jej dłoń swoją.

– Wdzięczna jesteś jak Jeruzalem, groźna jak zbrojne zastępy – wyrecytował z uśmiechem. Zdziwiła się, że szatan cytuje Biblię, ale w sumie pasowało to do niego. – O ileż słodsza jest miłość twoja od wina, a zapach olejków twych nad wszystkie balsamy...

*Pamiętaj, nie wierz niczemu, co ujrzysz i usłyszysz.* Erin wyteńczyła wolę, próbując przeniknąć wzrokiem domniemaną iluzję, jednak bez skutku. Wszystko wydawało się tak uspokajająco prawdziwe. I piękna komnata, i rudowłosa kusiciel – czy rzeczywiście tylko kusiciel? Czy naprawdę kłamał? Czy zachwyty w jego oczach mógł być udawany?

– Daję ci wybór, Erin, córko Uny. Możesz tu zostać i mi służyć... Albo wrócić tam, skąd przyszałaś. – W jedwabistym głosie zabrzmiał cień groźby.

O dziwo, nie czuła ani lęku, ani napięcia. Może za daleko zawędrowała, żeby się bać.

Szatan umilkł i obserwował ją z założonymi rękami. Udając nonszalancję, pochyliła się, żeby wciągnąć w nozdrza aromat wina. Wydało jej się, że w purpurowym przestworze trunku na moment zamajaczyła postać. Siwiejący mężczyzna w okularach, przeglądający stertę prac semestralnych... Potem jego miejsce zajął bezkres popielistej równiny.

Skierowała pełen spokoju wzrok na księcia.

– Panie, jeśli wolno spytać: ilu kobietom składałaś już tę propozycję?

Uniósł brwi.

– Czemu cię to ciekawi? Nie umiem powiedzieć. Przypuszczam, że na przestrzeni wieków setkom, może tysiącom...

– Czy któraś odmówiła?

– A jak sądzisz?

– Domyślałam się, że ani jedna.

– Słusznie się domyślasz.

– Czy sądzisz, panie, że miałabym odwagę zostać pierwszą, która ci się oprze?

– A miałybyś...? – Jego głos na sekundę upodobił się do pomruku lwa.

– Tak.

Nachmurzony książę puścił jej dłoń, odsunął się.

– Przemyśl to – zaproponował, nadal z nienaganną uprzejmością, ale jego oczy ciskały błyskawice. – W twojej rodzinie było kilka kobiet, które wiernie mi służyły. Potrafię być hojny...

– Nie, panie. – Wstała. Kącik ust szatana drgnął w brzydki uśmiech.

– Rozumiem, że dokonałaś wyboru. Niech tak będzie.

Klasnął w ręce. Do komnaty wpadło dwóch żołdaków w czarnych strojach i zwierzęcych maskach. Posłuszni rozkazowi księcia pochwycili ją. Nie opierała się.

Szatan wyjął zza pasa ozdobiony klejnotami sztylet i uciał jej długie pasmo włosów, potem skinął na żołnierzy.

– Do lochów z nią.

Gdy drzwi się zamknęły, podszedł do stołu. Zmieszał w srebrnej misie zawartość kilku flakonów z eliksirami. Ciecz wzburzyła się, przybrała barwę sadzy, potem rdzy. Gdy stała się krwistoczerwona, wrzucił do niej pukiel włosów. Następnie zamoczył w misie kropidło i prysnął krwawymi kroplami na łożo. Zasyczało, wzbił się kłęb dymu. Opary rozwiały się stopniowo, odsłaniając leżącą bez życia nagą kobietę – sobowtór Erin Dougall.

Książę wypowiedział kilka hebrajskich słów, czyniąc znak odwróconego krzyża. Nowo stworzone ciało wyprężyło się, targnięte konwulsyjnym dreszczem, po czym wzniosło się, lewitując nad posłaniem. Z ust i oczu kobiety wylewało się złote światło.

Szatan uczynił drugi znak, tym razem na jej czole, i poświata zgasła. Rudowłosa miękko opadła na poduszki.

Wziął ze stolika kielich i wlał jej w usta nieco wina. Przełknęła i zakaszła, odzyskując przytomność. Na jej policzkach stopniowo pojawiły się rumieńce, zielone oczy nabrały dziwnego blasku.

– Mój panie... – szepnęła, wpatrując się w niego z uwielbieniem.

Na zewnątrz, ponad przepaściami, niesło się z wiatrem zawrodoenie cierpiących.

\*\*\*

Jeremy błędził po kamiennym labiryncie, aż prawie zwątpił, że kiedykolwiek się zeń wydostanie. Nagle wokół niego zawirowały barwy i muzyka, w nozdrza uderzyła woń potraw, kwiatów i perfum. Znalazł się w samym środku uczyt zorganizowanej na wzór antyczny. Blask świec odbijał się w srebrnych i złotych naczyniach, służba roznosiła napitki. Biesiadnicy nie żalowali sobie trunków, o czym świadczyły zarumienione, spotniałe twarze pod przekrzywionymi wieńcami.

Pod sklepieniem polatywała orkiestra, złożona ze skrzydlatych małp w smokingach. Kilka skąpo odzianych tancerek popisywało się w przejściu pomiędzy stołami, jednak żadna nie miała twarzy Erin.

Uczta odbywała się w długiej sali, wyłożonej marmurami i ozdobionej rzędami kolumn. Zdawało się, że stołów jest niezliczona ilość. Gdy Jeremy ruszył w kierunku widocznego w oddali podwyższenia, wesoły gwar od razu ścichł; goście popatrywali na niego koso, a służący odsuwali się, marszcząc z niesmakiem nosy. No tak, wszedł tu jak żebrak z ulicy, brudny i obszarpany.

Drgnął, widząc smukłą kobietę w czarnej sukni, o długich, rozpuszczonych lokach koloru ognia. Stała plecami do niego, rozmawiając z mężczyzną odzianym w długą szatę i turban.

– Hella! – zawołał ktoś. Gdy rudowłosa odwróciła się, Jeremy stłumił westchnienie rozczarowania. Nie znał jej. Miała urodziwą twarz i brzydką purpurową bliznę na gardle.

Ich oczy spotkały się i nieoczekiwanie Hella wydała przeraźliwy okrzyk.

– Intruz, intruz! Jak śmiał tu wejść? Brać go!

Muzyka urwała się jak ucięta, goście poderwali się z miejsc. Jeremy zamarł. Wystrojone postacie na jego oczach przemieniały się w potwory o ni to zwierzęcych, ni to ptasich kształtach... Monstra otoczyły go zacieśniającym się kręgiem.

– Brać go! Zabić! – rozbrzmiewało zewsząd.

Nagle u jego boku pojawiła się smągła dziewczyna w bogatym, orientalnym stroju. Uniosła dłoń, która zamiast paznokci miała ptasie pazurki.

– Ślepi jesteście? Nosi znak Pana! Wara od niego!

Rozpoznał ten głos. Demonica spod bramy.

Okrzyki przycichły, tłum rozstał się.

– Idź i nie obawiaj się – rozkazała, kierując na niego czarne studnie oczu.

Na podwyższeniu, pod purpurowym baldachimem, stał złoty tron, którego nogi i poręcze miały kształt lwich łap. Strzegli go uzbrojeni po zęby żołnierze. Na tronie rozpiął się piekielny książę: brzydki mężczyzna o śmiertelnie bladym obliczu bez brwi i rzęs, odziany w togę, przez co kojarzył się z Neronem. Włosy podobne do rdzy oblepiły mu spoczone czoło. Zajadał ze złotego talerza żywe, wijące się owady.

U stóp księcia siedziała Erin.

Miała na sobie czerwoną koronkową bieliznę i wieniec z kwiatów na szyi. Wydała się Jeremy'emu piękniejsza niż kiedykolwiek. Nie zauważył, że elfie zielone oczy zwęziły się brzydko na jego widok.

Gdy zbliżył się do tronu, zapadła martwa cisza. Książę dostrzegł go wreszcie, bez pośpiechu odstawił talerz, obtarł usta podsuniętą przez służącego serwetą.

– Witam cię, potomku Adama – przemówił uprzejmie. – Po co tu przybyłeś?

– Z jej powodu. – Jeremy wskazał ręką Erin. – To moja żona.

– Rozumiem. – Głos księcia aż ociekał grzecznością. – Chcesz, żeby wróciła z tobą na Górę, jak mniemam?

– Tak. Udzielisz pozwolenia, panie?

– Ja? Pozwolenia? Nie, nie, skądże znowu. Niech sama zdecyduje. Takie obowiązuje tu prawo. Jak widzisz, respektujemy wolną wolę. – Szatan z szyderczym uśmiechem zwrócił się do kobiety: – Erin, córko Uny, czy znasz tego człowieka?

Rudowłosa piękność skinęła głową.

– Oczywiście, że znam. Był moim mężem.

– Czy chcesz, żeby cię zabrał z powrotem na Górę?

– Nie.

Przez salę przebiegł groźny szmer.

– Erin! – jęknął mężczyzna. Wszystkiego mógł się spodziewać... ale nie tego.

Wybuchnęła perlistym śmiechem, który tak dobrze znał.

– Jeremy, obudź się! Czemu miałabym chcieć?

Piekielny księżę uśmiechnął się.

– No cóż, zdaje się, że sprawa jest jasna. Nic tu po tobie, człowieczku. Wynoś się z moich włości!

Jeremy nie usłyszał go – wpatrywał się w Erin jak zahipnotyzowany. Gorączkowo zastanawiał się, co powiedzieć, jakich słów użyć, żeby do niej dotrzeć... I nagle pamięć podsunęła mu zdania, których nie miał przed oczami od bardzo, bardzo dawna. Wiersz... Tolkien. Fragment ballady o Berenie i Luthien. Kiedyś znał na pamięć całą.

*Szukał jej wszędzie, szukał wciąż*

*Gdzie leżał liść pokotem,*

*Gdzie w mroźnym niebie księżyc lśnił*

*I gwiazdy przy nim złote.*

*W miesięcznym blasku lśnił jej płaszcz,*

*Gdy na pagórku, w dali*

*Tańczyła, mając u swych stóp*

*Srebrzystą mgłą z opali...*<sup>z</sup>

Na początku zająknął się raz czy dwa razy, potem recytował już spokojnie, jakby sala i tłum przestały istnieć. Jakby czas cofnął się o milion lat do dnia, kiedy Erin tańczyła na trawie w parku i słońce zapalało ogień w jej włosach...

– Co ty bredzisz? – przerwała mu nagle żona.

Zmartwiał. Śmiała się znowu – przenikliwie, szyderczo, jak harpia.

– Co mi po twoich słówkach? Słowa to śmieci! – Wzięła z talerza ogryzek i rzuciła w niego.

Miał wrażenie, że gwar za jego plecami ścichł, jakby od rozhukanej ciżby odgrodziła go gruba szyba. Docierały do niego tylko słowa żony.

– Słyszysz, obdartusie? Nie chcę mieć już z tobą nic wspólnego, nie chcę cię znać!

Wykrzyczała to tak głośno, że odpowiedziało jej echo. Gdy umilkła, zapadła głucha cisza. Wszystkie oczy były skierowane na Jeremy'ego.

Wydawało się, że każda sekunda trwa wiek, podczas gdy jego świat rozpadał się na kawałki.

Chociaż zdawał sobie sprawę, jakie to żalosne, zalała go wściekłość. Rzucił się w kierunku Erin

i księcia, lecz powstrzymali go gwardziści. Dostał w żołądek pięścią w okutej żelazem rękawicy, zgiął się w pół. Ktoś zdzielił go w kark, ktoś inny podciął nogi. Jeremy upadł, a wtedy zaczęli go kopać wszyscy naraz. Próbował się zwinąć, ochraniać głowę, ale nie było sposobu, żeby się zasłonić przed tyłoma prześladowcami. Goście klaskali.

Purpurowa mgła przesłoniła mu wzrok. Bardzo chciał zemdleć, ale nie udawało się. Czuł.

Gdy w końcu dali spokój, zdawało mu się, że nie ma w ciele jednej całej kości. Dźwignął się chwiejnie, oparł na rękach i kolanach. Z nosa lała mu się krew.

– Spójrz, co narobiłeś, gnoju. – Najbliższy gwardzista szturchnął go. – Ubrudziłeś posadzkę.

Śmiech Erin, wysoki, ostry jak brzytwa. Książę klasnął w ręce.

– Wywalić to ścierwo za drzwi. Orkiestra, menueta!

\*\*\*

Schodził chwiejnie – żalosna, kulejąca postać – potykając się co i rusz. Nie obchodziło go, czy spadnie w przepaść.

Skoczyłby z ulgą, ba, z radością, gdyby to miało ostatecznie zakończyć jego egzystencję. Ale przecież nie da się umrzeć po raz drugi.

Naokoło wyla nawałnica. Wciąż miał wrażenie, że słyszy niesiony wiatrem szyderczy śmiech. Nie miał siły się zastanawiać, czy sprawiedliwość Boża spłatała mu okrutnego figla, czy też zostaje właśnie wystawiony na próbę jak Hiob, lub coś w tym guście.

W końcu zwinął się w skalnej szczelinie jak ranne zwierzę, zamykając oczy.

\*\*\*

Spodziewała się, że zostanie na powrót obleczona w łachmany i wypędzona w dolinę. Jednak najwyraźniej to byłoby za proste.

Żołnierze wśród poszturchiwań i drwin zawlekli ją do wilgotnego lochu, gdzie po murach pełzało robactwo. Zakuli w łańcuchy i pozostawili w ciemności. Czekwała, szcękając zębami z zimna, a strach walczył w niej o lepsze z ufnością, że postąpiła słusznie.

Mijały minuty, godziny... Nie miała jak zmierzyć upływającego czasu, a zresztą czas w zaświatach jest pojęciem względnym. Zdawało jej się, że czeka w ciemności całe wieki.

Stopniowo zaczęło ją dręczyć zwątpienie. A co, jeśli chłopiec wcale nie był wysłannikiem niebios? Jeśli wszystko stanowiło jedynie kolejny etap kary, obliczony na to, żeby dać jej nadzieję, a potem znowu stracić na dno?

Kiedy miała już wrażenie, że zaraz zwariuje od tych myśli, wkoło zaczęły rozbrzmiewać głosy, z początku ciche, potem coraz bardziej natarcywe. Chichotały, pohukiwały, wykrzykiwały obelgi. Erin uznała to za dość prymitywne i nie reagowała. Do czasu jednak.

– Twój mąż zjawił się na zamku – usłyszała w pewnej chwili; zdawało się jej, że rozpoznaje głos Cynthii. – Książę pokazał mu istotę uczynioną na twój obraz i podobieństwo.

– Biedny Jeremy. Spodziewał się, że powitasz go z radością... Wyobraź sobie, jak srodze się zawiódł.

– Kłamiecie!

– Biedactwo, chciałabyś, żeby to nie była prawda, ale to prawda. Opuścił dla ciebie raj, przemierzył piekło... a na koniec dowiedział się, że ma spadać, bo ty wolisz księcia.

– Nienawidzi cię teraz. I trudno mu się dziwić.

– Przestańcie! – wykrzyknęła rozpaczliwie. – Zostawcie mnie!

Jedyną odpowiedzią był chóralny rechot.

Szcęknął odsuwany rygiel. Pohukiwania i śmiechy ucichły. Drzwi otworzyły się z hukiem, i w progu

stanął książę. W jednej ręce dzierżył pochodnię, w drugiej – zdobiony klejnotami sztylet.

Już w niczym nie przypominał angelicznego młodzieńca. Iluzja opadła; był odrażający, o rozlanych rysach satrapy, pozbawiony brwi niczym syfilityk.

– Popelniasz błąd, sprzeciwiając mi się. – Uśmiechnął się jadownicie. – Nikt i nic nie ochroni cię przed moim gniewem. Jestem władcą much, mistrzem plag. Mogę cię porazić dżumą, kiłą, trądem. Zmienić krew w twoich żyłach w truciznę, sprawić, że zgnije ci język, ręce uschną, oczy oślepną. Skazać na wieki, nie, eony cierpień.

W miarę jak mówił, jednocześnie kreślił ostrzem w powietrzu kabalistyczne znaki. Sparaliżowana strachem Erin z jakąś chorą fascynacją patrzyła, jak jej dłonie powoli stają się zdeformowane, pokryte guzami... jak na stopach otwierają się wrzody...

– Pytam po raz ostatni: czy będziesz mi służyć?

– Nie.

\*\*\*

Odzyskawszy przytomność, natychmiast pożałował, że tak się stało. Z wysiłkiem rozkleił powieki i ujrzał, że leży w cieniu bezlistnego drzewa o powykręcanych gałęziach. Na najgrubszym konarze, jak wielki nastroszony kruk, siedziała jego znajoma spod bramy – znów spowita od stóp do głów w czerń, ale z odsłoniętą twarzą. Patrzyła na niego ze złośliwym uśmiechem.

– No, wreszcie się ocknąłeś. Jak się czujesz?

– A jak sądzisz? – Odkasznął; czuł w gardle krew.

– Znaku na twoim czole prawie już nie widać. Przyznaj się, Jeremia, zwątpiłeś w cel swojej wyprawy? Czy chcesz tu zostać na całą wieczność?

– Co za różnica, czy zostanę, czy nie? Nie mam po co wracać na Górę. – Znowu zakaszła, próbując ukryć, że załamuje mu się głos. – Widziałem Erin... Powiedziała...

– Widziałeś złego ducha, który przybrał postać twojej żony – wyjaśniła rzeczowo demonica. – Rozumiesz? To był podstęp księcia!

Chwilę trwało, zanim dotarło do niego znaczenie tych słów. Zapominając o bólu, Jeremy poderwał się z ziemi.

– Jaką mam gwarancję, że nie kłamiesz?!

Wyciągnęła w jego stronę dłoń, w której trzymała srebrny krzyżyk na łańcuszku.

– Polecono mi, żebym ci to oddała na dowód, że Pan o tobie nie zapomniał. My także Mu służymy i wypełniamy Jego rozkazy.

Przyjął krzyżyk, ale nadal spoglądał na nią podejrzliwie.

– Skoro tak, czemu mnie...

– Czemu nie ostrzegłam cię wcześniej? – Zaśmiała się sucho. – Bo tak miało być, kochany. Wszystko, co się tu dzieje, dzieje się zgodnie z Jego wolą, choć wielu sądzi, że jest inaczej.

– To znaczy, że Pan...

– Widzę, że zaczynasz rozumieć. Tak. Pan chciał.

– Żebym dla niej opuścił niebo? I na próżno przebył tę całą drogę?

– Kto powiedział, że na próżno? – Przekrzywiła głowę, spoglądając na niego bystro. – A może to wcale nie było prawdziwe niebo?

Wpatrywał się z nią z otwartymi ustami. Nagle potrząsnął głową.

– Nie wierzę ci! Nie na darmo nazywają was władcami kłamstw!

– Ależ wierz sobie, w co ci się żywnie podoba, mnie to nie robi różnicy. Słuchaj, mam ci do przekazania coś ważnego. Twojej Erin zmieniono wymiar kary. Przebywa teraz tam – wskazała widoczną



w dolinie wioskę.

Jeremy zmrużył oczy, próbując oszacować odległość i zapamiętać kierunek na wypadek, gdyby z gór znowu spłynęła mgła.

– Dziękuję – mruknął.

– Nie ma za co.

– No, pewnie nie. – Westchnął. – Ostatecznie skąd mogę wiedzieć, czy to nie kolejny wasz podstęp?

Ale zaryzykuję. Co mam do stracenia?

Demonica nie odpowiedziała, zresztą pytanie było retoryczne. Usadowiła się wygodniej na gałęzi, opierając plecami o pień. Patrzyła, jak mężczyzna odchodzi, nadal mocno utykając.

\*\*\*

Erin ocknęła się w pustej pieczarze wśród lasu stalagmitów. Skalne złomy porastał fosforyzujący mech. Usiłowała sobie przypomnieć, jak się tu znalazła, jednak ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, było przesłuchanie w lochach, w trakcie którego chyba straciła przytomność.

Spojrząwszy na swoje dłonie z ulgą stwierdziła, że wyglądają tak, jak powinny. Nieufnie dotknęła twarzy, włosów, lecz wszystko było w porządku. Straszono ją, ale ostatecznie nie wyrządzono żadnej krzywdy.

Machinalnie przyglądała fałdy do niedawna eleganckiej, a teraz wymiętej i poplamionej białej sukni.

Z pieczary brały początek liczne korytarze. Zawahała się; nie bardzo miała ochotę wkraczać w głąb labiryntu, nie wiedząc, co może się tam czaić. Gdzie właściwie trafiła i dlaczego?

– Wyzwoliłaś się spod naszej władzy – usłyszała za sobą znajomy głos. – Winszuję, *mulier*.

Spomiędzy stalagmitów wyłoniła się postać w czarnym mundurze i płaszczu. Piekielny oficer, Riegel.

– Co to ma znaczyć? – spytała nieufnie Erin.

– Możesz iść, dokąd chcesz. Ta jaskinia leży na skrzyżowaniu światów. Wystarczy, że wybierzesz dowolny korytarz.

– Gdzie mój mąż?

– Nie wiem. – Skrzywił się, nie kryjąc niezadowolenia. – To nie moja sprawa. Pytaj aniołów, jeśli jakichś spotkasz. Czasem się tu kręcą.

– Dokąd prowadzą te korytarze?

– Och, w różne miejsca. – Uczynił dłonią nieokreślony gest.

Erin podeszła do najbliższego otworu i zajrzała weń nieufnie. Wzdrygnęła się, gdy owionął ją zimny powiew, zalatujący zwiędłymi kwiatami. Nie podobało się jej to wszystko. W myślach błagała małego wysłannika niebios, żeby się pojawił i zabrał ją stąd, ale bez skutku. Był tylko Riegel, wwiercający w nią trudne do rozszyfrowania spojrzenie czerwonych oczu.

– Dziękuję – rzuciła z grzeczności, żeby nie poczuł się urażony.

– Tylko tyle? – Uniósł brwi, podchodząc jeszcze bliżej; wymuskany, pachnący wodą kolońską i kadzidlany dymem. Położył jej dłonie na ramionach. Jego głos przeszedł w uwodzicielski pomruk. – Nawet mnie nie pocałujesz na pożegnanie?

Erin zrobiła coś, o czym za życia zdarzało jej się wyłącznie czytać. Spoliczkowała go z całej siły.

– Precz ode mnie, stręczycielu! – zawołała z obrzydzeniem.

Z hukiem i trzaskiem część sklepienia runęła, wzbijając kłęby kurzu. Przez powstałą wyrwę wlał się blask słońca. Riegel cofnął się, osłaniając oczy połą płaszcz.

Przez wyłom zaczęły napływać postacie odziane w szaty koloru pogodnego nieba. Zawisały w powietrzu jak motyle, otoczone poświatą, która wydawała się sączyć wprost z ich ciał. Erin zmrużyła oczy. Wydawało jej się, że rozpoznaje niektóre twarze. Phoebe Hogan, przyjaciółka ze szkoły średniej...

Nauczycielka matematyki, pani O'Grady... Brodaty wujek Ciaran... Wreszcie – jej serce podskoczyło na ten widok – rodzice.

Dostrzegli ją. Matka radośnie zamachała ręką.

Riegel wycofał się w najdalszy kąt pieczary jak wielki nietoperz. Krzywiąc się, wciąż jeszcze rozcierał policzek.

– Jest wolna – wysyczał nienawistnym tonem w kierunku odzianych w błękit. – Bierzcie ją sobie, nic tu po niej.

\*\*\*

Wioska widziana z bliska okazała się bezładnym skupiskiem ruder, skleconych z tektury i blachy falistej. Wszedłszy pomiędzy nie, Jeremy z przerażeniem zobaczył, że osadę zamieszkują trędowaci. Okryte krostami i ranami postacie na jego widok wycofywały się w cień, z jękiem zakrywając twarze. W pyłe bawiły się dzieci bez palców i nosów.

Stopniowo ogarniało go zwątpienie. Przenigdy jej tu nie odnajdzie, nie rozpozna...

Wiedziony cieniem nadziei, że to coś zmieni, chciał zmówić modlitwę, ale uświadomił sobie z przestachem, że nie pamięta nawet prostego „Ojcze nasz”. Jedyne, co podsunęła mu pamięć, to ostatnia zwrotka ballady o Berenie i Luthien. I ponieważ nie wiedział, co innego mógłby zrobić, wyrecytował ją na głos; z początku cicho, potem głośniejsze, ignorując łzy, które napłynęły mu do oczu.

*Daleką drogę dał im los*

*Wśród mroźnych gór kamieni*

*Przez mrok podziemnych, głuchych grot*

*I lasy pełne cieni.*

*Dzieliły ich obszary mórz*

*Lecz w końcu się spotkali...*

– Lecz w końcu się spotkali... – powtórzył w ciszy, jaka zapadła po jego ostatnich słowach słabutki głos, prawie szept. Jeremy odwrócił się z bijącym sercem.

Pod ścianą najbliższej chaty kulila się kobieta. Jej stopy i ręce były omotane brudnymi szmatami, głowa – chustą, spod której wysuwały się rude włosy, zmatowiałe i szorstkie, z pasmami siwizny.

– To ty?!

Kiwnęła z wysiłkiem głową. Ukląkł przy niej, czując, że w gardle rośnie mu gębla.

– Erin... Co oni z tobą zrobili...

Chociaż bał się tego, co ujrzy, zsunął z jej głowy chustę. Wzdrygnął się na widok wynędzniałej twarzy, zniekształconej przez guzowate zmiany, ale ona i tak nie mogła zobaczyć jego reakcji – jej oczy zasnuwało bielmo.

Nie wiedział, jak mógłby jej pomóc. Co za ironia – odnalazł ją w końcu, lecz nie miał pojęcia, co teraz... Jego wzrok padł na trzymany w ręku krzyżyk. Z braku lepszego pomysłu ostrożnie zawiesił go na szyi żony.

– Chodź ze mną... – Tłumiąc strach i wstręt, ujął jej ręce, lecz nie chciała albo nie mogła wstać. Objął ją, też z trudem powstrzymując płacz. W następnej chwili cofnął się, przejęty zgrozą. Ciało potępionej rozsypywało się pod jego dotykiem w proch. Chusta i łachmany opadły na ziemię.

Niebo pociemniało, zerwał się wiatr, unosząc kłęby popiołu. Trędowaci w pośpiechu chowali się do swoich ruder.

W gęstniejącym mroku leżący na ziemi srebrny krzyżyk rozblęsnął jaskrawą bielą niczym palący się

magnez.

Jeremy zmrużył oczy. Poprzez wirujący pył szła ku niemu postać. Wydało mu się, że rozpoznaje sylwetkę swojego anioła stróża.

– Menariel?! Co ty tu robisz?

– Jeremy, to ja. – Postać postąpiła o krok do przodu, wchodząc w krąg światła, i teraz nareszcie ją poznał.

Była ubrana w błękitne szaty, zwiewne jak mgła, a jej skóra wydawała się emanować światłem, niczym lampa okryta tkaniną. Włosy straciły swój płomienny odcień, stały się lekko niebieskawe, choć wcale przez to nie mniej piękne.

Uściskała go serdecznie. Poczuł, że jest ciepła, rzeczywista – nie żaden duch. Z bliska dostrzegł na jej policzkach ślady łez.

– To naprawdę ty – szepnął, bo nic mądrzejszego nie przyszło mu na myśl.

– Ja.

– A tamta... tamto...

– Ostatnia próba. Nie wiedziałam... nie powiedziano mi... Wymogłabym na nich, żeby ci jej oszczędzono. – Erin patrzyła na niego ze współczuciem i to ostatecznie go przekonało. – Och, Jeremy, tak mi przykro... za wszystko... Ale już koniec, jesteś u kresu drogi. Chodź.

Delikatnie przesunęła dłonią po jego posiniaczonej i pokaleczonej twarzy. Dotyk jej palców kołował ból. Potem ujęła go za rękę i Jeremy poczuł, że ziemia umyka mu spod stóp. Już nie stali, ale szybowali ponad równiną, jak we śnie.

Wiatr ustał. Wysoko w górze chmury rozstały się, przepuszczając różowawą zorzę.

Wzlatywali coraz szybciej przez przestwór pełen krzyków i jęków, ku światłu.

# Artysta

Ciepły wiatr pachnie czerwcem i rzeczną wodą. Zamieniam pędzel na cieńszy, a karmin na cynober.

Płomienie ogarniają Hougoumont.

Wokół mnie roją się turyści z japońskiej wycieczki – przystanęli, żeby sfotografować rzekę i bulwar. Kilku zatrzymuje się przy stojaku z gotowymi obrazkami. Jeden po angielsku pyta o cenę.

– Dziesięć euro – odpowiadam. – Tyle, ile jest napisane.

Japończyk waha się, potem wyjmuje saszetkę. Odlicza pieniądze i zabiera zbombardowaną Kolonię – osmalone ruiny dworca z ciemną bryłą katedry w tle.

Patrzę na karton, potem na paletę. Oceniam krytycznie – brąz, pomarańcz czy czerwień?

Ognia musi być więcej. Było go więcej. Płonął dwór i lasek wokół niego, a w tle ryczały działa, choć ich huk już zatarł się w mojej pamięci – nie umiem odtworzyć, jak brzmiał. Pamiętam tylko, że był.

Krótkimi uderzeniami pędzla pokrywam chmury odbłaskami pożaru.

Kiedy unoszę wzrok, widzę obrazek jak z pocztówki – błękit nieba i domy z charakterystycznym wzorem krzyżujących się czarnych belek na tle białego tynku. Nieco dalej – migocząca rzeka i sunący po niej leniwie stateczek. Łabędzie, budka z lodami. W cieniu wierzb przy kawiarnianych stolikach rozbrzmiewają rozmowy i śmiechy.

Słońce razi mnie w oczy, więc zsuwam kapelusz na czoło, żeby rondo osłoniło twarz.

Płuczę pędzel, a po namyśle wyciskam na paletę więcej pomarańczowej farby i wznawiam pracę.

\*\*\*

Pytasz, czy jestem Anglikiem? Tak i nie. Pochodzę z Walii. A ty jesteś Holenderką, nawet nie muszę pytać, widzę flagę na identyfikatorze.

Petra Koopmans. Nieładne nazwisko, kojarzące się z krępa chłopką w drewniakach. Ale tego ci oczywiście nie powiem.

Masz dwanaście, może trzynaście lat i błękitne, ciekawe świata oczy. Dopiero teraz zauważam, że na skwerze kręci się więcej młodzieży z takimi samymi identyfikatorami na niebiesko-żółtych tasiemkach. Jakaś wycieczka, może z programu wymiany między szkołami.

Co robię, pytasz. Jak to co? Maluję obrazki. To tak samo dobry pomysł na życie jak każdy inny.

Tak, to wszystko moje prace.

A to? To Waterloo.

Cofnij się o kilka kroków, wtedy te pomarańczowe i żółte plamy ułożą się w zarysy płonącego dworku Hougoumont.

Byłem tam. Pamiętam armaty i kirasjerów w obłokach dymu. Pamiętam, jak niewiele brakowało, by Francuzi zwyciężyli.

Uśmiechasz się z nagłym zrozumieniem i współczuciem, a potem pytasz, czy coś mi kupić. Kanapkę? A może chociaż ciastko?

Kup obrazek, odpowiadam, mrużąc oko.

Czy mam gdzie mieszkać? Przytakuję i widzę ulgę w twoich oczach – uwierzyłaś. Nie wyglądam jak bezdomny. A właściwie czemu miałbym? Nocą można się umyć w jednej z wielu fontann, a na przedmieściach znaleźć pralnię z pralkami na monety.

– Pet-raaa!

Śniada kobieta w koszulce z flagą Europy woła cię ostrym tonem, zaniepokojona, że ze mną rozmawiasz. Rzucasz ostatecznie spojrzenie na obrazki i posłusznie do niej biegniesz.

\*\*\*

Słońce zniża się. Niebo i światło nabrały czerwonych tonów.

Skwer tonie w cieniu. Od strony kawiarni dobiega gwar, szcęk sztuców. Pod budką z lodami młodzi Turcy palą papierosy.

Zamykam pudełko z farbami. Niedługo zacznę składać obrazki do teczki, ale jeszcze nie teraz.

Wieczór jest pogodny, na bulwarze pełno spacerujących turystów.

Nie mija dziesięć minut, a przed stojakiem zatrzymuje się dwóch mężczyzn i dziewczyna. Rozpoznaję język, którym mówią – to Polacy.

Jeden z mężczyzn, wysoki i łysiejący, łamanym francuskim pyta, co przedstawiają obrazki. Wtrąca angielskie słowa, więc odpowiadam mu w tym samym języku. Wtedy i dziewczyna włącza się do rozmowy. Mówi płynną angielszczyzną, prawie bez akcentu. Ma słowiańskie kości policzkowe i długie jasne włosy.

Tak, to Warszawa. Spalone ruiny z czterdziestego czwartego.

A to oblężony, konający Leningrad – zrujnowany Prospekt Newski, łuna wybuchów barwiąca śnieg. Jasnowłosa Polka po krótkim wahaniu kupuje Leningrad.

Chowam monety do kieszeni; tamci odchodzą. Nagle podnoszę głowę, bo mam wrażenie, że rozpoznałem twój głos.

Wracasz bulwarem od strony przystani dla statków. Wracacie wszyscy – roześmiane dzieciaki różnych narodowości, opiekunowie w koszulkach z flagą Europy.

Tamci skręcają w uliczkę prowadzącą w stronę centrum, ale ty szybkim krokiem podchodzisz do mnie. Zostawiasz na murku papierową torebkę i odbiegasz, żeby dogonić grupę.

Zaglądam do środka. W torebce jest razowa bułka z wędliną, pomidorem i majonezem oraz tekturowe opakowanie frytek.

– Hej, Gaston! – wołam niegłośno.

Drzemiący na pobliskiej ławce pijaczek w brudnych, wyświechtanych ciuchach otwiera oczy, ospale odgarnia z twarzy sfilcowane siwe kosmyki. Wołam go ponownie, wtedy wstaje i podchodzi, kulejąc.

Pytam go, czy chce kolację. Kiwa głową i zabiera torebkę, nie dziękując.

\*\*\*

W zaułku niedaleko katedry jest restauracja. Jedna z wielu. Płyne z niej zapach placków ziemniaczanych i mięsa z sosem.

W doniczkach podwieszonych pod balustradką otaczającą ogródek piwny kwitną fioletowe petunie. Obok stoi tablica z wypisanymi kredą nazwami potraw.

Nigdy nie lubiłem ciężkiej alzackiej kuchni.

Na tyłach budynku, w wąskiej przestrzeni między murami dwóch kamienic leżą papiery, plastikowe worki i gnijące resztki jedzenia. Nasłuchuję chwilę i słyszę szelest.

Spasiony szczur gmera w odpadkach. Zaczyna obgryzać kawałek bagietki. Szepczę do niego, wtedy zastyga w bezruchu.

Łapię go błyskawicznie i skręcam mu kark, potem piję ciepłą krew. Rozrywam mu brzuch i wyrzucam wnętrzności, resztę mięsa zjadam. Kruszę kostki zębami i wysysam z nich szpik.

\*\*\*

Na nieczynnym o tej porze tarasie widokowym katedry poniewierają się śmieci zostawione tu przez turystów. W dole – morze dachów, powoli tonące w zmierzchu. Wśród chmur żeglują księżyc w pełni, mój stary przyjaciel.

Czuję głód. Szczur był dobry, ale na przystawkę.

Przechylałam się przez balustradę, pozwalając, żeby wiatr zmierzwił mi włosy.

Pamiętam Waterloo. Pamiętam też wiele innych miejsc i zdarzeń. Śmierzące chlorem mgły pod Ypres, błota Passchendaele. Płonące przedmieścia Londynu podczas nalotów wczesną jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. A sto pięćdziesiąt lat wcześniej – wrzask tłumów i głuchy stuk gilotyny na paryskim placu.

W dole Strasburg cicho szumi odgłosami aut, stłumionym życiem wieczoru. Nie mam złudzeń, Petro. Pewnego dnia – może będziesz wtedy już starą kobietą, może zobaczą to dopiero wnuki twoich wnuków – historia zatoczy krąg i Strasburg także stanie w ogniu, runą domy, runie katedra. A później ja na jakimś innym skwerze nad rzeką namaluję obrazek i nadam mu tytuł.

Jestem artystą. Od kilkuset lat. To tak samo dobry pomysł na życie jak każdy inny.

A nocami poluję. Zazwyczaj za miastem – tak jest bezpieczniej. Zresztą dość często zmieniam miejsce pobytu, na tyle często, by policja nie interesowała się mną.

Czasem tylko zdarza się, że rozpoznam jakąś twarz na plakatach ze zdjęciami zaginionych.

W pobliżu rozlega się piskliwy krzyk ptaka. Przypominam sobie błękitne żyłki pod twoją cienką skórą i żałuję, że nie było mi dane cię skosztować, mała Holenderko. Ciekawe, czy smakowałabyś mlekiem? Francuzki mają posmak cebuli – a może to tylko moja wyobraźnia.

Rozpościeram skrzydła i szybuję z wiatrem ku rozświetlonym srebrzyście obłokom.

# Chleb i krew

Uliczki i zaułki piekielnego miasta Chalal jak zwykle spowijała mgła.

Od strony przystani dobiegały nawoływania robotników rozładowujących galerę z dziobem rzeźbionym w kształt rybopodobnej poczwary. Od czasu do czasu silniejszy podmuch wiatru przynosił dławiący smród padliny. Natalia mogła jedynie zgadywać, co znajduje się w drewnianych skrzyniach, których setki i tysiące przyływały transportami z krainy Lewiatana. Skrzynie ładowano na wozy zaprzężone w woły i wywożono dokądś brukowaną drogą prowadzącą za bramy, a potem dalej, we mgłę.

Chalal, portowe miasto nad Morzem Płaczu, stanowiło punkt na skrzyżowaniu szlaków. Zbiegało się tu wiele dróg. Tych widzialnych i tych rozumianych symbolicznie. Przez ulice i tawerny przewijała się niezliczona liczba istot. Potępieńcy, demony, miszlingi, stworzenia z krainy snów, tajemnicze monstra z najgłębszych zakątków piekieł oraz cienie o zapomnianej tożsamości. Trafiali tu, ściągnięci przez wyrok niebios lub przygnani przez ślepe fatum. Chalal wchłaniało ich niczym wieloryb wsysający morską wodę. A później wypluwało.

Natalia szczelniej owinęła się płaszczem dla ochrony przed przenikliwym chłodem. Patrzyła, jak wychudzone, obdarte dusze szarpią się z kolejnym wozem. Pilnujący ich nadzorca od stóp do głów zakuty był w ciemną zbroję z metalicznym zielonym połyskiem. Obracał w rękę bat i strzelał nim w powietrzu nad głowami robotników, patrząc z zadowoleniem, jak ci za każdym razem podrywają się nerwowo.

Nie współczuła im. Praca podła, ale kara relatywnie lekka. Zresztą – jak wiedział każdy na dole – wyroki wydawał sprawiedliwy sędzia.

Spukk, imp przydzielony jej przez Afzala w charakterze obstawy – stwór wyglądający jak skrzyżowanie indyka z małym czarnym krokodylem – choć zwykle gadatliwy, tego ranka nie był w nastroju, żeby zabawiać ją rozmową. Leżał z pyskiem wspartym na łapach, leniwie śledząc przechodniów.

Nagle uniósł łeb i ostrzegawczo zagulgotał. Ulicą nadchodziła kobieta o rozczochranych, pozlepianych siwych włosach. Ubrana w łachmany, poruszała się chwiejnie. Widać było, że najwyżej tydzień dzieli ją od zostania szarą.

Wyciągnęła do Natalii kościste ręce.

– Błagam, daj mi fiolkę krwi. Tylko jedną. Zapłacę jutro... przysięgam...

– Nie.

– Chociaż kropelkę! – zawyła kobieta. – Chociaż jedną kroplę, ty dziwko!

Zamierzyła się pięścią, ale Spukk, czujny jak zawsze, z trzepotem i krakaniem skoczył do jej kolan, wczepił się w odzienie.

– Zostaw – rozkazała handlarka. Imp niechętnie puścił potępioną, która splunęła dziewczynie pod nogi.

Oboje patrzyli, jak odchodzi, powłócząc nogami, póki nie zniknęła we mgłę.

– Nie zobaczymy jej już – stwierdził pogardliwie Spukk.

\*\*\*

W izdebce na poddaszu tynk łuszczył się ze ścian, deski podłogi skrzypiały przy każdym stąpieniu. Leżąca na zniszczonym tapczanie suknia z kremowego jedwabiu uderzająco kontrastowała z podłym wnętrzem.

W kuchni Spukk, ciamkając, pożerał cuchnące ochłapy mięsa, nabyte na ulicznym straganie. Natalia zrzuciła ubranie i umyła się pospiesznie gąbką maczaną w misce.

Za oknem przepłynęło kilka szarych sylwetek. Porwane wiatrem, uniosły się i zawirowały jak suche liście, zanim zniknęły za linią dachów.

Dziewczyna wytarła się starym ręcznikiem i sięgnęła po suknię. Zakładając ją, z dreszczem zauważyła, jak bardzo schudła w ostatnich dniach.

Rozczesała włosy i podpięła je złotymi spinkami w kształcie skarabeuszy, które dostała kilka tygodni wcześniej w prezencie od Afzala. Potem zdjęła z półki rzeźbioną skrzynkę z kosmetykami – kolejny upominek od opiekuna. Przedmiot należał pierwotnie do jakiejś kurtyzany ze starożytnej Grecji, a może Rzymu.

Natalia umalowała się starannie, tak jak Afzal lubił. Karminowe usta, policzki muśnięte różem, oczy przedłużone ciemnymi kreskami.

Skończywszy, raz jeszcze krytycznie oceniła w lusterku dzieło swoich rąk. Następnie wyjęła ze skrzynki lufkę i zamszowy woreczek przewiązany spłowiałą wstążką. Rozwiązała go i wysypała na lusterko działkę białego proszku.

\*\*\*

Gdy szła brudnymi uliczkami do willi Afzala, brzydota Chalal już nie wydawała jej się tak przytłaczająca. Narkotyk ogrzewał ją od środka, powlekał wszystko delikatną, mieniącą się tęczową mgiełką.

Natalia przecięła placyk, gdzie rozbrzmiewał cichy plusk fontanny. Woda ciurkała z pyska zaśniedziałej świni z brązu, spływając do sadzawki, wokół której skrzeczały podobne do gołębi latańce. Co jakiś czas odpędzały się wzajemnie ze złością i któryś, trzepocząc, wzbijał się w górę tylko po to, żeby po chwili znów włączyć się do przepychanek w grupie.

Pod ścianą najbliższego budynku rosły wielkie kwiaty, których barwa przywodziła na myśl surowe mięso. Kawałek dalej wznosił się kamienny łuk pokryty na wpół zatartymi hieroglifami.

W szarówce rozległ się brzęk rozbijanej butelki. Natalia drgnęła, kiedy z cienia pod łukiem wyłonił się chwiejnym krokiem mężczyzna w obszarpanym wojskowym mundurze. Na jej widok wyprostował się, jakby częściowo trzeźwiejąc.

– Hej, Suzy, nie sądziłem, że cię tu spotkam – wychrypiał. – Pamiętasz tamten dancing w Kairze? Gdybym wiedział, nie pakowałbym się w ten cały cyrk z bronią, nie zastrzeliłbym Martiego... Gdybym tylko, kurwa, wiedział...

Wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć, ale Natalia cofnęła się. Mężczyzna stracił równowagę i osunął się na ścianę.

– Chryste, kurwa, gdybym wiedział – powtórzył cicho. Jego twarz już ciemniała w oczach, rysy rozlewały się. Po chwili jego ciało rozsypało się w proch. Znad szczątków uniosła się sylwetka podobna do smugi dymu i uleciała w niebo. Natalia obserwowała to jak zahipnotyzowana. Skrzeczenie latańców przywróciło ją do rzeczywistości. Otrząsnęła się i poszła dalej.

Willi Afzala kryła się za wysokim murem, zza którego było widać tylko czubki palm w ogrodzie. Furty strzegli strażnicy o małpich obliczach, w rynsztunku rodem z bliżej niesprecyzowanej starożytności. Zastąpili Natalii drogę, ale cofnęli się, gdy pokazała im swój glejt: onyksową gemmę z wizerunkiem koziorożca.

\*\*\*

Na szylkretowym blacie stolika stało to co zwykle. Otwarta kasetka pełna szklanych fiolek, karafka wina



i dwa kryształowe puchary. Afzal siedział na pokrytej ałtasem sofie. Złożone skrzydła okrywały go jak peleryna. Złote hafty na szkarłatnej szacie migotały w blasku świateł.

Był piękny na swój sposób. Smukły, o lśniących czarnych włosach i twarzy niczym alabastrowa rzeźba. Rubinowe lampki jego źrenic wskazywały na domieszkę krwi iblisów.

Natalia zgodnie z etykietą złożyła przed nim niski, ceremonialny ukłon.

– Stajesz się bledsza – zauważył demon. Wytrząsnął zawartość jednej z fiolek do pucharu i poruszył nim, żeby mieszać płyny, potem wręczył jej naczynie. – Pij.

Choć wino było słodkie, dziewczyna i tak mogła w nim wyczuć słoń, podobną do rdzy nutę. Kiedyś brzydziła się tego napoju, lecz teraz już nie. Chciwie opróżniła puchar.

Afzal patrzył na nią, mrużąc ślepie.

– Chodź – odezwał się, gdy odstawiła naczynie na stół.

Umiał być delikatny, kiedy chciał. I nie budził wstrętu, bynajmniej. Skórę miał aksamitną i gorącą; pachniał piżmem, mirrą, żywicą.

Gdy powoli zsunął z niej suknię, Natalia jak zwykle poczuła przypływ pożądania tak potężny, że wszystko inne przestało się liczyć. Przywarła do demona, śmiejąc się nieswoim, schrypniętym głosem.

Rozwiązał szatę i rozpostarł skrzydła, które wypełniły komnatę jak wielki cień.

– Chodź – powtórzył, już szeptem. Świat jak zwykle zawęził się do jego ciała, gorączkowego oddechu, rytmicznych ruchów, dostrojonych do jej pragnienia.

Przytomniała z twarzą wtuloną w jego ramię, oszołomiona jego zapachem, wciąż jeszcze rozdygotana od rozkoszy, wygasającej pomału jak opadająca ciepła fala.

Afzal końcem pazura zadrasnął ją pod obojczykiem i zlizął krew.

– Smakujesz jak dym. – Uśmiechnął się, a w jego oczach błysnęło coś okrutnego. – Tobie też nie zostało zbyt wiele czasu.

\*\*\*

Z tawern rozmieszczonych wokół rynku dobiegały śmiechy i muzyka. Natalia ominęła leżące w rynsztoku ciało z krwawą, wyszarpaną dziurą pośrodku klatki piersiowej.

– Smacznego, Bakr – rzuciła w stronę tłustego baalmona, który przykucnął pod ścianą budynku, ogryzając zebro. Demon skinął jej nieforemnym łbem, ni to krowim, ni wielbłądzim, nie przestając mlaskać.

Pod bazaltowym posągiem Sprawiedliwości jak zwykle siedział na swoim wózku Krosta, za życia ponoć właściciel sieci luksusowych domów publicznych, choć może była to tylko plotka. Jedni twierdzili, że stracił nogi wskutek cukrzycy, inni, że po pijanemu wjechał sportowym autem pod pociąg.

Rozmawiał właśnie z jakimś chłopakiem w czarnej skórzanej kurtce. Na widok Natalii wyszczerzył w uśmiechu połamane zęby. Śmierdział tak, że niemal widziało się ten fetor, otaczający go brązową, zgniłą mgłą.

– Gdzie Spukk? – spytał.

– Załatwia nową dostawę.

– Ale masz dzisiaj towar?

– A masz czym zapłacić? – odpowiedziała pytaniem.

– Mowa. Akurat tak się składa, że jestem przy forsie, ślicznotko.

– No i świetnie. Ile chcesz?

– Daj dwie i kromeczkę. – Wygrzebał z kieszeni złachmanionej kufajki cztery poczerńiałe srebrne monety. – Kłaniaj się ode mnie Afzalowi.

Natalia podała mu fiołki oraz cienką kromkę owiniętą w wysuszone liście papirusu i tłumiąc

obrzydzenie, zgarnęła pieniądze. Krosta natychmiast rozwinął chleb, wepchnął go do ust i połknął, prawie nie żując. Odkorkował obie buteleczki i łąpczywie wypił ich zawartość, po czym zaniósł się obrzydliwym, gruźliczym kaszlem. Chłopak obserwował całe zajście z ciekawością.

– Co ty sprzedajesz? – spytał. Natalia popatrzyła na niego trochę pogardliwie, a trochę zaintrygowana jego naiwnym zainteresowaniem.

– Nowy w Chalal?

Skinął głową i odgarnął z czoła opadające strąki włosów. Był niemal równie zaniedbany co Krosta, a poza tym wyglądał na chorego – twarz miał ziemistą, oczy podkrążone.

– To prawdziwy ziemski chleb, szmuglowany tu przez barierę zaświatów, i prawdziwa zwierzęca krew – odezwał się kaleka, łapiąc oddech. – Dodają nam sił. Bez tego zszarzejesz po paru dniach i dołączysz do nich. – Wskazał grupkę cieni, które przepłynęły nad dachem najbliższej kamienicy.

– Dokąd oni odlatują?

– Tego nikt nie wie – wtrąciła się Natalia. – Ale nie do raju, tego możesz być pewien. Zresztą po cholere zaprztać sobie tym głowę.

Chłopak patrzył na nią ciemnymi oczami, które wydawały się uderzająco bystre i przytomne jak na Chalal, a zarazem bezdennie smutne.

– Za co tu jesteś? – spytał nieoczekiwanie.

– Nie pamiętam – skłamała.

W jej głowie znowu pojawiły się nieproszone wspomnienia, jak śmieci wypływające na powierzchnię wody. *Aśka z rozmazanym makijażem. Banknoty na podłodze. Rewizja osobista na komendzie, policjantka w gumowych rękawiczkach, fałszywie, profesjonalnie uprzejma.*

Po co teraz o tym myśleć. Niczego już się nie zmieni. Chalal, a potem ciemność.

– Cholera... – jęknął nagle Krosta, blednąc pod warstwą brudu. – Patrzcie, kto idzie.

Natalia spojrzała we wskazanym kierunku i poczuła rozlewający się po ciele chłód – euforia wywołana białym proszkiem stopniała bez śladu.

Z bocznej uliczki wyłoniły się trzy demony w ryszunku wojowników. Szli niespiesznie, rozglądając się, pobrzękując kolczugami i bronią, którą byli obwieszani. Jeden miał oblicze pantery, drugi – hieny; trzeci, o ciemnosinej skórze i krwawych oczach, nosił wokół szyi wieniec z obciętych ludzkich rąk.

– Kim oni są? – spytał chłopak. Natalia uciszyła go syknięciem i pociągnęła w głąb najbliższej bramy, ignorując błagalny jęk Krosty, który pozostał na miejscu, bo i tak nie dałby rady dostatecznie szybko odjechać wózkiem.

Demon z głową pantery wyjął z kieszeni nieduży czarny przedmiot. Rozległ się grzechot, a potem cichy stuk. Po bruku potoczyły się kości do gry.

Ten w wieńcu z obciętych rąk pozbierał je, po czym szepnął coś do kompanów. Zarechotali z aprobatą.

Podeszli do Krosty, który zamarł, patrząc na nich z rozdziawionymi ustami.

– Graliśmy o twoje oczy, śmierdzielu – zasyczał ten z głową hieny.

Chłopak w skórzanej kurtce nieoczekiwanie strząsnął z siebie rękę Natalii i wyszedł z powrotem na rynek. Stał przed demonami z determinacją, jaką może mieć bohater, pijak albo idiota.

– Weźcie moje.

Natalia zacisnęła powieki, żeby nie widzieć tego, co za chwilę się rozegra. W jej wyostrzone narkotykiem zmysły wdarł się krzyk, jak uderzenie bicia.

\*\*\*

– Na pewno liczył, że wykupi się tym od kary – parsknął Spuk, sadowiac się wygodniej w starym fotelu.

– Naiwność ludzka nie ma granic.

Natalia w milczeniu patrzyła w okno, na ciemniejące niebo, nadpływające od morza chmury oraz gnane wiatrem sylwetki, ulatujące w nicość.

Przed jej oczami przesuwały się wspomnienia.

W zasadzie to od Baczka zaczęło się tak naprawdę. Wcześniej paliła gandzię, łykała kwas i środki uspokajające, ale Baczek wprowadził ją poziom wyżej. Lubił eksperymenty. Razem wymyślili, żeby mieszać tanią słowacką metamfetaminę z LSD i jakimiś prochami na epilepsję, które Baczek kołował przez kuzyna farmaceutę. Nazywał tę mieszankę fajerbolem. Czysty odpał, nie spało się po tym przez pięć dni. Sprzedali pomysł dalej. Baczek namówił znajomego dilerę i we trójkę rozkręcili interes. Fajerbol dobrze się sprzedawał, a wśród ludzi chodziły zabawne historie. Kiedyś Aśka i Ruda troszkę przesadziły, fajerbol kiepsko mieszał się z wódką. Wysypały przez okno zawartość szuflady z bielizną, później tańczyły nago na ulicy i ledwie zdążyły uciec, kiedy ktoś z sąsiadów zadzwonił po policję.

Potem Baczek wylądował w szpitalu. Wypadek na motocyklu, bo zaćpany założył się o coś tam, że coś tam, ale nie miał refleksu jak James Bond i rozwalił się na słupie latarni. A jeszcze później był tamten Sylwester, impreza w willi rodziców Rudej, która skończyła się, zanim jeszcze na dobre się zaczęła. Aśka z rozmazanym makijażem, lejąca się przez ręce. Nie mogli jej docucić i w końcu ktoś zadzwonił po pogotowie, ale za późno.

Potem były jeszcze inne zdarzenia, które pamięć Natalii przechowała tylko we fragmentach. Poszarpane obrazy, jak kartki wydarte z brulionu. Policja, przeszukanie, rozsypane na podłodze banknoty i plastikowe woreczki. Seledynowe ściany w szpitalu, a może w więzieniu. Dentysta, który bez znieczulenia usunął jej pięć zębów, tak zniszczonych, że kruszyły się w palcach.

Pierwsza noc na wolności w starym mieszkaniu Baczka. Powiedział jej ze śmiechem, że od wypadku ma ksywę Picasso, i podciągnął koszulkę, żeby pokazać blizny na brzuchu.

Dwie działki na talerzyku. Proszek był inny niż powinien, brązowawy. Śmiali się, że może dostawca wymieszał speed z trutką na szczury.

Natalia pierwsza napełniła lufkę kryształkami i pstryknęła zapalniczką.

Uderzenie gorąca i czarne płatki przed oczami, smak chemii i żółci w gardle. Nie pamiętała, czy Baczek odważył się wezwać karetkę. Zresztą nie było to ważne.

Wstała gwałtownie i sięgnęła po płaszcz.

– Hola, a ty dokąd? – Imp podniósł łeb.

– Wychodzę.

– O tej porze?

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy, chociaż przysięgała sobie, że nie będzie płakać.

– Odchodzę z Chalal, Spukk. Żegnaj, nie zobaczymy się już.

– Co ty planujesz, dziewczyno? – powtórzył imp, teraz wystraszony nie na żarty. – Stąd nie można uciec, przecież wiesz!

– Ależ można. – Kącik ust Natalii drgnął w gorzkim uśmiechu.

– Zaraz, ty zamierzasz... – Ślepie stwora rozszerzyły się. – Na Lilith! Nie rób tego! Nie zostawiaj mnie!

– Spukk, ty jesteś stąd, poradzisz sobie. – Otarła oczy. – Pieniądze i towar są w skrytce pod progiem. Dogadaj się z Afzalem, może pozwoli, żebyś przejął po mnie biznes.

– Nie uda ci się – stwierdził Spukk. Jego pysk przybrał złośliwy wyraz. – Przecież ty się boisz bólu.

*Cholera, on ma rację* – pomyślała z dreszczem. A potem przypomniała sobie, że w skrzynce z kosmetykami ma coś, co ułatwi sprawę.

Wysypała działkę na lusterko, wprawnie uformowała z białego proszku ścieżkę i pochyliła się z lufką.

Znajomy, piekący niuch, potem uderzenie euforii, jaskrawej jak fajerwerk.

Kokaina znieczula.

– Zastanów się – poprosił raz jeszcze imp, cicho, wręcz nieśmiało. Wyciągnął łapę, żeby dotknąć jej ręki, ale Natalia wyrwała się.

– Zostaw mnie!

Cofnął się. Dziewczyna wytarła nadgarstkiem krople krwi, które spłynęły jej z nosa. W obawie, że jeśli będzie się dłużej wahać, stchórzy, szybko wybiegła na ulicę, czując, jak w jej oczach znów wzbiera paląca wilgoć.

Chalal nigdy jeszcze nie wydawało się jej równie ohydne. Wstrzymując oddech, szła przez śmierdzące zaułki, mijając żebraków i kaleki, ignorując zaczepki podpitych demonów.

*Już niedługo.*

\*\*\*

Świtało, kiedy ich odnalazła w tawernie na skraju portowej dzielnicy – kawałek dalej było już nadbrzeże, niknące we mgle.

W mrocznym wnętrzu cuchnęło. Dwa impy spały pod stołem w kałuży rozlanego wina, trzeci śpiewał sprośną piosenkę, wymachując do taktu kością. Pod ścianą kiwała się pijana w sztok panienka o ufarbowanych na czerwono, nastroszonych włosach, ubrana w różową sukienkę i siatkowe pończochy. Obok baalmon z trzema złotymi kolczykami w zwisającej wardze pożerał z misy coś pokrytego kłębiącymi się larwami.

Tamci trzej siedzieli w kącie, blisko baru. Od ich stolika raz po raz dobiegał stukot toczących się kości. W pewnej chwili gra urwała się i w tawernie zrobiło się bardzo cicho.

Trzej wojownicy wstali i podeszli do czerwonowłosej. Ta popatrzyła na nich nagle otrzeźwiałym, a zarazem boleśnie oszołomionym wzrokiem. Jak sarna w blasku samochodowych świateł.

– Graliśmy o twoje serce – oznajmił ten w wieńcu z uciętych rąk.

Natalia wstała i podeszła do nich, przeciskając się między stołami. Miała wrażenie, że czas zwolnił bieg, a sekundy rozciągają się niczym lepki syrop.

– Weźcie moje – powiedziała, starając się, by głos jak najmniej jej drżał.

# Dwa księżyce

Wypadek wydarzył się mniej niż godzinę wcześniej; w chłodnym wieczornym powietrzu nadal czuć było spaleniznę. Rafael Alvaro de Cardenas, zwany El Claro, nienawidził tego zapachu.

Dla tych, którzy mogliby go zobaczyć, alchemik był szczupłym mężczyzną o długich, związanych z tyłu czarnych włosach i cerze jak pergamin. Ciemna peleryna z kapturem łopotała za nim na wietrze.

Zawisł na wysokości czubków drzew, oceniając sytuację. Wszystko wyglądało z grubsza tak, jak się spodziewał. Skrzyżowanie blokowały dwa samochody – jeden ze zmiądzonym przodem, drugi spalony tak, że nie sposób było rozpoznać jego marki. Teren odgrodzono żółtą taśmą, a w pobliżu stał wóz policyjny z migającym kogutem. Na chodniku, w pewnej odległości, zebrał się tłumek ciekawskich, dziennikarz lokalnej telewizji coś mówił do kamery.

Niewidzialny dla policjantów, reporterów oraz gapiów, El Claro spłynął na jezdnię tuż za żółtą taśmą i ukląkł koło spalonego wraku.

Echa krzyków wybuchły w jego głowie jak biały fosfor.

Odczekawszy, aż umilkną, zebrał z asfaltu do fiolki nieco popiołu, starannie ją zakorkował i schował w zanadrze. Gdy mijał ekipę telewizyjną, wciąż filmujący miejsce wypadku kamerzysta zaklął, bo obraz na chwilę przesłoniły linie zakłóceń.

\*\*\*

Od strony centrum miasta dolatywał słumiony szum samochodów. Z lotu ptaka w tak pogodną noc z daleka rzucał się w oczy charakterystyczny układ świateł wokół lądowiska dla helikopterów. Woda ze spryskiwaczy z sykiem spadała na zadbane trawniki przed wysokim, nowoczesnym budynkiem, w którym mieściła się niedawno oddana do użytku klinika dziecięca.

Postać w ciemnej pelerynie bezszelestnie przepłynęła przez oszklone drzwi, by zatrzymać się w obszernym, wyłożonym jasnoszarymi płytkami holu kliniki. Drzemiący portier w ogóle nie zarejestrował obecności przybysza.

Mimo mroku oczy Rafaela nie miały żadnego problemu z odcyfrowaniem napisów na tabliczkach. Bardziej szybując niż idąc przez pogrążone w ciszy korytarze, alchemik odnalazł oddział chirurgii.

To był jeden z tych przyjaznych małym pacjentom szpitali, gdzie pielęgniarki noszą różowe fartuchy zamiast białych, a ściany są pomalowane w kwiaty i biedronki. Zaraz za drzwiami sali poniewierały się wysypane z pudełka klocki lego. Przez szerokie na całą ścianę okno widać było parking, zalany blaskiem lamp sodowych.

Stały tu tylko cztery łóżka. Na pierwszym spała dziewczynka z obandażowaną głową, dwa kolejne były puste.

Na łóżku pod oknem, pod skłębioną kołdrą leżał chłopiec, na oko siedmio- lub ośmioletni, z nogą w gipsie. Oddychał płytko, a jego skóra była blada i spocona – leki przeciwbólowe przestawały działać. W zasięgu ręki miał guzik wzywający pielęgniarkę, ale bał się albo wstydził go nacisnąć.

Szyję chłopca unieruchamiał specjalny kołnierz. Drobne oparzenia na twarzy i rękach nie wymagały opatrunku; posmarowano je maścią. Z medycznego punktu widzenia miał bardzo dużo szczęścia – siedział przy drzwiach, które w momencie zderzenia otwały się, i wypchnięty siłą eksplozji z samochodu odniósł stosunkowo nieduże obrażenia.

Ponieważ odzyskał przytomność dopiero w szpitalu, nie wiedział, co się stało z jego rodzicami i

siostrą. Obolały i przestraszony, nie mógł przestać o nich myśleć. Pielęgniarka powiedziała mu tylko, że lekarze zajmują się mamą i żeby się nie martwił.

El Claro, który znał prawdę, powiedziałby ją dziecku, gdyby mógł, ale nie leżało to w jego gestii. Zajmie się tym lekarz albo psycholog dziecięcy, za kilka dni, gdy będzie można lepiej ocenić, jakie szanse na przeżycie ma matka chłopca. Dla pozostałych członków rodziny nie dało się zrobić nic.

Zmusił się, żeby nie myśleć o tym, co go nie dotyczyło, i pochylił się nad łóżkiem, aby zebrać do fiolki z popiołem kolejny cenny składnik – kilka łez.

Nie mogąc ani zobaczyć nieznanego, ani poczuć jego dotknięcia, chłopiec nie zareagował. Leżał bez ruchu, patrząc w ciemność, a myśli, które przebiegały przez jego głowę, były dużo gorsze od bólu złamanej nogi.

Alchemik zawahał się, po czym – choć nie należało to do jego obowiązków, a wręcz było sprzeczne z procedurami – wyjął puzderko z kości słoniowej i posypał powieki dziecka odrobiną proszku przypominającego piasek.

– Śpij – powiedział cicho.

Wychodząc, zerknął przez ramię. Proszek jeszcze nie zaczął działać; chłopiec nadal patrzył w przestrzeń szeroko otwartymi oczami.

\*\*\*

Nad skalistym pustkowiem, gdzie wznosił się dom alchemika, nigdy nie wiał wiatr, nie przelatywały ptaki. Siny księżyc wisiał nad ostrymi jak noże szczytami gór, lecz jego blask nie mógł się przedostać przez zaryglowane okiennice pracowni.

Zaciemnione pomieszczenie wypełniały gryzące, trujące opary – w trójnogu ustawionym pośrodku komnaty spalała się siarka, ulubione pożywienie duchów ognia. Na kamiennej posadzce widniał skomplikowany krąg, wyrysowany kredą i krwią.

W trójnogu wśród iskier i żaru wiła się istota podobna do czerwonego, miniaturowego smoka. To jej gorący oddech ogrzewał od dołu wykonaną z żaroodpornego szkła banię aparatu do destylacji, gdzie bulgotały wymieszane ze sobą tajemnicze substancje – kwasy, jady i pochodne metali. Chętnie zionęłaby płomieniami na alchemika, który ją uwięził, ale symbole kręgu wymuszały na niej posłuszeństwo.

El Claro, w szklanej masce i rękawicach ochronnych, uważnie obserwował przejrzysty jak woda płyn skraplający się wewnątrz mniejszego naczynia. Gdy uznał, że zebrało się go wystarczająco dużo, odczepił kolbę od chłodnicy i wytrząsnął do środka zdobytą w świecie żywych zawartość fiolki. Następnie zsunął rękawicę, srebrnym nożykiem skaleczył wnętrze dłoni i pozwolił, by kilka kropel krwi zmieszało się z parującą zawartością kolby.

\*\*\*

Błady i zmęczony do granic wyczerpania, lecz ubrany nienagannie, w eleganckim czarnym kaftanie i białej koszuli, alchemik wyszedł z portalu i zmrużył oczy, oślepiony jasnym światłem dnia. Stał na dziedzińcu przed olbrzymią marmurową budowlą w stylu antycznym.

Natychmiast został otoczony przez skrzydlatych strażników w pancerzach ze spiżu i hełmach na modłę grecką. Dzierżyli włócznie, a na ich napierśnikach i tarczach widniał symbol znany również na Ziemi – opleciony przez węże kaduceusz.

– Z czym przybywasz? – usłyszał.

– Niosę ratunek rannym w służbie Pana – odrzekł, pokazując torbę, z której wystawały szyjki butelek z lekarstwami. Nadal patrzyli na niego nieprzyjaźnie, ale cofnęli się, opuszczając broń.

– Przechodź.

W budowli mieścił się szpital, ale mający niewiele wspólnego z ziemskimi klinikami. Nie było tu elektronicznej aparatury, ból uśmierzano wywarami z maku, a zamiast antybiotyków stosowano zaklęcia podobne do tych, jakich używali magowie w starożytnym Egipcie, Babilonie i Grecji, lecz o wiele starsze i potężniejsze.

El Claro przeszedł przez uchylone wrota, by znaleźć się w zacienionym, chłodnym przedsionku, gdzie na ścianach wisiały odlewy dłoni, stóp i skrzydeł – wota dziękczynne pozostawione przez wyleczonych pacjentów. Rozejrzawszy się, skinieniem dłoni przywołał młodego adepta w białej szacie z podwójnym niebieskim szlakiem, niosącego naręczce bandaży.

– Czy wiesz, gdzie znaleźć panią Ianthe?

Przytaknąwszy, chłopiec poprowadził go schodami w górę, a potem szerokim korytarzem, pełnym spieszących się do swoich spraw adeptów i lekarzy, aż doszli do sali z oknami wychodzącymi na ogród, skąpany w złotym blasku zachodzącego słońca.

Na stole poniewierały się narzędzia i szarpie. Ianthe – lekarka z Koryntu, która nawróciła się na chrześcijaństwo i zginęła podczas prześladowań za któregoś z rzymskich cesarzy – myła ręce w misie. Jej białą szatę plamiła z przodu krew.

Na łóżku leżał anioł o osmalonych włosach, półnagi, w bandażach. Jego skrzydła były czarne – zwęglone do kości, ze sterczącymi gdzieniegdzie spalonymi resztkami piór.

El Claro wszedł, omijając rozstawione na posadzce miednice z poczerwieniałą wodą.

– Elixir ognia – rozkazała Ianthe, gdy tylko go zauważyła. – Z pozostałymi idź do Cyryła, druga sala w lewo.

Wręczył jej kryształową butelkę z przezroczystym płynem. Wzięła, ostentacyjnie uważając, by ich dłonie się nie zetknęły.

Alchemik skłonił się, posłuszny etykiecie. Gdy wychodził, na mgnienie oka napotkał spojrzenie rannego anioła. Była w nim litość i wyższość.

\*\*\*

Postęp cywilizacji niósł z sobą liczne korzyści – zarówno na ziemi, jak i w zaświatach.

Rafael zaparzył sobie mocną kawę z dodatkiem cynamonu i goździków. Z gzymsu kominka zdjął świecznik i zapalki. Wsunął do odtwarzacza płyte i wybrał trzecią ścieżkę. Zabrzmiała muzyka, z początku delikatna, lecz stopniowo coraz bardziej ponura.

Zarówno wieża, jak i płyty zostały zdobyte dzięki uprzejmości niejakiego Jana Adamowicza – obdarzonego parapsychicznymi zdolnościami polskiego znachora, który na mocy zawartego z Górą kontraktu trzy razy w roku dostarczał Rafaelowi zioła do eliksirów. Aby uniknąć ewentualnych kłopotów ze zwierzchnictwem, alchemik dopilnował, by Adamowicz wszystko kupił legalnie, acz dyskretnie – na dworcowym bazarze, wpierw spieniężywszy tamże nieco transmutowanego w Rafaelowej retorcie złota.

Zespół pochodził znad Wisły. Ale El Claro nosił nad sercem znak Bestii i gdy chciał, mówił wszystkimi językami Ziemi. Rozumiał każde słowo utworu.

*Na dnie sarkofagu noc,*

*Czarna suknia*

*Rozrzucam korale wspomnień...*<sup>8</sup>

Ze skrytki za obrazem, przedstawiającym Hypnosa trzymającego kwiat maku, wyjął rolkę folii aluminiowej, szklaną lufkę i plastikową torebkę pełną białego proszku. Akcesoria pochodziły z Ziemi, sam narkotyk rzecz jasna z pracowni Rafaela – fabrykowany wyłącznie na własny użytek, czysty i mocny

jak uderzenie gromu.

Za oknem, ponad skalistym pustkowiec, migotały zimne punkciki gwiazd.

*Daję ci moją łzę.*

El Claro zapalił świecę. Oddarł kawałek folii i z wprawą odmierzył nań działkę, po czym ostrożnie zaczął ją ogrzewać nad płomieniem, żeby móc przez lufkę wdychać uwalniające się opary.

Westchnął, gdy z dawna wyczekiwane ukojenie rozlało się po jego ciele jak płynna czekolada. Muzyka docierała teraz do jego uszu przyciszona, jak zza szyby.

*Okręt mój płynie dalej*

*Gdzieś tam...*

*Serce, choć popękane, chce bić.*

*Nie ma cię i nie było.*

*Jest noc.*

*Nie ma mnie i nie było.*

*Jest dzień.*

Gdy z działki nie zostało już nic, odłożył osmoloną folię i wyciągnął się wygodnie na sofie. Heroina otuliła go jak ciepły, bezpieczny kokon, lecz nie na długo.

Wizja jak zawsze przypląnęła bez ostrzeżenia. Otworzył oczy i ujrzał, że stoi pod rozpadającym się murem cmentarza. Gwiazdy przeświecały przez gałęzie sykomor.

Czując na karku chłodny powiew, El Claro odwrócił się i wstrzymał oddech.

Kobieta o czarnych włosach spłynęła z nieba w obłoku srebrzystej mgły, by opaść bezszelestnie na trawę, która pod jej stopami zwiędła i uschła. Rafaela zmroził strach, ale nie mógł się poruszyć, jedynie patrzeć, jak podchodzi – blada, z szelestem koronek.

Pogładziła go po twarzy lodowatymi palcami. I jak za każdym razem ujrzał, że jej oczodoły są puste, a suknia to w rzeczywistości całun.

Obudził się mokry od potu. Świece dopalały się, płyta dawno dobiegła końca. Alchemik popatrzył w okno i wzdrygnął się. Księżyc nad pustkowiec przybrał barwę krwi – znak, że go wzywano.

\*\*\*

Skazany na zamieszkiwanie w skalistej pustelni na krańcu zaświatów, opuszczając ją zawsze tylko na wyraźny rozkaz i na krótko, El Claro miał bardzo mgliste pojęcie o hierarchii i strukturze niebios. Wiedział jednak, że na usługach Góry jest wielu jemu podobnych – ludzi wiedzy z różnych epok, którzy raz jeden w życiu popełnili błąd, opowiadając się po niewłaściwej stronie. Nadzór nad nimi sprawowali kuratorzy; zazwyczaj byli to śmiertelnicy, zbawieni o nieposzlakowanej reputacji. Do ich obowiązków należało przekazywanie podopiecznemu rozkazów, pilnowanie, by ten należycie je wypełniał, a przede wszystkim obserwowanie, czy nie odzywają się w nim na nowo zgubne wpływy cienia.

W wyniku przedziwnego kaprysu niebios, kuratorem Rafaela został człowiek, który ani z magią, ani z nauką nigdy nie miał nic wspólnego, chyba żeby wziąć pod uwagę płomienne kazania przeciwko czarom i diabelskim sztukom. Z dwojga złego El Claro wolałby w tej roli rodaka, choćby i członka Inkwizycji.

Przekroczywszy próg, skłonił się sztywno i chrząknął, tłumiąc kaszel. Komnatę zasnuwał dym w takiej ilości, że w powietrzu można byłoby spokojnie zawiesić nie siekierę, a topór katowski.

Wielebny Joachim Hart uniósł głowę znad dokumentów, które akurat przeglądał, i popatrzył na



alchemika nieprzyjaźnie. Zmarszczył siwe brwi, widząc rozszerzone źrenice podwładnego tudzież lekkie drżenie rąk, skutki uboczne preparatu, za pomocą którego El Claro pospiesznie zniwelował odurzenie heroiną. Pastor nie pochwałał narkotyków, choć przecież nie mogły w żaden sposób zaszkodzić komuś, kto i tak był martwy od setek lat. O dziwo, tym razem darował sobie komentarze.

– Jesteś spóźniony – oznajmił jedynie, nie wyjmując z zębów fajki. – Kiedy otrzymałeś sygnał?

Rafael chciał odpowiedzieć szorstko, ale powstrzymał się, bo dotarło do niego, że nie są sami. Pod ścianą stała kobieta o ciemnych włosach spiętych w koński ogon, ubrana w czarny mundur przewiązany szkarłatną szarfą i wysokie buty. Zasadniczo do biur kuratorów nie wolno było wносить broni, ale jej to najwyraźniej nie dotyczyło – była uzbrojona w szpadę i dwa pistolety. Na prawej dłoni, tylko na prawej, miała czarną skórzaną rękawicę.

Odwrócona do nich bokiem, całą uwagę wydawała się poświęcać gobelinom zdobiącym komnatę, ale alchemik czuł, że obserwowawała go kątem oka. Zignorował to.

– Co się stało? – spytał rzeczowo.

– Zadanie specjalne, synu. Rozkazy z samej Góry.

Kobieta w czarnym mundurze oderwała wzrok od gobelinów. Popatrzyła na Harta wymownie i, jak się zdawało Rafaelowi, wyczekująco.

– To jest Sangre Veland, wojowniczką w służbie Szeolu. – Mówiąc to, pastor skrzywił się, jakby przełykał wyjątkowo niesmaczną żabę. – Sangre, wyjaśnij, o co chodzi.

– Namiestnik trzeciego kręgu Lape Zodire został zraniony przez zamachowca – odezwała się ciemnowłosa. Miała schrypnięty, prawie męski głos. – Jesteśmy na tropie winnego i wiemy dostatecznie dużo, żeby mieć pewność, że nie działał na zlecenie niebios. Niemniej, użył tego.

Wyjęła z żołnierskiej torby strzałę, jedną z tych, jakich używały niebiańskie oddziały specjalne. Rafael od razu rozpoznał specjalny, wydrążony grot. Wsączano weń medejon, truciznę sporządzaną z ziół w oparciu o prastary przepis z Kolchidy.

– Wszczęliśmy śledztwo – odezwał się wielebny Hart. – Ale nie musisz sobie tym zaprzętać głowy, Rafaelu, to nie twoja rzecz.

Alchemik uniósł brwi, ale nie zadał narzucającego się pytania, czekał.

– Nasi lekarze są bezsilni wobec medejonu – kontynuowała Sangre Veland. – Namiestnik jest w ciężkim stanie, niezdolny do sprawowania władzy, a w mieście już wszczynają się rozruchy. Jeśli szybko nie wróci do zdrowia, obalą go i osadzą w tej funkcji przywódcę któregoś z wrogich stronnictw.

– Co nie leży w interesie niebios – uzupełnił Hart. Zgarnął papiery, ułożył je w schludny stosik i odchylił się do tyłu na krześle, splatając palce w wieżyczkę. – Lape Zodire, cokolwiek by o nim nie mówić, zawsze był chętny do współpracy z nami. Ostatnia rzecz, jakiej chcemy, to żeby jego miejsce zajął jakiś dziki watażka, któremu tylko rozszarpywanie potępieńców w głowie. Rafaelu, wyruszysz niezwłocznie do Zoth Tenebra i udzielisz namiestnikowi pomocy. Sangre będzie ci towarzyszyć w drodze na Dół jako eskorta. Jakies pytania?

– Tylko jedno. Dlaczego ja?

Hart wzruszył ramionami. Zdawało się, że unika wzroku podwładnego.

– Wiesz więcej niż inni na temat relacji panujących na dole. Poza tym Ianthe wyraża się o tobie bardzo pochlebnie.

El Claro skłonił się ponownie, wiedząc, że nie kwestionuje się decyzji niebios. W głowie mu huczało. Podróż na Dół.

Z powrotem.

Musiał wyjąć chustkę, żeby osuszyć czoło. Ręce mu drżały. Czując na sobie uważne, nieco ironiczne spojrzenie wojowniczkę piekiel, opanował się jakoś.

– Mam przy sobie antidotum na medejon – powiedział. – Potrzebuję tylko współrzędnych, żeby otworzyć portal.

Sangre Veland potrzęsła głową.

– Pojedyncze zakłęcie nie wystarczy, za duża odległość. Ja się tym zajmę. Mam opracowaną trasę i przygotowane komponenty. – Nie czekając na odpowiedź, z kaletki przy pasie wyjęła szklaną flaszeczkę, której zawartość wyglądała jak zwykły popiół.

– O, nie! – powstrzymał ją Hart. – Nie tutaj. Na dziedzińcu, jeśli łaska.

\*\*\*

Decyzja pastora okazała się mądra, bo piekielne zakłęcie teleportacyjne różniło się znacząco od tych, które znał Rafael. Gdy Sangre cisnęła w wyrysowany na ziemi krąg szczyptę popiołu, rozległ się trzask, zaśmierdziało siarką i krąg wypełnił się huczącym ogniem.

– Panie przodem – odezwał się Hart, obserwujący wszystko z bezpiecznej odległości. Wzruszywszy ramionami, wojowniczką wstąpiła w płomień i zniknęła. Alchemik wziął głęboki oddech.

Przekroczywszy linię kręgu, poczuł uderzenie gorąca i świat zawirowało. Rafael stracił grunt pod nogami, a miejsce płomieni zajęła ciemność.

Gdy się ocknął, leżał na twardym podłożu. Niebo miało brudnorudą barwę, powietrze cuchnęło siarką i wydawało się naelektryzowane, jak przed burzą. Z oddali dobiegł przeciągły, niski grzmot, od którego ziemia zadrżała.

– Nic ci nie jest? – usłyszał niespokojny głos Sangre. – Niech to szlag! Rzuciło nas nie tam, gdzie trzeba.

Rafael dźwignął się na nogi i zobaczył, że stoją na dnie rozległej doliny pomiędzy dwoma łańcuchami górskimi. Teren był skalisty, prawie pozbawiony roślinności; tu i ówdzie rosły czarne krzewy z długimi kolcami zamiast liści. Nie opodal płynęła rzeka; nad ciemną powierzchnią wody – o ile to była woda – kłębiły się gęste opary.

– Gdzie jesteśmy?

– Wygląda na to, że nad Flegetonem. Jak myśmy tu trafili, do stu czartów? – Sangre wyciągnęła z torby mapę, rozłożyła ją i zaczęła studiować, mrużąc gniewnie pod nosem.

– Ktoś idzie – ostrzegł po chwili alchemik, bo wydało mu się, że słyszy kroki. Wojowniczką natychmiast odłożyła mapę, a jej dłoń powędrowała do rękojeści pistoletu.

Za najbliższego głazu wyłoniła się naga kobieta o rozwichrzonych, zgniłozielonych włosach i zielonkawej skórze. Podeszła, przypatrując się im ciekawie.

– Zakrzywiło portal, co? – odezwała się z odcieniem drwiny. – Dokąd zmierzaliście?

– Gdzie indziej – odparła wymijająco Sangre. Nieznajoma uśmiechnęła się, ukazując ostre, zwierzęce kły.

– Macie pecha, kochani. Nieprędko ruszycie dalej. Są zawirowania w aurze. To przez Tyfona, posłuchajcie tylko, jak się szarpie w więzach.

Na potwierdzenie jej słów kolejny głuchy huk wstrząsnął ziemią. Wojowniczką zacisnęła wargi.

– Kiedy znów będzie można korzystać z portali?

Demonica wzruszyła ramionami.

– Diabli wiedzą, kotku. Czekajcie i nasłuchujcie. Jak nastanie cisza, to będzie znak, że Tyfon się uspokoił. A teraz wybaczcie, spieszę się, lada chwila mają nam przywieźć świeże dusze. – Pożegnała ich skinieniem głowy i ruszyła dalej, znikając we mgle.

Czekali, ale grzmoty nie cichły, a przy ponownej próbie otwarcia portalu w kręgu zamigotało jedynie kilka słabych płomyczków. Widząc to, Sangre wyjęła z torby niedużą kryształową kulę i uaktywniła ją,

szeptając kilka słów po hebrajsku. Kryształ zatlił się czerwonym blaskiem.

– Belioreth, przyboczny namiestnika – powiedziała głośno i wyraźnie.

Nic się nie stało. Dopiero trzecia z kolei próba przyniosła efekt – w kryształach pojawiło się nieco zamazane oblicze demona o długich, spiralnie skręconych rogach.

– Veland, to ty? – spytał głosem przerywanym przez zakłócenia. – Gdzie jesteście?

Wojowniczką wyjaśniła pokrótce, co się stało. Belioreth słuchał z ponurą miną.

– Krótco po twoim wyruszeniu przyszła wiadomość, że są kłopoty z portalami w całym Szeolu – potwierdził. – Sam potężny Dajjal już się tym zajął, wysłał drużynę gigantów, żeby spętali Tyfona mocniej. Zostańcie tam, gdzie jesteście. Powiadomię was, jak tylko sytuacja się unormuje.

– Co z namiestnikiem?

– Na razie nie jest gorzej, niż było. Czuwają przy nim medycy i służba. Gdyby coś się zmieniło, dam wam znać.

– Wszystko jasne. Dzięki, Belioreth. – Sangre ruchem dłoni zgasła kryształ i schowała go z powrotem do torby.

Usiedli w cieniu jednego z większych głazów i patrzyli, jak nad Flegetonem leniwie snują się mgły. Czas dłużył się w nieskończoność. Niebo z rudego stopniowo stało się brunatne. Stłumione grzmoty nadal odzywały się z rzadka, ale nic więcej nie mąciło ciszy. Wojowniczką co pewien czas sprawdzała kulę i z przekleństwem chowała ją znowu – wiadomości nie było.

Rafael obserwował ją kątem oka, z braku lepszego zajęcia snując domysły.

Zarówno na Górze, jak i na Dole chętnie podchwytywano nowinki ze świata ludzi, więc jej wygląd mógł mylić, ale coś mówiło alchemikowi, że Sangre Veland urodziła się prawie trzy wieki po nim i zmarła nie tak dawno temu. Żyła w przeludnionym, zatrutym świecie, pełnym fantastycznie skomplikowanych machin, które funkcjonowały, choć ich właściciele nie mieli pojęcia, jakimi czarami ujarzmiła się iskrzące żywiołaki elektryczności.

W świecie łaskawszym pod wieloma względami od tego, który pamiętał Rafael. Przez chwilę zastanawiał się, co mogło ją skłonić do pójścia ścieżką lewej ręki. Żądza przygód? Potęgi? Nihilistyczny bunt?

Zrobiło się mroczno, ledwie już mógł rozróżnić kontur jej sylwetki. Zerwał się wiatr, przynosząc z oddali niewyraźne szlochy i westchnienia. Sangre otrząsnęła się, przetarła oczy.

– Porozmawiajmy, inaczej zaśniemy – zaproponowała.

– O czym?

– O czymkolwiek. Na początek możesz mi trochę opowiedzieć o sobie.

– Dobrze, skoro chcesz. – Zacerpnął tchu, zastanawiając się, od czego zacząć. – Nazywam się Rafael Alvaro de Cardenas, urodziłem się w Kastylii w połowie szesnastego wieku. Byłem lekarzem i alchemikiem, podróżowałem po całej Europie. W zaświatach znają mnie pod przydomkiem El Claro, bo tak podpisywałem moje pisma i tak się przedstawiałem, paktując z nieczystymi siłami. Jak wielu przede mną, uznałem, że w księgach nie znajdę tego, czego mi potrzeba i – zawahał się – zaprzedałem duszę szatanowi.

– W zamian za pieniądze? Zaszczyty?

– Za wiedzę. W młodości straciłem kogoś, kogo kochałem... – Jego spojrzenie mimo woli powędrowało w górę, ku bezgwiezdnemu niebu. – I wiele, bardzo wiele byłem gotów oddać za tajemnicę wskrzeszenia zmarłych. Ale szatan oszukał mnie, Sangre, bo nim zdołałem wprowadzić w życie to, czego mnie nauczył, zginąłem jak głupiec, przeszyty rapierem w pojedynku. A po śmierci trafiłem na Dół, w niewolę.

Zamilkł. Wspomnienia napłynęły falą, choć wolałby je odepchnąć, zgasić na zawsze.

Spodziewał się, że czekają go wieczyste męki, lecz ze swoimi umiejętnościami, z darem magii, za który tak drogo zapłacił, był zbyt cenny. Woleli go zaprząć do służby. Naznaczono go znakiem Bestii, spętano zaklęciem posłuszeństwa – i został warzycielem trucizn. Jadów, za pomocą których demony wpędzają ludzkie umysły w zwątpienie i szaleństwo.

By miał świadomość, do czego prowadzi jego praca – przyprowadzali trofea. Samobójców. Dzieciobójczynie. Zazdrośników, którzy okaleczyli kochające ich osoby...

Drgnął, gdy na przeciwległym brzegu Flegetonu nagle rozjarzył się krwawy blask, rozświetlając opary i budząc do życia miriady cieni. Z wiatrem przypłynął męski krzyk bólu, a po nim rehotliwy śmiech.

– To nic, to tylko tubylki igrają z duszami ze świeżego transportu – rzuciła beztrosko Sangre. Rafael spojrzął na nią i wstrzymał oddech; w drgającym, niesamowitym oświetleniu twarz wojowniczkę wydała mu się nagle inna, rysy nabrały drapieżnego wyrazu.

– Poszłabym do nich dołączyć, gdybym była sama – dorzuciła z krzywym uśmiechem; znów odniósł nieprzyjemne wrażenie, że czytała mu w myślach. – Ale mniejsza z tym, opowiadaj dalej. Jak opuściłeś piekło?

– Podobno ktoś wysoko postawiony wstawił się za mną. Zaoferowano mi układ... Wykupiono mnie i zesłano do pustelni, w odległy zakątek Wszechświata. Teraz lecę anioły. Czemu kręcisz głową?

– Bo popełniłeś błąd, zresztą nie ty jeden. Zamiast się sprzedawać w niewolę, trzeba było pograć troszkę ambitniej, nalegać, żeby cię wzięto na służbę. Jak ktoś jest zdolny i wystarczająco zdeterminowany, to przyjmują na równych prawach z demonami, tymi pomniejszych rzecz jasna.

– Co bym zyskał?

– Wolność. Moc. Potężnych przyjaciół. W ramach premii wszelkie możliwe rozkosze ciała. Och, oczywiście, nie każdemu się udaje zawrzeć podobnie korzystny układ. Nie twierdzę, że to łatwe. Spójrz.

Zdjęła rękawicę. Choć nie takie rzeczy już widywał, Rafael wzdrygnął się na widok dłoni pokrytej pomarszczonymi bliznami po oparzeniu.

– Zanim szatan zechciał mnie wysłuchać, musiałam pokazać, ile jestem w stanie znieść dla niego. I nie – dorzuciła z uśmiechem, bezbłędnie odgadując, o co zamierzał zapytać, lecz się powstrzymał. – Nie, nie żałuję.

Chciał odpowiedzieć, lecz w tym samym momencie błysnęło, rozległ się huk i kilkanaście kroków dalej zmaterializował się staroświecki, odkryty automobil z terkoczącym silnikiem. Z rury wydechowej wydobywały się obłoki dymu o kadzidlanej woni.

Za kierownicą siedział gruby demon z sumiastym wąsem, odziany w mundur i kaszkiet.

– Belioreth załatwił transport awaryjny – oznajmił z szerokim uśmiechem, dotykając dwoma palcami daszka czapki. – Wsiadajcie!

Gdy zajęli miejsca, szofer zakręcił kierownicą i auto uniosło się, a potem zanurkowało. Miejsce gór i rzeki bez ostrzeżenia zajęła czarna pustka.

\*\*\*

Zmaterializowali się wysoko pod chmurami. W dole, zasnutę szarawym oparem, rozciągało się Zoth Tenebra. Labirynt mrocznych zaułków, ruder i śmietnisk, zamieszkanym przez rzesze potępionych oraz pomniejszych czartów.

Gdy pojazd opadł niżej, w ich nozdrza uderzyła paskudna woń, jakby padliny.

– Ach. – Sangre uśmiechnęła się, biorąc głęboki oddech. – Pachnie domem.

Pałac namiestnika wznosił się na wzgórzu. Miał kopuły w stylu arabskim – Rafaelowi przypomniawszy podróż do Bagdadu, jaką odbył jeszcze jako młodzieniec.

Wylądowali na niedużym wewnętrznym dziedzińcu. Uwagę alchemika zwróciła fontanna, która

zamiast wody z sykiem wyrzucała w powietrze jakąś zieloną, nieprzyjemnie wyglądającą ciecz.

Przy fontannie, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, czekał Belioreth. Po uprzejmym powitaniu poprowadził ich kruzgankami, a potem słabo oświetlonymi korytarzami w głąb budowli.

W komnacie, do której w końcu weszli, panował półmrok. Okna były zasłonięte, w powietrzu wisiał ciężki zapach leczniczych maści. Większą część pomieszczenia zajmowało wspiane łoże z baldachimem. U wezłowania siedziało dwóch służących w czarnej liberii.

Wiedząc, że autorytet sprawujących rządy w Szeolu opiera się zwykle na brutalnej sile, Rafael przypuszczał, iż namiestnik okaże się demonem o potężnej posturze i straszliwej aparycji. Ku jego zaskoczeniu, w łożu leżał młodzieniec o delikatnych rysach i ciemnych, kręconych włosach, z których wystawały drobne różki. Oddychał chrapliwie, prawa, zabandażowana ręka spoczywała na kołdrze. Spojrzał na nich wzrokiem zamglonym przez ból.

– Góra przysłała specjalistę, panie – oznajmił Belioreth. Lape Zodire słabo skinął głową.

– Więcej światła, jeśli łaska – poprosił Rafael, klękając przy łożu i szperając w torbie. Szybko znalazł to, czego szukał: buteleczkę zapieczętowaną woskiem. Zdarł pieczęć i wlał w usta pacjenta nieco przezroczystego płynu, potem delikatnie odwinął opatrunek.

W świetle przyniesionej przez służącego lampy przekonał się, że zatrute ostrze skaleczyło namiestnika tuż poniżej łokcia. Rana nie była duża, ale ręka napuchła i zsiniała na całej długości, pod skórą widać było wybroczyny.

Choć wyglądał niepozornie, Lape Zodire musiał być nadzwyczaj odporny na medejon. W normalnych warunkach trucizna błyskawicznie spowodowałaby martwicę i nie obeszłoby się bez amputacji. Rafael zanotował w pamięci, żeby sprawdzić, z jakiego szczepu demonów wywodzi się namiestnik.

Przemył ranę, po czym nakropił na nią antidotum. Po komnacie rozszedł się przenikliwy, orzeźwiający zapach hyzopu i szaławii. Sangre dyskretnie kaszlnęła.

– Mniej boli – szepnął z ulgą namiestnik.

Alchemik założył świeży opatrunek, po czym trzykrotnie zaklaskał w dłonie.

– Wyjdź, trucizno! – rozkazał po grecku. – W imię Hekate nakazuję ci opuścić ciało tego oto Lape Zodire. Na Izydę, na Anubisa, usłuchaj mnie! – Powtórzył tę samą formułę jeszcze dwa razy, po hebrajsku i po arabsku.

– Czy twoi przełożeni wiedzą, jakich zaklęć używasz? – Belioreth uniósł brwi. Rafael wzruszył ramionami.

– Wolałbyś, panie, żebym użył święconej wody?

Sprawdził puls namiestnika, upewniając się, że antidotum działa. Działo – serce biło równo i mocno. Dla pewności obszedł jeszcze łoże naokoło, wzywając imion kilku dalszych pogańskich bóstw i prosząc je o opiekę nad pacjentem.

– Spalcie to gdzieś na zewnątrz – polecił na koniec, wręczając służącemu brudne bandaże.

Odwróciwszy się, drgnął. Lape Zodire, wsparty na łokciu, obserwował go najzupełniej już przytomnym wzrokiem.

– To wszystko? – spytał, ostrożnie, na próbę poruszając palcami chorej ręki. Alchemik skinął głową.

– Wkrótce odzyskasz siłę, panie, a rana zagoi się teraz bardzo szybko. Najlepiej byłoby, żebyś się oszczędzał przez parę dni.

Namiestnik uśmiechnął się i usiadł na posłaniu. Ze stojącej na stoliku karafki nalał sobie kieliszek smolistego płynu, wypił, otrząsnął się.

– Przystań do nas – zaproponował ni z tego, ni z owego. Rafael zamrugał.

– Słucham?

– Przydałbyś się w Zoth Tenebra, przyjacielu. To niespokojne miasto, moi żołnierze często odnoszą

rany na służbie, a ty jesteś lepszy niż większość naszych lekarzy.

– Z twojej dokumentacji wynika, że spędziłeś u nas trochę czasu, zanim te chytrusy z Góry postanowiły cię wykorzystać do swoich celów – wtrącił Belioreth. – Gdybyś zapragnął wrócić, są podstawy, by ci zaoferować bardzo dobrą posadę.

– Pochlebia mi wasze uznanie. – Alchemik skłonił się lekko. – Ale nie jestem zainteresowany.

Lape Zodire nachmurzył się.

– Czemuż to, jeśli można wiedzieć?

– Powiedzmy, że to nie praca dla mnie.

– A czym się teraz zajmujesz? – odezwała się drwiąco Sangre Veland. – Wytwarzasz trucizny do strzał i eliksiry z dziecięcych łez. Uzdrawiasz niebiańskich zabójców.

– Przemyśl to, przyjacielu – dorzucił namiestnik. – Ci tam na Górze nie doceniają cię. U nas mógłbyś liczyć na uznanie, jakie ci się słusznie należy. Zresztą – zmrużył porozumiewawczo oko – kto chciałby marnować życie wieczne na usługiwanie tym nudziarzom?

El Claro podniósł z podłogi torbę i zarzucił ją sobie na ramię.

– Nie – powtórzył stanowczo.

– Wedle woli. – Lape Zodire skrzywił się pogardliwie. – Sangre, zadbaj, by bezpiecznie wrócił do domu.

\*\*\*

Diabelski automobil, terkocząc, płynął przez ciemność pomiędzy wymiarami.

– Wiem, o czym myślisz – odezwała się Sangre Veland. – Zastanawiasz się, czy dobrze zrobiłeś.

Nie odpowiedział.

– Jeśli mam być szczerą, zaskoczyłeś mnie. Nie potrafię zrozumieć, jak ktoś tak dumny może tkwić w roli anielskiego popychadła. W imię czego, El Claro?

Alchemik milczał.

Otoczyło ich na powrót dzienne światło. Pustka ustąpiła miejsca wzgórzom porośniętym burą trawą, ze sterczącymi gdzieniegdzie skupiskami głazów.

Automobil zniżył lot. Sangre zeskoczyła na ziemię i dała Rafaelowi znak, by poszedł w jej ślady. Szofer pomachał im na pożegnanie i zniknął w obłoku dymu wraz z pojazdem.

– Przekroczyliśmy granicę Szeolu – oznajmiła wojownicza. – Stąd możesz już sam bez kłopotów otworzyć sobie portal na Górę, zakłócenia spowodowane przez Tyfona nie sięgają tak daleko. Ja tu zaczekam, jestem umówiona.

El Claro nieznacznym ukłonem dał do zrozumienia, że taki układ mu odpowiada, po czym bez dalszych grzeczności zaczął się rozglądać za kawałkiem w miarę równego gruntu, gdzie dałoby się narysować krąg.

Nagle rozległ się szum i nieopodal rozkwitły płomienie, z których wyłonił się demon o nietoperzowych skrzydłach, odziany w czarny mundur ze srebrnymi galonami. Miał włosy purpurowe jak wino i twarz efeba.

Wojownicza rozpromieniła się na jego widok. Piekielny oficer wyciągnął ramiona. Zwarli się w namiętym pocałunku.

Gdy Sangre się odwróciła, Rafael ujrzał na jej twarzy jadowity uśmiesek.

– Pamiętaj jeszcze o jednym, gdy wrócisz na to swoje pustkowie i sięgniesz po biały proszek, żeby nie oszaleć: u nas na dole nikomu nie doskwiera samotność.

\*\*\*

Biuro kuratora powitało go swojskim nieładem papierów i zapachem tytoniu. Przez gotyckie okna wlewał się blask zachodzącego słońca. Prawie można było uwierzyć, że wizyta w Szeolu była tylko paskudnym snem.

– Dobrze się spisałeś, synu – stwierdził Joachim Hart minimalnie cieplejszym niż zwykle tonem. El Claro lekko się skłonił. Zakręciło mu się w głowie; dopiero teraz zaczynał czuć, jak bardzo jest zmęczony.

Pastor też chyba to zauważył, bo patrzył na niego bez zwykłej surowości, z troską.

– Wracaj do siebie i odpocznij. Niestety, nie wykluczam, że możemy cię jutro potrzebować. – Westchnął ciężko, podnosząc leżący na biurku list. – Przed chwilą z dołu przyszła wiadomość, że doszło do starcia między strażą czyścica a bojownikami któregoś ze zbuntowanych książąt piekielnych, którzy napadli na transport dusz. Są ofiary.

\*\*\*\*

Za oknem, ponad skałami, migotały zimne punkciki gwiazd.

Z odtwarzacza miękko sączyła się muzyka – tym razem klasyczna, Bach. Rafael postawił na podłodze parujący kubek z kawą i wyciągnął się na sofie. Starał się nie patrzeć w kierunku skrytki za obrazem. Niczego tak nie pragnął, jak zapomnienia i ciepła, które dawała heroina, ale wolał pozostać w gotowości na wypadek, gdyby rzeczywiście wezwano go do rannych.

Żeby czymś się zająć, wziął ze stołu pierwszą z brzegu księgę, jeden z traktatów Jabira ibn Hayyan. Otworzył na chybił trafił i jego wzrok padł na rycinę przedstawiającą człowieka z głową lwa – jeden z tych symbolicznych obrazów, których znaczenie w danym kontekście pozostawało niezrozumiałe dla nieznających klucza. W swoim czasie nauczył się arabskiego tylko po to, żeby móc czytać te traktaty w oryginale... Przymknął oczy, pozwalając, by uniosła go fala wspomnień.

Ukończył w Toledo studia medyczne, lecz alchemia pociągała go bardziej; by zgłębiać jej tajniki, wyjechał do Paryża, a stamtąd do Pragi. Powróciwszy, przez pewien czas przebywał na królewskim dworze jako osobisty medyk markiza de Sotomayor. Ponieważ jednak źle się czuł w środowisku dworskim, skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji, by przenieść się na powrót do Toledo i otworzyć tam pracownię. Szybko znalazł sobie zdolnego współpracownika, Żyda Daniela Gonzagę. Wzorem Paracelsusa eksperymentowali przede wszystkim z otrzymywaniem lekarstw, zyskali nawet niejakię uznanie, bo udało im się opracować maść z dodatkiem rtęci i kory gwajakowca, działająca skuteczniej niż inne preparaty, którymi za owych czasów próbowano leczyć syfilis...

Rafael przygryzł kostki palców, bo nagle bardzo wyraziście przypomniał mu się Gonzaga. Drobny, zawsze uśmiechnięty, w jarmułce i skórzanym fartuchu, z czarną przepaską na oku – stracił oko jeszcze jako uczeń, gdy pracownię jego mistrza zniszczył wybuch prochu. Jego nie pociągały niebezpieczne zagadki starych ksiąg; nie spędzał nocy na studiowaniu prac Flamela i Agryppy, nie marzył, że pewnego dnia zgłębi to, co zakazane, wydrze Bogu tajemnice życia i śmierci. Ożenił się z córką kupca, miał z nią dzieci. I pewnie byli teraz szczęśliwi w zaświatach.

*Do diabła z tym wszystkim* – pomyślał El Claro z nagłym gniewem. *Do diabła. Uciec, zapomnieć, i niech się dzieje, co chce.*

Przeszedł przez pokój, otworzył skrytkę i sięgnął do środka.

Nagle znieruchomiał. Coś go tknęło – ostrzegawczy dreszcz, przecucie. Odwróciwszy się, ujrzał, że kontury pokoju się rozmywają.

Mógł tylko wstrzymać oddech i patrzeć.

Komnata zniknęła. Stał w miejscu, które znał aż za dobrze – w miejscu, do którego wciąż powracał dzięki heroinowym snom. Lecz tym razem wizja była dokładniejsza niż kiedykolwiek, łącznie ze

szczegółami, które zdążyły się zatrzeć w jego pamięci.

Wypalone przez skwar zarośla, spękana ziemia wokół nagrobków na starym cmentarzu. Chwasty rosnące w szczelinach ceglanego muru, uschnięte drzewo z pniem rozszczepionym przez uderzenie pioruna. To tu stali tyle razy, patrząc na ciemniejące niebo – on oraz czarnowłosa Laura de Irujo y Perella. Najstarsza córka hrabiego Francisco Hoyos de Irujo, blisko spokrewniona z markizem de Sotomayor.

Zostali sobie przedstawieni w pałacu królewskim, na którejś z wielu uroczystości. Początkowo nic nie wskazywało, że kiedykolwiek będą mieli okazję bliżej się poznać – młodzianka dwórka i wykształcony, lecz niezamożny hidalgo w służbie jej potężnego krewnego. Potem, gdy podczas upalnego lata Laura rozchorowała się na zagrażającą życiu gorączkę, ocaliło ją lekarstwo sporządzone przez Rafaela. Nie zapomniała i gdy rozstał się z dworem, pisywała do niego ciepłe, siostrzane, odrobinę jeszcze dziecinne listy. Dwa lata później na zaproszenie jej ojca opuścił Toledo, by odwiedzić ich rodzinne gniazdo, stary zamek w Andaluzji. Laura z nieśmiałego podlotka wyrosła na cichą, poważną dziewczynę i gdy Rafael poznał ją trochę lepiej, niż sympatii, którą zawsze do niej żywił, niepostrzeżenie rozkwitła w uczucie.

Opowiadał jej o swoich podróżach i eksperymentach, jeździł z nią powozem do kościoła, na grób matki i tygodniami marzył, żeby móc ją objąć, dotknąć jej włosów, ale nigdy nic nie dał po sobie poznać – zbyt dobrze wychowany, a przede wszystkim zbyt ostrożny. Nie była dla niego, przyrzeczona komuś majętnemu, o znamienitym nazwisku...

Na jesieni musiał wrócić do Toledo. Wyjechał, nie wiedząc, że nie zobaczy Laury nigdy więcej; zmarła na zarazę w tym samym miesiącu...

– Rafaelu – usłyszał za sobą głos. Odwrócił się powoli.

Stała tuż – blada w blasku księżyca, w ciemnej sukni z krezą, według ówczesnej mody. Z bijącym sercem po kolei spostrzegał szczegóły. Złoty krzyżyk na łańcuszku. Ozdobny grzebień w upiętych wysoko włosach. Już zapomniał, że się tak czesała. Zapomniał tyle rzeczy.

– Ja nie zapomniałam – odezwała się cicho, wyzywająco, jakby czytając mu w myślach.

Czas zwolnił bieg, sekundy wlokły się w nieskończoność. Rafaelowi wydało się, że z bardzo daleka słyszy śmiech Lape Zodire, ale nie był pewien.

– Kim jesteś? – szepnął. – Albo czym?

– Nie tym, czego się lękasz – odparła, ujmując jego dłoń w swoje ręce, drobne i chłodne. Pachniała perfumami – jaśminem, kwiatem pomarańczy.

El Claro cofnął rękę.

– Przysłał cię Hart – stwierdził, nie zapytał, choć drugie z możliwych wytłumaczeń wydawało mu się bardziej prawdopodobne. – Czemu?

Uśmiechnęła się melancholijnie.

– Ponieważ ci na Górze nie chcą, żebyś w końcu oszalał. Bo przecież heroina nigdy nie działa wystarczająco długo, prawda?

Zaczerpnął tchu, ale położyła mu palec na ustach.

– Jestem tu. Czy to ci nie wystarczy?

Rafael odepchnął ją, czując, jak wzbiera w nim gorycz i gniew.

Kolejna próba, czy da się przeciągnąć na stronę mroku? A może nie, może zaledwie... odrobina rozrywki w nagrodę za dobrze wykonane zadanie? Na samą myśl o tym zapragnął zmiażdżyć pięścią blade, pełne chłodnej wyższości oblicze Joachima Harta.

– Kim jesteś? – powtórzył ostrzej.

– Kimś, kto musi być posłuszny rozkazom, podobnie jak ty – odparła spokojnie. – Gdybym mogła,



oszczędziłabym ci podróży do piekieł, ale nie pozwoliłoby mi do ciebie przyjść, gdybyś nie przeszedł pomyślnie próby w Zoth Tenebra.

Na chwilę zapadło milczenie.

– No cóż, powinienem był się spodziewać, że cię przyślą prędzej czy później – stwierdził w końcu El Claro, maskując sarkazmem niepokój, bo wciąż jeszcze podejrzewał oszustwo, pułapkę. – Wyjawisz mi, jakie rozkazy dostałaś, czy może lepiej, żebyśmy nie wiedział?

– Rafaelu. – W jej głosie zabrzmiała nutka wyrzutu. – Widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć. Spójrz, umiem odtworzyć z pamięci to miejsce nawet lepiej niż ty. Stawaliśmy tam, gdzie mur się kończył, bo stamtąd najlepiej było widać gwiazdy. Pamiętasz, jak objaśniałeś mi nazwy konstelacji? A pamiętasz nasze pożegnanie?

Alchemik drgnął, nagle zbity z tropu. Nie odpowiedział.

Laura ujęła go za ramię, łagodnie, lecz stanowczo zmuszając, by popatrzył jej w oczy.

– Twoja pokuta nie będzie trwać wiecznie – powiedziała cicho. – Nie trać serca. Pewnego dnia tu wrócisz, a ja... będę czekała.

Wspięła się na palce i pocałowała go delikatnie – dokładnie jak wtedy, dawno temu. I jak wtedy, El Claro nagle pomyślał, że nie ma sensu ani potrzeby pytać już o nic.

Usiedli na ławeczce pod murem, w cieniu drzewa. Wyjął z włosów Laury grzebień i spinki, zanurzył dłonie, a potem twarz w miękkich czarnych falach. I jak wtedy, dawno temu, wszystko na krótki czas przestało być ważne.

\*\*\*

Gdy Rafael się obudził, był sam. Leżał w ubraniu na sofie. Z ognia w kominku pozostały tylko dogasające resztki żaru.

Nie pozostawiła po sobie żadnego śladu, nawet jednej zapomnianej spinki na krawędzi stołu. Przez chwilę zdawało mu się, że w powietrzu przetrwał cień zapachu perfum, lecz równie dobrze mogło to być złudzenie.

Odsunął zasłony. Widmowy księżyc nad jego pustelnią znów miał barwę krwi.

Alchemik założył płaszcz, zabrał z biurka torbę z akcesoriami i wyszedł przed dom. Wyrysował na ziemi krąg i wyszeptał zaklęcie. Lekkie drganie powietrza, jak pod wpływem żaru, było znakiem, że portal się uaktywnił.

Zanim wyruszył w drogę, Rafael raz jeszcze podniósł wzrok na szkarłatną tarczę i po raz pierwszy od wieków nie poczuł na ten widok chłodnego ukłucia w sercu.

Wiedział, że gdzieś daleko inny księżyc świeci dla niego nad starym cmentarzem, gdzie sykomory rzucają przyjazny cień.

# Trybiki, kukielki

Bądź tak uprzejmy i spróbuj przemyśleć następujący problem – na co by się zdało twoje dobro, gdyby nie istniało zło i jak by wyglądała ziemia, gdyby z niej zniknęły cienie? Przecież cienie rzucają przedmioty i ludzie.

Michaił Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*,  
tłum. Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski

## 1.

Przyszli po nią w środku nocy.

Nie policja, nie agenci Kościoła i nie anioły. Pionki któregoś z wrogich stronnictw w Szeolu – Zahhaka, a może Mota; uzbrojeni w płomieniste bicz i starożytne talizmany. Tyle że ubrani, w zasadzie nie wiedzieć czemu, w policyjne mundury.

Broniła się, ale krótko i daremnie. Ocknęła się w powozie, gdy odjeżdżali spod kamienicy, której drugie piętro zaczynał obejmować pożar.

Została wywieziona na obrzeże miasta, gdzie w lasku wznosił się mur i zasieki z drutu kolczastego, a za nimi – masywny ceglany budynek z okratowanymi oknami. Więzienie. Widać mieli wpływowe znajomości wśród śmiertelnych.

Zawlekli ją do celi w piwnicy, gdzie na posadzce, wśród płataniny wymalowanych symboli, leżały otrute, powoli zdychające zwierzęta – dwa czarne kozły i dwa psy. Ofiara mająca przypieczętować rytuał spętania. Gdy wiedźma je ujrzała, nie wpadła w panikę ani rozpacz; kontrolowanie emocji było dla niej wyuczonym, trenowanym od niepamiętnych czasów odruchem. Z rezygnacją pomyślała jedynie o tym, co ją czeka – po tym, jak przeżyła kilkaset lat, mieszkała w sześciu krajach i wykonała dla swojego pana tysiące rozkazów.

Może stała się nieostrożna – a może zanadto wierzyła w należną jej ochronę. Uciecha i determinacja malujące się na topornych, nie do końca ludzkich obliczach katów (ich prawdziwa natura nie dawała się w pełni skryć pod postaciami, jakie przyjęli) mówiły, że jest za późno, by się zastanawiać, kiedy popełniła błąd, który ją zgubił.

Spętali ją i obdarli z odzieży. Na brzuchu wycięli nożem symbole, które dobrze znała – potrójnego węża, pieczęć Niniwy i odwróconą koronę Edom. Metalowym prętem metodycznie pogruchotali jej stawy rąk i nóg. A potem zostawili ją, nieprzytomną. Gdy w końcu się ocknęła, nie musiała otwierać oczu, by wiedzieć, co uczynili. Celę zamurowano.

Ciało wiedźmy nie mogło umrzeć ludzką śmiercią. Ból, który początkowo był jak wszechogarniający ogień, oślepił ją i uniemożliwiał myślenie, po jakimś czasie osłabł. Przestała czuć smród rozkładających się zwierzęcych trucheł. Po tygodniu zaczęła tracić materialność, po miesiącu przestała być widoczna dla wzroku śmiertelników. Przeniknęła przez granicę między rzeczywistością ludzi a rzeczywistością duchów, wciąż jednak żyła – jako cień, zimne tchnienie. Uwięziona w wymiarze, gdzie mury były dla niej przezroczyste, przez sklepienie widziała, jak po niebie przesuwają się gwiazdy, noc przechodzi w dzień, a ten z powrotem w noc. I tak rok po roku. Z gnijącej padliny pozostały jedynie kości. Z drzew otaczających więzienie opadały liście, później wyrastały nowe. Strażnicy odchodzili, na ich miejsce zjawiali się inni. Lecz dla wiedźmy, odkąd ta utraciła cielesność, rzeczywistość trwała jak zamrożona.

Były myśli. Wspomnienia. Był głód szarpiący widmowe trzewia, niezmienny od czterdziestu lat. I nawracające coraz częściej podejrzenie, że skoro słudzy jej pana dotąd nie przybyli, żeby ją uratować, to nie przybędą.

W materialnym świecie zmieniali się lokatorzy cel. Teraz, gdy po raz drugi w tym stuleciu świat trawiła wojna – wiedźma wiedziała o wojnie, bo słyszała rozmowy strażników – lokatorzy cel zmieniali się często. Czasem za budynkiem rozlegały się strzały, a w budynku – wrzaski torturowanych.

W sąsiednim pomieszczeniu od dwóch dni kulił się wychudzony starszy człowiek. Wrzucono go tam pobitego do nieprzytomności. Krew ciekła z jego zmasakrowanych palców, z których wyrwano paznokcie. Minęła prawie doba, zanim odzyskał świadomość. Teraz na przemian modlił się, majaczył i krztusił w atakach bolesnego kaszlu.

Jego cierpienie potęgowało głód wiedźmy.

Aby zająć czymś umysł, mamrotała bezużyteczne zaklęcia – skupianie się na nich pomagało jej nie oszaleć do reszty.

*Na Zafela i Ofela, na wodę, kamień i ogień...*

## 2.

– Na Zafela i Ofela, na wodę, kamień i ogień! Rozkazuję ci, ukaż się...

Palce czarownicy delikatnie gładzą kryształ, zwiędłe usta wytrwale powtarzają formułę.

– Ukaż się, ukaż...

W głębi kryształu zapala się żar; poświata rozlewa się po chacie, wydobywając z mroku stare sprzęty, pęki suszących się ziół...

– Rozkazuję ci!

Obraz pojawia się w końcu. Kruki uwięzione w podwieszonych pod powałą klatkach zaczynają krakać. Czarownica ucisza je niecierpliwym gestem. Patrzy.

\*\*\*\*

Pylista droga wiję się pośród wzgórz niczym gad wypuszczony na zielony obrus. Czerwcowe słońce przygrzewa. Podpierając się kijem, Tereza z trudem wlecze obolałe nogi. Walczy z pokusą zatrzymania się przynajmniej na krótki odpoczynek. Raz po raz z niepokojem zerka na córkę. Rużenka maszeruje dzielnie, choć na jej buzi obficie perli się pot. Biedna kruszynka – taka jest dumna, że może już wędrować obok matki, zamiast kołysać się w chuście na jej plecach.

Tereza ukradkiem wzdycha; nie potrafi stłumić obaw. Na horyzoncie żadnej osady, zaczyna im brakować prowiantu, a w dziczy o tej porze roku ciężko jest znaleźć coś do jedzenia. Gdybyż żył Andrej... Samotnej wyrobnicy nie jest łatwo, a cóż dopiero takiej, która ma pod opieką pięcioletniego brzdąca. Na jak długo wystarczy jej sił, by wyżywić je obie uczciwą pracą? Żadne dziecko nie powinno się chować o proszonym chlebie...

O zmierzchu znajdują schronienie nad potokiem, w opuszczonym szałasie pasterskim. Po poprzednich gospodarzach zostało nieco drewna – prawdziwy dar od losu; jest z czego rozniecić porządny ogień na tym trawiastym pustkowiu, gdzie można wędrować całymi milami, nie uświadczwszy nawet krzaka. Tereza wyciąga z sakwy suchara i dzieli go na pół. Jeden kawałek podaje córce, drugi chowa. Mała spogląda niepewnie na swoją kolację.

– A ty, mamo?

– Jedz, Rużenka.

Jak co wieczór, chłopka z troską ogląda pokaleczone stopy dziecka. Obmywa je starannie, okłada

uzbieranymi po drodze liśćmi babki, przewiązuje. Rużenka jest tak zmęczona, że zasypia w trakcie tych zabiegów z niedojedzonym sucharem w rączce.

Rankiem, napełniając manierkę w potoku, Tereza płacze. Słońce odbija się od powierzchni wody, rażąc jej zażawione oczy.

*Słoneczko, Boże oko, ty z wysoka spojierasz i wszystko widzisz – kto zły, kto dobry, kto cierpiący. Użał się nad nami, sierotami...*

Zaciska w palcach zawieszony na szyi krzyżyk i odmawia modlitwę.

– Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...

Ruszają w dalszą drogę; nie mają wyboru. Koło południa niebo się chmurzy. Jak okiem sięgnąć, nigdzie żadnej wioski, czy choćby samotnej chaty. Tylko grzbiety wzgórz, ciągnące się aż po zamglony horyzont. Porastająca je trawa faluje na wietrze. Między spękanyymi płytami gościńca bujnie pleni się zielsko. Terezą targa narastający lęk, że zawędrowały na zupełne odludzie, gdzie nic ich nie uchroni przed śmiercią głodową.

Uczepiona jej spódnicy Rużenka zaczyna marudzić.

– Jeszcze trochę, jeszcze ino zuchelek drogi. – Chłopka sama nie wierzy w to, co mówi. Dziecko posłusznie kiwa główką, ale zwalnia kroku, zostaje w tyle. Tereza próbuje ją ciągnąć za rączkę, Rużenka opiera się. Zrezygnowana matka bierze ją na barana. Wie, że nie ujdą w ten sposób daleko.

– Mamo, mamo – szepcze naraz dziewczynka.

– Co ci, kruszyno?

– Widzę dym...

– Nie ma nijakiego dymu. To mgła. Cichaj, Rużenka.

Mgła istotnie spływa na łąki, zupełnie jakby ktoś zrzucił z nieba całun. Robi się coraz chłodniej. Biały tuman gęstnieje, przesłania wszystko.

Tereza nie ma siły dalej iść. Ze zmęczenia kręci się jej w głowie. Sadza dziecko w trawie, siada obok.

– Mamo – odzywa się po raz drugi Rużenka; jej oczy w pobludłej buzi są olbrzymie, wystraszone.

– Co ci znów?

– Słyszę cosik... jakby śpiewanie...

– Wiatr duje. Sza, kotku.

Dziewczynka milknie, nadąsana. Zrywa jedno z długich źdźbeł i zaczyna je gryźć.

Przez materiał sakwy Tereza dotyka zawiniątka z resztką żywności. Cofa dłoń. Kładzie się na ziemi i przymyka oczy.

\*\*\*

W mroku rozbłyskują ogniska – jedno, drugie, trzecie, czwarte. Płoną na wzgórzach i w kotlinach. Wszędzie, dokąd sięga ich światło, pola wydadzą obfity plon, zaś bydła nie tkną wilki ani pomór. Wiatr niesie z oddali śpiewy i skoczną muzykę. Mocno, słodko pachną kwiaty i wilgotna ziemia.

Jest czerwiec, wigilia Świętego Jana. Noc Kupały.

Dźwigając na plecach śpiącą córeczkę, Tereza mozolnie wspina się po zboczu, na którym panują nieprzebite ciemności. Osiągnąwszy grań przystaje, żeby złapać oddech, choć nie wie, czemu jest aż tak zmęczona.

*Ty nie z tego czasu, nie z tego miejsca... Mgła cię uniosła z ziemi, sen przywiódł, lecz nie tym samym nurtem, co onegdaj... Nie to samo wzgórze i nie to samo święto, co wtedy...*

– Witajcie, dobra kobieto.

Tereza dopiero teraz spostrzega, że nie jest sama. O krok od niej stoi człowiek w stroju wędrownego szkolarza. Rzecz dziwna, każdy szczegół jego postaci jest wyraźnie widoczny pomimo mroku. Mężczyzna podobnie jak ona wspiera się na podróznym kijku. Ma długie do ramion włosy i pociągłą, bystrą twarz, częściowo skrytą w cieniu kapelusza o wystrzępionym rondzie.

– My się znamy, czyż nie?

– Ktoście wy? – pyta niepewnie Tereza. W rzeczy samej ma wrażenie, że gdzieś już go widziała.

– Ja...? Bakałarz, co wędruje od dworu do dworu, dzieci pańskie uczy pisać i rachować. A wy? Z której jesteście wsi?

– Z żadnej – odpowiada cicho chłopka. – Takż wędruję. Wynajmuję się ludziom do pracy na roli albo do pomocy w gospodarstwie, jak wypadnie.

– Ciężkie życie.

– Przecie, na chleb zawsze się jakoś zarobi. Byle zdrowia stało, panie...

– Zawsze żyliście w ten sposób?

– O, nie. Ledwie dwa roki będzie, odkąd mój Andrej poszedł na wojaczkę i nie wrócił. Chatę i zagon nam wzięli tej samej zimy za długi... Od tamtej pory błakamy się po świecie.

– Z dzieckiem pewnie niełatwo wędrować.

– Ona nie taka znów małuchna, a dzielna nad wiek. Jak podrośnie, będzie mi pomagać. – Chłopka uśmiecha się. – Poradzim sobie jakoś.

– Mógłbym się postarać o lepszy los dla niej. – Mężczyzna z namysłem spogląda na śpiącą Rużenkę. – Ale to wy musielibyście uczynić pierwszy krok.

Tereza lękliwie zerka na rozmówcę. Już nie potrafi zgadnąć, czy cała scena rozgrywa się we śnie, czy na jawie. Wszystko jest takie rzeczywiste – i jego miękki, budzący zaufanie głos, i ogień w oddali, zapach mokrych od rosy łąk, ciężar dziecka...

– Jak...?

– Oddajcie mi ją na wychowanie, a nigdy więcej nie zazna nędzy.

Tereza patrzy na jego wyświechtany płaszcz, zniszczone trzewiki i już chce się roześmiać, lecz śmiech więźnie jej w gardle. Szkolarz zdejmuje kapelusz. Jego oczy są niczym czeluść, w głębi której nie rozbłyskuje najmniejsza iskra.

– Zastanów się dobrze – szepcze. – Jej szczęście zależy w tej chwili tylko od ciebie. Spójrz, co mogłoby ją czekać pewnego dnia.

Ruch jego dłoni wydobywa z mroku obrazy.

Rużenka, rumiana i tryskająca zdrowiem, bawi się z kotem na podłodze dworskiej lub pałacowej kuchni. Rużenka w szubce podbitej łabędzim puchem przechadza się po ośnieżonym parku, rzucając wronom okruchy chleba. Rużenka jako wystrojona panna z różą przy dekolcie wiruje w tańcu na wyłożonej marmurami sali; kawalerowie wodzą za nią zachwyconym wzrokiem. Rużenka jako dorosła kobieta – z upiętymi włosami, w sukni ciężkiej od brokatu i haftów – pochyła się, żeby wziąć z objęć niańki pulchne dziecko, całe w koronkach...

– Tak po prawdzie, nic jej nie zastąpi matki. – Tereza wzrusza ramionami. Odwraca się plecami do kolorowych mamideł, szykując się do zejścia w dolinę.

Rużenka jęczy przez sen tak boleśnie, że chłopkę mrozi dreszcz.

– Głupia! – woła z gniewem niby-szkolarz. – Zapomniałaś już, co jest tam, po drugiej stronie? Błądźcie we mgle na pustkowiu! A choćbyś nawet trafiła do jakiejś wsi, co ci to da? Gdzie znajdziesz robotę na przednówku? Wszędzie teraz pustki w komorach...

Jego słowa są niczym nóż, rozcinający ciemną tkaninę snu. Zmuszają do skupienia uwagi. Na moment nadają myślom fałszywą jasność.

Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę Tereza waha się, stojąc na krawędzi grani.  
Zawraca.

Mężczyzna o bezdennych oczach po raz pierwszy pozwala sobie na uśmiech.

### 3.

O północy, jak zwykle, zjawia się Biały Skurwiel.

Tak wiedźma ochrzciła go w myślach. Jest blady i pulchny jak drożdżowa pyza. Ma na sobie surdut z jasną kamizelką, prążkowane spodnie i cylinder, w ręku laseczkę. Dżentelmen w każdym calu.

– Okaż skruchę – szepcze. – Módl się do Boga. Bóg jest miłosierny, zbawia grzeszników.

– Nie istniejesz! – krzyczy z wściekłością dziewczyna. – Zostaw mnie, słyszysz?!

Skurwiel potrząsa smutno głową i znika.

Godziny płyną. Wiedźmę jak co noc ogarnia rozterka – a nuż tłusty widmowy moralista ma rację? Może rzeczywiście powinna się ukorzyć, błagać o miłosierdzie, skoro nic innego jej nie pozostało?

A później, jak zawsze, trzeźwi ją świadomość, że i tak przecież jest marionetką w rękach największego z hipokrytów – Wielkiego Zegarmistrza, mistrza strategii, rozmieszczania figur na tysiącu szachownic. Wszystko ma swoje miejsce w Jego nieskończonej doskonałej planie. I tocząca się czwarty rok wojna, największa z wojen, jakie kiedykolwiek dotknęły Ziemię, i umęczony człowiek, który w sąsiedniej celi oddycha chrapliwie, a jego oczy błyszczą od gorączki. I ona sama, i jej sklepik z kapeluszami w starej dzielnicy Braszowa, i kobiety, którym wzorem pewnej siedemnastowiecznej włoskiej signory sprzedawała truciznę, by mogły się uwolnić od niekochanych mężów i odziedziczyć spadek. A wcześniej – jej osiągnięcia na kilku europejskich dworach. Zniszczone kariery dworzan i oficerów, których najpierw wplątywała w intrygi i zdrady, a później efektownie demaskowała. Wyroki śmierci, samobójstwa, skrytobójstwa, pojedynki, nakazy emigracji. Słowiańska wiedźma, urodzona przed wiekami w chłopskiej chacie, w zależności od potrzeby bywała Czeszką, Polką, Rosjanką, Serbką; dwórką, pokojówką, kurtyzaną, medium, agentką carskiego wywiadu. Pomagała rozstawiać pionki zgodnie z wolą Szeolu – ale pośrednio zgodnie z wolą Góry – aż w końcu Góra zdecydowała o przeniesieniu jej na inne stanowisko.

Tak, w maszynie wszechświata każdy trybik i każda kukiełka mają swoje miejsce.

Za brudnym okienkiem zapada zmierzch. Więzień z wysiłkiem sięga po blaszany kubek z mętną wodą, wypija łyk, dławi się kaszlem.

Dziewczyna wie, że mężczyzna wkrótce umrze. Jego ciało wyniosą i zakopią, a duch uleci, wolny.

Dla niej nie będzie wybawienia. Tylko kolejne dziesięciolecia, płynące minuta za minutą, podczas gdy świat na zewnątrz żyje swoim życiem, a w zamurowanej celi plamy pleśni na ścianach układają się w coraz to nowe konstelacje.

W korytarzach więzienia chrobocą szczury. Drażnią jej widmowe zmysły, lecz nie tak bardzo, jak umierający człowiek, którego serce z coraz większym trudem przepycha przez żyły pięć litrów czerwieni.

Czas płynie. Noc sączy się jak strumyczek piasku w klepsydrze. Na dworze szumi ulewa. Gdzieś daleko, setki kilometrów dalej rozbrzmiewają wystrzały, wybuchają bomby, płoną domy.

Woda miarowo kapie z sufitu. Kap, kap.

Kap, kap.

\*\*\*

Klap, klap – ciężko kłapią chodaki starej kobiety, kostur postukuje na płytach gościńca.

– Leć, kruk! Szukaj ich!

Ptaszyisko, posłuszne głosowi pani, zatacza ociężałe kręgi. To podfrunie kawałek do przodu, to wraca.

– Szukaj, kuku! Gdzieś tu muszą być!

Ptak wzbija się wyżej, znikając we mgle. Po chwili gdzieś blisko rozbrzmiewa ochryple krakanie.

Starucha wolną ręką unosi spódnicę i spieszy w tamtą stronę.

Kobieta w nędznej chłopskiej odzieży leży na wznak obok drogi. Na jej znieruchomiałej twarzy – uśmiech. Z nosa wypłynęła odrobina krwi. Kruk przysiadł obok głowy trupa, z zadowoleniem skubie pióra. Wie, że nie minie go nagroda.

Starucha przywołuje go i karmi naszykowanym kawałkiem mięsa, lecz jej uwagę zaprzęta co innego.

Dziewczynka kuli się przy nogach matki jak wystraszone zwierzątko. Czarownica na jej widok cmoka ze współczuciem. Dziecko jest ubrane tylko w brudną koszulkę i spódniczkę, czarne włosy ma niemiłosiernie skołtunione. Drży, ale nie ucieka. Co dziwniejsze – nie płacze. Starucha uśmiecha się.

– Biedactwo, jak ty strasznie zmarzłaś. Chodź do mnie, nie bój się.

– Wiem, kto wy jesteście – mówi poważnie dziewczynka, nie ruszając się z miejsca. – Czarniście na wewnątrz jako ten kruk, jako spróchniałe drzewo. Ale nie bojam się was.

A więc kula nie kłamała! Starucha już wszystko wie, wszystko odgadła.

*Prawdziwy skarb z ciebie, moja ty śniada pięknotko; nie żadne tam dziecko wieśniaka. Kto inny położył się koło twojej matki pewnej czerwcowej nocy, gdy na wzgórzach jak co roku zapłonęły ognie Kupały...*

– Mama nie żyje. Nie obroni cię.

– Wiem.

– Chodź do mnie. Dam ci jeść. W mojej chacie jest ciepły piec i naszykowane posłanie. Czekałam na ciebie, kwiatuszku.

Dziewczynka tylko kuli się jeszcze bardziej, buzia wykrzywia się jej w podkówkę.

– Nie póde stąd!

Starucha schyla się, żeby nakryć twarz zmarłej rąbkiem wytartej chusty. Bierze garść ziemi i rzuca na zwłoki. To, co przed chwilą było ludzkim ciałem, rozwiewa się jak dym.

– Popatrz, mamy już nie ma. Śniłaś o niej, to wszystko. Pora się obudzić i iść do domu. No, głuptasku, nie bocz się już na mnie. Nie zrobię ci krzywdy.

Gładzi czoło Rużenki, która bez sprzeciwu poddaje się pieszczocie.

– Od dziś ja jestem twoją mamą.

\*\*\*

– Na Zafela i Ofela, na Flaurosa i Furcasa! Ukaż się, mój panie!

Powierzchnia kryształu ożywa miriadami iskier, układających się w skomplikowane wzory. Z ognistych zygzaków wyłania się sylwetka mężczyzny w wysłużonym płaszczu i kapeluszu.

– Gdzie mała?

– Śpi – odpowiada starucha. – Mam ją zbudzić?

– Nie trzeba. Niech odpoczywa. Opiekuj się nią, nie żałuj starań. Niech się zdrowo chowa i szybko rośnie. Wyucz ją wszystkich swoich sztuk. Będzie mi dobrze służyć, czuję to. Wiesz, że znam się na ludziach.

Czarownica skwapliwie przytakuje, jej dłonie nerwowo skubią róg fartucha.

Demon w kapeluszu zaczyna się śmiać do swoich myśli. Przestraszone kruki trzepoczą skrzydłami, objają się o pręty, gubiąc pióra. Lecz zgiełk, jaki czynią, nie jest w stanie zagłuszyć śmiechu, który rozbrzmiewa coraz głośniejsze, aż w końcu nawet starucha wypuszcza z rąk fartuch i zatyka uszy.

– Rużeno. – Ochrypli głos wyrywa ją z odrętwienia.

Więzień z sąsiedniej celi unosi się na łokciu i patrzy wprost na nią. Jego oczy, choć szkliste od gorączki, są przytomne. Wiedźma nagle wie, że mężczyzna ją widzi – widzi poprzez mury.

– Rużeno, słyszysz mnie?

– Tak. – Jej szept jest właściwie tylko poruszeniem warg.

Mężczyzna unosi okaleczoną dłoń i wypowiada formułę w starożytnym języku – może po akadyjsku, może po aramejsku – a ściany rozmazują się, rozpływają. Rużena, wolna, przechodzi przez barierę wymiarów. W materialnym świecie jest tylko cieniem, więc przenika przez cegły i zaprawę. Zawisa nad pryczą i patrzy z niedowierzaniem na swego wyzwoliciela – wyniszczzonego starca, ubranego w brudne łachy.

Czy to możliwe...?

Mężczyzna patrzy na nią, a jego oczy powoli zmieniają barwę – stają się czarne, bezdenne. Zapadnięte usta wykrzywiają się w uśmiechu. Odkasłuje.

– Na początku było jak w baśni... – mówi powoli, a Rużena zamiera. – Młody książę odłączył się we mgle od swojej świty i zabłądził na pustkowiu. Spadłszy z konia, stracił przytomność. Ocknął się w chacie, pod powalą której suszyły się zioła i kołysały klatki z ptakami, pielęgnowany przez dziewczynę o włosach koloru nocy. Nie tyle olśniła go urodą, ile ujęła łagodnością i słodyczą. Bardzo szybko przywiązanie, jakim ją darzył, przerodziło się w coś więcej. W jego oczach nawet przez chwilę nie była tym, czym była: prostaczką w cuchnącym dymem odzieniu. Patrząc, jak uciera smagłymi dłońmi wonne maści, książę powtarzał sobie, że to na pewno górskie boginki wykradły ją z kołyski w jakimś możliwym domu, górskie boginki ją wychowały i nauczyły sztuki uzdrawiania...

Przerywa, by zakaszleć. Kaszle długo i głucho. W końcu nabiera ze świstem tchu.

– Gdy odzyskał siły, zabrał śliczną znachorkę ze sobą na zamek. Została jego kochanką. A po niedługim czasie w księstwie zaczęło wrzeć. Odrzucone propozycje mariaży, prowadzące do zerwania sojuszy, coraz głośniejsze plotki o planowanych zaślubinach, tak skandaliczne, że z początku nie chciano dawać im wiary... Zaczęto szeptać, że książę postradał rozum, ani chybi omamiony czarami. Nieżyczliwi mu wielmoże błyskawicznie wykorzystali okazję, aby umocnić swe stronnictwo. Potem zdarzenia potoczyły się jak kula śniegowa. Doszło do wojny domowej, która obróciła w ruinę kwitnący niegdyś kraj. Wiele łez wylano z powodu jednej czarnowłosej dziewczyny; wielu przeklinało ją, umierając...

Rużena milczy.

– W żadnej z kronik nie zachowało się jej imię – kończy z uśmiechem mężczyzna. – Tak było? Pewnie nie. Dziewczyny z pospólstwa uwodzą książąt tylko w baśniach.

– Kim jesteś? – szepta wiedźma.

– Arasz Adar, syn Szera, dziewiąty hrabia Nowego Babilonu, do usług. Pozdrowienia od twojego ojca, Rużeno. Jest teraz pod Stalingradem i podziwia zaciętość matuszki Rosji. Sam żałuję, że nie mogę śledzić sytuacji na bieżąco.

– Nie spieszyło się wam, co? – syczy nienawistnie wiedźma.

– Co masz na myśli?

Rużena traci cierpliwość; wściekłość wybucha w niej jak pękający wrzód.

– Czterdzieści lat! – krzyczy. – Czterdzieści ludzkich lat czekałam, aż łaskawie zechcecie mnie uwolnić! I co? Pofatygowaliście się teraz, bo nagle stwierdziliście, że jestem wam potrzebna? Kogo trzeba otruć? Szpiegować? Uwieść?

– Przecenisz nasze możliwości operacyjne – odpowiada spokojnie Arasz Adar. – Takich spraw jak



twoja mamy wiele, zwłaszcza ostatnio. Suczy syn Zahhak krzyżuje nam szyki, jak może. Poza tym niełatwo było do ciebie dotrzeć. Najpierw musiałem się postarać, żeby twoje akta na Górze, nomen omen, diabli wzięli.

– Przecież zamknęli mnie tu śludzy Szeolu.

– Za wiedzą i przyzwoleniem Góry. Nie wierzysz mi? Twój ojciec ma dowody.

Wiedźma nie wyczuwa w jego słowach kłamstwa. Spuszcza głowę.

– Więc jak wam się udało...?

– Jest wojna. W zaświatach panuje coraz większy chaos, i nawet Góra nie pilnuje już papierów tak, jak powinna.

Rużena czuje, że piekielny hrabia nie mówi jej całej prawdy – że gdyby im zależało, uwolniliby ją dużo wcześniej.

*To była próba, kukielko. Próba na wierność i zaangażowanie. Przeszłaś ją, jakżeby inaczej.*

– O co chodzi z tym więzieniem? – pyta, chociaż domyśla się odpowiedzi.

– Aby można było przełamać czary, którymi przywiązano cię do tego miejsca, ktoś musi oddać życie.

Wcieliłem się w tego człowieka, wiedząc, że wkrótce go aresztują i zamkną tutaj. Jest już na tyle słaby, że mogę przemawiać jego ustami, niedługo wyzionie ducha. Jeszcze tylko parę godzin i będziesz wolna. – Twarz mężczyzny znów wykrzywia uśmiech, tym razem pełen drwiny. – Chyba że litościwie zechcesz mi pomóc.

Wiedźma z rezygnacją potrząsa głową.

Jeszcze niedawno o niczym innym nie marzyła, lecz teraz powstrzymuje ją strach. Rużena boi się istoty, która siedzi wewnątrz tej schorowanej skorupy, a dodatkowo upokarza ją świadomość, że on o tym wie.

*Mogę poczekać. Mam czas.*

Mijają kolejne kwadransy, odmierzane chrapliwymi oddechami i kaszlem. W końcu więzień wzdycha przeciągle i jakby zapada się w sobie, a jego pierś przestaje się poruszać. Potem od jego ciała oddziela się cień, który stopniowo nabiera kolorów i materialności.

Demon wydostał się na świat.

Wygląda jak prawdziwy babiloński książę – śniady i przystojny, z brodą przyciętą w szpic, w szacie ze złotymi frędzlami. Długie czarne włosy utrefione ma w fale, w uszach kolczyki o kształcie kiści winogron. Gdy się uśmiecha, błyskają kły.

– Pożyw się, póki ciepłe – mówi, wskazując zwłoki, które wydają się jakby mniejsze, skurczone.

Rużena patrzy na niego niespokojnie.

– Arasz, co teraz będzie ze mną? Oddacie mi ludzkie ciało?

– Niestety, nie ma takiej możliwości.

– Więc, na Beliala, lepiej uwolnij mnie tak naprawdę – szepcze dziewczyna.

– Co?

– Przybyłeś na rozkaz mojego ojca, żeby mnie uwolnić? Więc zrób to. Odeślij mnie w nicość.

– Nie wygłupiaj się, kotku. To tylko głód odbiera ci rozum. Pożyw się, póki krew świeża.

– A ty?

Arasz robi ręką uprzejmy gest.

– Po tobie.

Rużena waha się jeszcze przez sekundę, lecz głód jest silniejszy od niej. Choć bezcielesna, nadal może go zaspokoić – to przywilej demonów, upiorów i wiedźm.

Kłęka obok trupa, w gryza się w jego szyję. Pije.

– Aleister Crowley byłby zachwycony – mamrocze po dłuższej chwili, prostując się chwiejnie. Czuje

uderzenie gorąca i narastającą euforię, jak po zastrzyku morfiny.

- Co?
- Stary znajomy, człowiek. Lubił narkotyki. Między innymi.
- Znam Crowleya. – Arasz patrzy na nią z krzywym uśmiechem. – Kawał pozera.
- A wiesz, że masz rację. – Dziewczyna kiwa głową. Wypita krew ogrzewa ją i sprawia, że świat zaczyna nabierać żywszych barw.

– Uśmiełem się, kiedy w dwudziestym trzecim Mussolini zamknął mu to jego opactwo na Sycylii... nieważne. Później ci opowiem.

Rużena czeka cierpliwie, aż towarzysz się pożywi. Następnie opuszczają więzienie, przenikając przez mury, niewidoczni dla strażnika, który idzie zajrzeć do celi, pojadając bułkę z owczym serem. Nie wie jeszcze, co tam zostanie i ile kłopotów go potem czeka. Przegryzione gardło więźnia – w tym kraju to zakrawa na wyjątkowo kiepski żart.

Wolność pachnie spalinami, deszczem i wiatrem od Karpat. Wiedźma smakuje ją widmowymi zmysłami. Napawa się.

Czuje miasto, które rozpościera się wokół jak potężny organizm – hydra domów, ulic i umysłów. Tysiące niedożywionych ludzi w źle ogrzanych mieszkaniach. A w tle wojna, obecna w ich zbiorowej świadomości jak wielki cień.

- Świat jest nasz – szepcze z uśmiechem Arasz Adar, jakby odgadł jej myśli.
- Świat jest nasz – powtarza Rużena, ujmując jego wyciągniętą rękę.

Wzbijają się w szarzejące niebo nad Braszowem i odlatują, bezszelestni niczym śmierć.

# Powrót do ogrodu

*Sprawię, że ślepi pójdą po nieznanej drodze,  
powiodę ich ścieżkami, których nie znają,  
ciemności zmienię przed nimi w światło,  
a wyboiste miejsca w równinę.*

Iz 42, 16

Jestem pamięcią.

Idąc przez pustynię, niosę pustynię w sobie. W cieniu, który rzucam, kryją się cienie zmarłych. Brnąc przez rozpalony piasek, powtarzam litanie martwych imion.

Złamano siedem pieczęci, siedem trąb przebrzmiało, lecz świat się nie skończył; gwiazdy nadal przesuwały się po niebie, a mrówki roją się na ziemi.

Słońce praży z góry, jaskrawe i obojętne. Owego ranka także świeciło słońce. Pamiętasz, Ojczy?

Zwykły, najzwyczajniejszy ranek. Cichy, coraz głośniejszy warkot silnika – ten i ów na ziemi unosi głowę, mając w pamięci niedawne naloty, lecz pojedynczy samolot nie budzi strachu.

Rozpoczyna się dzień w szkołach, fabrykach, bankach, urzędach i szpitalach. A z pogodnego nieba spada ku nam srebrne wrzecionko, gwiazda Piołun. Jeszcze nikt nie wie.

Jeszcze nikt nie wie.

Już.

Jasne światło, coraz jaśniejsze, oślepiająca biel. Powietrze wibruje. Potem narastające gorąco, piekielny żar. I podmuch, miażdżący domy jak kartonowe pudełka.

Rośnie chmura dymu i pyłu, rośnie coraz wyżej, rozszerza się w kształt grzyba.

\*\*\*

Oto ja, dzieło ognia. Spalona farba obłazi z drewnianego ciała, szklane oczy wytopiły się, pozostawiając puste oczodoły.

Wraz ze zburzonym kościołem przypadło moje imię.

Wokół, jak okiem sięgnąć, gruzy i popiół. Mijam zwęglone zwłoki ludzi i zwierząt. Przez morze ruin wloką się żywi, podobni do upiorów. Ogień wymazał ich rysy, odzież i skóra zwisają w strzępach.

Wloką się do rzeki, próbują w niej schłodzić poparzone ciała.

Niebo pociemniało, nie wiemy, czy jest noc, czy dzień. Rozjaśnia je luna – pożary trawią zburzone miasto. Woda z rzeki smakuje obrzydliwie, nie da się jej pić.

Długo, długo płonie, dopala się Nagasaki. Bez końca rozbrzmiewają w mroku jęki *hibakusha*.

Chłopak ze spaloną, opuchniętą twarzą nuci łamiącym się głosem pieśń buddyjską. Stara kobieta trzyma na kolanach martwe dziecko i modli się. Do kogo?

Nie ma we mnie światła, nadziei ani woli, tylko gorycz gwiazdy Piołun.

Zanurzam się w czarnej rzece, czarnej jak zapomnienie.

\*\*\*

Śmierć, jak lustro wody, rozdziela dwa światy. Gdy mrok otchłani zamyka się nade mną, po drugiej stronie płynę po jasnym niebie, a świat rozciąga się w dole, rozbrzmiewający echem bitew i skarg.

Zamrożony w czasie niczym panorama w czterech wymiarach.

Widzę was, moje siostry. Płyniemy pod sklepieniem niebios, pod promienistym okiem Stwórcy – trzy twarze zwrócone w trzy strony.

Jest kwiecień. Siły alianckie zajęły obóz Bergen-Belsen, gdzie wśród więźniów srożą się dyzenteria i tyfus. Za barakami wykopano doły, a w nich lądują wychudzone zwłoki, całe sterty odartych z odzieży trupów, jak znaczki pisma klinowego. Codziennie przybywa nowych. Buldożery zgarniają je spomiędzy baraków, pchają na miejsce pochówku.

Siostro, stoisz obok brytyjskich oficerów, którzy nadzorują ten trwający od kilku dni masowy pogrzeb. Niewidoczna dla ich oczu, masz chustę na ogolonej głowie, policzki rozpłomienione gorączką. W Bergen-Belsen, Dachau, Auschwitz i innych fabrykach śmierci czekałaś, dzień po dniu, by zamykać powieki tym, dla których kończyło się cierpienie. Odwieczna jak głód i zarazy, cierpliwa jak kornik, najstarsza z nas trzech, liczysz teraz tych, których nie policzy nikt poza tobą. Rysikiem zapisujesz ich na woskowej tabliczce, jak dobry kupiec, któremu musi się zgadzać ilość towaru.

Jest styczeń.

Nad zburzonym miastem góruje katedra; dzieło wolnych mistrzów murarskich sprzed kilkuset lat, smukła i dumna. Ocalała mimo bomb, które ją trafiły. Ostatniej nocy śnieg przyprószył załomy murów. Promienie zimowego słońca wpadają do zniszczonego wnętrza. Po witrażach zostały resztki szkła, trzymające się jeszcze w ołowianych ramkach. Nie ma ołtarza, wywieziono go w bezpieczne miejsce.

Moja druga siostro, siedzisz wewnątrz, marznąc mimo palta, na dywanie, który ktoś wyniósł z płonącego domu. Do piersi tulisz niemowlę.

Ruiny wokół katedry na pierwszy rzut oka wydają się martwe, lecz gdy przyjrzeć się dokładniej, tu i ówdzie można dostrzec ruch. Mrówki gmerają w zaśnieżonych pozostałościach mrowiska, metodyczne i zawzięte mimo zimna, mimo głodu.

Wielka jest siła mrówek.

Ktoś wiezie na taczkach ocalałe resztki dobytku. Stary człowiek z walizką w ręku patrzy na to, co zostało z kamienicy, w której mieszkał przez trzydzieści lat. Kobieta o twardej twarzy handluje pieczywem z deski wspartej na dwóch koziołkach. Wiatr szarpie zdarte do połowy obwieszczanie przyklejone na murze. „Soldaten...!”

W cieniu wojennych zniszczeń toczy się zwyczajne ludzkie życie, dzień po dniu, tyk-tyk, ziarnko do ziarnka. Życie, które potrzebuje koca i chleba, które umie śmiać się przez łzy.

Mizerna, blada, w złachmanionej odzieży, lecz z piersiami nabrzmiałymi mlekiem – moja druga siostro, siedzisz w katedrze, tuląc do siebie nadzieję.

\*\*\*

Dym uleciał. Mrówki odbudowują domy. Podpisano traktaty pokojowe, i cóż z tego?

Po niebie, brudnym od rdzy, galopuje Kain. Na wschód jadą transporty ludzi w bydłocych wagonach.

Idę przez nieobsiane pola, przez lasy zryte pociskami. Ziemia cuchnie ciepłą jeszcze śmiercią; w bruzdach ziemi gniją martwe ręce, rdzewieją guziki, butwieją mundury. Na Polach Elizejskich kwitną, niezapisane na żadnym nagrobku, imiona tych, których pochowano w zbiorowych grobach.

Co mi pozostało?

Odnaleźć Stwórcę.

Rzucić Mu w twarz garść prochu wraz z zapytaniem: dlaczego.

\*\*\*

Na pustkowiu, po którym niegdyś wędrowali Izraelici, piasek nie kwitnie manną. Wydma powoli

wchłania spalone pozostałości czołgów.

Schodząc ze wzniesienia, czuję znajomą obecność.

– Pokaż się, władco kłamstw! – wołam.

Mój głos, osłabiony pragnieniem, wysuszony przez upał, łamie się. Lecz wołanie usłyszano.

Zza grzbietu wydmy, utykając, wyłania się wsparty na lasce starzec. Spod brudnego burnusa wystają koźle nogi zakończone racicami.

Unosi na powitanie białą rękę, przeżartą tym samym trądem, co poraził Hioba.

– Ojciec Pustyni pozdrawia cię, niewiasto – kracze. – Daleko zaszłaś. A gdzie jest twój syn?

– Nie wiem – odpowiadam.

– Pamiętam, jak rozmawiałem z nim przez czterdzieści dni i nocy. Próbował mnie przekonać, bym opuścił świat ludzi. Mnie! – Ojciec Pustyni śmieje się nieprzyjemnie. – Wszak jestem najstarszym i najwierniejszym sługą Pana. Uwiodłem cię dawno temu, nie pamiętasz?

– Nie.

– Ale ja owszem. Za moją namową spożyliście owoc z Drzewa. Od tego wszystko się zaczęło. Stwórca zanudziłby się na śmierć, gdybyście tylko siedzieli w Edenie i wączali róże. Pamiętasz Eden, prawda?

Eden... Tak, ta nazwa budzi mgliste skojarzenia. W mej pamięci pojawia się wspomnienie szemrzących liści, zwierząt łaszących się do bosych nóg.

Ojciec Pustyni znów zanosi się chrapliwym, kraczącym śmiechem.

– Bylibyście tam szczęśliwi po dziś dzień, gdyby nie ja. Jakże mi przykro.

Wzbija się i ulatuje, łopocąc szatami.

Podmucha wiatru wzbija pył. Kolejny, silniejszy, prawie zbija mnie z nóg. Niebo rudzieje, potem ciemnieje. Nadchodzi bura wir pełen siekających ziarenek – burza piaskowa.

Nie, to nie burza. To Pazuzu, demon wiatru z południowego zachodu, co w porze suchej przynosi głód, w porze mokrej – chmury szkodników. Śpiewa głosem szarańczy i smaga jakby tysiącem batów.

Kulę się pod wydmą; wokół wyją psie pyski Pazuzu, łopoczą bure skrzydła. W gardle zasycha. Pić, tak strasznie chce się pić.

Tracę poczucie czasu, nie wiem, czy mijają godziny, czy dni. W ciemności, pyłe i duchocie, jak w łonie matki-pustyni, umieram po raz drugi. Moje drewniane ciało rozpada się w proch; przepoczwarzam się, zapominam.

Gdy wiatr w końcu cichnie, a pył opada, wstaję i idę dalej.

Jestem zmęczona, tak zmęczona, jakbym dźwigała na ramionach cielsko Lewiatana. Krew z moich pokaleczonych stóp wsiąka w piach.

Zapada zmierzch. Potykam się o kamień, a gdy unoszę głowę, widzę odsłonięte przez wiatr resztki fundamentów. Przed tysiącami lat była tu twierdza, miasto pośrodku pustyni. Potem nadciągnęły wojska babilońskie i po długim oblężeniu pokonały obrońców. Zburzono mury, obalono posągi tutejszych bożków, a ludność wyrżnięto lub popędzono w niewolę.

Ponad trzy tysiące lat później starli się tutaj żołnierze z odległych krajów. Nieliczny oddział, który dał się okrążyć przez przeważające siły, lecz bronił się dzielnie, został wystrzelany do ostatniego człowieka. Pozostały wypalone skorupy czołgów i dżipów, jak podeptane, porzucone zabawki olbrzyma. I zwłoki, teraz już prawie szkielety. Mijam je obojętnie.

Na nocnym niebie błyska spadająca gwiazda. Jeden z trupów podnosi się, jego kości błyskawicznie porastają ciałem. Staje się dwudziestolatkiem w obszarpanym mundurze. W zarośniętej twarzy płoną błędne oczy.

– Miało być inaczej – szepcze ochryple. – Miałaś zmiażdżyć głowę szatana, a on tobie piętę.

Milczę, bo nie wiem, co odpowiedzieć. Tak, miało być inaczej. Złamano siedem pieczęci, przebrzmiało siedem trąb, lecz nie ma triumfu Baranka, nie ma nowego Jeruzalem.

– Daj mi pić! – błaga chłopak, wyciągając ręce. – Wody!

– Nie mam wody – odpowiadam.

– Więc bądź przeklęta! – krzyczy. Zatacza się i pada jak podcięte drzewo. Z jego ust wypęza żmija i wbija mi kły w stopę, wsącza palący jad.

Na pustyni, niedaleko przysypanych piaskiem ruin zapomnianej twierdzy, umieram po raz trzeci.

\*\*\*

Po nocy nastaje dzień. Na pustkowiu, gdzie nie dolatują nawet kruki, odnajduje mnie świt.

Odnajduje mnie pasterz.

Młody, prawie chłopiec; długowłosa, odziany w zwierzęce skóry. Na jego piersi – krwawa rana. Na ramionach niesie uśpione jagnię.

– Wstań, matko – mówi. – Wstań i chodź. Wskażę ci drogę do Ogrodu.

W chłodzie poranka wspinamy się na szczyt wzniesienia.

– Tam – mówi pasterz, mój zamordowany, zmartwychwstały syn, a potem znika, rozplywa się w złotym świetle; staje się pierwszym promieniem wschodzącego słońca. Patrząc we wskazanym kierunku i moje serce wzbiera radością, bo rozpoznaję ten widok, to miejsce. Spomiędzy zielonych wzgórz wypływa rzeka.

Rzeka, która niżej, na równinie, rozdziela się na cztery rzeki – Piszon, Gichon, Chiddekel i Perat.

\*\*\*

Brodzę po kolana w wartko płynącej, migotliwej wodzie. Pomiędzy kamieniami dostrzegam spiralnie skrócone muszle amonitów. To znak, że nie zmyliłam drogi.

Rzeka płynie dnem wąwozu; skalne ściany po obu stronach stają się coraz wyższe. Aż w końcu oślepia mnie błysk metalu, odbijającego słoneczne promienie.

Wąwóz zamyka Brama, złota i potężna, zdobna w wizerunki zwierząt i aniołów.

Podchodzę bliżej i widzę plamę cienia, skazę, która kała błyszczącą doskonałość Bramy. Ciemna, pokraczna postać strzeże wrót Edenu.

To Ereszkigal, królowa bezwodnych krain. Czekala tu na mnie; czeka na końcu każdej z dróg.

Jest przygarbiona, skurczona, owinięta w szaty utkane z kurzu, pajęczych nici i wronich piór. Połowa jej ciała cuchnie, przezarta zgnilizną. W skołtunionych włosach roi się robactwo.

– A więc przyszedł – mówi, uśmiechając się połową twarzy. Wyciąga prawą dłoń, siną, upstrzoną plamami rozkładu.

– Nic nie mam – mówię, sądząc, że żąda zapłaty za przejście dalej. Lecz Ereszkigal śmieje się wzgardliwie.

– Głuptasku, niczego od ciebie nie chcę. Nie ma niczego, co mogłabyś mi dać.

Potrząsa dłonią; teraz widzę, że trzyma w niej złoty kluczyk o kształcie krzyża ankh.

– To dla ciebie, malutka, od Niego. Klucz do Edenu.

– Dlaczego? – pytam cicho, lecz Ereszkigal nie raczy odpowiedzieć. Odchodzi ociężale jak nastroszone ptaszysko; znika wśród skał, pozostawiając po sobie jedynie odór padliny, jak zły sen.

Cóż teraz? Dotarłam do celu i jestem sama. Nie ma anioła z ognistym mieczem. Nie ma mego syna, który odszedł, by zająć należne mu miejsce po prawicy Ojca.

Tylko Brama i klucz.

Otwieram Bramę i wkraczam do Edenu.

Teraz pamiętam.

Pamiętam, jak uciekaliśmy stąd z oczami zaćmionymi płaczem i wstydem, a siekący grad zostawiał bolesne ślady na naszych ciałach. Teraz nieboskłon przypomina kopułę z błękitnego egipskiego szkła, zaś raj rozciąga się przede mną, spokojny i niezmienny.

*Pairidaeza*, zamknięty ogród, oaza. Wiatr szemrze w gałęziach drzew, w pierzastych liściach palm i olbrzymich paproci.

W cieniu zarośli wylegają się drapieżniki. Lwy i lamparty, niedźwiedzie, tygrysy i szakale. Patrzą obojętnym, sytym wzrokiem; czasem jakiś ogon poruszy się niecierpliwie, z gardła dobiedzie się ospały pomruk. Niedaleko, w wysokiej trawie, spokojnie pasą się sarny, antylopy, gazy i wielkie nietopne ptaki.

Oto miejsce, z którego wyszło wszelkie życie. Barwy, kształty, zapachy kłębią się tu w nieskrępowanym szaleństwie witalności. Skrzeczą papugi. Długoszyje jaszczury, których nazw nie znam, przeżuwają pędy skrzypów i psylofitów. Wokół kwitnących magnolii unoszą się ważki wielkości gołębi. Nad sagowcami kołuje pterodaktyl.

Eden, choć mały i otoczony murem, jest całym światem; jest większy niż świat. Olśniona jego przepychem, stąkam ostrożnie, by nie zdeptać najdrobniejszego kwiatu, najmniejszego owada.

Aż wreszcie odnajduję Drzewo.

Milczące i dostojne, chyli gałęzie ciężkie od złocistych jabłek.

Zmieniło się, odkąd ostatni raz je widziałam. Urosło; jego pień stał się gruby niczym dorycka kolumna, gałęzie rozpościerają się szeroko. W ich cieniu, wtulone ufnie w siebie, śpią lwiątko i orangutan. Nie budzą się nawet, kiedy staję tuż obok.

Dotykam pnia; pod szorstką powierzchnią wyczuwam odległe pulsowanie soków, serce bijące w głębi.

Ważki trzepocą; prześwietlony słońcem baldachim liści rozbrzmiewa ptasimi trelami.

Jaki spokój. Czas sączy się leniwie jak miód. Po korze Drzewa pełźnie liszka. Jabłka kołyszą się nade mną, jedno spada z miękkim stukiem.

Gdy tak patrzę na wspaniałość Ogrodu, powoli zaczynam rozumieć.

Jeden czy drugi błąd, fałszywa zmienna, zepsuły Dzieło tak, że nie sposób go już naprawić? Wszak i wielcy uczą się na błędach. Tamten świat można zostawić własnemu losowi; niech się burzy i kotłuje, na przemian gnije, rozpada i goi. A tutaj zacząć wszystko od nowa.

Mój histeryczny śmiech płoszy ptactwo żerujące w trzcinach. Lwiątko budzi się i jednym susem czmycha w zarośla. Orangutan zrywa się nieprzytomnie, po czym patrzy na mnie z wyrzutem.

O tak, Stwórco, zacznę wszystko od nowa.

Zdejmuję osmalone łachmany, by zanurzyć się w rzece. Krystaliczny nurt zmywa ślady ognia, brud i łzy, lecz nie jest w stanie odebrać pamięci.

Naga kładę się pod Drzewem, zaciskając w dłoni klucz w kształcie znaku ankh. Patrząc w przejrzyste niebo i przywołuję z powrotem obrazy. Wzbierają we mnie zburzone domy, groby pełne imion, po których nikt nie płakał, wspomnienie zamordowanego syna z krwawą plamą na piersi.

Wzbiera we mnie siła.

Mój język staje się rozwidlony, a skórę powlekają błyszczące jak złoto łuski.

*Madonna, oraz szopka bożonarodzeniowa przedstawiająca ruiny Kolonii – „Friedenskrippe”.*



# Po stronie mroku

Światło poranka nie czyniło obscurnego pokoju o pożółkłych od dymu ścianach ani trochę przyjaźniejszym miejscem. Cóż, przynajmniej prześcieradła dawali tu czyste.

Z tawerny po drugiej stronie ulicy dobiegały pijackie wrzaski. Klnąc pod nosem, Sangre Veland wysunęła się z pościeli i podeszła do okna, żeby je przymknąć.

Ciemnowłosa i smukła, poruszała się z gracją dzikiego zwierzęcia niczym rodowita mieszkanka piekieł. Ci, którzy brali ją za demona czystej krwi, mylili się jednak. Sangre była śmiertelniczką, prochem z prochu. Czarna rękawiczka kryła blizny po oparzeniach na jej prawej dłoni; pamiątkę próby, którą przeszła jeszcze za życia, żeby udowodnić szatanowi, że dla niego zniesie każdy ból.

Przeciągnęła się; w całym ciele czuła miłe rozleniwienie. Poprzedniego wieczoru razem z większością mieszkańców Zoth Tenebra bawiła się w dobrym stylu, zgodnie z prastarą tradycją, zawsze modną w Szeolu. Maść z pokrzyku, lulka i ptasiego tłuszczu zapaliła w żyłach tłumy ciemny ogień, tak że szybko przestało się liczyć, kto się bawi z kim.

No, dla Sangre prawie przestało. Ona pod pewnymi względami zawsze była wybredna i wolała kilka kieliszków dobrego szampana od morza mieszanych trunków nie najlepszej próby.

Wspomnienie przywołało na jej wargi uśmiešek. Odwróciła się. Jej apetyczny kąsek jeszcze się nie obudził. Leżał na boku, zmierzwione, niebieskawobiałe włosy opadały na gładkie czoło. Miał twarz jak ostrze sztyletu, o wąskich zaciętych ustach, których wyrazu nie mógł zmiękczyć nawet sen.

W przeciwieństwie do niej był czystej krwi Szeolitą i chociaż wiele tysięcy wcześniej płonął, porażony karzącą ręką Pana, na szczupłym, bladym ciele nie widniała ani jedna blizna.

Do odgłosów dobiegających z tawerny dołączył dźwięk rogu grającego, o ile słuch jej nie mylił, groteskowo zniekształcony motyw z „Carmina burana”.

– *In taberna quando sumus* – zanuciła odruchowo, stukając do taktu w parapet długimi, zadbanymi paznokciami.

Mrużąc oczy, ponownie popatrzyła w dół, na ulicę. Noc orgii i szaleństw nie pozostała bez echa. W rynsztoku leżało nagie ciało kobiety, z krwią na ustach i udach. W błocie walały się wstążki oraz sztuczne kwiaty, którymi poprzedniego wieczoru ozdobiła wymyślną fryzurę. Wkrótce się przebudzi i powlecze w mrok, by w cuchnących zaułkach dalej odbywać swoją karę.

Ciepły podmuch poruszył włosami Sangre. Odwróciła się. Na wysokości jej twarzy unosił się zapieczętowany, lekko dymiący arkusik pergaminu. Chwyciła go, przełamała pieczęć, na której widniał herb namiestnika – wąż oplatający dwa skrzyżowane miecze. Wiadomość, zapisana czerwonym atramentem, była krótka.

*Jesteś potrzebna.*

Sangre zaklęła. Zmięta i odrzuciła pergamin, który natychmiast zajął się ogniem i spłonął. Pozbierawszy z podłogi rzeczy, pośpiesznie zaczęła się ubierać. Demon o włosach barwy lodu, który tymczasem zdążył się ocknąć, przekreślił się na bok i obserwował ją spod przymrużonych powiek.

– Coś się stało?

– Służba. – Wzruszyła ramionami. – Wzywają mnie.

– Wrócisz tu dzisiaj?

– Nie sądzę.

Uśmiechając się krzywo, demon posłał jej pocałunek. Sangre skinęła z roztargnieniem głową, zapinając klamry butów.

Zbiegając po schodach, nie myślała już o nim.

\*\*\*

Palazzo Dolore wznosił się w samym sercu Zoth Tenebra – czarna, posępna budowla. Każdy, nawet najmniejszy fragment murów pokrywały wyrzeźbione sylwetki ludzkie, powykręcane w groteskowych pozach i z twarzami wykrzywionymi cierpieniem. Plotka głosiła, że w kamieniu uwięzione są dusze potępionych. Zdaniem Sangre nie było w tym żadnej logiki – ostatecznie kamień nie cierpi. Cierpieć mogą co najwyżej patrzący, jeśli rzeźbiarz był marny, jak w tym przypadku.

Załogę twierdzy stanowiły w większości drachenkopfy i iblisy – ponure stwory z odległych, pustynnych rubieży Szeolu, dzikie i nieprzewidywalne. Iblis w zbroi i hełmie z zasłoną w kształcie lwiego łba, który powitał Sangre przy bramie, odnosił się do wojowniczkę z nienaganną grzecznością, ale w wąskich czerwonych ślepiach wyraźnie dawało się odczytać pragnienie rozerwania jej na strzępy.

– Proszę za mną – zasyczał. – Obejdzie się bez pochodni?

– Obejdzie się.

Choć nie spędziła w piekle jeszcze nawet stu ziemskich lat, Sangre już widziała w ciemnościach nie gorzej od większości czartów.

Idąc śladem przewodnika przez mroczne korytarze, w których odgłos kroków rozbrzmiewał głuchym echem, nagle uświadomiła sobie, że jest dziwnie cicho. Zrozumiała, że opróżniono cele w całym skrzydle. Znaczyło to, że sprawa jest poważna.

Dotarli w końcu do skrzyżowania korytarzy, skąd brały początek schody wiodące w dół, w jeszcze gęstszy i bardziej smrodliwy mrok. U ich szczytu, wsparty na włóczni i nieruchomy jak posąg, czekał potężny drachenkopf o łuskach mieniących się niczym ogon pawia – sam dowódca straży więziennej, Maleforos al-Urra, zwany Tysiąc Oczu.

Obok Maleforosa stał Werner Markoff, barczysty, krótko ostrzyżony Niemiec w czarnym skórzanym płaszczu i ciemnych okularach. Skinął jej głową, nie przestając ćmić nieodłącznego papierosa.

Sangre mrugnęła do niego, po czym skłoniła się nisko przed demonem.

– Jakie wieści? – spytała.

– Mamy problem – stwierdził oczywisty fakt dowódca straży, nerwowo poruszając koniuszkiem ogona.

\*\*\*

– Nieźle – ocenił Markoff, wyjmując papierosa z ust. Wydmuchnął chmurę dymu i raz jeszcze otaksował wzrokiem zniszczenia, po czym splunął. – Wiadomo chociaż, co to było? Napalm? Bomba fosforowa?

Dowódca straży zasyczał niecierpliwie. Nie był, oględnie mówiąc, w nastroju do żartów.

Sangre zadarła głowę i uniosła wyżej latarnię, żeby oświetlić czarne od spalenizny sklepienie celi, w którym ział rozległy wyłom.

– Cud, że to wszystko się nie zawaliło.

– Solidne budownictwo. Ziemski beton się nie umywa. – Niemiec zdeptał niedopałek. – Kapitanie, założę się o mój karabin i dziesięć srebrnych kul, że ktokolwiek stąd prysnął, nie uciekł daleko.

– Doprawdy? Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

– Ktoś, kto przebił głową taki kawał muru, raczej nie będzie biegał zbyt szybko.

Ogon Maleforosa świsnął w powietrzu jak bicz. Markoff zaklął szpetnie, chwytając się za policzek,

na którym wykwitła krwawa pręga.

– Pańskie poczucie humoru mnie drażni – oznajmił chłodno demon. – Proszę mieć to na uwadze.

Widać było, że najemnik najchętniej wyciągnąłby pistolet, opanował się jednak. Bardzo słusznie – Maleforos rozszarpałby go, zanimby padł pierwszy strzał. Markoff zgrzytnął więc tylko zębami i skłonił się na znak, że przyjmuje reprimendę. Sangre udała, że niczego nie spostrzegła.

Raz jeszcze obeszła celę, oświetlając latarnią każdy kąt. Na jednej ze ścian pod warstwą sadzy wciąż można było rozróżnić wizerunek smoka, wymalowany chyba krwią.

– Tak, też to zauważyliśmy – odezwał się zmęczonym głosem dowódca straży. – Właśnie dlatego współpracuje z nami Guldenhorn. Ma hipotezę, że coś tu przeniknęło z niższych piekieł, być może wezwane przez jednego z więźniów. Ale jak dotąd nie udało mu się ustalić niczego konkretnego. – Jego mina dobitnie świadczyła, co sądzi na temat współpracy z Guldenhornem.

– Zaraz, zaraz – zmrużył oczy Markoff. – Nadworny mag sądzi, że coś mogłoby tak po prostu przybyć z dołu i spalić celę razem z więźniami? O ile mi wiadomo, Palazzo ma blokady.

– Ma. Solidne. Inaczej nieproszeni goście roznieśliby nas na strzępy. – Demon uśmiechnął się kwaśno. – Tyle cierpienia, tyle nienawiści... Wszystko, co mieszka w niższych kręgach, ciągnie do takiej aury jak muchy do miodu. A dogadać się z nimi nie sposób. Potrafią tylko niszczyć i żreć. Słusznie pan rozumuje, Markoff. Blokada jest nienaruszona, więc nie ma możliwości, by istota z dołu przedostała się portalem do Palazzo Dolore. Ale zdaniem Guldenhorna to o niczym nie przesądza. – Zdawało się, że chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkł, wbijając ponure spojrzenie w rysunek na murze.

– Kto był tu więziony? – spytała Sangre.

– Standardowy zestaw – wzruszył ramionami Tysiąc Oczu. – Akta są u mojego zastępcy. Dwóch serbskich żołnierzy posadzonych za zbrodnie wojenne, pedofil z Hamburga i rosyjski zabójca mafijny. Na pierwszy rzut oka nic ciekawego.

– Żaden nie parał się za życia czarną magią?

– W aktach nie ma na ten temat wzmianki. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. – Demon skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę. – Nasze akta mogą nie być kompletne. Czasem ci z wyższego szczebla uważają za stosowne coś zataić.

Chciał mówić dalej, ale przerwał mu huk i szum ognia. U szczytu schodów rozszalało się miniaturowe inferno – znak, że ktoś uruchomił zaklęcie teleportacyjne z fantazją i rozmachem. Albo po prostu w pośpiechu nie wymówił inkantacji jak należy.

Gdy płomienie opadły, wystąpiła z nich masywna postać w haftowanych złotem szatach, przywodzących na myśl modę starożytnego Babilonu. Jej głowę wieńczyły imponujących rozmiarów kręte rogi.

– Hej, ty tam, w zbroi, co to ma znaczyć? Co tu robią ci śmiertelnicy? Mieli się najpierw zgłosić do mnie!

Guldenhorn znał się – podobno – doskonale na swoim fachu, ale odróżnienie dowódcy straży od pospolitego żołnierza najwyraźniej przekraczało jego możliwości. Maleforos wyprostował się, od niechcienia kołyszając ogonem.

– Postąpiłem zgodnie z rozkazami. Miałem pokazać łowcom celę i ślady.

Rozpoznawszy wreszcie, z kim ma do czynienia, mag nieco się skonfundował.

– Proszę wybaczyć, kapitanie. Zaszło nieporozumienie. Pani Veland, panie Markoff, zapraszam do mojej wieży. Wyjaśnię wam sytuację.

Maleforos, choć nie objęty zaproszeniem, zbliżył się również, całą postawą dając do zrozumienia, że nie zgadza się na wykluczenie z towarzystwa. Guldenhorn zmarszczył brwi, ale nie kazał mu się cofnąć. Szepcząc zaklęcie, sypnął przed siebie proszkiem ze skórzanego woreczka i otoczył ich nowy wir

płomieni.

\*\*\*

Gabinet Guldenhorna mieścił się na szczycie najwyższej z wież pałacu namiestnika. Był tak zakurzony i zagracony, jakby urzędował tam podrzędny wróżbita, a nie nadworny mag.

Właściciel pomieszczenia skinieniem wyczarował z powietrza trzy krzesła i zaprosił przybyłych, by usiedli. Sam zajął miejsce za biurkiem, na którym leżało kilka ksiąg, woskowa figurka z powbijanymi szpilkami oraz plik pergaminów przyciśnięty ludzką czaszką. Zmrużył ślepie.

– Zaszło nieporozumienie – powtórzył. Cedził słowa w sposób, który nie spodobał się wojownicze. – Obawiam się, że zostali państwo wtajemniczeni... nazbyt pochopnie. Ale jeszcze nic straconego. – Wyjął z zanadru szklaną buteleczkę. – Mam tu naszykowany czar amnezyjny, na wypadek gdyby ktoś z państwa uznał, że woli się wycofać. Na tym etapie jeszcze można.

Odpowiedziało mu milczenie. Z pełnej obrzydzenia miny Niemca można było łatwo wyczytać, co sądzi na temat wycofywania się oraz czarów amnezyjnych. Sangre siedziała bez ruchu, wodząc spojrzeniem od jednego demona do drugiego.

– Bardzo dobrze. Od tego momentu obowiązuje was tajemnica. Niedochowanie jej – Guldenhorn na mgnienie oka ukazał kły – skończy się źle. Pani Veland, panie Markoff, nie będę taił: sytuacja jest poważna. Przedwczoraj późnym wieczorem w Palazzo Dolore w nieznanym okolicznościach doszło do... incydentu, którego skutki widzieliście na własne oczy.

– Widzieliśmy. – Niemiec zapalił kolejnego papierosa, zaciągnął się głęboko. – Więźniów i celę diabli wzięli, nie obrażając nikogo z obecnych.

– Poniekąd. – Tysiąc Oczu spojrzał nań koso, a koniuszek jego ogona drgnął.

– Ale to jeszcze nie wszystko – podjął mag. – Kapitanie, mówiłeś im już o tym żołnierzu?

– Nie. – Oblicze Maleforosa upodobniło się do chmury gradowej.

– Więc opowiedz.

– Wczoraj po południu rzeka wyrzuciła szczątki jednego z moich iblisów – oznajmił niechętnie dowódca straży. – Odarte ze zbroi i spalone na węgiel. Ten iblis był na służbie w czasie, gdy w Palazzo Dolore ogłoszono alarm. Razem z pozostałymi brał udział w poszukiwaniu śladów. Jak reszta strażników z tamtej zmiany, zszedł z posterunku o świcie, gdy już opróżniliśmy cele i zamknęliśmy skrzydło. Wtedy po raz ostatni widziano go żywego. Możliwości są trzy. Albo to zbieg okoliczności, w co nie wierzę, albo ten strażnik coś wiedział i usunięto go celowo, albo...

– Albo ktoś go zabił wcześniej i podszył się pod niego na czas tamtej wachty – uzupełnił Guldenhorn. – Ja się skłaniam ku tej ostatniej wersji.

– A są jakieś dowody? – odezwała się Sangre. Demon spojrzał na nią spod oka i zbyt późno zreflektowała się, że nadworny mag prawdopodobnie nie lubi, by śmiertelnicy kwestionowali jego słowa. Ale nie przejęła się zbyt. – Proszę wybaczyć. Mam dociekliwą naturę.

– Tak, są dowody. Trudne do objaśnienia komuś, kto nie jest magiem, więc będą państwo musieli mi uwierzyć na słowo. – Guldenhorn zniżył głos. – Mam podstawy, by sądzić, że do Zoth Tenebra przedostał się intruz. Bardzo niebezpieczny intruz. Silny, sprytny, umiejący zmieniać swoją postać i władający ogniem, który zabija demony.

– To chyba można sprawdzić. O ile mi wiadomo, istnieją zaklęcia, pozwalające odnaleźć trop sprawcy.

– Zgadza się. – Mag skinął głową. – Ale żeby ich użyć, trzeba posiadać coś, co zostawił tropiony. Wystarczy błahostka, skrawek odzieży czy choćby włos... Tym razem nie znaleźliśmy niczego, co można byłoby wykorzystać.

Zapadła cisza, którą przerwał Markoff.

– Jeśli zostajemy wynajęci, żeby zlikwidować sprawcę, najpierw chcę wiedzieć, co to za jeden.

Demon, miszling, bestia?

– Obawiam się, że my również tego nie wiemy – odrzekł Guldenhorn. – Przypuszczalnie coś, co przedostało się tu z niższych piekieł, by zgodnie ze swą naturą siać chaos i zniszczenie. Może przybyło w odpowiedzi na wezwanie, może z własnej inicjatywy... kto wie? Palazzo Dolore ma blokady, ale intruz nie dostał się do Zoth Tenebra przez Palazzo Dolore. Wszedł tam przez główną bramę, najprawdopodobniej zakamuflowany jako ten nieszczęsny strażnik. Upatrzywszy odpowiednią chwilę, pokazał, co potrafi, a potem umknął. Zostawiając wszelako swój podpis...

– Wizerunek smoka na ścianie – dokończyła Sangre. – Ciekawe, czemu akurat smoka.

– W pani ojczystych stronach smok jest, jeśli się nie mylę, symbolem zła i ciemności – wmieszał się do rozmowy Maleforos. – To by było jedno z możliwych wyjaśnień. Nie w tym rzecz. Kimkolwiek i czymkolwiek jest sprawca, należy z nim zrobić porządek, zanim znów uderzy. Nie potrzeba nam niepokojów w mieście.

*I tu was boli* – pomyślała Sangre. – *Obecny namiestnik, który tak sobie ceni kompetentnych magów i dobrze wyszkolone wojsko, nigdy nie cieszył się powszechnym poparciem. Wrogie stronnictwa tylko czekają na okazję, żeby wzniecić zamieszki i przechwycić władzę. Szalejący po mieście potwór z niższych piekieł to wymarzona woda na ich młyn. A wam, wiernym poplecznikom Lape Zodire, taki rozwój wydarzeń byłby bardzo nie na rękę. Dlatego panowie Maleforos i Guldenhorn, choć na co dzień się nie lubią ani nie szanują, teraz stworzyli wspólny front.*

*I dlatego siedzimy tutaj my, zaprzysiężeni, tak słabi w porównaniu z wami. Nie wiecie, komu spośród swoich możecie ufać.*

*Ale cyrk.*

Po minie Wenera mogła poznać, że jego myśli biegną podobnym torem. Chytrze zmrużył oczy.

– Jaką zapłatę oferujecie?

Guldenhorn uśmiechnął się jak ktoś, kto ma asa w rękawie.

– Jeśli wytropicie i zabijecie tę istotę nie później niż w ciągu trzech dni, zostaniecie zaliczeni w poczet szlachty piekielnej. Zyskacie prawo noszenia szponów i skrzydeł. Prócz tego, oczywiście, zapłacimy złotem. Pięć tysięcy henochiańskich koron.

– Do podziąłu?

– Na głowę, przyjacielu. Umiemy być hojni.

– A jeśli nie uda się w ciągu trzech dni, co wtedy?

– Jeśli uda się nie w ciągu trzech dni, tylko powiedzmy czterech do siedmiu, nie będzie nominacji szlacheckiej. Ale zapłacimy po trzy tysiące henochiańskich koron na głowę.

– A jeśli się nie uda? – drążył najemnik. – Jeśli wcześniej, dajmy na to, sprzątnie go ktoś inny?

– Wtedy ten ktoś otrzyma trzy tysiące koron, a wy się obejdziecie bez zapłaty. – Mag wzruszył ramionami. – To i tak dobre warunki.

– Wchodzę w to – stwierdziła Sangre. – Mogę pracować sama.

– O, co to, to nie! – Markoff aż podskoczył. – Nikt nie będzie opowiadał, że stchórzyłem przed zadaniem, które ona przyjęła. Dawajcie cyrografy!

– Cieszę się, że tak prędko się państwo zdecydowali – stwierdził Guldenhorn, wyjmując z szuflady biurka dwa arkusze pergaminu. – Dokumenty mam naszykowane. Proszę podpisać tu i tu. Tradycyjnie, krwią z serdecznego palca.

– Wypadałoby się dogadać w technicznych kwestiach – stwierdził Niemiec, gdy wyszli na zewnątrz.

– To znaczy?

– Działamy razem czy każde na własną rękę?

Sangre zmierzyła go wzrokiem. Znali się głównie ze słyszenia – Markoff podróżował po całym Szeolu, przyjmując zlecenia od każdego, kto mu zapłacił, podczas gdy ona pozostawała w mniejszym lub większym stopniu na żołdzie namiestnika Zoth Tenebra. Sądząc z tego, co o nim opowiadano, Niemiec nie był ani uczciwszy, ani bardziej honorowy niż przeciętny mieszkaniec piekieł i w normalnych warunkach zdecydowanie wolałaby działać sama, ale coś jej mówiło, że nie tym razem.

– Jeśli nawet wykonasz zadanie w pojedynkę, na twoim miejscu nie liczyłabym, że zapłacą podwójnie. – Wzruszyła ramionami.

Popatrzył na nią badawczo, po czym nie śpiesząc się, wyjął kolejnego papierosa i zapalił.

– Myślę, że w tej robocie tkwi haczyk – stwierdził, wydmuchując dym. – Za wysoką cenę oferują.

– Coś w tym jest – przyznała obojętnym tonem Sangre.

Markoff rozejrzał się. Stali pośrodku pałacowego dziedzińca, a w zasięgu wzroku nie było nikogo. Zniżył głos do szeptu.

– Proponuję sojusz. Działamy razem... i nie wykręcamy sobie nawzajem brzydkich numerów. Co ty na to?

Traktował ją z respektem, co było miłą niespodzianką. Zbyt często zdarzało się, że musiała wyprowadzać z błędu głupców, którzy odnosili się do niej, jakby była naiwną panienką, a nie wojownikiem Szeolu. Co ciekawe, celowali w tym śmiertelnicy, a nie demony.

– W porządku – zgodziła się.

– Umowa stoi. – Markoff klepnął ją w ramię. – Chodź, współpracuj.

– Dokąd na początek?

Uśmiechnął się.

– Zobaczysz.

\*\*\*\*

Podłe dzielnice Zoth Tenebra zamieszkiwała zbieranina wszelkiego rodzaju mętów. Potępieni, którzy odbyli już najcięższą część kary, miszlingi, zwane też halbdiabłami – owoce związku śmiertelnicy lub śmiertelnicy z demonem – a także czarty pośledniego rodzaju, jak latańce i yao. Wszystko to gnieździło się w ruderach, piwnicach i skleconych byle jak szałasach.

Markoff zatrzymał się przed niskim drewnianym budynkiem. Wyblakły szyld nad drzwiami głosił po łacinie, hebrajsku i niemiecku, że można tu kupić leki, zaklęcia tudzież trucizny.

– Jak stoisz ze specyfikami pierwszej pomocy?

– Nie potrzebuję niczego. – Sangre nie zwykła się zaopatrywać w eliksiry lecznicze w tak podrzędnych przybytkach.

W ciemnym wnętrzu pachniało ziołami, spirytusem i formaliną. Aptekarz wyglądający jak z szesnastowiecznej ryciny, w birecie i szacie podbitej futrem, na widok Niemca skłonił się i wyszczerzył poźółkłe zęby.

– Czym mogę służyć? Maść regeneracyjna, jak zawsze?

– Daj dwa opakowania maści i eliksir tamujący krew. Czekaj, to nie wszystko. Dorzuć jeszcze – Markoff rozejrzał się po półkach – duże pudełko czekoladek „Walpurgisnacht”.

Aptekarz wytrzeszczył oczy, ale nie skomentował. Posłusznie zdjął z półki bombonierkę opakowaną w złoty papier.

– Te czekoladki to na przynętę? – Sangre uniosła brwi, gdy wyszli na zewnątrz.

– Na zachętę. Musimy się przypochlebić pewnej pani, żeby zechciała nam poświęcić czas.

\*\*\*

Wróżbitka Bernardita Mendez urzędowała na targowisku w drewnianej budzie, na ścianach której widniały kabalistyczne symbole.

– Jesteś pewien, że to ma sens? – spytała powątpiewająco Sangre, gdy tylko zorientowała się, dla kogo przeznaczone są czekoladki. Jeszcze z ziemskiego życia wyniosła sceptyczne nastawienie do wszelkiej maści wróżb. W Szeolu co prawda różne rzeczy wyglądały inaczej, działała magia, ale mimo wszystko...

– O, Bernardita zna się na swoim fachu. Już parę razy naprowadziła mnie na trop.

– Mógł to być ślepy traf.

– Spróbować zawsze warto. I tak od czegoś trzeba zacząć.

Wejścia do budy pilnował miszling o ropuszym pysku i chytrych żółtych ślepiach.

– Konsultacja kosztuje pięć koron – wysyczał, przypatrując się im wrogo. – Wróżby są cenione w zależności od wagi pytania.

Markoff rzucił mu monetę. Miszling skłonił się, po czym odchylił zasłonę u wejścia.

Sangre, która o Bernardicie Mendez słyszała co nieco, spodziewała się ujrzeć paskudne babsko i nie omyliła się. Przy nakrytym brokatową kapą stoliku siedziała gruba kobieta o rysach zdradzających domieszkę krwi indiańskiej i murzyńskiej. Przed nią leżała rozłożona w wachlarz talia kart. Na ścianie budy wisiał odwrócony krucyfiks, obok – podobizna Lilith w złoczonej ramce.

– Przyszliście, by się dowiedzieć czegoś więcej o zagrożeniu, które przybyło do miasta – odezwała się wróżbitka na ich widok. Mówiła z okropnym południowoamerykańskim akcentem, tak że ledwie można ją było zrozumieć.

– Skąd wiesz? – spytała Sangre, nie kryjąc zdumienia. Bernardita zaśmiała się ochryple.

– Ostatecznie jestem jasnowidzem, kochana. Rozłożę dla was karty... ale nie ma nic za darmo.

Czterdzieści henochiańskich koron, ani miedziaka mniej.

Markoff z ukłonem wręczył jej pudełko czekoladek, po czym wyjął portfel, posyłając znaczące spojrzenie Sangre. Ona również sięgnęła po pieniądze.

Bernardita łąpczywie pochwyciła monety, następnie zaś rozpakowała bombonierkę i poczęstowała się czekoladką.

– Nieszczęśni, tropicie tego, kogo nie mają się wasze kule. – Uśmiechnęła się szyderczo, zgarniając i tasując karty. Z prestidigitatorską zręcznością ponownie rozłożyła je w wachlarz. – A imię jego brzmi: śmierć i zniszczenie, krwawa sprawiedliwość.

– Pani Bernardito, moja cierpliwość jest ograniczona. – Markoff wyjął pistolet i zaczął się nim od niechcienia bawić. – Zapłaciliśmy i oczekujemy konkretów. Gdzie go znajdziemy?

– Znajdziecie, synu – odrzekła spokojnie wróżbitka, wyjmując z wachlarza pojedyncze karty i kładąc kolejno na stole. Walet karo, dama karo, as kier, walet pik. – Bliska jest godzina, znajdziecie go i bez moich wskazówek. Strzeżcie się jednak! Jego ogień pali i zabija, a jego miecz jest groźny niczym gniew Pana.

– Lape Zodire jest w dobrych układach z Górą. Niebiosa nie mają żadnego powodu, żeby nasyłać na nas swoich wojowników – odezwała się Sangre, mimo woli myśląc na głos. Starucha popatrzyła na nią bystro.

– Czemu tak piękna dziewczyna postanowiła stanąć po stronie mroku? – spytała ni z tego, ni z owego, sięgając znów do bombonierki.

– Bo światłość razi w oczy. – Sangre wzruszyła ramionami. – Nie wierzę w dobro i zło, pani Mendez.

To dwie strony tej samej monety.

Bernardita wrzuciła do ust trzecią czekoladkę. Jej oczy zaczynały nabierać podejrzanego blasku, źrenice rozszerzyły się.

– Biada ci, Babilonie! – zakrakała nagle. – Już rychło zapłoną twoje wieże!

W oddali rozległ się głuchy huk. Sangre i Markoff spojrzeli na siebie, po czym wypadli na zewnątrz.

– Strzeżcie się gniewu Pana! – doleciał ich jeszcze ochryply głos wróżbitki. – Strzeżcie się deszczu ognia i siarki! Biada ci, Babilonie!

Znad zasnutyh mgłą dachów w niebo wzbijał się słup dymu.

– Gdzieś w okolicy rynku – wymamrotał Markoff. – Jasna cholera, tego tylko brakowało.

Sangre miała już w ręku proszek do teleportacji.

\*\*\*

Powitało ich pandemonium. Rynek zasnuwały duszące kłęby, ludzie miotali się tu i tam. Nad głowami śmigaly, skrzecząc, przerażone yao. Markoff chwycił za ramię jakiegoś chuderlawego typka.

– Co tu się stało?!

– Przecież sami widzicie... – Mężczyzna wskazał głową za siebie. Z dwu kamienic przy rynku pozostały dymiące ruiny. Z rumowiska sterczały czarne belki.

– I dlatego właśnie pytam, co się stało! – Markoff potrząsnął nieszczęśnikiem, który oklapł i zaczął dygotać.

– Panie, ja nic nie wiem... Był ogień, huk... jak na wojnie... Nie wiem nic więcej, przysięgam na Ciemność...

– Puść go – powiedziała z rezygnacją Sangre. – I popatrz tam, na wprost.

Na poczerniałym od sadzy murze widniał wymalowany wizerunek smoka. Markoff podrapał się po brodzie.

– Co się mieściło w tych domach?

– W tym od lewej, o ile pamiętam, sklep z bronią, w tym drugim salon masażu. Albo może na odwrót. Jęcząc, minęła ich kobieta, której ubranie i skóra zwisały w zwęglonych strzępach. Nikt nie zwracał na nią uwagi. W świecie żywych na miejscu zjawilyby się już policja i pogotowie. Ale tu był Szeol.

– Trzeba przepytać ludzi, ktoś musiał coś wiedzieć – odezwał się najemnik z miną mówiącą, że chwilowo brakuje mu lepszych pomysłów.

Jednakże przerażone dusze nie mogły lub nie chciały powiedzieć niczego pomocnego. Dopiero piąty z kolei zapytany, staruszek o wyglądzie żebraka, wyszczerzył w uśmiechu popsute zęby.

– Za dwie korony, panie, powiem.

– Powiesz zaraz, parchu, albo ci odstrzelę to i owo – zagroził Markoff, odbezpieczając pistolet. Stary łypnął na niego wrogo.

– To był ogień z nieba, panie – mruknął. – Płomień spłynął z chmur. Raz-dwa było po wszystkim.

– Ogień z nieba – niechętnie powtórzył Niemiec, patrząc na osmalone gruzy. – Krwawa sprawiedliwość, miecz jak gniew Pana. Co to ma znaczyć, psiakrew?

Sangre zmrużyła oczy, patrząc na yao wciąż krążące nad rynkiem.

– Jeśli założysz, że należy wierzyć wróżbom, to może znaczyć – zniżyła głos, choć stary potępieniec zdążył się już oddalić – że nie tropimy czegoś, co się tu przedostało z niższych piekieł, ale coś, co przybyło z Góry.

– Cholera! – Markoff zasepił się jeszcze bardziej. – No, to by dopiero było. Wszyscy powtarzają, że Lape Zodire jest w dobrych układach z Górą. Myślisz, że świętoszki wykreściłyby mu taki numer?

– To ty twierdzisz, że ta Mendez zna się na rzeczy. Czytałeś kiedyś Apokalipsę?



– No, jeśli masz rację... – Nagle skrzywił się z obrzydzeniem. – *Scheisse!* Patrz, kto idzie.

Od strony rynku zbliżało się dwóch mężczyzn, każdy w odzieniu z innej epoki historycznej. Sangre знаła ich mgliście. Najemnicy, podobnie jak Markoff.

– Stać! Co tu robicie? – zawołał groźnie jeden z nich, wysoki i brodaty, o wyglądzie hiszpańskiego konkwistadora.

– Prowadzimy śledztwo z rozkazu namiestnika! – odrzyknęła, patrząc na nich wyzywająco.

– Proszę, proszę. To tak jak my. – Brodacz uśmiechnął się brzydko, po czym dał znak towarzyszowi i obaj wydobyli broń.

Zanim Sangre zdążyła choćby mrugnąć, huknęły dwa strzały.

– Nie znoszę, gdy konkurencja wchodzi mi w drogę – stwierdził Markoff, podchodząc i chowając pistolet. Uniosła brwi.

– Ty będziesz się tłumaczył Guldenhornowi.

– Nie powiedział, że wynajmuje również takie śmieci. – Trącił nogą jedno z ciał. – Lepiej idźmy stąd, zanim ktoś jeszcze się przyplącze. Trzeba się zastanowić, co dalej.

Sangre po raz ostatni powędrowała spojrzeniem w kierunku kołujących yao, których ponure krakanie w dalszym ciągu rozlegało się nad pogorzelskim.

– Znam miejsce, gdzie ściany nie mają uszu.

\*\*\*

Na obrzeżach miasta, jak wyspy z morza ruder, wznosiły się solitaria. Nijako wyglądające, pozbawione okien szare budynki. Od Palazzo Dolore odróżniało je przede wszystkim to, że instrumentem kary w solitariach nie były tortury, lecz wspomnienia i wizje. Potępieni tkwili w więzieniu własnych umysłów.

Ponieważ ucieczki i tak praktycznie się nie zdarzały, solitaria należały do najsłabiej pilnowanych zakładów karnych w Szeolu. W każdej z szarych budowli przebywał stale jeden strażnik, czasem dwóch, ale ich rola ograniczała się głównie do tego, żeby przeganiać bezczelne yao, którym przyszła ochota uwić gniazdo gdzieś w załomie murów, i odnawiać od czasu do czasu zakłęcia uniemożliwiające snującym się bez celu duszom wydostanie się na otwartą przestrzeń. Sangre, która już dawno przekonała się, że znajomości i kontakty przydają się w Szeolu jeszcze bardziej niż w świecie żywych, zadbała o to, by mieć na teren solitariów wolny wstęp. Rzecz jasna, oficjalnie nikt o niczym nie wiedział.

W zaułku na tyłach największej z szarych budowli gniły odpadki wyrzucane tu z kuchni któregoś z piekielnych arystokratów. Szczury obwąchiwały poczerńiałe trupie ręce i wnętrzności. Sangre odnalazła furtkę w murze, na poły zamaskowaną przez sterty śmieci. Wyjęła z kieszeni kawałek drutu z wygiętą końcówką i zaczęła nim grzebać w zardzewiałym zamku kłódki, ignorując sceptyczny wzrok towarzysza. Zdjęła rękawicę, żeby móc sprawniej manipulować wytrychem.

– Po czym to? – spytał Markoff, patrząc na blizny. Sangre zaśmiała się.

– Musiałam udowodnić demonom, że warto mnie przyjąć na służbę. Najpierw pokazałam, że nie boję się bólu. – Poruszyła palcami oparzonej dłoni. – Po tej historii rodzina zawlokła mnie do psychiatry, który zdiagnozował schizofrenię. Trafiłam do szpitala. Dostawałam leki, ale po jakimś czasie nie działały już tak skutecznie jak na początku. I pewnej nocy uciekłam stamtąd. Zorganizowałam sobie ubranie, broń i... no cóż... narobiłam troszkę zamętu w mieście. – Uśmiechając się do wspomnień, mocniej poruszyła wytrychem i kłódka otwarła się.

Wszystkie solitaria budowano według planu, który Sangre знаła na pamięć. Po krótkiej wędrówce przez mroczne korytarze wyszli na okolony krążgankami wewnętrzny dziedziniec. Tu również było ciemnowo. Na kamiennych płytach siedziały lub leżały postacie w łachmanach, o skórze koloru ziemi. Niektóre mamrotały do siebie, inne tylko wpatrywały się pustym wzrokiem w przestrzeń.

– Usiądziemy?

– A oni? – Markoff z obrzydzeniem odepchnął wychudzoną duszę, która usiłowała chwycić skraj jego płaszcza.

– Nie będą nam przeszkadzać. W ogóle nie kontaktują, zobacz. – Sangre pomachała ręką przed twarzą potępionej, potem klepnęła ją w policzek. Kobieta nawet nie drgnęła. – To jedno z najbezpieczniejszych miejsc w Zoth Tenebra, wierz mi.

Usiadła pod murem i odpięła od pasa manierkę.

– Chcesz?

Łyknął i omal się nie zakrztusił.

– Uuuch... cholera, czy to jest to, co myślę?

– Dwunastoletni Johnnie Walker, oryginalny. – Uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Skąd?!

– Lepiej nie pytaj. Przydatne kontakty w świecie żywych. – Sangre też pociągnęła łyk i odchyliła się do tyłu, zaplatając ręce za głowę. – Dobra, Werner, podsumujmy, co wiemy. Atak na Palazzo Dolore, a dwa dni później spalone kamienice w centrum miasta. Ofiarą padają potępieni i co najmniej jeden demon w służbie namiestnika. Żadnych gróźb, deklaracji, żądań... w każdym razie o niczym takim nas nie poinformowano.

Markoff patrzył na nią, mrużąc oczy.

– Ty lepiej znasz Guldenhorna i tego drugiego. Myślisz, że nie zdradzili nam wszystkiego, co sami wiedzą?

– Trudno powiedzieć. Ale jedno jest pewne. Demon, który prosi o pomoc śmiertelników, zamiast się zwrócić do pobratymców, to bardzo ogłupiały demon, Werner.

– Albo bardzo chytry demon.

– Ale do czego moglibyśmy im być potrzebni my i nasze śledztwo, i jeszcze tych dwóch żalonych typków, których też wynajęli? Nie. Nie sądzę, by to miała być aż tak piętrowa intryga. Wracając do ataków, co ci się rzuca w oczy w pierwszej kolejności?

– Jak na razie nie widać w nich żadnej logiki. – Markoff łyknął jeszcze whisky. – I są mało niszczycielskie, tak naprawdę.

– Fakt. Ale, cholera, ten ktoś uderzył w Palazzo Dolore. Nie byle jaki wyczyn.

– Demonstracja siły? Wyzwanie rzucone namiestnikowi?

– Maleforos i Guldenhorn podejrzewają chryję polityczną, nakręconą przez przeciwników Lape Zodire. Ja nie jestem taka pewna. – Sangre w zamyśleniu wpatrywała się w blade niebo widoczne ponad krawędzią murów. – Coś mi się w tym wszystkim nie zgadza, Werner. Coś nie pasuje.

– Czemu?

– Za mała skala. Tak jak mówiłeś, za mało zniszczeń. Za mało ofiar, żeby wywołać zamieszki. W Szeolu? Na Molocha, nawet w świecie żywych terroryści starają się troszkę bardziej. A z drugiej strony... mamy atak na Palazzo Dolore. Jedno z najlepiej strzeżonych miejsc w mieście.

– No dobrze. A jeśli coś z własnej inicjatywy przybyło z niższych piekieł, tak jak sugerował Guldenhorn? I uderza, gdzie popadnie?

Sangre machinalnie obracała w palcach zakrętkę od manierki.

– Przychodzi mi do głowy jeszcze jedna możliwość – powiedziała powoli. – Że ktoś lub coś tymi wybuchami zaciera za sobą ślady, absorbuje naszą uwagę, a o tym, co naprawdę szykuje, dopiero się przekonamy.

– Co podejrzewasz?

– Nie wiem, co konkretnie. Może faktycznie intrygę polityczną. – Potarła czoło. – Więzienie, a potem

sklep z bronią, Werner. I do tego ta przepowiednia pani Mendez. Miecz groźny niczym gniew Pana, płonące wieże Babilonu...

– Nie wiem, co się stało Bernardicie – mruknął Markoff. – Zwykle przepowiada z sensem. Ale on też wyglądał na zaniepokojonego.

W następnej chwili niebo rozbłysło czerwienią i rozległ się huk, od którego zadrżały mury.

\*\*\*

Tym razem nieznaną sprawca zaatakował na przedmieściu i gdy dotarli na miejsce, pożar dopiero przybierał na sile. Potępieni uciekali w panice z zagrożonych domostw.

– Nic tu po nas, cholera! – Sangre cofnęła się w głąb najbliższej bramy, chroniąc się przed stratowaniem.

– Czekaj! – Markoff trącił ją w ramię. – Patrz.

Wskazał przeciwległą stronę ulicy. Ignorując pędzące na oślep dusze, na stertę połamanych desek i śmieci wspięła się postać w czarnej opończy z kapturem. Z tej odległości nie dało się poznać, czy to człowiek, miszling czy demon.

Postać uniosła ramiona. Ponad zgiełkiem spanikowanego tłumu i hukami płomieni poniósł się niesamowity, wibrujący okrzyk czy zaśpiew. Zabrzniał przeraźliwy syk, jakby na płonące domy chlusnęła niewidoczna fala wody. Ogień przygasł i wszystko zasnuła chmura dymu.

– Niech mnie Belial – szepnął Niemiec.

Poskramiacz ognia opuścił ręce i wpatrywał się w swoje dzieło. Markoff otrząsnął się z osłupienia.

– Bierzemy go – oświadczył. – Trzeba sprawdzić, co to za jeden.

– Po co? To nie jego tropimy.

– Włada ogniem!

– Owszem, i to dobry powód, żeby z nim nie zadzierać bez potrzeby.

– Ja też mam w zanadrzu parę sztuczek. – Niemiec uśmiechnął się paskudnie. – Jestem od niego szybszy, chcesz się założyć?

– To nie jego tropimy – powtórzyła stanowczo Sangre.

– Boisz się?

– Po prostu logicznie rozumiem.

Markoff patrzył na nią przez chwilę, potem wzruszył ramionami.

– Dobra. Tylko z nim pogadamy. A nuż coś wie.

Przeszli przez ulicę, pokaszując, bo dym zgęstniał jeszcze bardziej. W ruinach jednego ze spalonych domów ktoś krzyczał – rozpaczliwie, nieludzko.

– Hej, ty! – zawołał Markoff w kierunku odzianego w czerń nieznanego. Ten odwrócił się, a Sangre drgnęła na widok bladej twarzy o delikatnych rysach, w której tliły się czerwone szparki oczu. Dopiero teraz zauważyła również długi ogon wijący się wokół nóg postaci.

– Czego chcecie? – spytała kobieta miszling głosem przypominającym syk płomieni.

– Kim jesteście?

– Nazywam się Surjit, ale mówią na mnie Feuersprache. – Powiedziała to tonem, w którym brzmiała duma i leciutkie ostrzeżenie. – A wy kim jesteście?

– Prowadzimy śledztwo z rozkazu namiestnika. Co tu się stało?

Surjit vel Feuersprache uniosła brwi.

– Właśnie uratowałam dzielnicę, a może i całe miasto. Ale nie przypuszczam, żeby namiestnik zechciał okazać wdzięczność.

– Jesteś magiem? – wtrąciła się do rozmowy Sangre.

– Powiedzmy, że umiem wystarczająco dużo, żeby zadbać o siebie. – Kobieta miszling od niechcenia strzepnęła dłonią, której palce na moment wydłużyły się w zakrzywione szpony.

– Jeśli posiadasz moc, powinnaś wyczuć, co się dzieje. Ktoś wznieca pożary w mieście. Pomóż nam go odnaleźć.

– Nie wiem zbyt wiele. – Surjit wzruszyła ramionami. – Zdaje się, że ogień wybuchł w pracowni mistrza Zachariasza, tego alchemika od siedmiu boleści. O tam, na rogu. – Wskazała jeden ze spalonych budynków. – To mógł być po prostu wypadek. Stary chlał i nie pilnował uczniów.

Ściany domu groziły zawaleniem w każdej chwili, więc nie wchodzili do środka, ograniczając się do zajrzenia przez wybite okno. Z warsztatu alchemika, jak można się było spodziewać, nie ocalało prawie nic. W popiele walały się szczątki aparatury i odłamki szkła. Markoff trącił butem jakiś osmalony, nierozpoznawalny ochłap.

– Wygląda na to, że klienci mistrza Zachariasza będą musieli sobie poszukać innego dostawcy – skonstatowała beztrząsowo Surjit, patrząc na to, co zostało po pożarze. Wsunęła się do sieni, a po chwili wyszła, chowając coś w zanadrzu. Niemiec uniósł brwi.

– Kradniesz jego złoto? Czy prochy, które produkował?

– Kto pierwszy, ten lepszy. – Zmrużyła ślepią, patrząc na niego wyzywająco, ale Markoff tylko wzruszył ramionami, nie kontynuując tematu.

– Znałaś Zachariasza? – odezwała się Sangre, odrywając wzrok od muru, gdzie widniał, na pierwszy rzut oka łatwy do pomylenia z plamą sadzy, znajomy wizerunek smoka.

– Trochę.

– Czym się zajmował?

– Głównie produkcją homunkulusów. Wiecie, niektóre demony lubią ich mięso. Podobno miał taki specjalny kocioł, dostał go od jakiegoś klienta. Po pijaku chwalił się, że rozpala ogień, wrzuca składniki, potem jednego martwego homunkulusa, a nazajutrz z kotła wychodzi czterdzieści żywych. Ale może to tylko blaga. Trudno dociec. – Surjit przechyliła się przez parapet, patrząc na pozostałości warsztatu. – Cały sprzęt diabli wzięli, nie obrażając nikogo, więc już nie poznamy prawdy. Cóż, szkoda kotła, jeśli przepadł. Pewnie można byłoby dostać za niego niezłą cenę.

W Sangre jakby piorun strzelił. Chwyciła towarzysza za ramię.

– Werner, gdzie w Zoth Tenebra można by... Solitaria... ale nie, tam jednak za duże ryzyko...

– Wyłumacz najpierw, o czym mówisz, bo nic nie rozumiem – zniecierpliwił się Markoff, ale ona jakby go nie usłyszała.

– Cholera... to wcale nie musi być w Zoth Tenebra... ale nie da się tak łatwo przetrząsnąć portalami całej armii... więc jeśli Zoth Tenebra jest celem... – Potarła czoło. – Jakieś ustronne miejsce, ukryte przed wzrokiem wszystkich, może gdzieś w podziemiach. Dużo przestrzeni i małe ryzyko, że ktoś niepowołany tam trafi. Znasz coś takiego?

– Krypty pod budynkiem starego sądu?

– O nie, coś większego.

– Za miastem, pod wzgórzami są groty – odezwała się ku ich zaskoczeniu Surjit. – Polowałam tam na zbiegłe dusze. Korytarze ciągną się przez wiele mil.

– Zaprowadź nas tam – rzuciła Sangre.

Kobieta miszling zmierzyła ją chytrym spojrzeniem.

– Co będę z tego miała?

– Co powiesz na audiencję u pewnej wysoko postawionej osobistości, która w szczególnych przypadkach może przyznać miszlingowi status demona czystej krwi?

Oczy Surjit rozszerzyły się.

– Naprawdę możesz to zrobić? Możesz mi załatwić zmianę statusu?!

– Mogę ci załatwić audiencję – sprostowała chłodno wojowniczka. – Reszta zależy już od ciebie. Ale jesteś magiem, więc są naprawdę spore szanse. To jak będzie?

Kobieta miszling nagle cofnęła się o krok, a jej twarz wykrzywił gniew.

– Niemożliwe! Na pewno kłamiesz. Jesteś tylko nędzną zaprzysiężoną!

– Nie chcesz, nie wierz. Znajdziemy kogoś innego, kto zna drogę.

Surjit wahała się jeszcze, ale w końcu wzruszyła ramionami.

– Niech będzie. Zaprowadzę was do grot. Otwórzcie portal do posągu Lilith. Wiecie, gdzie to jest? Stamtąd pójdziemy pieszo.

\*\*\*

Posąg Lilith wykuto z czerwonego marmuru w stylu, który mógłby się kojarzyć z dłutem Fidiasza. Jednak pozory myliły; ta rzeźba była dużo starsza niż dzieła starożytnych greckich rzeźbiarzy. Mimo to nie nosiła żadnych znamion upływu czasu.

Kamienna królowa nierządnic, naga, o włosach aż do stóp, wyginała się w prowokującej pozie. W rękę trzymała kielich, a wokół jej ramion wiły się węże.

Posąg stał na szczycie wzgórza, pierwszego w łańcuchu wzniesień. Postument wyciosano wprost z macierzystej skały. U jego stóp znajdowała się galeryjka zakończona pionowym urwiskiem. Roztaczał się stąd widok na miasto – morze dachów osnute szarawym oparem, z którego wystawały iglice wież.

Zbliżał się już wieczór i niebo, choć bezchmurne, miało kolor brudnej stali. Nie migotała na nim ani jedna gwiazda. Wzgórza ciemniały w zapadającym zmierzchu, milczące i ponure.

Surjit poprowadziła ich kamienistą ścieżką. Dość długo szli trawersem w kierunku przeciwnym do miasta, a w końcu zagłębili się w mroczny parów. Wznoszące się niemal pionowo skalne ściany obudziły w umyśle Sangre mgliste wspomnienia z ziemskiego życia.

Wspięli się na rumowisko głazów i tuż przed nimi zamajaczył czarny wlot jaskini.

– Tam – oznajmiła lakonicznie kobieta miszling, zatrzymując się na progu. – Co z moją zapłątą, zaprzysiężoną?

Wojowniczka odwzajemniła jej spojrzenie z kamienną miną.

– Wracaj do miasta, Feuersprache. Ja nie rzucam słów na wiatr. Za kilka dni dostaniesz wezwanie na audiencję.

Surjit przez chwilę wyglądała tak, jakby miała ochotę sprowadzić z nieba zapowiedziany przez Bernarditę Mendez deszcz ognia i siarki. Jednakże ograniczyła się do wysyczenia przez zęby:

– Jeśli mnie oszukałaś, zaprzysiężona... znajdę cię.

Zaczęła schodzić ścieżką ku wylotowi parowu. Szybko zniknęła im z oczu w gęstniejącej szarówce.

– Naprawdę możesz jej to załatwić? – spytał z niedowierzaniem Markoff. Sangre uśmiechnęła się.

– Załatwiałam nie takie rzeczy. Przydatne kontakty, Werner.

– I naprawdę mogą jej przyznać status demona czystej krwi?

– Jak im akurat będzie pasowało, czemu nie. Kto wie, może nawet Guldenhorn wzięłby ją do terminu.

Niemiec podejrzliwie wpatrywał się w wylot jaskini.

– Czego właściwie zamierzamy szukać w tej dziurze?

– Pomyśl. Zniknęło czterech więźniów, broń i ten zaczarowany kocioł alchemika, a twoja latynoska znajoma przepowiada ognistą zagładę miasta. Chciałabym wiedzieć tylko jedno: kto za tym stoi. Ale pewnie wkrótce się dowiemy.

Zaklął cicho, gdy w końcu zrozumiał.

– Jak nam się uda coś takiego udaremnić... Na Beliala! Nie zdziwiłbym się, gdyby ta sprawa doszła

do uszu samego Władcy.

– Z tymi jaskiniami to bardzo daleki strzał. Dlatego zaraz się jeszcze upewnię, czy nie gonimy w piętę. – Sangre usiadła na kamieniu i wyjęła z sakiewki fiolkę czerwonego proszku oraz coś, co wyglądało jak trójkątny kawałek kości słoniowej oprawiony w złoto.

– Przyjaciel myśliwego? – Markoff bezbłędnie rozpoznał kosztowny talizman. – Prawdziwy ząb iblisa?

– Kupiony od Guldenhorna, więc nie dałabym sobie ręki uciąć, czy prawdziwy, ale działać działa. Czernieje, gdy w pobliżu jest ten, kogo tropisz, z tym że sprawdza się tylko wtedy, gdy w okolicy jest w miarę pusto. W mieście jest czarny przez cały czas, nawet bez aktywizacji.

Szepcząc formułę, posypała talizman proszkiem. Oboje drgnęli, gdy zmienił barwę.

Sangre zebrała magiczne akcesoria z powrotem do sakiewki, wstała i sprawdziła, czy oba pistolety są naładowane.

– Dobra, współniku, dość gadania. Jak u ciebie z widzeniem w ciemnościach?

– Nie narzekam. Wiesz, Sangre, żyję tu jakieś pół wieku dłużej niż ty.

Z bronią w pogotowiu zagłębili się w mrok. Korytarz był wąski i załatywało w nim stęchlizną. Nagle rozległ się rumor kamieni i z wnęki poderwał się przygarbiony stwór. Dysząc, skulił się pod ścianą kawałek dalej – widocznie brakowało mu sił, żeby uciekać.

Człowiek. Nagi, brudny i tak wychudzony, że przez skórę dałoby się policzyć wszystkie kości. Syczał wrogo, gdy przechodzili.

– Dusza. – Markoff wzruszył ramionami. – Czasem udaje im się wymknąć ze słabiej strzeżonych ośrodków, gdy kara ma się ku końcowi.

– Nikt ich nie wyłapuje?

– Kiedyś organizowano obławy, ale teraz przestali się przejmować tałatajstwem, ośrodki i tak są przepełnione. Jak zwieje ktoś z wysokim wyrokiem, to oczywiście rozsyłają listy gończe. Bywało, że polowałem na takich, podobnie jak nasza rozmawiająca z ogniem znajoma.

Sangre uciszyła go ruchem ręki. Coś ją zaniepokoiło, bliżej nieokreślone przecucie. Obejrzała się. Potępieniec zniknął.

– Gdzie on polazł? – ożywił się Niemiec. – Czyżby ukryte przejście? Słyszałaś coś?

Zaprzeczyła z niemiłym uczuciem, że przegapia coś istotnego. Wytężyła słuch. Było tak cicho... Zbyt cicho.

Nagle przymrużyła oczy. Czy było to złudzenie, czy też głązy i stalagmity zaczynały się leciutko rozmywać, jakby powietrze drgało od gorąca? I wtedy zdała sobie sprawę, co za zapach czuje od dłuższej chwili.

Ozon.

Markoff zaklął po niemiecku.

– Zaraz będziemy mieli towarzystwo. Kryj się!

Ciemność w załomach skał wydawała się ożywać i drgać. Potem przestrzeń rozdarła się jak zasłona i jaskinię rozjaśniła czerwona poświata.

Na tle łuny zamajaczył zarys potężnej postaci. Sangre, która skryła się za pierwszym z brzegu głazem, wystrzeliła dwukrotnie, prawie nie celując. Huk odbił się od ścian kaskadą ogłuszających ech. Zaczęła się podnosić, ale Markoff pchnął ją na spąg, a wykwitający w powietrzu jęzor płomienia minął ich oboje o włos. Poczwała zapach spalenizny. W następnej chwili skały znowu zatrzęsyły się od huku, aż ze sklepienia posypały się drobne kamyczki – to strzelał Niemiec.

Przeciwnik szedł ku nim z uniesionym mieczem. Seria z karabinu nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

To był anioł. Najprawdziwszy anioł w srebrnej zbroi, o skrzydłach mieniących się wszystkimi

kolorami tęczy. Jego oczy, widoczne w otworach przyłbicy, jarzyły się bielą jak płonący magnez.

– Niechaj smok krwawi! – krzyknął wysokim, śpiewnym głosem. – *Adonai!*

Sangre zmeła w zębach przekleństwo i niewiele myśląc, sięgnęła po proszek do teleportacji.

– Złap mnie za rękę! Szybko! – zawołała, gdy rozległ się znajomy trzask i zapachniało siarką.

\*\*\*

– O mały włos – stwierdził Markoff, oglądając nadpalony rękaw płaszcza. Zmaterializowali się gdzieś na popielistym pustkowiu; Sangre wykorzystała maksymalny zasięg czaru teleportacyjnego w nadziei, że utrudni w ten sposób wrogowi podążenie ich śladem. Wyglądało na to, że chwilowo są bezpieczni.

Niemiec wyglądał na wstrząśniętego.

– Widziałaś? Widziałaś, kto to był?

– Oczywiście.

– Pieprzony świetlisty! Co on tu robi?

– Nie wiem. Może to prowokacja. A może... Cholera wie.

– Co robimy?

– A co twoim zdaniem powinniśmy?

– Wrócić i zawiadomić namiestnika. To już nie sprawa dla nas.

– Więc tak właśnie zrób. Wróć i zamelduj, z czym mamy do czynienia. Niech namiestnik podejmie kroki wedle swojego uznania.

– A ty?

– Ja, Werner, nie zamierzam się wycofywać. – Sangre uśmiechnęła się kącikiem ust. – W każdym razie nie tak od razu. Podpisałam cyrograf, to do czegoś zobowiązuje. Poza tym pomyśl logicznie. Raz już umarliśmy, czego mamy się obawiać?

– No, jeśli popatrzeć na to od tej strony... – Markoff wyraźnie się wahał.

Kwestia śmierci w Szeolu miała cokolwiek mętny charakter. Nie można tu było umrzeć w ziemskim znaczeniu tego słowa, a co najwyżej zmienić formę czy miejsce swojej egzystencji. Warunki, na jakich mógł się zakończyć piekielny żywot potępionych, zależały każdorazowo od wymierzonej kary. Sytuacja zaprzysiężonych była inna – oni w pewnym sensie zyskiwali nieśmiertelność. Ciało, czy raczej to, co ciałem tu nazywano z braku lepszego określenia, wracało do życia i regenerowało obrażenia. Bez wspomagania w postaci zaklęć proces ten przebiegał długo, mozolnie i boleśnie, ale prędzej czy później wracało się do pełni sił. Nawet blizny znikwały, gdy upłynęło dostatecznie wiele wieków.

Z miszlingami było podobnie. Czystej krwi demony miały lepiej. Demon, który odniósł wystarczająco ciężkie obrażenia, na jakiś czas tracił materialne ciało, ale potem wracał do wyjściowej postaci.

Sangre jak dotąd dała się w Szeolu zabić raz. Na samym początku, gdy brakowało jej jeszcze doświadczenia. Pijany miszling pchnął ją nożem w karczemnej burdzie.

Markoff zmełł w zębach przekleństwo w swoim ojczystym języku.

– Jeśli ty się nie wycofujesz, Veland, to i ja nie. Więc dobrze. Co możemy działać przeciwko świetlistemu? Nasze kule się go nie imają. Bernardita przewidziała to, cholera.

– Akurat temu można w pewnym stopniu zaradzić.

– Jak?

– Nie walczyłeś nigdy przeciwko niebianom? – Sangre nie mogła sobie darować pewnej wyższości w tonie. Markoff skrzywił się.

– Nie mów, że ty walczyłaś?

Mina zrzędała mu, gdy zobaczył jej uśmiezek.

– W oddziałach specjalnych wielkiego Dajjala. Krótko, ale zawsze. Wracając do meritum, Werner,

możemy uprzykrzyć światlistemu życie dość skutecznie i prosto.

– Jak?

– Pomyśl. Maść regeneracyjna, eliksir tamujący krew. To, co nam pomaga, jemu sprawi ból wprost proporcjonalny do zawartości naszej magii. Musimy zatruć amunicję. Oczywiście nie zabije go to, ale zdekongruje i osłabi.

– A niech mnie. – Markoff na moment oniemiał. – No tak, racja.

– Jedziemy dalej. Światlisty, jak należy się spodziewać, gdzieś tam w jaskiniach trzyma kocioł, w którym zamierza wyhodować armię.

– Albo ktoś inny, jeśli to nie światlisty stoi za tym wszystkim.

– A kto?

– Nie wiem. Ale czemu, na Beliala, anioł miałby...?

– Ja też tego nie rozumiem, Werner. Zostawmy na razie to pytanie. Mamy światlistego, jaskinie i kocioł, z którego niedługo być może wylezie armia żołnierzy. Wprowadź tylko potępionych, ale jednak.

– Czyli przede wszystkim należałoby spróbować zlikwidować kocioł.

– Na początek trzeba ten kocioł znaleźć. Tym razem w taki sposób, żeby światlisty nie zorientował się od razu, że wężymy. Albo też... – Sangre zamyśliła się. Potem pstryknęła palcami. – Mam.

\*\*\*

Taktyczny zamysł Sangre był ryzykowny w swej prostocie. Ona podjęła się odwrócić uwagę wroga – wciągnąć go w pościg przez portale, starając się zyskać jak najwięcej czasu – a Markoff miał spenetrować jaskinie.

Nie dane im było jednak zrealizować tego planu. Gdy tylko zmaterializowali się ponownie przy posągu Lilith, niżej w dolinie ujrzeli poruszające się sylwetki. Ścieżyną wśród skał mozolnie posuwały się cztery postacie. Dwie z nich dźwigały coś ciemnego.

– Co u... – Sangre zmrużyła oczy. – Werner! Widzisz to samo, co ja?

Tym razem Niemiec zareagował szybciej, i to w sposób, którego Sangre się nie spodziewała. Po prostu rozpostarł poły płaszcz i sfrunął w dół bezszelestnie jak wielki nietoperz. Jeszcze w powietrzu otworzył ogień z karabinu, ścinając zaskoczonych potępionych.

Gdy Sangre dotarła na miejsce, zeskakując po skałach, było już po wszystkim. Potępieni wili się, jęcząc. Markoff wycelował kolejną serię w kocioł, dziurawiąc go. Potem przyjrzał się potępionym i chwycił jednego z nich za gardło. Ten wydał nieartykułowany dźwięk, a głowa zwisała mu, więc Niemiec złapał następnego.

– Co się dzieje w grotach? Gadaj, ścierwo!

– O... o... – Z ust duszy pociekła czarna krew. – Ode... słał nas.

– Kto?!

– On. Świetli...sty.

– Czemu?

Ale potępiony oklapł mu w rękach jak mokra szmata.

– Za jakąś godzinę zaczną się regenerować, nie wcześniej – odezwała się Sangre. – Proponuję odstawić ich czym prędzej do Palazzo Dolore.

– A co ze światlistym?

– Trzeba sprawdzić. Na mój nos wygląda to tak, jakby ktoś nas uprzedził.

– Myślisz, że światlisty ma gości?

– Na to wygląda, skoro kazał swoim pionkom się ewakuować. Powiem więcej: coś mi mówi, że macza w tym palce Góra. Mogę pójść do grot i zbadać sytuację. – Widząc minę Niemca, uśmiechnęła się



niecio złośliwie. – Albo ty tam idź, a ja się zajmę odtransportowaniem jeńców. Jak wolisz.

Markoff zmierzył ją kwaśnym spojrzeniem, ale nawet nie uznał za stosowne udawać, że się waha.

– W porządku. Odstawię tych artystów do Palazzo Dolore, a ty spróbuj się zorientować, co się dzieje w grotach.

\*\*\*

Jaskinie trwały w martwym bezruchu.

Sangre cicho jak kot przemykała podziemnymi przejściami. Towarzyszyło jej niemiłe uczucie, od którego jeżyły się włoski na karku. Coś się szykowało.

Raptem dostrzegła w oddali błysk, smugę poświaty wydobywającą się z otworu w skalnej ścianie. Podkraśla się w tamtą stronę.

Kawerna była szeroka, pełna stalaktytów i stalagmitów. Jasność przesączaająca się pomiędzy nimi rysowała wszędzie długie cienie. Na niewielkiej pustej przestrzeni pośrodku Sangre ujrzała dwie postacie.

Przyklękła za jednym ze stalagmitów, starając się oszacować sytuację. Na razie wiedziała jedno – nie należy się mieszać.

Stali naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. Anioł w zbroi, promieniejący światłem, i... ktoś.

W nieokreślonym wieku jak większość demonów, czarnowłosa i szczupły. Miał na sobie fioletowy, szamerowany srebrem mundur huzarski i czarną pelerynę ze szkarłatnym podbiciem, a w jego rękę lśniła szpada.

Sekundy mijają, napięcie gęstniało. Sangre wstrzymała oddech.

– *Adonai!* – zaśpiewał nagle anioł i zionął oślepiającą strugą ognia. Czarnowłosa zasłonił się peleryną, a płomienie zniknęły, jakby wessane przez nią.

– Musisz się bardziej postarać. – Uśmiechnął się drwiąco.

Świetlisty wy dobył miecz, którego ostrze rozjarzyło się czerwienią.

– Niech cię dosięgnie sprawiedliwość Pana – zasyczał głosem, w którym słychać było pustynny wiatr i szarańczę.

Czarnowłosa zaatakował pierwszy, szybko, by nie pozwolić masywniejszemu przeciwnikowi na zyskanie przewagi. Zasypał anioła gradem pchnięć, ale ten sparował wszystkie. Z kling przy każdym zetknięciu sypały się skry. Sangre patrzyła zafascynowana. Walka toczyła się w tak błyskawicznym tempie, że cięcia i zastawy umykały wzrokowi.

Odskoczyli od siebie i obserwowali się. Obaj oddychali szybciej. Naramiennik zbroi świetlistego zwisał na nadciętym rzemieniu, a rękaw fioletowego huzarskiego munduru pociemniał od krwi.

Tym razem anioł zaatakował pierwszy. Czarnowłosa wbrew prawom fizyki przyjął cios ciężkiego miecza na poprzeczną zastawę, a szpada wytrzymała to.

Anioł zmylił go fintą i ciał zdradziecko z dołu. Czarnowłosa zdołał zejść z linii ciosu, lecz potknął się o kamień. Stracił równowagę i poleciał niezgrabnie do tyłu, uderzając o ścianę. Zalała go struga płomieni, przed którą nie miał szans się uchylić, ale ogień spłynął po nim jak woda. Poderwał się i na nowo przyjął pozycję szermierczą. Jego twarz była maską determinacji, lecz Sangre widziała, że jest zmęczony. Jego ruchy stały się mniej zwinne, leciutko utykał.

Śmiejąc się triumfalnie, anioł wzbił się, by zaatakować z góry. I znalazł się dokładnie na linii strzału. Sangre tylko na to czekała.

Opróżniła magazynek, pakując w plecy świetlistego sześć kul posmarowanych piekielną maścią regeneracyjną, warzoną z siarki, szaleju i koźlej krwi.

Zachwiał się, na sekundę opuszczając miecz. Ta sekunda wystarczyła. Szpada przeciwnika przeszła

jego pierś, przebijając zbroję jak papier.

Upadając, świetlisty wydał wrzask, od którego zadrżały skalne ściany. Gdy ucichły ostatnie echa, ciało anioła buchnęło niebieskawym, trzeszczącym ogniem.

Czarnowłosa wyminął płonące zwłoki. Zrównawszy się z Sangre, starannie wytarł szpadę i schował ją.

– Dziękuję w imieniu Góry – skłonił głowę. – Wyjdźmy może z tego dymu.

Korytarz istotnie zdążyły zasnuć opary, wydzielające ciężki zapach kadzidła.

Gdy dotarli do miejsca, gdzie powietrze było czystsze, nieznajomy zatrzymał się i kawałkiem kredy nakreślił na spągu kilka znaków. Skały drgnęły i wśród ogłuszającego zgrzytu przesunęły się, zamykając przejście.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek tam łąził. Szczątki zasługują na tę odrobinę szacunku – wyjaśnił, marszcząc brwi.

– O co tu w ogóle chodzi? – nie wytrzymała Sangre. – Co za grę prowadzi z nami Góra?

Czarnowłosa popatrzył na nią chłodno, wyraźnie zastanawiając się, czy powinien udzielać odpowiedzi.

– Góra nie prowadzi żadnej gry – odparł w końcu. – Świetlisty, który narobił wam kłopotu, to nieszczęsny szaleniec. Z tego co mi wiadomo, chorował już od jakiegoś czasu. Cierpiał na obsesję na punkcie tego, że Szeol przestał spełniać swoją funkcję, że w praktyce kara rzadko ma dostateczny wymiar, a grzesznicy, którzy zaprzędali dusze piekłu, pozostają zupełnie bezkarni. Leczą go, ale zbiegł z niebiańskiego szpitala. Jakoś zdołał się przedostać do Szeolu, wiedziony chęcią zaprowadzenia u was odpowiednich porządków. – W jego głosie zabrzmiał cień ironii.

– Chory psychicznie anioł? – Sangre uniosła brew. – No cóż, skoro tak twierdzisz. Widywałam już dziwniejsze rzeczy, i na tamtym, i na tym świecie. A ciebie świętoszki wysłały, żebyś rozwiązał ten jakże kompromitujący dla nich problem?

– Można tak to ująć.

Nadal zachodziła w głowę, kim on może być. Na zbawionego nie wyglądał, na świetlistego tym bardziej. Gdyby nie odporność na niebiański ogień, przysięgłaby, że ma do czynienia z Szeolitą. Ale żaden Szeolita nie troszczyłby się o los szczątków pokonanego wroga.

Wysłannik Góry wyrysował tymczasem na skale krąg i wyjął z zanadru flaszeczkę z proszkiem do teleportacji.

– Muszę wracać do świata żywych – rzucił. – Obowiązki wzywają.

– Kim ty właściwie jesteś? – odważyła się w końcu zapytać. Czarnowłosa się uśmiechnął.

– W starożytnej Grecji nazywano mnie Tanatosem. Lubię to imię. Bywaj.

Sypnął proszkiem w krąg, który ożył sinym blaskiem. Skinął jej głową na pożegnanie, wstąpił w portal i zniknął.

\*\*\*

Siedzieli w tawernie, pijąc różowe wino z asmodejskich winnic – Sangre, Markoff oraz Bernardita Mendez, która dała się zaprosić na jednego.

Na dziedzińcu trwało zamieszanie. Żołnierze w zbrojach i maskach usiłowali zaprowadzić porządek w tłumie obdartych dusz, pomagając sobie biczami, pałkami i płazami zakrzywionych mieczy. Ludzie, jakby nie zwracając uwagi na to, co ich czeka, albo kiwali się pijani, albo usiłowali tańczyć. Zawodzenie, krzyki i przekleństwa rozlegały się chyba we wszystkich językach świata.

– No, to sprawa rozwiązana, miasto uratowane – odezwała się wróżbitka, odstawiając puchar na stół. – Szkoda tylko, że nagroda wam przepadła.

– Nie, Lape Zodire jednak zapłacił. Po tysiąc koron na głowę. – Sangre uśmiechnęła się. – Zawsze coś.

– Ten cały Tanatos to uczciwy koleś – dodał Niemiec. – Bo to chyba on musiał opowiedzieć, jak było.

– Tysiąc, co? – Wróżbitka zacmokała. – To może byście tak postawili następną kolejkę?

– Ależ proszę bardzo. – Sangre przywołała służebną i wydała polecenie.

Pod ścianą tawerny zostało już tylko kilka dusz, reszta ustawiona w dwójki maszerowała w takt bębna ulicą wiodącą w stronę Palazzo Dolore.

Zasłona u wejścia uchylila się i na salę wszedł, zamiatając szkarłatną peleryną, demon o włosach barwy lodu – ten sam, z którym Sangre wiązała przyjemne wspomnienia. Podeszedł do ich stolika i przysunął sobie krzesło.

Rozpoznała go w końcu. To był jeden z piekielnych arystokratów zasiadających w radzie miasta, bodaj z rodu Flaurosa.

– Rada miasta ma do was sprawę – oznajmił bez wstępu. – Poseł z Vril-ya spił się na ucztach i obraził kochankę namiestnika. Szukamy chętnych do dania mu nauczki. Ale trzeba zadziałać z wyczuciem, tak żeby nie wywołać skandalu. Bądź co bądź, chodzi o dyplomatę.

– Podaj cenę. – Markoff uśmiechnął się. – Zastanowimy się.

Służebna wróciła z tacą. Sangre wręczyła kielich białowłosemu arystokracie. Przyjął z uśmiechem i lekkim ukłonem, widocznie też ją zapamiętał.

– Wypijmy za Ciemność! – zawołała cokolwiek już wstawiona Bernardita Mendez.

– Za Ciemność!

Wszyscy czworo stuknęli się pucharami.

# Ale nas zbaw ode złego

Ślepy starzec wisiał przykuty do skały za nadgarstki i kostki u nóg.

Rany prawie się już zasklepiły, tak jak zasklepiały się co noc, lecz wcale nie czuł się dzięki temu lepiej. Dręczyły go pragnienie i głód. Rozciągnięte do granic możliwości ścięgnięta paliły żywym ogniem. Jednak najgorszy ze wszystkiego był dławiący za gardło strach. Starzec dobrze wiedział, chociaż nie mógł tego zobaczyć, że niebo nad szczytami gór z czarnego powoli staje się szare. Chłód był znakiem, że wkrótce nadlecą kruki.

Ptaki zawsze zjawiały się o tej samej porze. Nie był pewien, ile ich jest – czasem wydawało mu się, że tylko jeden, kiedy indziej, że całe stado. Za każdym razem rozpaczliwie próbował je płoszyć, krzycząc i szarpiąc się w więzach. Bez skutku.

Kiedy koło południa znikają, był kukłą z krwawiącego mięsa i przez kilka błogosławionych sekund nie czuł zupełnie nic. Potem rozpoczynała się tortura mozolnej regeneracji. Znow wrzeszczał jak opętany, podczas gdy zmasakrowane ciało walczyło, by odzyskać poprzedni kształt; rany wypełniały się ziarniną, stawały się bliznami. Na samym końcu, już wbrew wszelkim regułom biologii, blizny przemieniały się w zdrową skórę. Tylko wzrok nie wracał – stanowiła o tym specjalna, oddzielna klauzula w wyroku – mimo że wydziobywane oczy codziennie odrastały.

Nagle zeszywniał, słysząc – rzecz niebywała – kroki. Ktoś nadchodził, powoli, chyba kulejąc. Potem przystanął.

– Starcze! – Zachrypnięty ze zmęczenia głos należał do kobiety. – Chcę się dostać na szczyt tej góry, na której stoi zamek księcia. Którędy powinnam iść?

– Dla...haa...czego pytasz ślepcę o drogę? – wyskrzeczwał z trudem starzec. Prawie zapomniał już, jak się wydaje dźwięki inne niż wrzask.

– Zdaje się, że cierpisz tu od bardzo dawna, twoje okowy całkiem zardzewiały. Nie wierzę, że nie wiesz, jak dotrzeć na zamek.

– Po co chcesz tam iść?

– Szukam brata, nazywa się Philippe. Podobno trafił gdzieś w te okolice, może na zamku mi powiedzą, gdzie go znaleźć.

– Jak ci na imię, dziecko?

– Blanche.

– Blanche, niestety nie wiem, którądy się idzie na zamek, ale coś ci poradzę. – Starzec przerwał na chwilę, żeby nabrać sił. – Zejdź w kotlinę, jest tam osada. Pytaj mieszkańców o dom Mamki Gorylicy. Stara chętnie przyjmie u siebie przybyszki z powierzchni. Ona ci objaśni, którądy wiedzie ścieżka na szczyt góry. Zrozumiałaś?

– Tak.

– Świetnie. – Skazany uśmiechnął się chytrze. – No, Blanche, pomogłem ci, więc teraz ty zrób coś dla mnie. Zgoda?

Przytaknęła niepewnie.

– Okaż miłosierdzie i zabij mnie.

– Nie mogę... – wyjąkała przerażona Blanche. – Nie wolno mi się wtrącać do wyroków... A zresztą, przecież nie można umrzeć po raz drugi!

– Nie do końca masz rację, ale na jedno wychodzi. Umrzeć można jak najbardziej i po raz drugi, i

trzeci, i czwarty. Umierałem już setki razy... i cóż z tego? Ale jeśli ty mnie zabijesz, być może więcej się nie obudzę. Błagam, przynajmniej spróbuj!

Odpowiedział mu tylko cichnący zgrzyt żwiru pod butami. Odchodziła... Gdy to pojął, wybuchła w nim wściekłość pomieszana z rozpaczą.

Jego krzyki goniły ją jeszcze długo.

\*\*\*

W piekle nigdy nie widuje się słońca, lecz w jego górnych partiach dzień i noc następują po sobie tak jak na powierzchni.

Noc przeraża. Nie ma księżyca ani gwiazd. Na ziemi gdzieś żarzą się ogniki, wskazując położenie miejsc, gdzie cierpią potępieni. Co i rusz w oddali strzela gejzer płomieni albo niebo przecina złowrogi, czerwony meteor.

Jedną noc od drugiej oddziela kilka godzin szarżyzny, spowitych w mgłę i dymy. Najpochmurniejszy listopadowy dzień na powierzchni ma się do nich tak, jak ludzka twarz do nieudolnej rzeźby z masy papierowej.

Wstawał rano. Chmury spełzły niżej, przesłaniając skalne masywy. Powoli, kulejąc, Blanche schodziła po łagodnie nachylnym stoku. Podpierała się zniszczoną kulą inwalidzką, którą znalazła poprzedniego dnia pomiędzy piargami.

Była tak drobna i szczupła, że na pierwszy rzut oka wydawała się małą dziewczynką. Miała na sobie wyświechtane džinsy oraz niebieski sweter, który wyglądał jak wygrzebany ze śmietnika. Ciemne, długie do ramion włosy zwisały w strąkach wokół umorusanej twarzy.

Pośrodku jej czoła widniało znamię, przypominające plamkę srebrnej farby. Pocałunek anioła stróża, jej glejt na ścieżkach Szeolu.

Nosiła stare, rozdeptane tenisówki z dziurami w podeszwach. Skarpetek ani śladu. Poobijane i pokaleczone stopy sprawiały, że każdy krok na kamienistym podłożu przywodził na myśl stąpanie po rozżarzonych węglach.

Idąc, modliła się. Czy raczej z samego nawyku szeptała słowa, które dawno przestały nieść otuchę. Jakby zamiast chleba połykała piach.

*Otchłań jest królestwem cierpienia, które spala dusze.* Tak powiedział anioł stróż. *Strzeż się, aby twoje serce nie stało się popiołem.* Pamiętała jego ostrzeżenia jak przez mgłę. Wydawały się teraz abstrakcyjne, żeby nie powiedzieć – naiwne w swym patosie. Wędrowanie przez piekło nie miało w sobie niczego wzniosłego. Żadnych kuszeń, żadnych zmagañ z podstępnyimi demonami – ani jednej okazji do udowodnienia, że godna jest znaku, który nosi.

Tylko krwawiące stopy, brud, pył w oczach i ustach...

Zadrżała, gdy z podmuchem wiatru przyplęnęło ochryple krakanie. Po niebie kołował kruk. Po chwili dołączył do niego drugi i razem zniknęły wśród skał. Wiedziała, że nie są to zwykłe ptaki, ale nie przestraszyła się. Dopóki nosiła znak, nic nie miało prawa jej tu skrzywdzić.

Chmury rozstępowały się, ukazując dno kotliny. Blanche zmrużyła oczy. W dole wznosiły się budowle, między którymi, wyteżywszy wzrok, mogła dostrzec uwijające się sylwetki. Chwilę później mgły zwały się znowu, zasłaniając widok. Ale przynajmniej wiedziała już, w którą stronę się kierować.

Z góry wraz z wiatrem doleciał potworny wrzask – wrzask człowieka rozszarpywanego żywcem. Zmusiła się, by go zignorować.

\*\*\*

Budowle z bliska prezentowały się imponująco. Imponująco i z lekka absurdalnie pośrodku pustkowia.

Architekturą trochę przypominały gotyckie katedry, trochę zaś – olbrzymie termityery. Blanche naliczyła ich sześć. Siódmą, położoną najbardziej z brzegu, dopiero wznoszono; była o połowę niższa od pozostałych, a jej mury jeżyły się rusztowaniami. Wokół wrzał gorączkowy ruch; szaro odziane postacie dwoiły się i troiły, zwożąc na taczkach kamienie, obrabiając je, mieszając zaprawę. Budowę nadzorowały postacie jak z meskalinowych wizji – ni to jaszczury, ni skrzydlate małpy. Dzierżyły bicze, z których od czasu do czasu czyniły użytek, ponaglając opieszalców.

Wokół sześciu pozostałych budowli wyrosło nader ziemsko wyglądające osiedle bud i szałasów. Dykta, blacha, płachty folii, szmaty rozwieszono na sznurach... Jedyne, co się nie zgadzało, to cisza. Brakowało bzyczenia much, krzyku dzieciaków. Tylko folia szeleściła na wietrze.

Może ktoś bardziej obeznany z piekłem po samej ciszy zorientowałby się, co to za miejsce.

Pierwszy mieszkaniec osady, jakiego Blanche zobaczyła z bliska, wyglądał prawie normalnie, tyle tylko że na czole miał jaśniejszą łatę źle dopasowanego przeszczepu. Jednak poruszał się wolno i niepewnie – widocznie luźna szata kryła poważniejsze defekty.

Im dalej, tym było gorzej. Przed każdą budą kuliła się jedna lub kilka zdeformowanych postaci. Okaleczeni nieszczęśnicy bez rąk, bez nóg, wsparci na szczudłach lub pełzający w pyłe. Łyse dzieci, pokryte potwornymi naroślami... W pewnej chwili Blanche minęła kobietę, która nie miała twarzy. Oczu, nosa, nic – prócz bezkształtnej masy blizn.

Przełamując strach i obrzydzenie, próbowała pytać tych ludzi, gdzie szukać Mamki Gorylicy, ale bez skutku. Albo odpowiadali milczeniem, albo – w najlepszym razie – wydawali nieartykułowane gulgoty czy jęki.

W końcu wyszła spomiędzy bud, by stanąć u podnóża termitierokatedry. Do wysokości pierwszego piętra z całej powierzchni muru wystawały w regularnych odstępach mniej więcej dwumetrowe, ostro zakończone drągi. Gdy przyjrzała im się uważniej, przeszedł ją dreszcz – wszystkie oblepione były zakrzepłą krwią. Z czubka jednego zwisało długie pasmo włosów.

Szła wzdłuż muru, aż odnalazła wejście – masywne, dwuskrzydłowe drzwi. Przed nimi siedział na ziemi staruszek w brudnej szacie, spod której wystawały włochate nogi zakończone kopytami. Domyśliła się, że to emerytowany demon. Bawił się plastikowymi figurkami żołnierzy, na przemian nucąc i mamlając do siebie. Z ust sterczał mu pojedynczy szerniały kieł.

– Dziadku, gdzie znajdę Mamkę Gorylicę? – spytała Blanche bez większych nadziei. Ku jej zaskoczeniu, bez wahania wskazał drzwi.

– Muszę wejść do środka?

Mruknął coś, co mogło być potwierdzeniem. Wstrzymując oddech, przestąpiła próg.

Czasem piekło przypominało miejsce ze snu. Wchodziło się gdzieś i sceneria zmieniała się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kręty, obrośnięty pajęczynami korytarz, w którym znalazła się Blanche, po kilkunastu krokach sam z siebie przemorfował w salę o niskim sklepieniu, w której woń potraw walczyła o lepsze ze swądem spalenizny i smoły. Nad barem jaśniał krzywo umocowany neon w kształcie półksiężyca, sina poświata odbijała się w kieliszkach i zastawie. Skąpo ubrane kelnerki uwijały się między stołami, za którymi tłoczyły się hałaśliwe czarty.

Skrzywiła się, gdy pusty żołądek boleśnie przypominał o swoim istnieniu, pamiętała jednak ostrzeżenie anioła, by na dole nie brać do ust niczego, ani jedzenia, ani napojów. Piekło nie rządziło się ziemskimi prawami; nie miała tu ciała, tylko jego namiastkę. Głód, ból i zmęczenie były złudzeniami, które należało zignorować.

Dawno zapomniała, jak smakuje chleb, jak pachnie cynamon, jabłko, bazylika. Zostały jej tylko nazwy, cienie doznań, niczym słowa martwego języka.

Weszła między stoły, nieświadoma, że z każdym stąpieniem zostawia na podłodze krwawe ślady. Na

jej widok gwar najpierw przycichł, potem wezbrał na nowo. Przystanąła pod ścianą i rozglądała się niepewnie. W zasadzie nie bała się – na tym etapie już niewiele rzeczy było w stanie ją przestraszyć, poza tym ufała mocy znamienia. Nie wiedziała tylko, co powinna zrobić; poszukać wolnego krzesła czy może podejść do baru, nad którym – jak teraz spostrzegła – wisiły w charakterze dekoracji zmumifikowane ludzkie szczątki.

Barman w smokingu i białej gipsowej masce zmierzył ją drwiącym spojrzeniem, ale nie odezwał się ani słowem. Przed nim na kontuarze stały dwa pękate słoje, pełne zielonkawej cieczy. W jednym pływały jelita, w drugim – gałki oczne.

Nagle w kącie z ulgą dostrzegła kogoś, kto wydawał się człowiekiem, nie czarłem. Wynędziała mężczyzna ze splątanymi czarnymi włosami i brodą obserwował ją znad szklanki z trunkiem. Podeszła.

– Mogę się przysiąść?

Zrobił nieokreślony gest ręką, który potraktowała jako przyzwolenie. Zauważyła, że mankiety kurtki miał czymś upaprane, chyba smołą.

– Konstantin – przedstawił się, nim zdążyła go spytać o imię. – A ty się nazywasz...

– Blanche.

Mówili dwoma różnymi językami, ale mimo to rozumieli się wzajemnie, choć żadne nie umiałyby wytłumaczyć, na jakiej zasadzie to się dzieje.

– Co tu robisz, Blanche? Zabłądziłaś?

– Muszę znaleźć Mamkę Gorylicę.

– Rozumiem. A można wiedzieć, na co ci ona?

– Chcę, żeby mi wskazała drogę do pałacu księcia.

– Coraz lepiej. – Pokiwał głową. – A po co, Blanche, chcesz tam iść?

– Potrzebuję od księcia wskazówek. Szukam kogoś... Brata.

– Ach, tak. No fakt, nosisz znak, czyli jesteś szczególnym przypadkiem. Pozwól no bliżej, niech ci się przyjrzę, szczególny przypadku. – Omiótł dziewczynę wzrokiem od stóp do głów. Uniósł brwi, widząc krzyż na szyi.

– Jesteś wierząca czy to tylko tak dla ozdoby? – Raz jeszcze ogarnął spojrzeniem resztę jej żalosego ubioru. Blanche zignorowała jawną złośliwość.

– Jestem wierząca.

Jego usta skrzywił grymas, który mógł być uśmiechem.

– Wierząca w co? Sprecyzuj.

– Wierzę w Boga. – Mówiąc to, wyprostowała się odruchowo.

– W Boga Ojca wszechmogącego, stwórcy nieba i ziemi? Wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych? – Konstantin uśmiechnął się znowu, tym razem z politowaniem. – Biedactwo, i cóż ci z tego? Piekło to nieobecność Boga.

– Ja wierzę, że Bóg jest wszędzie.

Wzruszył ramionami, unosząc szklankę do ust.

– Byli i tacy, co twierdzili, że piekło jest puste. Jak widać na załączonym obrazku, nie mieli racji.

Przy jednym ze stołów z trzaskiem zapłonął ogień. Paliła się zawartość wielkiej wazy, którą kelnerka postawiła przed biesiadnikami. Zewsząd rozległy się okrzyki entuzjazmu; natychmiast ustawiała się kolejka chętnych do spróbowania ognistej potrawy. Lokal wypełnił się dymem. Konstantin, klnąc, otworzył okno, które – jak zauważyła teraz dziewczyna – znajdowało się w wykuszu za ich stolikiem. Nie zwróciła na nie wcześniej uwagi, bo okiennice były zaryglowane. Na zewnątrz wszystko tonęło we mgle. Z nieba prószył popiół; kilka płatków osiadło na parapecie. Skądś nadpłynął chóralny śpiew.

– Co to? – zdziwiła się.

– Zesłańcy śpiewają pieśń ku czci księcia. Podlizują mu się w nadziei, że dzięki temu złagodzi im wyroki. Oczywiście nic to nie da, ale biedni głupcy nie zrezygnują za nic w świecie.

– Ci... z osady? Oni potrafią śpiewać?

– Dziś jest szabat. W szabat w samo południe odzyskują na godzinę głosy. Księżę lubi słuchać, jak śpiewają. Co nie zmienia faktu, że niczego w ten sposób nie zwojują, bo lubi też patrzeć, jak są karani. Nawiasem mówiąc, siedzimy w knajpie dla katów. Nie przypatruj się im! – syknął, gdy obejrzała się odruchowo. – Lepiej nie zwracać na siebie ich uwagi.

– Nic mi nie zrobią. – Musnęła palcami znamię.

– Tobie może i nie. Ja nie chcę się im narażać. Tolerują mnie tu, ale wolę nie sprawdzać, jak daleko ta tolerancja sięga.

– Zaraz, chwila. – Blanche zamrugwała. – To ty tu nie... no wiesz... nie z wyroku?

– Nie. – Zaśmiał się ponuro. – Kochana, gdybym ja tu był z wyroku, to byśmy nie mieli możliwości rozmawiać, zaręczam ci.

– Więc właściwie na jakich zasadach tu jesteś?

– Na żadnych. Dawno temu zszedłem tu z głupoty, Blanche, z pospolitej, chamskiej głupoty, i już nie udało mi się wrócić na Górę. – Konstantin zgarbił się jeszcze bardziej. – Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją... – zamruczał właściwie do siebie.

– Jesteś człowiekiem?

– Oczywiście, a kimże miałbym być? Jeśli chcesz wiedzieć, za życia zajmowałem się fizyką jądrową. Dużo mi z tego przyszło. – Ponuro zapatrzył się pod światło na resztki trunku w butelce.

Blanche nagle złapała się na tym, że wpatruje się w jego przygarbioną sylwetkę, kościste dłonie zaciśnięte wokół butelki, jakby podświadomie doszukując się podobieństwa do Philippe'a. Philippe'a w schyłkowej fazie, kiedy żywił się już tylko jogurtami owocowymi i glukozą, a zastrzyki robił sobie w stopę, bo na rękach wszędzie miał zrosty...

Śpiew dolatujący z dworu ucichł. Dla odmiany na sali rozległy się ochryple wrzaski – podpite czarty zaintonowały sprośną parodię pieśni kościelnej. Konstantin jednym haustem dopił zawartość szklanki.

– Za kim tu zesłaś?

– Za bratem. Może go znasz? – Spojrzała z nadzieją. – Nazywa się Philippe...

– Nie znam nikogo o tym imieniu. Za co tu trafił? Nie obraż się, ale musiał nielicho narozrabiać, wyroków nie dostaje się za byle co.

– Nie tak, jak niektórzy. – Westchnęła. – Co nie znaczy oczywiście, że był dobrym człowiekiem. Ale to wszystko jest tak cholernie względne...

Mężczyzna nagle złapał ją za ramię, zaciskając palce aż do bólu.

– Lepiej wróć na Górę, póki możesz. Ten śliczny srebrny znak na twoim czółku kiedyś zniknie, a wtedy będziesz musiała tu zostać na zawsze.

Znowu parsknął śmiechem, takim, że Blanche zmroziło. Wyrwała się i pobiegła do wyjścia, ścigana rechotem tłuszczy. Paru krzyknęło za nią, ale nie oglądała się.

Wypadła na zewnątrz i stanęła jak wryta – wszystko tu się zmieniło po raz kolejny. Stała na zaniebanej klatce schodowej; zabazgrane ściany, smród moczu... Wzdrygnęła się, bo знаła to miejsce. Blok, w którym zmarł Philippe.

*Pierwsze piętro... mieszkanie numer 46...*

Stała na parterze, pojedyncza żarówka oświetlała schody. Gdzieś z góry dobiegł płacz dziecka, a może zawodzenie kobiety. Blanche wytarła spocone, lodowate ręce o spodnie.

*Opasali drzwi żółtą taśmą... Nie chcę tam iść!*

Ale nogi, jak w złym śnie, już same prowadziły ją na górę...



I wtedy schody na powrót stały się korytarzem pełnym pajęczyn. Blanche z westchnieniem ulgi ruszyła naprzód w nadziei, że uda się jej znaleźć wyjście z budowli.

W pewnej chwili coś ją tknęło; obejrzała się i zobaczyła, że krok w krok za nią idzie brodac z diabelskiej restauracji.

– Czego chcesz? – spytała ostro. – Pilnuj swoich spraw!

– Nierozsądnie robisz, błąkając się samotnie po tym budynku – odparł spokojnie. – Te korytarze potrafią zmieniać położenie. Jeśli budowla wyczuje, że nie wiesz, gdzie jesteś, zrobi wszystko, żebyś nie trafiła tam, dokąd chcesz. Projektował ją... powiedzmy, że dość złośliwy architekt.

Jakby na potwierdzenie jego słów, w ścianie tuż obok nich otworzył się drugi korytarz, z którego powiało wonią pleśni. Po podłodze walały się zetlałe szmaty, stare zabawki i inne śmieci. Koło nóg Blanche przemknął szczur. Wzdrygnęła się, a zaraz potem krzyknęła mimo woli, gdy mężczyzna ujął ją za ramię.

– Nie patrz tam, to niedobre miejsce. Chodź.

– Nie dotykaj mnie! – Wyszarpnęła rękę.

– Przepraszam. Rusz się, dziewczyno! Koniecznie chcesz się przekonać, co się stanie, jeśli nie posłuchasz?

W zaśmieconym korytarzu gęstniała sina mgiełka. Blanche nagle poczuła, że drapie ją w gardle, a oczy zaczynają łzawić. Gaz?! Konstantin tymczasem od niechcienia machnął ręką i ściany przeformowały się niczym obraz w kalejdoskopie, tworząc kolejne dwa przejścia. Nie zwlekając, wybrał lewe; otrząsnęła się z zaskoczenia w samą porę, żeby podążyć za nim. Sekundę później mur za ich plecami zrósł się na nowo.

Zbiegli po chwiejnych schodkach, które zmaterializowały się znikąd, i zatrzymali się w sali, gdzie na długich stołach piętrzyła się zakurzona aparatura – jakieś urządzenia z pokrętłami, sploty kabli. Szyby w dużych, okratowanych oknach były tak brudne, że prawie nie przepuszczały światła.

– No, chwilowo jesteśmy bezpieczni – stwierdził Konstantin.

– Co to za miejsce?

– Po prostu miejsce. Punkt w labiryncie.

– W takim razie czym jest labirynt? Czym jest cała ta budowla?

Wzruszył tylko ramionami, ale postanowiła dążyć kwestię.

– Śmieci, zabawki i maszyny to symbole, prawda? Co oznaczają? Jakim kluczem kierował się architekt?

– Och, architekt nie projektował w szczegółach wnętrza budowli. On tylko nakreślił ogólny plan, a korytarze i sale wypączkowują same. Chcesz wiedzieć, co w nich mieszka? Wspomnienia potępionych, ot co. Martwe wspomnienia martwych ludzi, którzy utracili je z chwilą przybycia tutaj. Teraz ich przeszłość żyje w tych murach własnym życiem. Nie chcesz wiedzieć, co by się stało, gdybyś zbyt długo tu błądziła. Przypomnij mi, Blanche, dokąd właściwie chcesz trafić?

– Do Mamki Gorylicy.

– Wiesz chociaż, gdzie ją znaleźć?

– Powiedziano mi, że mam szukać w tej budowli...

– Kto ci powiedział? Kiedy?

Opowiedziała mu o staruszku od żołnierzyków.

– Kłamał, jak to demony – skwitował Konstantin. – Mamka Gorylica nie mieszka tutaj, tylko w osadzie. Jest przełożoną wylęgarni. Mogę cię tam zaprowadzić, jeśli chcesz. Sama nie wydostaniesz się z labiryntu.

Nie czekając na odpowiedź, szepnęła coś, przyciskając dłoń do ściany i mur rozstał się, ukazując

spopielony krajobraz doliny. Blanche wyszła śladem dziwnego przewodnika na otwartą przestrzeń. Cuchnący spalenizną wiatr zmierzwił jej włosy. Staruszek zniknął; w pyle walały się porzucone zabawki.

\*\*\*

Okaleczone postacie nadal snuły się między ruderami, całkowicie ignorując przybyszy. Konstantin zaprowadził ją do niskiego drewnianego baraku i pchnął skrzypiące drzwi.

– Tu mieszka Mamka Gorylica – oznajmił. – Witaj w wylęgarni.

Powietrze w środku było nagrzane, ciężkie, wydawało się oblepiać ciało jak miód. Z rusztowań zwieszały się kokony – jedne wielkości arbuza, inne tak duże, jak dorosły mężczyzna. Na wysypanej słomą podłodze baraszkowały małe diabełki.

Od stojącego w kącie pieca buchało gorąco. W stojącym na ogniu garze mieszała kopyścią przedziwna osoba. Suknia z grubo tkanej wełny, która na Blanche wisiaby niczym żagiel, na niej opinała się tak ciasno, że biust, brzuch i biodra omal nie rozsadały szwów. Włosy demonicy były skołtunione, a ciało porośnięte sierścią. Wolną ręką podtrzymywała przy piersi niemowlę, któremu z kędzierzawej czupryni sterczały różki.

Na widok przybyszy uśmiechnęła się szeroko, pokazując kły.

– Co ja widzę, goście? I to ktoś nowy? Skąd się wzięłaś na dole, kochaniutka? Przecież wszyscy wiedzą, że grzeczne dziewczynki idą do nieba, a ty mi na niegrzeczną nie wyglądasz.

– Co pani robi? – spytała Blanche, zafascynowana zawartością gara, w którym w czarnej mazi kłębiły się na wpół rozpoznawalne kształty.

– Gotuję moim maleństwom potrawkę ze skorpionów i żmij w sosie à la Sziwa. W tym wieku muszą się dobrze odżywiać. Gdy urosną duże i silne, zostaną wojownikami Belzebuba. Nie odpowiedziałaś mi na pytanie, maleńka. Co cię sprowadza? Ach, przepraszam, już nie musisz nic mówić, widzę. Prywatna kruczata, co? Konstantin nie straszył cię jeszcze, że powinnaś sobie dać z tym spokój i wrócić na Górę? – Mamka Gorylica znowu obnażyła kły w uśmiechu. – Pamiętam, jak dawno temu nadszedł gościńcem od strony bramy, z takim samym ślicznym znakiem na czole, jak ty teraz. Jak w tanim melodramacie, zstąpił do piekieł, by szukać ukochanej. Nie znalazł jej i musiał tu zostać.

Oniemiała Blanche popatrzyła na mężczyznę. Ten skinął głową.

– Tak, takie jest prawo, ciebie też ono dotyczy. Dopóki łaska Pana jest z tobą, nie masz się czego obawiać, ale znamie zniknie, jeśli Pan uzna, że nie zasługujesz już na jego opiekę, a wówczas przepadło, nie ma powrotu na Górę. – Znowu zaśmiał się swoim nieprzyjemnym śmiechem. – Większość schodzących tak właśnie kończy. Widzisz, kotku, idealizm nie popłaca. Trzeba było grzecznie siedzieć w raju...

Dziewczyna przycisnęła palce do czoła. Zaczynało jej się kręcić w głowie, może od nadmiaru wrażeń, a może od panującego w wylęgarni zaduchu. Wymamrotawszy półgłosem przeprosiny, uciekła na otwartą przestrzeń. Usiadła, opierając się o ścianę baraku i zamknęła oczy.

Jak zawsze, wspomnienia przyplłyły niewołane.

Jej starszy brat – dziennikarz radiowy, oczko w głowie całej rodziny... Tak długo nie umieli przyjąć do wiadomości, że dzieje się z nim coś złego.

Kiedy Blanche po lekcjach ćwiczyła grę na wiolonczeli i śpiew, on imprezował z podejrzanym towarzystwem. Kiedy ona zdawała egzaminy na muzykologię, on wyleciał z pracy za prochy.

Gdy ich ojciec otrząsnął się z pierwszego szoku, zareagował nadspodziewanie trzeźwo, bez kłótni, krzyków i obwiniania kogokolwiek. Mamy problem, rozwiążemy go. Załatwił synowi odwyk. Jeden, drugi, trzeci. Ale kiedy za którymś razem z kolei Philippe krótko po powrocie z ośrodka znowu miał źrenice jak główki od szpilek, a z domu zaczęła ginąć już nie gotówka – bo tej nie trzymali na wierzchu –

ale głośniki od komputera, aparat cyfrowy, biżuteria, oboje z żoną doszli do wniosku, że to nie na ich siły. Za namową terapeuty spakowali rzeczy syna do torby, wystawili torbę za drzwi i wymienili zamki.

Philippe zniknął. Przez rok nie dawał znaku życia. Aż któregoś wieczoru, bodajże w lutym, zadzwonił do Blanche, która wtedy nie mieszkała już z rodzicami. Był na głodzie i nieskładnie prosił o pieniądze.

W tajemnicy przed wszystkimi poszła do mieszkania, gdzie nocował u kumpli. Jeszcze teraz robiło jej się zimno na wspomnienie tamtej wizyty. Mieszkanie okazało się cuchnącą norą. Od czasu, kiedy ostatni raz go widziała, Philippe schudł tak, że został z niego cień człowieka. Rozmawiał, unikając jej wzroku, było widać, że myśli zaprzęta mu tylko jedno. Na podłodze między brudnymi naczyniami dostrzegła okopconą łyżkę i strzykawkę. Wcisnęła bratu w rękę kilka banknotów i uciekła.

Wracała tam później jeszcze kilka razy, ale nie odważyła się nacisnąć dzwonka. Kupowała jogurty, serki homogenizowane i zostawiała siatkę na progu. Nie umiała się zdobyć na to, żeby zrobić coś więcej.

Mniej więcej w tym czasie sama zaczęła mieć problemy ze zdrowiem. Spała po dwanaście, czternaście godzin na dobę i nadal czuła się zmęczona, w ustach porobiły jej się dziwne, niegojące się ranki, w krótkim odstępie czasu zaliczyła kilka angin. Zapracowanego lekarza w przychodni studenckiej w końcu coś tknęło i skierował Blanche na badania krwi, po których od razu trafiła do szpitala. Diagnoza – białaczka.

Walczyła z chorobą przez dziesięć miesięcy, długich jak lata. I przez cały ten czas Philippe nie dał znaku życia. W listopadzie dostała wiadomość o jego śmierci i coś w niej zgąsło. Straciła chęć do walki.

W peruce, ale jeszcze w miarę silna pojechała na pogrzeb. Tydzień później już leżała półprzytomna na intensywnej terapii. Wpisano ją na listę biorców szpiku. Bank znalazł dawcę, ale nie doczekała przeszczepu.

*Aniele Boży, strózu mój, ty zawsze przy mnie stój...*

Ujrzała znów anioła w białych szatach, jak tamtego dnia pochyła się nad nią w szpitalnej sali, ujmuje wychudzoną dłoń, w której tkwi wenflon.

– Wstań i chodź. Czekają na ciebie w niebiosach.

– Nie! – woła Blanche, która w momencie śmierci już wie, kogo w niebiosach nie spotka. – Chcę pójść tam, gdzie jest mój brat!

Nawet nie zobaczyła raj.

Oczy zapiekły ją nagle; uznała, że nie ma siły dalej katować się przeszłością i wstała. Z wylęgarni dolatywał tak radosny gwar, że aż z ciekawością zajrzała do środka. Czereda diabłat zajadała się potrawą, która wyglądała i pachniała do złudzenia jak curry z kurczaka na słodko, z rodzynkami i dużą ilością imbiru. Blanche przełknęła ślinę; kuszący aromat sprawił, że na chwilę zapomniała, gdzie się znajduje.

– Chcesz i ty skosztować, maleńka? – Mamka Gorylica podała jej przez próg talerz. Dziewczynie wydało się, że ślepie diablicy złośliwie błysnęły, jednak curry pachniało tak smakowicie, że gotowa była zapomnieć o ostrożności. Już miała usiąść i zabrać się do jedzenia, kiedy ktoś chwycił ją za ramię. Odwróciła się i popatrzyła wprost w zmęczone oczy Konstantina, szkliste od alkoholu.

– Nie ruszaj tego, rozchorujesz się – stwierdził, wyjmując jej talerz z rąk. Potrawa natychmiast przeszła przykrą metamorfozę; ryż, mięso i sos zlały się w obrzydliwą ciemną masę, a następnie wyparowały. Brodacz cisnął pustym talerzem o ścianę; zamiast się roztrzaskać, talerz przemienił się w ćmę i odleciał.

– Widzisz? Co innego, gdybyś pobyła tu dłużej, wtedy można się pomału przyzwyczaić. Ja jeszcze nie mogę jeść tego, co oni, ale napoje już mi nie szkodzą. – Na potwierdzenie łyknął z butelki, którą przyniósł ze sobą, i wstrząsnął się lekko.

– Jak to się dzieje, że diabły cię tolerują na swoim terenie?

– Przydaję się w ambulatorium. Trochę trwa, zanim pacjenci wypuszczeni z katowni dojdą do siebie, przez jakiś czas trzeba ich doglądać, opatrywać... zasadniczo wszystko goi się samo, ale może się zagoić lepiej albo gorzej. Gdyby zostawiać rannych ich losowi, mielibyśmy za dużo kalek niezdolnych do niczego. Sęk w tym, że udzielanie pomocy nie leży w gestii czartów. Od tego jest tu jedna stara lekarka i jej pomocnik, chłopak niespełna rozumu. Pomagam im.

– Pacjenci wypuszczeni z katowni... – Na twarzy dziewczyny odmalowała się nadzieja, lecz Konstantin pokręcił głową.

– Twojego brata tam nie ma. Znam na pamięć wszystkie nazwiska. Kto cię w ogóle do nas skierował? Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek trafił tu jakiś narkoman.

– Przy bramie powiedziano mi, że jeśli ktoś może mi pomóc, to tylko tutejszy książę. – Blanche popatrzyła w górę i wzdrygnęła się, gdy wiatr dmuchnął znowu, niosąc tumany pyłu. Opary rozwiewały się, odsłaniając szczyt najbliższej z gór. Na samym wierzchołku widać było budowlę, małą jak zabawka.

– Nie idź tam – powiedział cicho mężczyzna.

– Muszę. Nie martw się, znak mnie ochroni.

Za sobą usłyszeli śmiech Mamki Gorylicy, która oparta o framugę przysłuchiwała się ich rozmowie.

– Nic nie poradzisz, mój drogi. Przecież książę już wie, że ona tu jest. Tylko patrzeć, jak przyśle żołnierzy.

\*\*\*

Przybyli wkrótce potem. Ich hełmy miały przyłbice w kształcie zwierzęcych pysków, a bestia, na której przylecieli, wyglądała jak skrzyżowanie sępa z olbrzymim nietoperzem. Blanche z trudem wdrapała się na grzbiet poczwary i wczepiła oburącz w śmierdzące kudły. Żołnierze usadowili się za nią, a wówczas stwór załopotał skrzydłami i z przerażającą szybkością wzbił się pod chmury.

Dziewczyna zagryzła wargi, żeby nie krzyczeć. Zimny pęd powietrza wyciskał jej łyzy z oczu i właczał oddech z powrotem do gardła. Modliła się, żeby zgrabiałe ręce nie osłabły. Nie wiedziała, co by było, gdyby spadła. Teoretycznie tak długo, dopóki chronił ją pocałunek anioła, nie miała prawa w piekle doznać żadnej krzywdy, ale na wszelki wypadek wolała nie spoglądać w dół.

Wylądowali pośrodku dziedzińca akurat w momencie, gdy błyskawica rozdarła chmury, wydobywając z mroku kontury baszt. Powietrze śmierdziało rozgrzanym metalem. Zagrzmiało, Blanche poczuła na twarzy pierwsze krople deszczu.

Żołnierz chwycił ją za rękę i wciągnął w niewielkie boczne drzwi.

Korytarze od czasu do czasu rozświetlał pełgający blask pochodni. Przez uchylone drzwi jednej z komnat Blanche dostrzegła kilka kobiet w czerwonych wieczorowych sukniach, które wdzięczyły się do demona o czarnym, jakby spalonym obliczu. Na stole, przy którym siedzieli, pomiędzy girlandami kwiatów leżały nagie zwłoki dziecka. Poczowała chłód w brzuchu i czym prędzej odwróciła wzrok.

Dotarli do dwuskrzydłowych, rzeźbionych wrót z hebanu. Były uchylone. Gwardzista szturchnął Blanche w plecy na znak, że ma wejść.

Na ścianach komnaty wisiały zwierciadła rozmieszczone tak, by odbijać się w sobie nawzajem, tworząc iluzję lustrzanych korytarzy. W potężnym kominku huczał ogień, chociaż nie było widać, by spalało się tam jakieś drewno, a w jednym z rogów komnaty trzy oliwne lampki paliły się przed postumentem, na którym stał złoty posąg ciełęcia. Odblaski płomieni zwielokrotniały się w zwierciadłach, rozpraszając mrok. Zadarłszy głowę, Blanche bez trudu mogła stwierdzić, co przedstawia fresk na sklepieniu – bestię o siedmiu głowach, której dosiadała kobieta w bogatym stroju, trzymająca w ręku kielich.

Szelest sprawił, że odwróciła głowę i zmartwiała. Aksamitna kotara w najdalszym końcu

pomieszczenia rozsunęła się wolno, odsłaniając jeszcze jedne drzwi, które otwały się bez najlżejszego skrzypnięcia. Za nimi stał książę.

W czarnym aksamitnym dublecie, takichże nogawicach oraz trzewikach z klamrami wyglądał jak na ilustracji z podręcznika do historii. Powoli wyszedł na środek komnaty i stanął, lustrując dziewczynę spod zmrużonych powiek. Nie miał brwi, co w połączeniu z rudymi włosami i trupioblada cerą nadawało mu upiorny wygląd.

– No proszę, mała protegowana niebios. Doszły mnie słuchy, że się pętasz po moich włościach. – Chrapliwy głos przemówił tak niespodziewanie, że przeszły ją ciarki. – Podejdź bliżej, niech ci się przyjrzę.

Chciała spełnić polecenie, ale po kilku krokach nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Dygotała jak zajaczek we wnykach.

– Bliżej! – warknął. – Co jest? Nie podobam ci się?

Złapał ją i bezceremonialnie przyciągnął do siebie. Czowała, jak od samego jego dotyku drętwieje jej ramię, a oddech więźnie w płucach. Wcześniej nie miała bladego pojęcia, co to znaczy stanąć twarzą w twarz z jednym z upadłych rycerzy Pana. Z tak prastarą potęgą i z tak zapiekłą nienawiścią.

Ujął ją szorstko pod brodę. Postanowiła, że choćby nie wiadomo co, wytrzyma jego spojrzenie. Chociaż tyle, chociaż jakaś śladowa forma oporu.

Światło nie odbijało się w źrenicach księcia, lecz ginęło w nich jak w bezdennej próżni. Blanche uświadomiła sobie, że pocałunek anioła znaczy dlań tyle, co nic. Była na jego łasce.

– Jak śmiałaś wnieść to tutaj? – Szarpnięciem zerwał krzyżyk wraz z łańcuszkiem. Wymamrotał coś i przedmiot rozwiął się w chmurce dymu. Z uśmiechem pokazał dziewczynie pustą dłoń. – Widzisz, Blanche? Pod tym dachem twój Pan nie ma żadnej mocy.

Milczała.

– Wiem, czego szukasz. Być może ci to dam. Ale wpierw musisz pocierpieć, tak jak cierpiał ten, w którego wierzysz. Jesteś gotowa zapłacić krwią?

– Tak. – Głos jej drżał.

Ze stojącej w rogu skrzyni książę wyjął bicz o dziewięciu rzemieniach. Znikąd, niewołani, u jego boku znów pojawili się żołnierze.

– Unieruchomić ją – rozkazał. Sprawnie wykonali polecenie, przykuwając ręce Blanche kajdankami do kółek zamocowanych w ścianie. Stała teraz tyłem do nich i do ognia.

– Zdejmijcie z niej te łańcuchy.

Użyli noży, żeby pociąć sweter i spodnie, kalecząc ją w paru miejscach. Potem wszystko z niej zdarli, łącznie z bielizną.

Książę cofnął się o krok i wziął zamach. Świsnęły rzemienie.

Grube mury wchłonęły krzyk.

Chłosta trwała długo. Po jej zakończeniu Blanche nie była w stanie utrzymać się na nogach, w postawie zbliżonej do pionu utrzymywały ją jedynie unieruchomione ręce. Kiedy ją rozkuto, osunęła się na podłogę.

– Dobrze ci? No, odezwij się! Dobrze?!

Dyszała, nie mogąc wydobyć słowa. Książę cmoknął z niezadowoleniem i od niechcienia przydeptał jej dłoń podkutym butem, miażdżąc palce. Potem – widocznie uznawszy, że już dosyć – cofnął się, żeby poobserwować ofiarę. Napawać się.

Blanche wiała się rozpaczliwie na śliskim od krwi parkiecie. Próbowała się podnieść i nie mogła, mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Czowała, jak przy każdym ruchu pęka jej skóra na plecach.

Książę klasnął w ręce. Owionął ją zimny, cuchnący prąd powietrza. Rozległy się gwizdy i

pohukiwania.

Powierzchnia luster zmatowiała, jakby od wewnątrz zasnuł je dym. Zaczęły się zeń wyłaniać istoty; stwory o na wpół ludzkich, na wpół zwierzęcych kształtach, szczerzące kły... A także inne, nieopisanie wstrętne – bez nosów i warg, podobne do gnijących trupów.

– Pragną ciebie... Nie cieszysz się? Dogodzą ci jak nikt inny.

Blanche zaprzestała prób podźwignięcia się i tylko patrzyła mu w oczy, milcząc. Chociaż nie była tego świadoma, wyglądała teraz jak święte męczennice z obrazów. Znamię na czole świeciło jak gwiazda.

Książę, wciąż się uśmiechając, klasnął po raz drugi.

– Jest wasza! – krzyknął w stronę zbliżających się sylwetek.

\*\*\*

Diablęta spały na słomie, rozkosznie pochrapując. Tylko rogate niemowlę niestrudzenie raczkowało po podłodze. Mamka Gorylica, zmęczona po całym dniu, usadowiła się przy piecu, opierając nogi na stołeczku.

Miała gościa. Za stołem siedziała młoda kobieta o smagłej cerze, odziana w czarne szaty, z ptasimi pazurkami zamiast paznokci.

Drobnymi kęsami, jak na damę przystało, jadła zmijowo-skorpionie curry, popijając je czymś, co wyglądało jak parująca smoła, ale było po prostu kawą.

– Książę ciężko naruszył zasady – podsumowała zaczęta wcześniej wypowiedź, dyskretnie wypluwając zakończony żądłem ogonek. – Miał ją tylko zaprowadzić do podziemi i wystawić na próbę. Cóż, jest głupcem. Znak to glejt, nie zbroja, ale to nie znaczy, że nie działa. Skrzydlaci rycerze już wyruszyli dziewczynie na ratunek.

– Przybędą za późno.

– Zgadza się. Dlatego musisz się wybrać na zamek. Nic nie uzdrawia tak skutecznie, jak twoje mleko. Obudzisz ją i zaprowadzisz do podziemi, żeby zobaczyła to, co ma zobaczyć.

– Niech mnie diabli, kotuś, czasami nie rozumiem zamysłów Góry. – Mamka Gorylica w zadumie oglądała łapy, od czasu do czasu ogryzając jeden czy drugi pazur. – Wiesz, słyszałam myśli tej dziewczyny, kiedy się modliła. Uważa, że zgrzeszyła zaniedbaniem, bo za życia nie próbowała temu swojemu bratu pomóc. Może ma rację, to nawet podobne do Pana, żeby za karę nakłonić ją do przyjścia tu, boso przez popiół i kamienie. Ale nie zasłużyła na to, co ją spotkało.

– Cóż, świat byłby piękny, gdyby cierpienie zawsze było wprost proporcjonalne do winy, ale nie ma tak dobrze. Ilu cierpi niezasłużenie na ziemi... Pewnie zostanie to jej wynagrodzone, jeśli kiedyś wróci na Górę. Mamy niewiele czasu, więc idź już! Ja popilnuję wylęgarni.

– Zobaczy, co ma zobaczyć – zamruczała do siebie Mamka Gorylica, wychodząc. Jej wargi wykrzywił brzydki uśmiech. – Ale co jej powiem, to już moja rzecz.

Demonica o ptasich pazurkach skończyła tymczasem jeść i postawiła talerz na podłodze, żeby raczkujące pod stołem diablętko mogło go wylizać. Ze stojącego na piecu imbryka dołała sobie kawy i również się uśmiechnęła.

*A ja wiem, że oszustwo masz we krwi, ale to nic. Z dziewczyną stanie się w podziemiach to, co ma się stać – lecz na tym nie skończy się gra. I nie tylko o duszę Blanche tu idzie.*

\*\*\*

Dwóch pacjentów, świeżo przywiezionych z katowni, pojękiwało przez bandażę. Konstantin wrzucił do pieca kłęb zakrwawionej gazy i waty, zamknął drzwiczki, po czym opłukał ręce w miednicy i usiadł przy

oknie, biorąc z parapetu butelkę.

Na zewnątrz zbierały się burzowe chmury. Zagrzmiało.

– A ty czego tak wypatrujesz? – wymamrotał Sytnikow, podkurowany już potępieniem, siadając na łóżku. Jego głowę i pół twarzy spowijały opatrunki. – Zabrali małą na zamek?

– Zabrali.

– Wróci. – Sytnikow uśmiechnął się bezzębными ustami. – Pokancerowana, ale wróci na bank.

– Zamknij się – odwarknął.

– Co się wkurzasz, przecież wiesz, że tak właśnie będzie. Założymy się? Ej, spójrz no na niebo! Co się tam dzieje, do diabła? Pali się?

Konstantin drgnął, bo dopiero teraz zauważył, że nad horyzontem pojawiła się posępna czerwona luna. Choć luny nie były niczym niezwykłym w tej części piekieł, z jakiejś przyczyny poczuł lęk.

*Pewnie znowu pożar w sąsiedniej dolinie* – powiedział sobie. *Nie na darmo pokutują tam podpalacze.* Ale uczucie niepokoju nie opuszczało go.

Zahuczał grzmot i pierwsze ciężkie krople deszczu spadły na spopieloną ziemię.

Nagle zamarł, bo zobaczył, jak z wylęgarni ociążałym krokiem wychodzi znajoma postać. Diablica zagwizdała na palcach i z mroku sfrunęła ku niej skrzydlata bestia, taka sama jak te, które służyły za wierzchowce żołnierzom księcia.

Konstantin odstawił butelkę, czując, że opary piekielnego trunku błyskawicznie wietrzeją mu z głowy.

\*\*\*

W opustoszałej komnacie śmierdziało krwią jak w rzeźni. Mamka Gorylica oblizwała się – zapach, obrzydliwy dla ludzi, jej wydawał się smakowity. Na posadzce krzepło ciemne jezioro.

Mała leżała tak, jak ją zostawili, naga, koszmarnie poraniona – wydawało się, że na jej ciele nie ma jednego zdrowego miejsca. Brak oddechu, brak pulsu... Lecz punkt pośrodku czoła nadal świecił, słabo, ledwie dostrzegalnie.

Rozpiąwszy suknię, diablica wydobyła na wierzch obwisłą, porośniętą futrem pierś. Położyła sobie głowę Blanche na kolanach i lekko ścisnęła między palcami brodawkę. Żółtawe diabelskie mleko pociekło do ust martwej dziewczyny.

\*\*\*

Płynęła przez spokojną czerń, z której wyszarpnięto ją gwałtownie z powrotem do świata doznań. Ocknąwszy się, jęknęła; wszystkie mięśnie, wszystkie włókna w ciele rwały bólem.

Coś ciepłego i słodkiego napływało jej do ust. Przełknąwszy odruchowo, Blanche z miejsca poczuła, że krew zaczyna żywiej krążyć, a ból maleje. Nie otwierając oczu, odnalazła sutek i ssała łapczywie, omal się nie krztusząc.

Choć nie wiedziała o tym, w miarę jak piła, srebrny znak przygasał, aż w końcu zniknął zupełnie.

Gdy w końcu otworzyła oczy, nie wiedziała, czy ma się radować, czy płakać, widząc nad sobą znajome małe oblicze.

– Cóż to, nie podziękujesz mi? – Mamka Gorylica zaśmiała się. – Wypadałoby! Przywróciłam cię do życia, moja droga.

Gdy dotarło do niej, co się właściwie wydarzyło, dziewczyna zwinęła się w pozycję płodu, dławiąc się szlochem.

Diablica przytuliła ją mocno. Jej ciepłe futro pachniało jak sklep korzenny – cynamonem, goździkami, kawą.

– Cicho, cicho, córeczko. Nie trzeba płakać. Zobacz, nic ci nie dolega.

Blanche wydała cichy okrzyk niedowierzania i radości, gdy dotarło do niej, że wszystkie rany się zagoiły. Prawa dłoń funkcjonowała bez zarzutu.

– Niestety, na plecach zostaną ci blizny – poinformowała ją diablica. – Moje mleko nie działa aż tak skutecznie na rany, które zadał jego bat. Zaczekaj chwilę, pójde skombinować ci jakieś odzienie.

Odeszła. Blanche ponownie skuliła się na posadzce. Nie była w stanie zebrać myśli.

Wróciwszy, Mamka Gorylica rzuciła dziewczynie na kolana czerwoną wieczorową suknię.

– Ubieraj się. Zabiorę cię do podziemi, coś musisz zobaczyć. Trzymaj, tu masz jeszcze buty. –

Wręczyła jej safianowe trzewiczki ze złotymi taśmami do zawiązania wokół kostek. Blanche uniosła przekrwione, lecz już przytomniejsze oczy.

– Nie grozi ci kara za to, że mi pomagasz...?

Mamka Gorylica zaśmiała się ochryple.

– Wykarmiłam własną piersią pół Szeolu. Nie odważą się mnie tknąć. No, wstawaj już. Musimy się spieszyć, zanim wrócą słudzy księcia.

\*\*\*

W podziemiach było przeraźliwie zimno, tak zimno, że oddech przemieniał się w parę. Cele o żelaznych drzwiach stały puste. Żołnierzy nie było nigdzie widać, a nieliczne kryjące się po kątach czarcięta na widok Mamki Gorylicy pierzchały z wrzaskiem.

Diablica przystanęła przy jednej z cel.

– Wejdz – powiedziała cicho. – Nie przestrasz się.

Gdy Blanche przekraczała próg, srebrne znamię znów pojawiło się na jej czole, tak słabiutkie, że niemal niewidoczne.

W najdalszym kącie celi leżał człowiek w czarnej skórzanej kurtce. Nie ruszał się. Przypadła doń bez tchu, odwróciła ciało na wznak.

Spojrzała wprost w twarz Philippe'a, bladą i martwą. Nie oddychał. I nie miał oczu – w ich miejscu ziały krwawe otwory.

W następnej chwili jego zwłoki rozsypały się w szary pył.

– Nie ma go tu – przemówiła bardzo cicho Mamka Gorylica. – To tylko skorupa, którą zostawił, odchodząc w światłość.

Wciąż wpatrując się w swoje pokryte pyłem dłonie, dziewczyna była w stanie tylko wyjąkać:

– Jak...?

Diablica rozłożyła ręce.

– Przykro mi to mówić, Blanche, ale oszukali cię. Twojego brata ułaskawiono, już dosyć dawno temu. Trafił do raju, jednak wynikł pewien problem. Ktoś tam na Górze pokpił sprawę przy spisywaniu dokumentacji, i dlatego ty po śmierci musiałaś trafić do nas. Żeby statystyka się zgadzała.

– Nie, nie... to niemożliwe... – Blanche chwyciła się za głowę. Słowa docierały do niej jak przez mgłę.

– Tak, kotuś. Z chwilą, gdy pocałował cię anioł, byłaś już nasza.

– Nie! – krzyknęła rozpaczliwie dziewczyna. – Nie wierzę! Boże, czemu? Czemu mi to robisz?!

Osunęła się na posadzkę i gorzko zapłakała, kryjąc twarz w dłoniach. Diablica obserwowała ją, wstrzymując oddech. Dobrze wiedziała, co nastąpi lada chwila.

Rozległ się nieprzyjemny syk, jakby ktoś splunął na rozpaloną blachę. Blanche przycisnęła rękę do czoła, lecz jeszcze szybciej ją cofnęła.

Srebrne znamię zniknęło. Został po nim brzydki, czerwony ślad, jak po oparzeniu.

Mamka Gorylica roześmiała się radośnie.



– Doskonale, o to chodziło! A teraz wrócisz ze mną do wioski. Zawsze chciałam mieć taką miłą dziewczeczkę do pomocy... – Wyciągnęła ramiona, ale Blanche odepchnęła ją. Wciąż płacząc, wypadła z celi.

Biegła na oślep, nie oglądając się. Raz czy dwa razy w korytarzu mignęli jej żołnierze, ale nikt nie kwapił się, by ją zatrzymać; była ubrana w strój kochanek księcia i pachniała czarcim mlekiem, samą esencją diabelskości.

Nawet nie zauważyła, kiedy minęła dwa ociężałe demony w zbrojach strzegące głównej bramy. Na jej widok nie raczyły choćby mrugnąć okiem. Wypadła na zewnątrz, w deszcz prześwietlony dziwnym czerwonym blaskiem, nie myśląc i nie czując już nic.

\*\*\*

Konstantin powoli wspinał się ścieżyną wśród skał. Błyskało raz po raz, szalała ulewa, a po niebie coraz intensywniej rozlewała się podejrzana łuna, na widok której czuł narastający niepokój.

Nagle zobaczył dziewczynę – szła, lekko się zataczając, na szczęście ścieżką, nie na przełaj. Śpiewała głosem przerywanym zadyszka; grzmoty zagłuszały słowa.

Nie poznała go. Nie zareagowała nawet wtedy, kiedy chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

*Albo jest w szoku, albo ci z zamku sprawili, że postradała zmysły* – pomyślał bezradnie.

– Blanche, ocknij się! Musimy znaleźć schronienie!

Żadnej reakcji. Spostrzegł, że jej usta są zupełnie sine. Przemoczona do nitki, w cieniutkiej, wydekoltowanej sukni, wydawała się nie zauważać zimna. Konstantin szybko zdjął kurtkę i narzucił jej na ramiona, potem poprowadził ją w dół zbocza. Na szczęście nie była boso, a fikuśne trzewiczki nie miały obcasów.

Cały czas rozglądał się, próbując odtworzyć w pamięci topografię okolicy. W końcu wypatrzył pomiędzy skałami wejście do jaskini. Sam widok tego miejsca przejął go dreszczem. To tu się schronił wtedy... krwawiący, zbyt słaby, by chodzić...

Wciągnął Blanche do środka. Trzęsa się jak liść. Cała była umorusana od brudnej, zmieszanej z popiołem wody, on zresztą też.

– Konstantin...? – Ledwie znaleźli się w osłoniętym miejscu, popatrzyła na niego ogłupiałym wzrokiem. – Co się stało? Gdzie jestem...? Czemu mnie trzymasz, puść! – Gwałtownie wyrwała się z jego uścisku, uciekła pod ścianę, gubiąc po drodze kurtkę.

Nie bardzo wiedział, co zrobić. Blanche zachowywała się jak ogarnięte paniką zwierzątko. Przykucnęła pod ścianą, kołysząc się w przód i w tył. Konstantin podniósł kurtkę, otrzepał i założył, po czym usiadł w pewnej odległości i czekał. Po jakimś czasie dziewczyna znieruchomiała, wpatrując się pustym wzrokiem w przestrzeń.

Podszedł wolno, nie zareagowała. Ukląkł.

– Blanche...?

Przywarła do niego, płacząc. Nie zaprotestowała, gdy ją objął. Łzy wsiąkały w jego koszulę.

Dopiero teraz spostrzegł pręgi blizn na jej ramionach i plecach.

– Boże drogi. Co oni ci zrobili?

– Ja... – zająknęła się. – Konstantin, nie. Nie pytaj, proszę.

– Powiedz. Krócej będzie bolało.

Więc zmusiła się i opowiedziała mu wszystko, łamiącym się szeptem. Słowa uwolniły kolejną falę łez. Płakała długo, podczas gdy mężczyzna ostrożnie gładził jej splątane włosy.

W końcu uspokoiła się, ale nadal siedzieli przytuleni. Na zewnątrz ulewa huczała z niesłabnącą furją.

– Jak właściwie umarł twój brat? – spytał w pewnej chwili Konstantin.

– Przez zanieczyszczoną działkę. Ostatnia porcja hery, jaką sobie wstrzyknął, zawierała domieszkę strychniny. Podobno lekarka z pogotowia o mało nie zemdląła, kiedy zobaczyła jego twarz. Wiesz, ten grymas, który powstaje wskutek skurczu mięśni – wyglądało, jakby się uśmiechał... a nie żył od tygodnia, bo tyle trwało, zanim go znaleźli... Czemu pytasz? Czy ma to jakieś znaczenie?

– Nie ma. Po prostu byłem ciekaw.

Zerknęła z ukosa, ale nie patrzył na nią. Wpatrywał się w deszcz.

– Lena, moja żona, zmarła po operacji – powiedział cicho. – Po głupiej operacji kolana. Wywiązało się jakieś koszarne zakażenie szpitalne, wiesz, jeden z tych zarazków, na które nie działa żaden antybiotyk. – Głos mu drgnął. – Miała tylko czterdzieści dwa lata. Ja przeżyłem dalsze trzydzieści sam.

– Chcesz powiedzieć, że umarłeś mając ponad siedemdziesiąt lat?

– Siedemdziesiąt sześć. – Konstantin lekko się uśmiechnął, dotykając swoich czarnych włosów. – Wiem, dziwnie to brzmi, ale pomyśl, co byłby wart raj dla staruszków, gdyby zmartwychwstawali w takim samym stanie, w jakim zmarli? Nie, ci z Góry wybierają dla ciebie taki wiek, jaki ich zdaniem będzie najbardziej odpowiedni. Nie mam nic przeciwko temu, że mi odjęli te cztery krzyżyki, tym bardziej że umierałem bardzo chory, przykuty do łóżka. W każdym razie trafiłem do nieba i tam dowiedziałem się, że Lenę zesłano na Dół. I cóż... zdecydowałem, że wyruszę, aby ją odszukać. Wiesz, Blanche, do tej pory nie mogę pojąć, za co ją... Od młodości była skłócona ze swoją rodziną, ale żeby tylko dlatego... Nie wiem.

– Znalazłeś ją?

– Tak. – Mówiąc, mimo woli krzywił twarz. – Tak, znalazłem ją tutaj, w tej dolinie. Odmłodzoną i piękną jak nigdy, bo została kochanką księcia.

Umilkł, patrzył w deszcz, nerwowo splatając i rozplatając palce. Padający z góry szkarłatny blask osiągnął taką intensywność, że rozświetlał wnętrze jaskini, ale żadne z nich nie zwracało na to uwagi.

– Co było dalej? – spytała cicho Blanche.

– Chyba łatwo się domyślić, prawda? Odtrąciła mnie i wyśmiała. Straciłem rozsądek i zacząłem bluźnić przeciwko Panu. Wtedy mój znak zniknął... Słudzy księcia skatowali mnie i zepchnęli z góry w przepaść.

Zamilkł. Pamiętał wszystko, chociaż wolałby zapomnieć.

Pamiętał, jak odzyskał przytomność po upadku, chociaż nie miał prawa jej odzyskać. Jak próbował wstać i nie mógł. Jak pełzył po piargach, zostawiając za sobą krwawe ślady. Na ziemi nie przeżyłby z takimi obrażeniami, z narządów wewnętrznych została miazga. Do tego kilka złamanych kości, rozwalona głowa, pozdierana w stu miejscach skóra, zapewne również uszkodzony kręgosłup. Mleko Mamki wygoiło wszystko, choć nie od razu. Stopniowo odzyskał wzrok i władzę w nogach...

Głos Blanche przywrócił go do rzeczywistości.

– Co było dalej?

Mężczyzna odchylił głowę do tyłu i z westchnieniem zaczął trzeć zmęczone oczy.

– Niczego nie pragnąłem tak bardzo jak powtórnej śmierci. Pan odmówił mi tego. Mamka Gorylica znalazła mnie i wyleczyła, tak jak ciebie. No i skończyło się tak, jak widzisz. Już nie podlegam niebiosom, żyję życiem demona. – Uśmiechnął się smutno. – A teraz ty też... Jedziemy na tym samym wózku.

– Konstantin, ale ja nie bluźniłam przeciwko Panu! Nie zrobiłam tego, rozumiesz?

– Więc może wystarczyło to, że ona cię wskrzesiła. Albo że pozwoliłaś się opanować rozpacz. Albo że skałały cię te stwory... Na jedno wychodzi, skoro tak czy inaczej nie masz już znaku.

– Mamka Gorylica powiedziała mi... ale to przecież niemożliwe! Na pewno kłamała! To wszystko jakaś straszna pomyłka... – Dziewczyna złapała go za rękę. – Konstantin, proszę, pomódl się ze mną!

Przecież pamiętasz słowa. Wiem, że pamiętasz.

Milczał. Blanche ukłękła, składając dłonie.

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie... – Zająknęła się, dławili ją łzy. – Świeć się imię Twoje... przyjdź król...lest... – Dalsze słowa utonęły w szlochu. Mężczyzna obserwował ją z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy.

– Wichura przycicha – zauważył.

Nagle rozległ się głuchy grzmot, zupełnie inny niż odgłosy burzy. Ziemia zadrżała, ze sklepienia posypały się kamyczki.

– Co to? – spytała z niepokojem dziewczyna.

– Nie mam pojęcia... Sza!

Nasłuchiwali, wstrzymując oddech. Znow grzmot, znow drzenie, jakby echo odległej eksplozji.

I nagle ziemia zakołysała się w posadach, aż rzuciło ich na ścianę. Z mrozącym krew w żyłach rumorem jeden ze skalnych bloków zaczął się osuwać.

Blanche krzyknęła. Konstantin złapał ją za rękę i pociągnął w głąb jaskini, dokładnie w chwili, gdy wielki fragment sklepienia zawalił się z hukiem.

Kiedy wszystko ucichło, a kurz opadł, za nimi piętrzyły się zwały kamieni i ziemi. W jednym miejscu przez szczelinę nadal sączyła się odrobina światła, ale nie było nadziei, aby gołymi rękami zdołali się przekopać przez to wszystko. Konstantin otarł twarz, rozmazując krew ze skaleczonego czoła.

– No cóż, została nam tylko jedna droga – oznajmił ze spokojem, wskazując czarną czeluść.

\*\*\*

Szli długo, bardzo długo. Cały świat zawęził się do dotyku. Zdawało się, że grota nie ma końca; otchłań w otchłani.

– Proszę, zatrzymajmy się – poprosiła w końcu Blanche. – Nie mam już siły.

Usiedli pod ścianą. Konstantin gestem nakłonił dziewczynę, żeby oparła się o niego.

– Śpij. Ja będę czuwał.

\*\*\*

Obudził ją dźwięk dzwonów.

Zanim jeszcze otwarła oczy, serce zabiło jej szybciej, bo poczuła cudowny, niemożliwy do pomylenia z niczym innym zapach kwiatów, trawy i ziemi.

Dzwony biły dalej. Blanche usiadła i natychmiast zmrużyła powieki, tak jaskrawy był błękit nieba. Słońce przyjemnie grzało, a owady bzyczały, całkiem jak w świecie żywych.

Znajdowała się na łące, której zieleń niemal ginęła pod żółcią mleczy. Zbocze opadało łagodnie – poniżej, w dolinie widać było błyszczącą wstęgę rzeki i dachy domów, nad którymi górowała wieża kościoła.

Zamiast obszarpanej sukni znow miała na sobie sweter i dżinsy, w których wieki temu wyruszała w drogę. Ubranie było czyste, jakby nigdy nie oglądało bezdroży popielistej krainy.

Konstantin spał obok, przykryty kurtką. Również z jego odzieży zniknęły wszystkie ślady pobytu na dole. Wyglądał zdrowiej, niż zapamiętała, na jego ściągniętej, wyniszczonej twarzy wreszcie zagościł wyraz spokoju. Postanowiła na razie go nie budzić; niech odpoczywa.

Wstała, i wtedy zobaczyła, że nie są sami. Na przełaj przez łąkę szły ku nim dwie dziewczyny w kolorowych letnich sukienkach, z rozpuszczonymi włosami. Jedna niosła bukiet polnych kwiatów.

Blanche niepewnie wyszła im naprzeciw. Uśmiechnęły się do niej promiennie jak do dawno niewidzianej przyjaciółki.

Nagle blask słońca zgasł i z rozpaczą ujrzała, że wszystko, co ją otacza – dziewczęta, krajobraz, niebo – rozsypuje się w proch...

Gdy ponownie otworzyła oczy, powitała ją czerń.

– Już nie śpisz? – spytał ze zdziwieniem Konstantin, czując, że się gwałtownie poruszyła.

– Śniłam... Śniłam, że wydostaliśmy się stąd. – Blanche zaczęła się głucho śmiać.

Konstantin z wprawą kogoś długo przebywającego w Szeolu rozpoznał, że niewiele brakuje, aby znowu zatraciła kontakt z rzeczywistością.

– Cicho! – Chwycił ją za rękę. – Blanche, posłuchaj! Te podziemia mają więcej niż jedno wyjście.

Niedługo wydostaniemy się na powierzchnię, zobaczysz.

Ale ona nie przestawała się śmiać.

– Nigdy się nie wydostaniemy! Nie ma sensu iść dalej, tam jest tylko ciemność. Ciemność na wieki wieków!

– Nie bredź! – Potrząsnął nią. – Co to za gadanie? Nie oddam cię ciemności!

Zaskoczyło ją to tak, że umilkła. Wtedy pocałował ją delikatnie.

– Przestań! – Odepchnęła go gwałtownie, zerwała się. Wstał również, zagrządzając jej drogę.

– Nigdzie nie pójdziesz, Blanche.

Nie próbowała się z nim szarpać, spuściła tylko głowę.

– Nie chcę... Nie tutaj, Konstantin. Nie w ten sposób.

– Wiem. – Powiedział to tak miękko, że nagle cały gniew i strach opadły z niej. – Usiądź.

Usłuchała bez słowa, ale gdy jej dotknął, nie odsuwała się już. Pozwoliła, żeby zamknął jej dłonie w swoich, i siedzieli tak długo w zupełnej ciszy.

\*\*\*

Gdy w końcu wyszli na powierzchnię, naokoło trwała noc. Ulewa ustała, lecz na kamieniach lśniły kałuże, a łuna koloru krwi rozlewała się po całym niebie. Konstantin zadarł głowę, lustrując wierzchołki gór.

– Blanche, spójrz! Zamek runął!

Budowla istotnie zniknęła, a jej miejsce zajął krąg dymiących ruin. Przyczyna trzęsienia ziemi stała się jasna.

– Obalono księcia, no proszę... – mężczyzna cicho gwizdnął. – Wiedziałem, że takie rzeczy załatwia się tu szybko, ale nie sądziłem, że aż tak. Ciekawe, kogo osadzą na jego miejsce.

– Co za różnica?

– Dla mieszkańców wioski bardzo duża. Od tego, kto przejmie władzę nad kotliną, zależy, czy wylęgarnia, manufaktury i katorżnica nadal będą funkcjonować na dotychczasowych zasadach.

– Zamierzasz wrócić do wioski?

– Pewnie. A co miałbym zrobić? Ty też powinnaś zostać w wiosce, Blanche. Mamka Gorylica zatrudni cię z pocałowaniem ręki, a jeśli zlikwidują wylęgarnię, wyszuka ci inne zajęcie. Może za kilkaset lat nadadzą nam status demonów...

– Konstantin, przestań bredzić i posłuchaj. Wiem, jak stąd dotrzeć do bramy.

– Ja też wiem, ale co to zmienia?

– Możemy spróbować się jakoś, no wiesz, przemknąć tamtędy... we mgle, kiedy akurat będzie przybywał transport... Może nas nie zauważą w zamieszaniu...

Patrzył na nią z politowaniem.

– Mało wyszukany pomysł, wiem – przyznała, wzruszając ramionami. – Ale zawsze to jakaś szansa na wydostanie się stąd.

– Jaka tam szansa. Cerber pożre każdego uciekiniera, ot tak. – Mężczyzna pstryknął palcami.

Blanche wsparła ręce na biodrach.

– Masz lepszą propozycję? Jeśli tak, słucham.

– Już ci powiedziałem. Zostań w wiosce.

– Nie zostanę w wiosce. Ty tam wróć, jeśli chcesz. Trafię sama do bramy.

Konstantin wznosił oczy do nieba.

– Teraz, kiedy nie masz znaku, nic cię nie chroni przed demonami. Wytropią cię i w najlepszym razie sprowadzą z powrotem tutaj. W najgorszym – potraktują cię jak zbiegłego skazańca. Ewentualnie padniesz ofiarą jakiejś bestii, w górach gnieździ się ich wiele. A jeśli nawet jakimś cudem uda ci się dotrzeć do bramy, Cerber cię rozszarpie.

– Chcę zaryzykować. Co mam do stracenia?

– Wolne żarty, dziewczyno. Nie po to cię wyprowadziłem z podziemi, żebyś...

Urwał, zatrzymując się. Minęli właśnie zakręt i ich oczom ukazał się niesamowity widok.

W cieniu wielkiej skały zwinął się potężny stwór – ni to smok, ni koń, z lwią głową i ogonem skorpiona. Od razu poznali, że jest umierający; jego skrzydła zwisały bezwładnie, przez ciało od czasu do czasu przebiegał dreszcz.

Obok, na kamieniach spoczywał jeździec. W pancerzu barwy ognia, hiacyntu i siarki.

Dziewczyna gwałtownie wciągnęła oddech.

– On nie jest sługą piekieł, on... on...

– Nie podchodź, to może być pułapka – syknął Konstantin, ale zignorowała go.

Niebiański rycerz wyglądał bardzo młodo, prawie jak chłopiec. Jego twarz o delikatnych rysach była alabastrowo blada. Zlepione deszczem pukle, wymykające się spod hełmu, zachowały połysk złota.

Leżał jak martwy, ale gdy Blanche się nad nim pochyliła, uniósł powieki. Jego oczy były mlecznobłękitnymi półkulami bez tęczówek i źrenic. Oddychał chrapliwie, wyraźnie słyszała rżenie dobiegające z płuc.

– Konstantin, nie stój tak, pomóż mi! Trzeba mu zdjąć pancerz, przewiązać rany...

– Nie dotykaj mnie – szepnął anioł. – Krwawię wewnątrz.

– Wygląda na to, że piekło cię pokonało, panie – stwierdził rzeczowo Konstantin, który też w końcu zdecydował się podejść.

– Widocznie tak miało być, człowieku – padła spokojna odpowiedź.

– Dlaczego porzuciliście swoje harfy i śpiewy? Co was tu sprowadziło?

– Księżę złamał prawo, więząc dziecko, które było pod opieką Pana. Przybyliśmy mu na ratunek.

Blanche poczuła, że jej oczy wypełniają się łzami.

– To po mnie przybyliście! Ja byłam tym dzieckiem!

Przyjrawszy się jej uważnie, anioł pokręcił głową.

– Kłamiesz, kobieto. Nie masz znaku.

– Straciłam go – wyszeptała, spuszczać wzrok. Niebiański wojownik westchnął.

– A zatem się spóźniliśmy. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Blanche ukryła twarz w dłoniach. Fizyk objął ją ramieniem.

– Co zrobiliście z księciem? – spytał z ciekawością.

– Został zdegradowany do rangi szeregowego demona i zesłany do niższych piekieł. Zniszczyliśmy jego siedzibę, rozpedziliśmy służbę.

Konstantin popatrzył na dziewczynę z nagłym zainteresowaniem.

– Blanche, czy pamiętasz, kto ci powiedział przy bramie, że powinnaś się udać na zamek? Założę się, że ktoś tutaj dobrze wiedział, jak księżę cię powita i jak na to zareaguje Góra. Wygląda na to, że

niechęcy stałaś się pionkiem w tutejszych rozgrywkach. W świecie żywych coś takiego nazywa się prowokacją.

Niebiański wojownik wzruszył ramionami.

– Mogło być i tak. Kto wie? Szeol rządzi się swoimi brudnymi regułami. Ale my tylko wypełnialiśmy rozkazy.

– Jak to się stało, panie, że zostałeś ranny?

– Ponieważ nie znaleźliśmy dziewczyny na zamku, rozdzieliliśmy się, żeby sprawdzić teren. Leciałem nisko, wypatrując śladów, a gdy mijalem te oto skały, wyfrunął z nich potwór, chimera – jedna z tych, które zdołały uciec z płonących stajni księcia. Zabiłem bestię, zdychając, spopieliła się... Ale zdążyła ciężko poranić nas obu. – Anioł spojrział ze smutkiem na wierzchowca.

Stwór wydał przeszywający, bolesny odgłos, ni to rzenie, ni jęk. Kopyta konwulsyjnie grzebnęły proch. Konstantin poruszył się niespokojnie.

– Cholera... Ma rozszarpany brzuch, nie wyjdzie z tego. Zdaje się, że nie powinniśmy teraz przebywać w pobliżu. Słyszałem...

Niebiański wojownik skierował na niego swe niesamowite oczy.

– Wiem, co ci chodzi po głowie. Dobrze słyszałeś. Kiedy one umierają, zwłoki natychmiast zajmują się ogniem. Spłonę razem z nim, by obudzić się z powrotem w królestwie Pana.

– Więc na co czekamy, cholera jasna? – Konstantin zerwał się na równe nogi. – Blanche! – Szarpnął dziewczynę za ramię. – Wstawaj!

Anioł uśmiechnął się boleśnie. Miał zakrwawione usta i zęby, więc uśmiech wyglądał jak rana.

– Mam dla was ciekawszą propozycję. Zostańcie.

Blanche wyrwała się towarzyszowi, przyklękła przy rannym.

– Rycerzu, czy twierdzisz, że w ten sposób... możemy wrócić...? – spytała bez tchu. Zadrżała, gdy niebiański wojownik skinął głową.

– Tak, kobieto. Ogień... oczyszcza... – Przymknął oczy, wyraźnie zbyt zmęczony, żeby mówić dalej.

– A cóż to ma być? Do nieba na skróty? – prychnął Konstantin. – Oferta specjalna dla grzeszników? Pieprzę taki interes. Chodź, Blanche.

Zaczął schodzić po pochyłości, wolno i ostrożnie, bo przy każdym kroku żwir usuwał się spod nóg.

– Zaczekaj! – zawołała dziewczyna. Przystanął niechętnie.

– Blanche, co z tobą? Chodź! Czy wolisz spłonąć?!

Nie odrzekła nic, tylko patrzyła na niego podkrążonymi, zmęczonymi oczami, oczami starej kobiety. Na umorusanym policzku dostrzegł ślad łzy.

– Blanche, zaufaj mi i chodź! Proszę!

– Nie, to ty mi zaufaj i zostań.

Mierzyli się wzrokiem, a cenne sekundy upływały. Konstantin nagle poczuł, że ogarnia go zrezygnowanie. Prawda – co miał do stracenia?

Zawrócił i usiadł obok niej.

Blanche znów zaczęła cicho płakać. Przytulił ją mocno i zamknął oczy.

Czekali.

\*\*\*

**W** momencie zburzenia zamku ślepcowi wrócił wzrok.

Z początku starzec widział jedynie rozmazane kształty w krwawej łunie, lecz gdy ulewa przycichła, kontury świata wyostrzyły się. I oto ujrzął krążących pod chmurami jeźdźców na skrzydlatych wierzchowcach, których pełne gracji sylwetki nawet z tej odległości nie przypominały monstrów z

książęcych stajni. Zastępy Pana! W Szeolu! Na czarny Styks!

Popatrzył na wierzchołek najbliższej góry. Na widok ruin serce aż w nim podskoczyło. Książę obalony! Co będzie dalej? Rewizja wyroków? A może amnestia?!

Skrzydlaty oddział rozproszył się, znikając wśród turni, a luna przygasła. Starca to nie zmartwiło. Wróć, na pewno wróć. Nie po to przybyli, żeby wszystko pozostawić bez zmian. Przecież tyle się mówi o sprawiedliwości Pana...!

Mijały godziny. Ciemność pomału ustępowała miejsca szarości, ale do starca nie docierało, że noc się kończy. Im jaśniej się robiło, tym bardziej napawał się faktem, że widzi. Głazy. Chmury. Swoje własne, koszmarnie wychudzone nogi i brzuch, pokryte na wpół zagojonymi szramami.

Nagle jego źrenice poraził oślepiający rozbłysk. Równocześnie z oddali dobiegł przeciągły huk, wprawiając ziemię w drżenie. Echa zwielokrotniły go. Chwilę później zabrzmiał rumor – gdzieś w górach schodziła lawina.

Chciałoby się powiedzieć, że tuż po eksplozji nastąpił cud. Że ołowiany pułap na mgnienie oka rozstąpił się, ukazując skrawek czystego nieba. Ale nie, nic takiego się nie zdarzyło. Mgła gęstniała w kotlinie, chmury spełzały coraz niżej. Drobnymi płatkami prószyła z nich sadza. Tylko w jednym miejscu coś nadal jaśniało jak flara. Stos pogrzebowy anioła, jego wierzchowca i dwojga ludzi.

Starzec nie wiedział, co tam się stało, i nie obchodziło go to.

Czekał wytrwale, ale nikt nie przybywał, żeby go uwolnić... Stopniowo dotarło do niego, że zburzenie zamku niczego nie zmieniło; kara wciąż trwa. Gdy to zrozumiał, po policzkach spłynęły mu dwie palące łzy.

Ogień na zboczu dogasał. Nad górami wstawał ranek.

Starzec zamknął oczy. Nadlatywały kruki.

# Białe miasto

Przez chmury nad lubelskim osiedlem Czechów przeświecało blade słońce. Po tygodniu deszczowej pogody na drzewach ocalały tylko pojedyncze żółte liście, reszta zaścieniała chodniki lub leżała na trawnikach, zgrabiona w sterty. Koło osiedlowego sklepu spożywczego ktoś porzucił skrzynkę pustych butelek. Obok przepełnionego śmietnika łąziło kilka wron, dziobiąc rozsypane opakowania po fast foodach.

Wysoki, siwiejący mężczyzna w okularach wyszedł ze sklepu, niosąc dwie wypchane reklamówki. Wrony przestraszyły się i odleciały, kracząc.

Mężczyzna nazywał się Rafał Oleszczuk i pracował w Urzędzie Statystycznym. Wron, rzecz jasna, nie obchodziło to nic a nic.

Minął plac zabaw, zaśmiecony i straszący zdemolowaną zjeżdżalnią. Przeszedł przez ulicę i przeciął na ukos parking, docierając pod długi szary blok.

Na drzwiach od windy od czterech dni wisiała napisana flamastrem kartka: „Uwaga! Winda nieczynna!!!”. Wchodząc po schodach na trzecie piętro, Rafał w pewnej chwili musiał się zatrzymać i odpocząć, ciężko oddychając. Znajome, uporczywe uczucie ucisku w klatce piersiowej znowu dało o sobie znać. Stłumił niepokój. Wizytę u kardiologa miał umówioną na najbliższą środę, czyli za pięć dni – wcześniej się nie dało.

Pod drzwiami mieszkania jak zwykle leżały ulotki reklamowe. Pozbierał je, słuchając z irytacją, jak u sąsiadów na przemian wyje wiertarka i wściekle szczeka pies.

Jego dwupokojowe mieszkanie z malutką kuchnią utrzymane było dość schludnie jak na własność samotnego mężczyzny, ale wszystko przenikał zapach zastarzałego dymu z papierosów. W stojącej obok telewizora popielniczce piętrzyły się niedopałki – zapomniał ją opróżnić.

Zamknął drzwi, powiesił kurtkę na wieszaku, zaczął zdejmować buty i nagle serce podskoczyło mu do gardła. Rudy, pręgowany kot, który zjawił się nie wiadomo skąd i kiedy, obwąchiwał siatki z zakupami.

*Czyj to kot, sąsiadki? Jak tu wlaźł, przez balkon? Przecież sprawdzałem przed wyjściem, czy wszystko pozamykane!*

Bezczelny zwierzak tymczasem, widocznie zwabiony zapachem jedzenia, schował się cały w siatce. Rafał uśmiechnął się do siebie. Zręcznie podniósł reklamówkę i patrzył, jak ta zaczyna wykonywać coraz gwałtowniejsze ruchy.

– Wypraszam sobie! – wrzasnął zniecierpliwiony. – Protestuję!

Rafał z wrażenia upuścił reklamówkę. Kot wylazł z niej, otrząsnął się i popatrzył z pretensją.

– Nie musiałeś od razu rzucać siatką. Przez ciebie chyba coś sobie stłukłem.

Usiadł, zadarł bezceremonialnie tylną łapę i zaczął wylizywać nasadę ogona. Rafał patrzył na niego, oniemiały. Zdjął okulary i przetarł oczy.

– Boże drogi, czy to już schizofrenia? – zadał retoryczne pytanie.

Kot przerwał wylizywanie, uniósł łebek.

– Nie, to nie schizofrenia – oświadczył autorytatywnie. – Halucynacje schizofreników zazwyczaj sprowadzają się do tego, że słyszy się głosy.

*A ze mną co się niby, kurna, dzieje* – pomyślał rozpaczliwie Rafał.

Kot – jakby usłyszał to pytanie – nadał się, kaszlnął, sapnął i przemienił się w młodzieńca o płomiennie rudych włosach, odzianego w czarno-złotą tunikę, szkarłatne nogawice oraz ciżmy z długimi



nosami.

– Tego już nie nazwiesz halucynacją sprowadzającą się do słyszenia głosów – oznajmił dumnie, podczas gdy nieszczęsny urzędnik przecierał oczy. – Tylko bez paniki, bardzo proszę. Wy, śmiertelnicy, jesteście okropnie nerwowi. Czy możemy usiąść? Lepiej się będzie rozmawiało.

– Tak, p-proszę – odparł słabo Rafał, wskazując niespodziewanemu gościowi fotel. Sam opadł na kanapę, zastanawiając się gorączkowo, czy zamiast do kardiologa nie powinien się udać do psychiatry.

– Nie, nie powinieneś – rzekł uprzejmie rudy młodzian. – Psychiatrzy to banda dyletantów. A ty, przyjacielu, powinieneś się przede wszystkim uspokoić. Nazywam się Samir von Katzenkrallen i przybywam w życzliwych zamiarach.

– Cieszy mnie to – wyjąkał Rafał. – Ale kim ty właściwie jesteś?

– Jeszcze nie zgadłeś? No wiesz, imię moje jest legion i tak dalej.

– Ale, zaraz... – W skołatanej głowie Rafała zabłysła myśl. – Proszę wybaczyć, ale jestem ateistą. Nie wierzę ani w Boga, ani w szatana.

– Znakomicie. Lubimy ateistów.

*To sen. To musi być sen. Uspokój się. Czytałeś ostatnio Bułhakowa, dlatego śnił ci się takie rzeczy.*

– Bułhakow, a! – Młodzieniec się uśmiechnął. – Znałem, bardzo miły człowiek. Byłem z nim raz na obiedzie w restauracji związku literatów, kiedyż to było, dawne dzieje. Ale nie skierowano go po śmierci do nas, nie zasłużył.

*Tak, to z pewnością sen. Ale skoro tak, nie trzeba się bać.* Rafał nieco się odprężył.

– No cóż, hm... skoro przybywasz w pokoju, witaj w moich skromnych progach, panie von Katzenkrallen.

– Samir. Mów mi Samir.

– Napijesz się czegoś, Samirze? Herbaty? Wina? Zjesz coś?

Młodzieniec spojrział z namysłem na leżące pod ścianą siatki z zakupami.

– Skoro pytasz, nie odmówiłbym poczęstunku. Mam za sobą daleką drogę z piekieł. Widziałem, że kupiłeś wątróbkę, gdybyś był tak uprzejmy...

– Proszę bardzo, już. – Rafał zaczął wstawać, lecz Samir tylko skinął dłonią i foliowy woreczek z wątróbką wyleciał z reklamówki, lądując na talerzu, który przyfrunął z szafki. Von Katzenkrallen chwycił naczynie, odarł wątróbkę z woreczka i zaczął łapczywie jeść.

– Wyszmienifa – powiedział z pełnymi ustami. Przełknął. – Nie masz czasem odrobinki chili?

Rafał po chwili szperania w zabałaganionej szafce wyłowił torebkę z logo firmy Kotanyi. Demon wysypał na talerz górkę czerwonego proszku, wysunął różowy, cienki jak u kota język i zlizął wszystko za jednym zamachem. Cmoknął z aprobatą i chuchnął, wydmuchując miniaturowy pióropuszczyk ognia.

– Jeśli pozwolisz, wyjaśnię ci, z czym przybywam – oznajmił. – To zajmie tylko chwilę.

– Zamieniam się w słuch.

– Pochodzę z dziewiątego kręgu Szeolu, choć pewnie niewiele ci to powie. Jestem agentem specjalnym w służbie wielkiego Dajjala. Żeby nie owijać w bawełnę, drogi Rafale, piekło ma dla ciebie ofertę.

– Jaką?

– Bardzo prostą. Pomożesz mi kogoś zlikwidować. Zabić, mówiąc krótko. W zamian oferujemy spełnienie jednego życzenia, jakiego tylko sobie zamarzysz.

– Wolne żarty. – Rafał uśmiechnął się. – To znaczy odnośnie zabijania, nie życzenia. Mam prawie pięćdziesiąt lat, palę od trzydziestu kilku. W wojsku nie służyłem, strzelać nie umiem, nigdy nawet nie dałem nikomu w pysk. Nie lepiej, żebyście do tej roboty wynajęli zawodowca?

– My zawsze wiemy, kogo najbardziej się opłaci wynająć. – Samir wyszczerzył w uśmiechu

zaskakująco ładne, białe zęby.

– Ale dlaczego wybraliście właśnie mnie?

– Przykro mi. To tajne. Więc jak, zgadzasz się?

*Nie, nigdy w życiu* – chciał odpowiedzieć Rafał. Ale przypomniał sobie, że przecież tylko śni. A we śnie można się odważyć na różne rzeczy.

– Zgadzam się – skinął głową. – Co teraz? Muszę coś podpisać? Cyrograf?

– Nie ma takiej konieczności. Wystarczy ustna deklaracja. – Demon znów się uśmiechnął. – Słuchaj uważnie. Dziś wieczorem o dwudziestej drugiej czekaj na mnie tu w mieszkaniu, sam. Przygotuj zwykłą sól kuchenną, szklane naczynie z wodą, zapalki i świeczkę. Nikomu oczywiście ani słowa. Wszystko jasne?

– Tak.

– A zatem do zobaczenia. – Wysłannik piekieł skłonił się, po czym rozwiął się jak dym. O jego wizycie przypominał jedynie pusty talerz po wątróbce oraz unoszący się w powietrzu zapach siarki.

*Teraz się obudzę* – pomyślał Rafał. Ale tak się nie stało.

\*\*\*

Dochodziła dwudziesta pierwsza. U sąsiadów na szczęście panowała już cisza.

Rafał siedział na kanapie i wpatrywał się w przedmioty leżące na stoliku – kryształową salaterkę z wodą, sól na spodeczku, zapalki i świeczkę. Już dotarło do niego, że nie śni. Żaden sen nie trwałby tak długo.

*Wariactwo, zupełne wariactwo. Po cholere się zgodziłem. A może on się nie zjawi?*

No cóż, pozostawało tylko czekać.

Zapalił papierosa i tknięty nagłą myślą popatrzył na wiszący koło drzwi kalendarz. Ósmy listopada. Rocznicą śmierci Aliny... Która już?

Jego wzrok odruchowo powędrował w stronę zdjęcia w zielonych ramkach, stojącego na półce regału obok Encyklopedii Powszechnej PWN i doniczki z rachityczną paprotką.

Alina. Kobieta, z którą nie ułożył sobie życia.

Poznali się w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych. On był na trzecim roku matematyki, ona kończyła filozofię. Na imprezie w akademiku Rafałowi wpadła w oko szczupła blondynka w czarnym swetrze, o nerwowych, jakby ptasich ruchach. Jakoś tak od słowa do słowa zgadali się, coś zaiskrzyło. Zaczęli się spotykać, układało im się całkiem dobrze. Ale potem Alina obroniła magisterium i w połowie lipca wyjechała do Kanady. Miała tam dalekich krewnych, którzy załatwili jej pracę – najpierw na zmywaku, potem w redakcji gazety polonijnej. Miała wrócić po roku, wróciła ostatecznie po dwóch latach i tylko na tydzień, na Boże Narodzenie.

– Zrozum, musiałabym zwariować, żeby się trzymać Polski – tłumaczyła mu prawie z płaczem. – Nie wygłupiaj się, kończ studia i przyjeżdżaj do mnie. Załatwi się wizę, znajdziesz pracę, jakoś sobie poradzimy.

Ale Rafał ostatecznie nie odważył się na wyjazd. Pół roku później szczęśliwie został magistrem, znalazł pracę – ale w Lublinie, i postawił Alinie ultimatum. Albo powrót do Polski, albo rozstanie. Wybrała Montreal. I z dnia na dzień kontakt się urwał.

Minęło kilkanaście miesięcy i – na fali euforii wywołanej nową miłością – Rafał ożenił się z Moniką, siostrą kolegi z pracy. Monika, jego rówieśniczka – ciemnowłosa, energiczna fotoreporterka – miała skłonność do tego, żeby zawsze wszystko wiedzieć lepiej, ale niestety wyszło to na jaw za późno. Kłócili się, a ich kłótnie zwykle kończyły się tak, że on ucinał dyskusję trzaśnięciem drzwi. Starania o dziecko nie przyniosły efektu, co dodatkowo podważyło wiarę Moniki w sens tego małżeństwa. Po sześciu latach

wyprowadziła się i wniosła pozew o rozwód. Rafał przyjął to, ku własnemu zaskoczeniu, raczej z ulgą.

Pięć lat po zakończeniu sprawy rozwodowej usłyszał przypadkiem od wspólnego znajomego, że Alina wraca do Polski. I nie, nie wyszła za mąż. Nazajutrz ku jego zaskoczeniu Alina zadzwoniła do niego z Montrealu. Wypytała, co słyhać, potwierdziła, że wkrótce przyjeżdża do Lublina i nie miałyby nic przeciwko temu, żeby pójść na kawę i powspominać dawne czasy. Nawet umówili się wstępnie na datę i miejsce spotkania.

Parę dni później, w pół do ósmej wieczorem, „Wiadomości”. Katastrofa lotnicza niedaleko wybrzeży Norwegii. Samolot pasażerski linii SAS spadł do oceanu. Liczba ofiar...

Rafał poczuł chłodne ukłucie w okolicy serca. Wkrótce potem zadzwonił telefon.

Odegnął wspomnienia. W kuchni gwizdał czajnik. Rafał zaparzył sobie herbatę, wrócił na kanapę i włączył telewizor. Bezmyślnie przerzucał kanały, aż natrafił na stary rosyjski film wojenny. Czołgi jechały przez spalony krajobraz przy akompaniamencie charakterystycznej, blaszanej muzyki. Wpatrywał się w ekran, dopóki nie zabrzmiał dzwonek u drzwi.

– Wszystko gotowe? – zapytał od progu Samir von Katzenkrallen. Teraz miał na sobie współczesne ubranie: skórzany płaszcz, a pod nim bluzę i dżinsy, wszystko czarne. Na ulicy czy w autobusie nie przykuwałby uwagi; ot, młody miłośnik ostrej muzyki. – Doskonale.

Kiedy Rafał zamknął drzwi i zasunął zasuwę, zobaczył, że demon – znów w kociej postaci – obwąchuje róg przedpokoju.

– To mieszkanie ma nie najlepsze fluidy – oznajmił, zmieniając się z powrotem w młodzieńca. – Trudno, jakoś sobie poradzimy. Te wasze komputery, telewizory i anteny satelitarne tragicznie zaburzają przepływ energii astralnej.

– Herbaty? – zaproponował Rafał.

– Chętnie. Z chili, jeśli można.

Samir z zainteresowaniem zerknął na ekran telewizora. Film wojenny już się skończył, teraz szły reklamy.

– Beztroski konsumpcjonizm Zachodu ma w sobie coś ujmującego – zauważył, kiedy zabrzmiała wesoła piosenka o jogurtach Jogobella. – Ale i tak bardziej mi się podobały rzymskie ucztę.

– Nie wątpię. – Rafał podniósł pilota i uciszył telewizor.

– Wyłącz go z sieci – polecił demon. – Komputer też. I wyłącz komórkę. Musimy mieć możliwie niezakłóconą aurę.

Czajnik wkrótce zaczął gwizdać. Rafał przyniósł do pokoju szklanekę, z której unosiła się para, i torebkę przyprawy.

– Lepiej sam sobie wsyp tego chili, ile chcesz.

Demon wsypał czubatą łyżeczkę. Zamieszał herbatę, po czym pociągnął łyk, oblizał się i od niechcienia wydmuchnął cienki płomień, niczym połykacz ognia.

– Pora, żebym ci wyjaśnił, na czym polega misja, w której masz wziąć udział – oznajmił. – Jako dziecko śniłeś o białym mieście. Myślę, że pamiętasz ten sen.

Rafał zaniemówił.

Pamiętał aż za dobrze. Białe miasto było koszmarem, który zaczął mu się śnić w dzieciństwie, wkrótce po tym, jak jego matka po raz pierwszy trafiła do szpitala. Wtedy, na początku lat siedemdziesiątych, nie umiano nawet porządnie zdiagnozować, na co chorowała – były to jakieś przewlekłe problemy z nerkami i wątrobą. Po kilku miesiącach wypisano ją podleczoną, a Rafał przestał budzić się z krzykiem. Ale dwa lata później choroba wróciła – od nowa szpital, dializy, ponura twarz ojca. Wtedy znowu przyszedł strach, a z nim sny. Skończyły się, kiedy Rafał miał trzynaście lat i matka zmarła.

– Białe miasto istnieje naprawdę, o ile tego określenia można użyć w stosunku do snu – kontynuował Samir. – Leży we własnym, oddzielnym wymiarze i ma swoich rdzennych mieszkańców. To istoty nieco podobne do nas, karmiące się strachem i rozpaczą. Zwabiają do siebie dusze cierpiących dzieci. Nie wszystkie, rzecz jasna, tylko ich nieduży odsetek, bo mają konkurencję ze strony innych podobnych miejsc. Śnienie tego koszmaru zazwyczaj nie pociąga za sobą trwałych skutków. Dzieci, dorastając, uodparniają się na jego zew, a potem zapominają o wszystkim. Niestety tak się składa, że jeden z więźniów odbywających karę w dziewiątym kręgu Szeolu zdołał ostatnio uciec właśnie do białego miasta. Wykorzystał okazję i prysnął przez jakąś szczelinę między wymiarami, diabli wiedzą jak, a raczej nie wiedzą. – Uśmiechnął się krzywo. – W każdym razie nie możemy go tam dopaść, bo to dla nas obce terytorium, nie mamy na nie wstępu. Próbowaliśmy wystąpić o ekstradycję, ale bez skutku. Istoty ze świata snów nie lubią nas, my ich zresztą też.

– Więc chcecie, żebym odbył podróż do białego miasta?

– Otóż to. Chcemy, żebyś się tam wybrał, odszukał uciekiniera i zabił go. Kiedy zginie w świecie snów, ocknie się u nas na dole, gdzie jego miejsce. Jakies pytania?

– Jak można kogoś zabić w świecie snów?

– Tak samo jak i w waszym. Możesz próbować go zepchnąć z dużej wysokości, uciąć mu głowę...

– Dobra, rozumiem. – Rafał wzdrygnął się. – Samirze, jeśli łaska, wyjaśnij mi jedno. Czemu wybraliście do tej misji właśnie mnie?

Demon dopił herbatę, wyraźnie rozkoszując się każdym łykiem.

– Na całym świecie żyje w tej chwili dwa tysiące sześćset czterdzieści osiem osób, które śnią lub kiedyś śniły o białym mieście. Ponad połowa z nich to dzieci, a dzieci nie mogą zaangażować, nie nadają się do takiej roboty. Sprawdziłem wszystkich pozostałych i uznałem, że ty będziesz najlepszy.

– Ale czemu, na litość?

– Już ci mówiłem, to tajne. No dobrze, jeśli nie masz więcej pytań, pora się brać do rzeczy. Jeśli nosisz przy sobie jakieś poświęcone przedmioty, medaliki i tym podobne, odłóż je.

– Mówiłem już, jestem ateistą.

– Prawda, zapomniałem. Teraz słuchaj. Za chwilę przy pomocy tych akcesoriów – Samir wskazał przedmioty stojące na stole – dokonam na tobie małego rytuału oczyszczenia, a potem sprawię, że zapadniesz w sen i znajdziesz się w białym mieście. Pozostaniesz tam, dopóki świeca nie wypali się do końca. Jeśli do tego czasu nie wykonasz misji, znajdziesz się z powrotem tutaj i uznamy, że misja się nie powiodła.

– Grożą mi z tego tytułu jakieś... konsekwencje?

– Nie, takimi świniami nie jesteśmy. Udam się po prostu do kolejnego z tysiąca trzystu iluś możliwych kandydatów.

– A jeśli te stwory, które żyją w białym mieście, zabiją mnie?

– Stanie się to, co zawsze się działo, kiedy śniłeś ten sen. Po prostu się obudzisz. Osobnik, którego masz zlikwidować, przebywa tam na innych zasadach, bo on już umarł w materialnym świecie.

– No... dobrze. A po czym go rozpoznam?

– Och, to proste. – Samir uśmiechnął się. – Jest stary i utyka. Nie zdziwiłbym się, gdyby w świecie snów miał na sobie strój ze swojej epoki, a zmarł w roku tysiąc siedemset piątym. Nazywa się Johann Breiger i pochodzi z Monachium, jeśli to ci pomoże.

– Kto to był?

– Szarlatan, fałszywy lekarz, nieciekawa postać. Wyprawił kilkanaście kobiet na tamten świat, nieumiejętnie usuwając ciążę, i pożegnał się za to z głową. Byłem świadkiem jego egzekucji i powiedziałem mu, że gilotyna ścina ładniej, ale oczywiście nie zrozumiał, o co mi chodzi. No, bierzmy

się do roboty. Zgaś światło. To w kuchni też.

Kiedy Rafał wrócił do zaciemnionego pokoju, zauważył z dreszczem, że źrenice demona mają postać dwóch jarzących się czerwono punkcików.

Samir sięgnął po spodeczek z solą, chuchnął na nią, po czym wrzucił szczyptę soli do salaterki z wodą. Przez chwilę mamrotał dziwnie brzmiące słowa, następnie palcem umoczonym w wodzie zaczął kreślić w powietrzu przed Rafałem trójkąty i krzyże. W końcu z pozostałej na spodeczku soli usypał na stoliku okrąg i pośrodku niego ustawił świeczkę.

– Zapal ją, usiądź wygodnie i patrz w płomień – polecił. – Nie mrugaj.

Po chwili wpatrywania się w migoczący płomyk Rafał poczuł, że jego ciało staje się coraz cięższe. Nie był już w stanie podnieść ręki ani przetrzeć oczu, których powieki nieubłagane zaczęły opadać.

\*\*\*

Leciał przez czarną, bezkresną próżnię. Daleko przed sobą ujrzał jaśniejszy, powoli rosnący punkt i poczuł, że ogarnia go chłód.

To było to miejsce. Miasto zawieszone w pustce. Jego białe domy i ulice, dziwaczne, pokrętne, sprzeczne z zasadami geometrii, emanowały bladą, nigdy niegasnącą poświatą.

Sfrunął nad nie, lądując na dużym centralnym placu i nagle uświadomił sobie, że już wcale nie jest dorosłym mężczyzną, tylko małym, dziesięcioletnim Rafałem w pasiastej piżamie. Kamienne płyty ziębiły go w bose stopy. Ze zdziwieniem popatrzył na swoje ręce – zapomniał, jakie były kiedyś drobne i chude.

*Szybko, nie stój na widoku. Ruszaj na poszukiwanie, zanim Królowa się zorientuje, że tu jesteś!*

Przebiegł przez plac i przystanął pod arkadami jednej z kamienic, żeby się rozejrzeć. Naokoło panowała taka cisza, że aż dzwoniło od niej w uszach. Wszystkie domy były do siebie podobne – białe, z ozdobnymi, jakby renesansowymi fasadami – i wszystkie straszyły ślepymi kwadratami okien.

*To Pusty Plac – przypomniawszy sobie. Nie wolno wchodzić do tych domów, żyją tam trędowaci. Jeśli cię dotkną, stajesz się jednym z nich.*

A jeśli Breiger ukrył się właśnie tam?

Nagle w jednym z okien pojawiła się twarz. Upiornie zdeformowana guzami, bez nosa. Trędowaty krzyknął coś, a Rafał nie wytrzymał; rzucił się do ucieczki i zatrzymał dopiero dwie ulice dalej, kiedy zabrakło mu tchu.

Usłyszał przenikliwy dzwonek i odskoczył do tyłu, przyciskając się do ściany najbliższego domu. Minął go tramwaj, frunący w powietrzu bez żadnych szyn. Z tramwaju wychylały się istoty o szczurzych i jaszczurzych głowach. Kiedy dostrzegły Rafała, zaczęły wołać i wygrażać mu. Ale wtedy tramwaj dodał gazu i zniknął między budynkami.

Rafał, niewiele myśląc, ruszył w przeciwną stronę. Skręciwszy za róg, usłyszał plusk kojarzący się z ziemskimi parkami i dziedzińcami. Ruszył w kierunku, skąd dobiegał odgłos. Wkrótce znalazł się na okrągłym placu, pośrodku którego tryskała fontanna. Zamiast wody strzelała z niej krew. Basen fontanny wypełniony był szkarłatną cieczą, w której pływały kwiaty o olbrzymich, czarnych, żółto nakrapianych kielichach.

Rozległ się przeszywający ptasi wrzask i na oczach Rafała z nieba spikowała harpia. W locie napiła się z fontanny i odleciała.

Naraz, nie wiadomo jakim sposobem, placuik zaroił się od dzieci w piżamach. Biegały, wołały do siebie, lecz bezgłośnie, poruszając tylko ustami, z których nie wydobywał się żaden dźwięk. Rafał znowu przyłgął plecami do ściany, ale dzieci wydawały się go nie zauważać.

Raptem spłynęło na niego olśnienie, sprawiając, że przestał się bać. Było zupełnie inaczej niż wtedy, w dzieciństwie. Dotarło do niego, że to tylko sen, że tak naprawdę nic mu tu nie grozi. Że białe miasto

jest niczym teatr, z teatralnymi dekoracjami.

I wówczas, jakby ta myśl pomogła mu wpłynąć na rzeczywistość snu, z najbliższego domu wyłoniła się młoda kobieta w okularach, w szpitalnej koszuli.

– Rafał?! – wykrzyknęła. – Co ty tu robisz?

– Nie jesteś moją matką – warknął z nagłym gniewem. – Nie udawaj. Moja matka nie żyje.

– Mądry z ciebie chłopiec. – Westchnęła. Rozciągnęła się jak postać z gumy, stając się sobą. Wysoką kobietą w złotej, powłóczystej szacie, o długich czarnych włosach. Bez oczu. Jej oczodoły miały postać płytkich wgłębień, zarośniętych skórą.

Królowa.

– Po co się zjawiłeś, Rafale? – spytała. – Jesteś już za stary, żeby odwiedzać moje miasto. Czy mam rozkazać harpiom, żeby cię pożarły?

– Przybywam z misją – odpowiedział, bo wydawało się to logiczne i oczywiste. – Przysłała mnie piekło. Szukam kogoś w ich imieniu.

– Kogo?

– Człowieka, który nazywa się Johann Breiger.

Królowa zaśmiała się; brzmiało to tak, jakby ktoś potrząsał puszką pełną monet.

– Znajdziesz go pod wieżą Eiffla. Idź w tamtą stronę, cały czas prosto. – Wskazała kierunek. – Ale wpierw weź to. To mój talizman.

Podawała mu coś. Wziął odruchowo i zobaczył, że trzyma złotą ozdobę na łańcuszku: wisiołek w kształcie głowy drapieżnego ptaka.

– Załóż go na szyję – poleciła Królowa. – Jeśli harpie zechcą ci być posłuszne, wypełnisz misję, ale to zależy tylko od nich, nie ode mnie.

– Czemu mi pomagasz? – spytał zaskoczony. Zaśmiała się znowu.

– Bo tak jest sprawiedliwie. Śniłeś o moim królestwie częściej niż Breiger. Myślę, że pan von Katzenkrallen doskonale o tym wie. No, a teraz zmykaj stąd.

Na rogu ulicy Rafał odwrócił się, żeby spojrzeć na nią raz jeszcze. Królowa tańczyła ze wzniesionymi ramionami, obracając się powoli, podobna do złotego posągu. Dzieci też tańczyły razem z nią, w ciszy przerywanej jedynie pluskiem krwawej fontanny.

\*\*\*\*

Wieża Eiffla wznosiła się na obrzeżu miasta. Była dużo mniejsza od tej ziemskiej, miała może wysokość dziesięciu pięter. Obsiadło ją stado harpii, wrzeszczących i trzepoczących jak papugi w zoo. Od czasu do czasu z góry zlatywały odpadki, pióra, ogryzione kości; naokoło wały się ich całe sterty. Smród zapierał dech.

W pewnej odległości od wieży, poza zasięgiem tego, co z niej spadało, stał niewysoki mężczyzna w żółtym kaftanie, peruce, kamizelce i pantalonach. Wsparty na lasce spoglądał w kierunku miasta, osłaniając oczy dłonią. Na widok Rafała ożywił się.

– *Womit kommst du, mein Junge?*<sup>9</sup> Przynosisz mi *Begnadigung*<sup>10</sup>? A może oni cię przysłać, żebyś mnie, tego, *zurück in die Dunkelheit*<sup>11</sup>?

Rafał zawahał się, bo nie do końca zrozumiał łamaną wypowiedź, ale Breiger musiał się domyślić prawdy.

– *Schade*<sup>12</sup>. – Westchnął, po czym z nienacka wyskoczył w powietrze jak żaba, a lądując, zamachnął się laską. Rafał nie zdążył się uchylić i od ciosu w głowę pociemniało mu w oczach. Zdołał jednak odtoczyć się na bok, tak że kolejny cios Breigera trafił w próżnię.

– Nie uciekniesz – syknął potępiony. Ale Rafał, wciąż na klęczkach, wyszarpnął zza pizamy talizman Królowej.

– Zabijcie go! Rozkazuję wam! – wrzasnęła, zaciskając go w rękę.

Był pewien, że nie posłuchają. Lecz nagle jedna z harpii zakrakała. Na ten głos wszystkie pozostałe poderwały się z potwornym zgiełkiem.

Breiger wydał świdrujący krzyk przerażenia. I wtedy wszystko – miasto, wieża, harpie, czarne niebo – rozprysło się jak rozbity kamieniem witraż.

\*\*\*

Rafał otworzył oczy i zamrugał, gdy oślepiło go światło lampy. Świeca na stole była zgaszona – nie zdążyła się wypalić nawet do połowy. Czuł pulsujący ból w skroni, który jednak po chwili ustąpił.

Samir von Katzenkrallen rozmawiał z kimś przez komórkę. Komórkę? Przedmiot miał postać głowy pawiana, wykutej z ciemnego metalu. Głowa mówiła coś, jej głos brzmiał skrzekliwie i przerywały go trzaski. Demon uciszył urządzenie puknięciem palca i schował je do kieszeni.

– Właśnie dostałem wiadomość, że nasza zguba jest już z powrotem w dziewiątym kręgu – oznajmił. – Dobra robota.

Rafał usiadł, przecierając oczy. Zadrżał, kiedy po raz kolejny dotarło do niego, że rzekomy sen nie do końca był snem – i że teraz też bynajmniej nie śni.

Żeby się uspokoić, sięgnął po papierosa i drżącymi rękoma zapalił jednego. Kiedy dym się rozszedł, Samir powęszył jak kot.

– Mogę się poczęstować? – spytał, wskazując paczkę.

Rafał podał mu papierosa. Demon zapalił go pstryknięciem palców i zaciągnął się głęboko.

– Powinieneś rzucić to świństwo – stwierdził, wydmuchując dym. – Afgańskie opium, to jest to. No, przyjacielu, wypełniłeś zadanie, pora na zapłatę. Wypowiedz życzenie.

– Dobrze. Chcę, żebyś wrócił do piekieł i więcej mnie nie nawiedzał.

– Zastanów się. – Oczy demona błysnęły. – Mógłbym ci tyle ofiarować... Nawet cofnąć czas, gdybyś zechciał. Nie chcesz, żebym przywrócił ci zdrowie? Nie tęsknisz za Aliną? A za matką?

– Samirze. – Rafał uśmiechnął się. – Pamiętaj, że formalnie w was nie wierzę.

Wysłannik piekieł patrzył na niego w zamyśleniu.

– Wy, śmiertelni, nie przestajecie mnie zadziwiać – stwierdził. – No cóż, miło było cię poznać. Dobrego dnia życzę.

Parsknął dymem, fiknął koziołka i znikł, zostawiając w popielniczce wciąż żarzącego się papierosa.

\*\*\*

Nazajutrz Rafał obudził się, słysząc krople deszczu bębniące w szybę. Chwilę leżał, usiłując zebrać myśli.

*Śniło mi się coś bardzo dziwnego. Ale za nic nie mógł sobie przypomnieć szczegółów. Czuł się ociężały, dziwnie zmęczony. Sprawdził godzinę – dochodziła jedenasta.*

*Co u diabła, zupełnie jakbym się wczoraj upił. Dobrze, że jest niedziela.*

Zmusił się, żeby wstać i wziąć prysznic. Na śniadanie nie miał ochoty, więc zaparzył sobie tylko kawy i usiadł w kuchni przy oknie. Patrzył, jak ludzie z parasolami przechodzą tam i z powrotem przez ulicę, a samochody od czasu do czasu wjeżdżają w wielką kałużę koło przystanku, wzbijając fontanny brudnej wody.

Gdy dopijał kawę, znajome uczucie ucisku w klatce piersiowej pojawiło się znowu, tym razem silniejsze niż kiedykolwiek. Poczul ostry ból promieniujący do lewej ręki, zabrakło mu tchu i nagle

uświadomił sobie, co się dzieje. Poczuł, że oblewa go zimny pot.

*Do łazienki, po nitroglicerynę, szybko – potem zadzwonić na pogotowie...*

Zdołał odstawić kubek i wstać, lecz nie udało mu się wyjść z pomieszczenia – upadł, uderzając głową o futrynę.

\*\*\*

Gdy odzyskał przytomność, ktoś pochylał się nad nim. Rafał poczuł, że robi mu się gorąco, a potem zimno.

Alina. Starsza o dwanaście lat od tej, którą pamiętał – domyślił się od razu, że widzi ją taką, jak wyglądała w momencie śmierci. Schudła, jej rysy się zaostrzyły. Włosy też wyglądały inaczej niż kiedyś, ścięte krótko i ufarbowane na mahoniowy brąz. Tylko oczy się nie zmieniły.

– Wstań – powiedziała. Rafał dźwignął się, uświadamiając sobie, że nie czuje bólu. Beznamiętnie popatrzył na swoje ciało, leżące na podłodze.

– Mam nadzieję, że ktoś się domyśli w miarę szybko – stwierdził. – Nie chciałbym, żeby mnie znaleziono na przykład po dwóch tygodniach.

– Bardzo dobrze cię rozumiem. – Alina uśmiechnęła się blado. – Możesz się nie obawiać. Twoi koledzy zaniepokoją się, kiedy nie przyjdiesz jutro do pracy. Będą dzwoniли do domu, do sąsiadów, a w końcu zaalarmują policję.

Dopiero teraz zauważył, że miała na sobie dziwny strój, jakiego na pewno nie nosiła za życia – staroświecką czarną suknię. Pachniała perfumami i dymem, ale nie papierosowym, tylko takim, który jesienią snuje się po ścierniskach. Poczuł ukłucie żalu, że nie jest taka, jaką ją kochał – że nic już nie może cofnąć czasu i naprawić tego, co było. Coś ścisnęło go w gardle, ale wtedy Alina wzięła go za rękę.

– Nie patrz na to tak defetystycznie. Każdy popełnia błędy. A po drugiej stronie nie jest tak źle. Przekonasz się.

Otarł oczy i wziął głęboki oddech.

– Specjalnie cię po mnie przysłali? Ten cały rudy, Samir, jak mu tam?

– Nic nie wiem o żadnym rudym, ale owszem, przysłano mnie. – Rzuciła okiem na wiszący nad lodówką zegar. – Musimy się pospieszyć, czekają na nas. Chodź, nie bój się.

Dotknęła ściany, a w miejscu, gdzie chwilę wcześniej była tylko tapeta w białe i zielone paski, Rafał nagle ujrzał staroświeckie drewniane drzwi z zaśnieżoną klamką. Otworzyły się same z cichym skrzypnięciem zawiasów.

Pozwolił, aby towarzyszka poprowadziła go w głąb ciemnego korytarza, na końcu którego lśniło ledwie widoczne światło.

Drzwi zamknęły się za nimi. Ktoś, kto wszedłby teraz do kuchni, znów zobaczyłby jedynie pasiastą tapetę.

Lublin, nieświadom niczego, mókł w listopadowym deszczu.



# Rytuał piasku

*Wiedziałem, że tamtej nocy wyszła na zewnątrz,  
bo chciała ucałować samą siebie na pożegnanie.*

William Gibson, *Zimowy targ*,  
tłum. Katarzyna Karłowska

1.

Jest dzień. Piękny majowy poranek.

A ja gniję od środka, zapadam się w czarny lej. Jakby ktoś mi podmienił duszę.

Cholernie trudno wytłumaczyć komuś zdrowemu, na czym to polega. Będą powtarzać: przesadzasz, wcale nie jest tak źle, albo: weź się w garść, inni mają gorzej. A ciebie tylko dodatkowo przybija świadomość, do jakiego stopnia widzisz i czujesz inaczej. Miotasz się pod ciężarem siebie jak szczur pod butem, patrząc przez krzywe okulary, których nie umiesz zdjąć. Przygniatają cię myśli o wszystkim, co nie udało ci się w przeszłości, a także o tym, co nieuchronnie zavalisz dziś, jutro, pojutrze. Tysiące spieprzonych szans i tysiące obowiązków, na które nie masz siły. Szczęrzą się do ciebie jak widziadła, które w jednej z baśni Andersena dręczyły umierającego cesarza.

Kiedy spirala rozkręci się na dobre, możesz płakać kilka godzin, aż do wyczerpania. Znam tylko jeden sposób, żeby to zdusić w zarodku.

Zamykam się w łazience z paczką chusteczek, wodą utlenioną i żyletką. Podciągam rękaw, wstrzymuję oddech i tnę ramię. Ostrożnie, żeby nie przeholować. To się musi później zagoić bez szwów.

Pierwsze cięcie zawsze wychodzi najgłębsze, później włącza się instynktowny opór. Ciało ma swoje odruchy, nie chce się podporządkować nakazom woli. Ciało boi się bólu, nawet jeśli ból jest cholernie dobrym lekarstwem.

Czuję wilgoć pojawiającej się krwi. Czerwone koraliki rosną, łączą się w grube, łaskoczące krople. Obserwuję je chwilę, potem polewam skaleczenia wodą utlenioną. Pojawia się żółtawa piana i zaczynają mocniej krwawić.

Szczypie. Dobrze.

Odprężam się, uczucie dławienia w gardle słabnie.

Wycieram krew chusteczką higieniczną. Biorę następną i przykładam ją do ranek. Przywiera.

Już mi lepiej.

Łatwiej patrzeć na ból, niż czuć go wewnątrz.

\*\*\*

Skaleczenia po wewnętrznych stronach dłoni pieką za każdym razem, kiedy myję ręce. I o to chodzi.

W pokoju burdel nie z tej ziemi. Powinnam zetrzeć kurz z półek i parapetów, poukładać porządnie książki, wyczyścić klawiaturę komputera, zrobić porządek w szafie. Kiedyś. Teraz, kiedy odbiłam się od dna i pomału wypływam na powierzchnię, niewiele mnie obchodzi. Wypływam – to dobre określenie. Jak zdechła ryba. Jestem otępiała, wszystkie te myśli, które wcześniej wydawały się nie do zniesienia, teraz pełzają jak robale za grubą szybą.

Przebieram się do wyjścia. Bojówki, sztywna wojskowa bluza z naszywką Bundeswehry. Jedyna, w której czuję się prawie jak kiedyś, nie mam wrażenia, że składam się wyłącznie z kilogramów i pryszczy.

Idąc ulicą, niechętnie patrzę na swoje odbicie w szybach mijanych samochodów. Twarz wydaje się jakaś rozlazła, obrzmiała, biodra olbrzymie. *Jesteś ohydna* – mówię do siebie.

Robię zakupy. To jeszcze nie ten etap, żeby leżeć i patrzeć w ścianę. Ciało chce jeść, nawet jeśli robi to, licząc kalorie, pełne obrzydzenia do własnego zwierzęcego apetytu. Potrzebuje chleba, żółtego sera i czekolady, chociaż później wzdryga się ze wstrętu, oglądając siebie w lustrze. Ciało ma jeszcze siłę codziennie wziąć prysznic. Wrzucić ubrania do pralki, potem je rozwiesić, poskładać suche. Wykonuje czynności, trochę z nawyku, trochę z rozsądku.

Idąc do kas, mijam stoisko z gazetami. W oczy rzuca mi się pisany wielką czcionką tytuł na pierwszej stronie brukowca. Dwudziestoletnia studentka zginęła zadźgana nożem przez psychola. Dlaczego ona, a nie ja?

Gdy kładę na ladzie drobne, sprzedawczyni patrzy na moją dłoń.

– Co się pani stało?

– Kotek – odpowiadam wesoło i przekonująco. Dziewczyna uśmiecha się i kiwa głową.

Koty na ogół nie drapią tak głęboko i symetrycznie, ale ludzie się nie znają.

Pocięte ramiona pieką pod ubraniem.

\*\*\*

– Wiem, co jest z tobą nie tak – mówi zabandażowana kobieta, wyłaniając się zza zasłony. Przypomina coś, co zlało z płócien świętej pamięci Beksińskiego, mistrza koszmarów. Czerwone iskry oczu jarzą się w szparze między brudnymi paskami płótna.

Ilekoć jest źle, śnię o niej. Pogorszenie zawsze zaczyna się od tego, że ona pojawia się w moich snach, zawsze z zaskoczenia. Wypełza z cieni, wyrasta z ziemi albo zjeżdża z nieba po nitce cienkiej jak włos. I te sny zawsze kończą się tak samo.

– Nic nie wiesz! – krzyczę. – Zostaw mnie!

Jej śmiech przypomina szelest zgniatanego sreberka po cukierku.

– Jestem tobą. Karmisz mnie. Nigdy się nie rozstaniemy. Jesteś za słaba, by umrzeć i za słaba, by żyć.

– Wynoś się! – krzyczę i ciskam w nią książką. Upiorzyca z chichotem rozpada się na mnóstwo drobnych czarnych cząstek – na mrówki, które pierzchają, znikając w zakamarkach pokoju; za szafą, pod biurkiem, za regałem.

Podchodzę do okna i otwieram je na oścież. Nocna panorama miasta migocze światłami, całkiem jak na jawie.

Wdrapuję się na parapet i przez chwilę patrzę w dół. Dziesięć pięter.

Skaczę. I zamiast spaść, szybuję.

Nie jest to swobodny lot. Niewidzialna ręka wlecze mnie przez powietrze jak latawiec na sznurku. A potem stoję na chodniku ze świadomością, że nie mogę się nawet ponownie wzbić.

Chcę się uderzyć w twarz – ból przyniesie mi ulgę – ale powietrze jest gęste jak wata, ręka płynie przez nie w zwolnionym tempie.

We śnie jestem za słaba nawet na to.

## 2.

Między jednym a drugim atakiem, zjazdem czy jak je nazwać, nastrój wraca do lekko odrętwiałej, przygaszonej normy, i myślisz sobie, że w zasadzie da się tak funkcjonować.

Czemu właściwie jeszcze żyję? Bo od kaleczenia się do samobójstwa droga jest tak daleka, jak – powiedzmy – od nieładnych fantazji do zgwałcenia i zabicia pani w lesie. Ciało, póki nie choruje

fizycznie, to solidna, tykająca maszyna, a mózg ma opory przed pociągnięciem za dźwignię hamulca awaryjnego. Żeby łyknąć te cholerne pigułki albo podciąć sobie żyły, potrzeba lepszych powodów niż taki, że czujesz się fatalnie i chcesz umrzeć. Poza tym, choć samej śmierci się nie boję, boję się konsekwencji nieudanej próby. Jeśli jest źle, nie ma potrzeby robić tak, żeby było jeszcze gorzej.

Dziś dla odmiany mży, niebo przypomina szary łachman. Dzień jak dzień. Cztery godziny przysypiania na wykładach, później nogi same niosą mnie przez miasto.

Z nawyku zahaczam o tanią księgarnię, potem idę na Plac Litewski. Ot tak, żeby się posnuć, poprzyglądać ludziom.

Pod pomnikiem Piłsudskiego zgarbiony dziadek karmi gołębie. Przy fontannie dwie mamusie z wózkami i biegającym przychówkiem, a na ławkach emeryci i menelstwo obojga płci.

– Kultura umarła! – chrypi podпиты pięćdziesięciolatek, wymachując puszką piwa. – Ja wiem, psiakrew, co to kultura, mnie Giedroyć w Paryżu kultury uczył!

Przechodnie oglądają się na niego. Jest ubrany w przedziwnie zestawione części odzieży, trochę jak punk. Na krótkich siwych włosach – wełniana narciarska opaska. Spuchnięte stopy z trudem mieszczą się w rozsznurowanych adidasach. Znam go z widzenia, bo czasem jeździ tym samym autobusem co ja. Ludzie mówią do niego per „panie Heniu”. Podobno kiedyś pracował na uczelni, a po śmierci żony zachorował psychicznie. Zastanawiam się, jak on widzi świat, czy nie mamy ze sobą więcej wspólnego, niżby się wydawało.

Wiem, że jestem chora. No i co mogę z tym zrobić? Pójść do psychiatry? Da leki, po których przytyję i będę nienawidzić siebie jeszcze bardziej.

Jeden z biegających wokół dzieciaków wpada w stado gołębi, a one wzbijają się całą chmarą. Matka karcie go.

Przychodzi mi na myśl, że mogłabym tu posiedzieć jakiś czas i poprzeglądać nowy nabytek z taniej książki, mały album Breughla z serii Taschen. Rozglądam się, bez większych nadziei szukając wolnej ławki. I właśnie wtedy go spostrzegam. Uliczny artysta. Stary plecak, rozłożone przed ławką nieduże sztalugi, a obok stojak z obrazkami.

Podchodzę, żeby je obejrzeć. Malowane chyba temperą na grubym kartonie, jedne są utrzymane w tonach brązu, pomarańcza i żółci, inne – szarości i granatu, ale prawie wszystkie przedstawiają panoramy zrujnowanych miast.

Malarz ma na sobie zniszczoną turystyczną odzież. Kraciasta flanela z podwiniętymi rękawami, wyblakłe, niegdyś czarne dżinsy, upstrzone plamami farby. Do tego zamszowy kapelusz zsunięty na czoło, ocieniający twarz.

Nie podnosi głowy, gdy zaglądam mu przez ramię. W skupieniu maluje na kartonie ceglaste i bure smugi. Obraz przedstawia trupy wśród osmalonych gruzów, pod niebem ciężkim od dymu.

– Co to? – pytam.

– Drezno w czterdziestym czwartym, po bombardowaniach – odpowiada, nie odwracając się. – Byłem tam. Burza ognia. Ludzie płonęli i dusili się w piwnicach.

– Aha – komentuję dyplomatycznie.

Malarz odwraca się i zdejmuje kapelusz. Jest młodszy, niż sądziłam, w okolicach trzydziestki. Ma hipisowskie koraliki na szyi i ciemne włosy do ramion, zbyt czyste jak na włóczęgę.

– Hiroszimę też widziałem.

Kiwam ze zrozumieniem głową i wycofuję się. Jest biały dzień, ludzie patrzą i nie mam ochoty gadać ani z wariatem, ani – co wydaje mi się bardziej prawdopodobne – z kimś, kto na wariata pozuje.

– Lepsze jutro było wczoraj! – krzyczy pan Henio trzy ławki dalej. Ja chciałabym wiedzieć, czy wczoraj było gorzej, niż będzie jutro. Choć może lepiej, żebym nie wiedziała.

Ilekoć przez chwilę jest normalnie, starasz się nie pamiętać, że gdzieś za zakrętem czeka kolejny zjazd, a kiedy wsysa cię czarna studnia, nie dociera do ciebie świadomość, że kiedyś znowu wypłyniesz w górę.

\*\*\*\*

Jadę autobusem z powrotem na osiedle. Pasażerów o tej porze jest niewielu – ludzie jeszcze w pracy, dzieciaki w szkole.

W pewnej chwili słyszę pełne niesmaku pomruki. Na przystanku wsiadła stara kobieta o lasce, w burym płaszczu i wełnianej czapce, spod której wymykają się lepkie kosmyki. Jest opatulona w nie wiedzieć ile warstw odzieży i śmierdzi brudem. Jedyna w swoim rodzaju zatechła, kwaśna woń nieświeżego nabiału. Powraca myśl, która już przemknęła mi przez głowę na widok pana Henia – że tak właśnie może wyglądać moja przyszłość. Jeśli dożyję.

Baba kolebiącym się, niepewnym krokiem mija kolejne siedzenia, aż zatrzymuje się koło mnie. Super. Chcę wstać i przejść na tył autobusu, ale ona nie daje się wyminąć. Nie chcę się z nią szarpać, więc siadam z powrotem. Jeszcze trzy przystanki. Pozostaje wstrzymać oddech.

Na przystanku, na którym powinnam wysiąść, ona wysiada przede mną. Spodziewałam się tego, prawdę mówiąc.

Autobus odjeżdża, a ona zastępuje mi drogę, szczerząc w uśmiechu resztki zębów. Spinam się cała. Może za moment jej oczy zaświecą na czerwono, a twarz złuszczy się jak maska, odsłaniając paski brudnego płótna?

– Znam cię, dziewczyno – mówi ochryple.

– Nie sądzę.

– Ależ tak. Gerda zawsze rozpoznaje takich jak ty. – Zniża głos. – Wiem, w jaki sposób możesz się uwolnić od zabandażowanej kobiety.

– To powiedz.

– Nic za darmo. Daj pięć złotych.

– Nie mam – kłamię.

– Daj cztery.

Wbrew sobie zaczynam odczuwać ciekawość. Wyjmuję portmonetkę i podaję Gerdzie dwie dwuzłotówki, starając się, aby nasze palce się nie zetknęły.

Kobieta przypatruje mi się z namysłem. Oczy ma przekrwione, zażawione, nieokreślonego koloru. Na nosie i policzkach – pajęczyna rozszerzonych żyłek.

– Potrzebuję jeszcze czegoś – stwierdza.

– Tak?

– Twojej krwi, kotku. Starczy odrobina.

Sięgam do kieszeni i wręczam jej poplamioną chusteczkę higieniczną. Starucha cmoka z dezaprobatą.

– Ach, ta dzisiejsza młodzież. Nie doceniacie życia. Życie to skarb.

Papierowa chusteczka znika w zapadniętych ustach. Gerda przeżuwa, połyka. Wzdycha ciężko.

– Widziałaś malarza na Placu Litewskim, prawda? Będzie dziś nocował na dworcu, z bezimiennymi. Odszukaj go tam i poproś, żeby odprawił dla ciebie rytuał piasku.

– Wielkie dzięki – odpowiadam sarkastycznie. – A zechce?

– Jeśli zobaczy, że widzisz niewidzialne i nie boisz się bezimiennych, może uzna, że warto.

Teraz wbrew sobie zaczynam się czuć zaintrygowana. Chcę usłyszeć więcej.

– Kim jest malarz? – pytam.

Gerda przeciera czoło, marszczy brwi. Sprawia wrażenie, jakby zaskoczyło ją to pytanie.

– Nie wiem – odpowiada powoli. – On... jest jednym z tych, co wędrują.

– Bezimiennym?

– Nie, nie. Bezimienni mieszkają na dworcach. On podróżuje.

– A wiesz, jak ma na imię?

– Nie mam pamięci do imion, odkąd zapomniałam własnego.

– Przecież mi się przedstawiłaś. Nazywasz się Gerda.

– Nie, dziecko. To tylko imię-proteza, jak sztuczna noga. Własnego nie pamiętam od lat, odkąd zstąpiłam z nieba i przekroczyłam Styks. – Jej twarz wykrzywia się w paroksyzmie męki. – Przeszłam przez piekło i głęboką wodę, aby uratować kogoś, kto mnie wcale nie potrzebował, a po drodze straciłam siebie. Ale to nie opowieść dla twoich uszu. Daj mi jeszcze złotówkę, to zdradzę ci ostatnie, co mam do przekazania.

Tym razem bez wahania sięgam do portmonetki i wręczam kobiecie trzecią monetę. Starucha chowa ją do kieszeni i wybucha ochrypłym śmiechem.

– Nie myśl tyle o śmierci, głuptasku. Tak naprawdę wcale nie chcesz umierać. Chcesz tylko, żeby przestało boleć. Ale nikt ci nie pomoże, jeśli sama nie będziesz w stanie sobie pomóc.

Tłące się we mnie rozdrażnienie przechodzi we wściekłość. Nagle czuję przemożną chęć, żeby przewrócić ją na ziemię i skopać, zmiażdżyć jej twarz podeszwami ciężkich butów. Powstrzymuję się z trudem.

Odchodzę z przystanku, a kiedy decyduję się spojrzeć za siebie, Gerdy już nie ma.

\*\*\*

Wieczorem biję się z myślami, ale ostatecznie wygrywa zdrowy rozsądek. Nie będę jechać nocą na dworzec tylko dlatego, że stara kobieta powiedziała mi kilka dziwnych rzeczy. A może zdrzemnęłam się w autobusie i rozmowa z nią była tylko snem?

Mija dziesiąta, potem jedenasta. Wyjątkowo jestem w dostatecznie dobrym nastroju, żeby pouczyć się do kolokwium. Zwinięta w ubraniu pod kołdrą, czytam podręcznik chemii organicznej, a kiedy po dwóch rozdziałach ogarnia mnie senność, po prostu go odkładam, gaszę lampkę i zamykam oczy.

Śnię o górach. Lecę nad nimi na orlich skrzydłach, samotna i wolna.

I nagle wszystko rozmywa się jak obrazek namalowany akwarelami, na który ktoś rozlał wodę.

Budzę się i choć pokój w blasku ulicznej latarni wygląda znajomo, ogarnia mnie mdląca pewność, że coś jest nie tak. Siadam na łóżku, i wtedy dostrzegam błysk czerwonych ślepi. Zamieram. Drzwi szafy uchylają się wolno, a z wnętrza wyłania się zabandażowana kobieta.

– Chciałabyś się ode mnie uwolnić? – syczy. – Nigdy ci się to nie uda, idiotko. Mieszkam w tobie. Karmisz mnie, bo jesteś nieprzystosowana do świata. Nadwrażliwa. Niedojrzała. Za słaba, by umrzeć, za słaba, by żyć.

Zawiesza głos, oczekując reakcji – wściekłego krzyku, ciśnięcia książką, może płaczu. Nie tym razem. Za oknem trwa noc, a w głowie znów rozbrzmiewają mi słowa Gerdy. I nagle przebłyskuje myśl, że czasem najprostsze rozwiązania bywają najskuteczniejsze.

Zrywam się i zrzucam rzeczy z regału, na którym stoi to samo co na jawie. Podręczniki, książki, czasopisma, pamiętki z wyjazdów. Wyrzucam ciuchy z szafy – koszulki, bluzy, spodnie. Czarny kostium, w którym zdawałam maturę.

– Ależ czemu masz dalej żyć we mnie? Po prostu weź sobie to wszystko! Weź sobie moje życie!

Upiorzyca wybucha śmiechem i wiem, że udało mi się ją rozszyfrować – od początku na to właśnie liczyła. Dopada książek i ubrań, maca je łapczywie, owija się hinduską spódnicą jak peleryną. Rzuca się na łóżko, tarza się po nim, zrzucając pościel na podłogę.

– Głupia! – woła radośnie. – Głupia, głupia, głupia!

– Miłej egzystencji! – odkrzykuję z furją.

Otwieram okno, wdrapuję się na parapet. Patrzę w dół. Dziesięć pięter.

– Nie! – krzyczy zabandażowana kobieta, która dopiero teraz zorientowała się, co zamierzam. Rzucam się ku mnie, ale jestem szybsza. Skaczę i tym razem frunę jak ptak, nic nie ściąga mnie w dół.

\*\*\*

Lecę.

Miasto przesuwa się pode mną, czarno-fioletowo-pomarańczowe, szepczące odgłosami aut. Inne niż na jawie, ale rozpoznaję niektóre ulice i budynki.

Tym razem sen jest mi posłuszny, a ja wiem, dokąd chcę dotrzeć. I docieram tam. Na dworzec.

Jego bryła wznosi się w zupełnie innym miejscu niż na jawie, lecz nie sposób jej przeoczyć. Opadam lekko na parking, wchodzę po schodkach i przez otwarte drzwi do hali.

Smród osadza mnie w miejscu – tak gęsty i zawiesisty, że można go posądzić o posiadanie własnej osobowości. Odór Gerdy w porównaniu z nim stanowił jedynie nieśmiałą zapowiedź, *hors d'oeuvres*.

Hala dworca jest większa niż normalnie, oświetlona pełgającym czerwonym światłem, a po niej snują się... stwory. Jedne mają szczurze pyski, inne – świńskie ryje. Jeszcze inne przypominają toboły z brudnych szmat, z których tu i ówdzie wystaje łapa albo długi ogon.

Rozglądam się, trochę zaintrygowana, a trochę zaniepokojona. Dach hali zniknął, w niebo sterczą jedynie gołe metalowe żebra, a tam, gdzie powinny znajdować się kasy, jest koczowisko. Legowiska z łachmanów, piecyki sklecone z blachy. I więcej stworów. Niektóre przeżuwają ochłapy jedzenia, inne tylko gapią się na mnie tępym wzrokiem.

Typowe obrazy ze snu, lecz wszystko jest... zbyt rzeczywiste. Szczypię się w rękę. Boli. I nagle dopadają mnie wątpliwości – czy aby na pewno śnię? A jeśli tak, to czy się kiedyś obudzę? Może już Plac Litewski i rozmowa z Gerdą były snem? Może na jawie, dwa dni temu, odebrałam sobie życie i nie pamiętam tego?

Ktoś ciągnie mnie za rękaw. Garbus porośnięty futrem, w brudnej koszulce z Supermanem i czerwonej bejsbolówce. Wyciąga rękę, pokazując foliowy woreczek wypełniony szarawym proszkiem.

– Chcesz kupić odrobinę śmierci? A może nowe życie?

– Spadaj – cedzę, odsuwając go na bok, bo w kącie hali widzę znajomą postać.

Malarz siedzi na parapecie okna obok wyjścia na perony, sam jeden. Podchodzi.

– Dobry wieczór – mówię z braku lepszego pomysłu.

Unosi twarz, która nie jest twarzą bezdomnego. Przystojna na swój sposób, o ostrych rysach i czarnych, bezdennych oczach.

Już wiem, że Gerda mnie nie okłamała. Wiem, kogo mam przed sobą. Nawet jeśli nosi ubrudzone farbą džinsy, zakurzone głany i nie ma w sobie ani śladu dostojeństwa właściwego bóstwom oraz demonom. Wygląda po prostu jak znużony podróżnik, który przemierzył o jedną trasę za dużo.

– Świat czasem śpi, lecz koszmary nigdy – mówi. Na jawie mówił po polsku, tutaj po angielsku, z nieznacznym, lecz charakterystycznym akcentem. – Dlatego przyszedł na dworzec, prawda?

– Mam do ciebie sprawę. Tak jakby.

– Zanim cokolwiek powiesz, spójrz tutaj. – Wskazuje ogłoszenie przyklejone przezroczystą taśmą do szyby. – To tytułem ostrzeżenia. Lub reklamy, jeśli wolisz.

Patrzę na plakat, o ile to określenie jest odpowiednie. To po prostu kartka formatu A4, na niej kilka linijek tekstu i zdjęcie. Wydrukowane na zwykłej atramentowej drukarce, w jednym miejscu rozmyte przez wilgoć. Zdjęcie dziewczynki o długich jasnych włosach, najwyżej dwunastoletniej.

– Czyżby twoje dzieło?

Uśmiecha się. Jego zęby, które na jawie wydawały mi się normalne, tutaj są drobne i ostre. Ostre jak igły.

– Czy mówi ci coś data: dziesiąty lutego? Dawno temu w Rumunii prosty lud wierzył, że tego dnia Święty Piotr wzywa do siebie wilki i wyznacza każdemu, ilu ludzi oraz ile sztuk bydła wolno mu pożreć w ciągu następnego roku.

– Mam rozumieć, że jesteś wilkiem na boskim etacie?

– Jestem drapieżnikiem, ujmijmy to tak.

– I pochodzisz z Rumunii? Trochę banalne.

– Z Walii – poprawia. – Pamiętam czasy Celtów. W Rumunii, i owszem, spędziłem kilka lat.

Przemierzyłem wiele krajów.

Dotyka ozdoby na szyi. Ozdoba, którą na jawie wzięłam za hipisowskie koraliki, tutaj jest naszyjnikiem z ptasich kostek.

– Kto cię do mnie skierował? – pyta po chwili milczenia.

– Gerda. – Widzę po jego minie, że nic mu to nie mówi, więc dorzucam: – Stara kobieta, która mówi, że przeszła przez piekło, głęboką wodę i zapomniała swego prawdziwego imienia. Nie wiem, czy ją znasz.

– Nie znam. Ale to bez znaczenia, skoro tu trafiłaś. Czego chcesz?

– Żebyś odprawił dla mnie rytuał piasku.

– Tak? – Unosi brew z ironicznym niedowierzaniem. – A kimże jesteś, dziecko, by mnie o to prosić?

Czy masz list polecający od Ereszkigal? Hadesa? Sedny? Ile znasz imion bólu?

– Tylko jedno. – Wyciągam ku niemu rękę. – Proszę, możesz sprawdzić.

Malarz ujmuje mnie za nadgarstek i patrzy na skaleczenia po wewnętrznej stronie dłoni. Potem spogląda mi głęboko w oczy, a ja czuję dreszcz. Jego źrenice są jak okienka prowadzące tam, gdzie zatrzymał się czas, w ciemność pustyni, gdzie Lilith krzyczy ponad wydmami, omijanymi nawet przez sępy i węże.

Lekko dotyka mojej szyi.

– Chodź.

\*\*\*\*

Opuszczamy poczekalnię, zegnani obojętnymi spojrzeniami stworów, i rzeczywistość snu staje się nie do odróżnienia od tej prawdziwej.

Przechodzimy przez tory, skąpane w żółtym blasku sodówek, i oddalamy się od dworca, najpierw na przełaj, potem ścieżką przez zarośla. Księżyc skrył się za chmurami, lecz światła niedalekich domów i ulicznych latarni są na tyle jasne, że pozwalają mi widzieć, gdzie idę.

– Miasto dawno już zapomniało, co to znaczy porządna, prawdziwa noc – szepcze z krzywym uśmiechem Walińczyk, jakby czytał mi w myślach.

Hałdy żuźła, tłucznia czy co to tam jest, powoli zarastają chwastami. Jeśli dać jej dość czasu, przyroda oczyści i wchłonie wszystko. Przyjdzie czas, kiedy na ruinach blokowisk i centrów handlowych wyrosną pokrzywy, a później drzewa.

Schodzimy z ostatniej hałdy i zatrzymujemy się w zagajniku. Zarośla krzewią się bujnie po niedawnych deszczach. W powietrzu – zapach trawy, martwych liści, wilgotnej ziemi.

– Po co mnie tu przyprowadziłeś? – pytam.

– A jak sądzisz? Możesz to rozegrać na kilka sposobów. Wybierz.

Milczę. Kilkadziesiąt metrów dalej sodówki oświetlają pustą szosę, lecz my znajdujemy się pod

osłoną drzew i malarz jest tylko ciemnym zarysem w mroku. Nie widzę jego oczu, ale czuję, że patrzy wyczekująco i jakby z ironią, może spodziewając się, że spytam, o jakich sposobach mówi.

Nie doczeka się. Wiem wszystko, co muszę wiedzieć.

Wspinam się na palce i całuję go w szorstki od zarostu policzek. Nie boję się. To jak kolejny ruch w grze w szachy.

Widzę, że tego się nie spodziewał, ale śmieje się cicho i, jak przypuszczam, z aprobatą.

– W porządku – szepcze. – Skoro chcesz właśnie tak.

\*\*\*

Walijczyk unosi się na łokciu. Delikatnie dotyka skaleczeń na moich ramionach, udach, dłoniach i żebrach. Liczy je.

– Dziewięćdziesiąt sześć – mówi cicho. – Ładnie.

Potem kochamy się znowu, wolniej, lecz nie mniej zachłannie. Pasujący do siebie jak dwie krople. Dwa cienie stapiające się w jeden. Odpływam, ogrzana jego ciepłem, kołysana dokładnie tak, jak trzeba. Słyszę jego przyspieszony oddech, czuję zęby wpijające mi się w ramię w krótkim spazmie. Całujemy się, długie włosy malarza laskoczą mnie w policzek, a pod powiekami na moment zjawia się obraz miasta w feerii świateł, sylwestrowe fajerwerki nad ośnieżonymi ulicami. Nad Lublinem? Nad Cardiff?

Potem powracam tam, gdzie jest chłodna trawa, zapach butwiejącej ściółki i spokój podobny do spokoju kurhanów, obietnica wiecznego snu w mroku pod gałęziami, wśród wilgotnych liści i pajęczyn. Walijczyk gładzi mnie po twarzy, po czym odsuwa się.

– Zapłaciłaś.

I pożądanie opada ze mnie jak sen, jak suknia, której już nie potrzebuję. Mglisto przypominam sobie mit o Isztar zstępującej do podziemi, o dziewięciu bramach, przy których musiała zostawiać kolejne ozdoby i szaty.

Malarz ubiera się, ja również. Klęka naprzeciwko mnie.

– Spełnię twoją prośbę. Pochyl głowę.

Szarpie zębami swój nadgarstek. Z rany zaczyna się sypać czarny piasek, drobniutkie smoliste ziarenka. Wyciąga rękę, by mnie nimi obsypać.

– Oddaję płacz wiatrowi – szepcze – a kości zimnej ziemi. W imię Seta i Neftis, oddaję światło ciemnościom, a pustkę pustce.

Moje ciało przenika chłodny prąd. Mrugam. Księżyc wyłania się zza chmur, i tak jak się spodziewałam, teraz widzę nad głową malarza cień. Cień skrzydeł.

– Witaj po tej stronie lustra, siostrze.

Całuje mnie w czoło i zamyka mi powieki.

### 3.

Z grudniowego nieba prószy śnieg. Gołębie przechadzają się po peronie, dziobiąc frytki, które wysypały się z upuszczonego opakowania.

Ekspres ICE do Bazylei, podobny do długiej białej glisty, powoli wjeżdża na peron. Ludzie ustawiają się w kolejce do drzwi. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, choć powinnam się rzucać w oczy o tej porze roku, ubrana w cienką wojskową bluzę i bojówki. Jestem dla nich powietrzem, a oni dla mnie.

Odczekuję na swoją kolej, wsiadam. Chwilę później pociąg rusza. Z twarzą przy szybie patrzę, jak peron umyka wstecz, najpierw powoli, potem coraz szybciej.

Jedziemy.



Jestem martwa i wolna, jak gołębie pióra rzucone na wiatr. Mam głowę pełną muzyki, pomysłów, twarzy.

W plecaku – blok sztywnego papieru i opakowanie tłustych pasteli. Obrazy pełne cierpienia, zgnilizny i krwi czekają, by je namalować.

Zostawiamy miasto za sobą. Pociąg przyspiesza. Zza chmur wyłania się blade słońce. Za oknem przesuwa się zimowy krajobraz Odenwaldu – zalesione wzgórza, miasteczka z wieżami kościołów.

Ktoś dotyka mojego ramienia. Pracownik Deutsche Bahn w granatowym mundurze i czerwonej czapce.

– *Fahrschein, bitte.*

Podaję mu suchy liść, który znalazłam na peronie. Konduktor stempluje go i odchodzi.

Jestem martwa. Nareszcie znów potrafię się uśmiechać.

# Strzyga Maszka

Dla Michała i Dorotki Nieznaj

## Prolog

Czy słyszeliście kiedyś o Mirażu? Pewnie nie.

Można tam łatwo trafić. Jak?

Znajdź kogoś nieszczęśliwego i popatrz mu głęboko w oczy, a gdy na ich dnie ujrzysz iskierkę, podążaj za nią przez ciemny tunel. Wyłoniwszy się po drugiej stronie, ujrzysz dziwnie rozmyty, szary świat. Jedynie tu i ówdzie, jak bożonarodzeniowe wystawy, będą się jarzyć pełne kolorów kule, wypełnione obrazami.

To właśnie jest Miraż. Podszewka rzeczywistości. Wypączkował z krainy snów, ale jej mieszkańcy, jeśli w ogóle wspominają o tym miejscu, czynią to niechętnie, ze wzruszeniem ramion.

Sny wykwitają z nieświadomości, kapryśne i wolne. Miraż kształtowany jest przez życzenia, pragnienia, tęsknotę. W świecie snów możesz znaleźć wszystko. Kamienicę zamieszkaną przez borsuki handlujące porcelaną, która jednocześnie jest statkiem płynącym w próżni, a tak naprawdę wielorybem. Możesz latać na poszewce od poduszki i szarżować na piekielne zastępy na czele armii złożonej z pegazów i orków-albinosów. Zaczynasz czytać książkę i w chwilę później już uczestniczysz w rozgrywających się tam wydarzeniach, jesteś jednocześnie młodym bohaterem i złym władcą, który po opryskaniu czarodziejską wodą przemienia się w nietoperza, a potem w szmaragdową spinkę, którą królowa chowa do kieszeni.

Sny wyrastają ze snów, przechodzą w siebie, tworzą amfilady i labirynty. Miraż, przeciwnie, jest uporządkowany i przewidywalny. Przypomina lustrzane odbicie materialnego świata. Dopiero po chwili orientujesz się, że odbicie to jest raczej uproszczonym szkicem – ulice urywają się nagle w próżni, mijani ludzie nie mają rysów. Tylko poszczególne marzenia, poszczególne spełnione sny, jarzą się w tym labiryncie cieni i zarysów jak kolorowe lampiony.

Oto dwunastolatek, który na jawie ma nadwagę i grube okulary, a tutaj jest najsilniejszy i najodważniejszy z całej podwórkowej bandy. Oto z białego mercedesa wysiada kobieta – w rzeczywistości otyła singielka, która wieczorami ogląda seriale, zając lody prosto z pojemnika. Tutaj jest szczupła i powabna. Towarzyszą jej zamożny, czuły i oddany mąż oraz troje ślicznych dzieci.

Tu czeka to, co na jawie wydaje się nieznośnie odległe lub zgoła nieosiągalne – bogactwo, sukcesy, szczęśliwa miłość. Tu można uciec. W mało cywilizowanych krajach – od biedy, głodu i bicia. W cywilizowanych – od szkoły, rodziców, problemów ze studiami, pieniędzmi, związkami, wagą; od nieudanego małżeństwa, nudnej pracy i braku perspektyw. Pragnąc czegoś wystarczająco dłużej i wystarczająco mocno, budzisz do życia nową iluzję w Mirażu.

Żeby było zabawniej, każdy tworzy miraż na swoją miarę. Znałem kiedyś mongolskiego bezdomnego chłopca, nazywał się Dolgion. Mieszkał w kanałach w Ułan Bator, zbierał butelki i puszki, żywił się tym, co znalazł w śmieciach. Marzył, że gdy dorośnie, zostanie właścicielem – tak, zgadliście – punktu skupu butelek i puszek.

Nieśmiertelni, tacy jak ja, prawie nigdy tu nie bywają. Nie ma po co – zaświaty obfitują w ciekawsze miejsca. Poza tym widok tyłu twarzy śmiejących się do pustki obleczonej w kuszące kształty, tyłu wizji

krzepiących złudnie jak woda z cukrem, wywołuje w nas smutek i pewnego rodzaju zażenowanie.

Lecz na Ziemi miliony ludzi nie podzielają naszego zdania. Rok po roku osładzają sobie drobne i większe porażki, myśląc o tym, że „pewnego dnia...”. Marzą o willi nad morzem, o wygranej w totka, o księciu, który przyjedzie na białym koniu.

Większość z nich nie zdaje sobie sprawy, że Miraż to nie tylko astralny odpowiednik puchowej kołdry; bezpieczna przystań, widmowe kino, gdzie można się odprężyć i nabrać sił przed kolejnym dniem. Żyją tam istoty, które karmią się pragnieniami.

## 1.

Domy z ogrodem, tropikalne plaże i piękne młode ciała. Ponad połowa mikroświatów w Mirażu zawiera jakąś wariację na temat tych trzech elementów. Widmowi ludzie – bo wszak są tutaj ledwie duchami samych siebie, portretami nakreślonymi za pomocą paru kresek – rozkoszują się słońcem i miłością.

Nie wiedzą, że tuż poza granicą ich świadomości, tuż za cienką zasłoną złudzenia, węższy cień. Smolisty, bezkształtny stwór pełnie pomiędzy bańkami, szukając tej właściwej.

Znajduje.

Schludna kuchnia przywodzi na myśl amerykańskie reklamy z lat pięćdziesiątych, opiewające zalety zup Campbella, płynu do mycia naczyń czy odkurzaczy. Mężczyzna patrzy z zadowoleniem na jasne główki dzieci, a uśmiechnięta żona sprząta ze stołu.

Wystarczy dmuchnięcie i bańka pryska, iluzja rozwiewa się. Mężczyzna odwraca się, jego usta tworzą zaskoczony O.

Cień, który zna całą prawdę – bezdzietne, nieudane małżeństwo, codzienne użeranie się w szkole z cudzymi rozpuszczonymi bachorami – śmieje się do niego.

*Samotny człowieczku, chciałbyś mieć towarzystwo? Prawdziwą rodzinę? Która będzie cię cenić i szanować tak, jak na to zasługujesz?*

*Możemy ci ofiarować coś lepszego niż złudzenia. Wystarczy, że troszkę nam pomożesz.*

To jest sen, a we śnie wszystko – lub prawie wszystko – jest możliwe. Dlatego mężczyzna nie namyśla się długo. Wyciąga ręce do cienia.

*Chcę.*

\*\*\*

Zachmurzone niebo szybko ciemniało. Szosa o tej porze była prawie pusta. Trzymając jedną ręką na kierownicy, Jacek nadgarstkiem drugiej przetarł oczy. Kolejna kawa przestawała działać.

Przednią szybę upstrzyły krople deszczu. Włączył wycieraczki i przyspieszył, wyprzedzając jakiś wlokący się, zapóźniony traktor.

– Tataa, daleko jeszcze? – spytała Julka po raz trzeci czy czwarty, wyjąwszy z uszu słuchawki discmana.

– Młoda, o co cię prosiłem? Daleko.

– Ale ja chcę wiedzieć...

– Patrz za okno i czytaj, co będzie na następnym drogowskim.

Komórka zapiszczała mu w kieszeni. Pewnie esemes od Doroty z pytaniem, kiedy dotrą. Jacek po raz kolejny przeklął swój pomysł, żeby osobiście pojechać po córkę na drugi koniec Polski, zamiast pozwolić, żeby z obozu przywiozła ją matka innej uczestniczki. W pracy akurat teraz nawarstwiły mu się obowiązki, kilka rzeczy musiał pilnie skończyć przed planowanym urlopem. Jak zwykle w takich sytuacjach okazało się, że na wszystko potrzebuje więcej czasu, niż teoretycznie wyliczył. W efekcie

wyjechał w trasę, mając za sobą wyjątkowo ciężki tydzień. Poprzedniej nocy spał pięć godzin – sądził, że to wystarczy. Niestety, jego organizm był innego zdania.

Minęli drogowskaz. Od Lublina dzieliło ich jeszcze ponad sześćdziesiąt kilometrów.

Deszcz przerodził się w ulewę. Wycieraczki miarowo czyściły szybę. Jacek tęsknie pomyślał o kolacji oraz wygodnym łóżku.

Dodał gazu. Pola umykały do tyłu – pozbawiona szczegółów płaszczyzna mroku.

I nagle na szosie, która sekundę wcześniej była pusta, wyrosła czarna ludzka sylwetka. Jacek odruchowo, gwałtownie zakręcił kierownicą w lewo. Usłyszał mrozący krew w żyłach zgrzyt kół o żwir, a potem poczuł, że wóz traci kontakt z podłożem.

W uszy wdarł mu się krzyk Julki. Ale było za późno, żeby cokolwiek zrobić. Samochód spadł ze skarpy na pole, dachując z hukiem i zgrzytem metalu.

\*\*\*\*

Autobus ociężale sunął pod górę pustawą o tej porze dwupasmówką. Poświata sodówek odbijała się w mokrym asfalcie. Wyświetlacz z przodu pojazdu pokazywał dwudziestą drugą.

Karolina dopiła resztkę wody mineralnej, po czym schowała butelkę do plecaka i zapatrzyła się w szybę, po której spływały krople deszczu. Jej myśli krążyły pomiędzy aerobikiem, z którego właśnie wracała, a stacją, gdzie na biurku czekały materiały do zbliżającego się egzaminu z immunologii, już ostatniego w sesji. Zje na kolację płatki z jogurtem, zadzwoni odmeldować się starym, a później albo weźmie się za czytanie notatek, albo od razu pójdzie spać. Była zmęczona i bolała ją głowa po godzinie ćwiczenia na dużej sali.

Autobus zahamował. Karolina przetała szybę, żeby sprawdzić, który to przystanek i zerwała się na równe nogi, w ostatniej chwili przypominając sobie o reklamówce z dressem i tenisówkami.

Poza nią nie wysiadł nikt. Mżył deszcz, więc rozłożyła parasol. Szła prędko, ze spuszczoną głową. Raz obejrzała się przez ramię, bo wydało się jej, że słyszy kroki, ale wokół było pusto.

Sto metrów dalej domy kończyły się, a chodnik urywał. Na odcinku, gdzie po obu stronach jezdni czerniały zarośla, Karolina przyspieszyła kroku. Nie miała zaufania do tej okolicy, latem poszłaby okrężną, ale bezpieczniejszą drogą przez osiedle. W ciepłe wieczory pod osłoną krzaków lubili przesiadywać okoliczni żule. Teraz naokoło nie było żywej duszy, ale i tak odetchnęła, widząc za drzewami światła swojego bloku.

Gdy podchodziła już do klatki, sięgnęła do kieszeni w poszukiwaniu kluczy. Nie znalazła ich, więc zaczęła szperać w plecaku.

Nagle zdała sobie sprawę, że zrobiło się dziwnie cicho. Wiatr przestał szeleścić w liściach, od strony dwupasmówki nie dobiegały odgłosy aut.

Najbliższa latarnia zaczęła migotać i przygasła do słabiotkiej czerwieni. W ślad za nią – kolejna. Dopiero teraz dziewczyna naprawdę zaczęła się bać.

Latarnie wokół parkingu gasły jedna za drugą, tak że cała przestrzeń przed blokiem pograżyła się w ciemnościach. Karolina, nadal gorączkowo szukająca w plecaku kluczy, nagle poczuła na twarzy chłodny podmuch. Kątem oka uchwyciła poruszenie i zamarła.

Coś pełzło, wpełzało z krzaków – gęstszy kłęb mroku, który wił się i przelewał. Jej racjonalny umysł nie chciał przyjąć do wiadomości, że naprawdę widzi to, co widzi. Dlatego nie próbowała uciekać, gdy cień wyciągnął ku niej macki.

Poczuła przeszywający ból w skroni i świat zgasł. Osunęła się na mokry asfalt.

Mroczny kształt rozplątał się, wsiąkł w ciemność. Latarnie znowu zaświeciły z normalną intensywnością. O tym, co się wydarzyło, przypominała tylko sylwetka skulona przy wejściu do klatki.

W jakiś czas później ciszę na osiedlu rozdarł sygnał karetki.

\*\*\*

Dochodziła trzecia w nocy. Czechów spał.

W bloku przy ulicy Skołuby, w kuchni o świeżo odmalowanych, radośnie pomarańczowych ścianach, radio cicho grało piosenkę Pearl Jam.

Iza zamieszała w garnku i zdjęła go z kuchenki, a na gazie postawiła czajnik. Jej ciężowy apetyt idealnie wpisywał się w stereotyp rodem z anegdot. Hitem szóstego miesiąca były płatki kukurydziane rozrobione z wrzątkiem na maź, z dodatkiem żółtego sera. Jako przekąska nocna.

Zbyszek na pewno marudziłby, że nie powinna jeść po dwudziestej, chodzić spać po północy, a żółty ser jest tłusty, zawiera mnóstwo cholesterolu i ileś tam kalorii na plasterek. Na szczęście już z panem Jawiemlepiej nie mieszkała i mogła gwizdać na jego opinię.

W pierwszym tygodniu po tym, jak się wyprowadził, z satysfakcją pozbyła się niepasujących do niczego czerwonych foteli, które swego czasu kupił okazjnie i nie uznał za stosowne ich ze sobą zabrać, a sakramencko niewygodne szpilki, które dodała do swojej garderoby ze względu na niego, spakowała do reklamówki i wrzuciła do kontenera PCK. Potem z pomocą kumpli przemałowała kuchnię na kolor, który jej byłego niechybnie doprowadziłby do apopleksji. Wciąż jeszcze rozkoszowała się tym, że znowu może bałaganić w swoim własnym mieszkaniu, nie układać rano włosów na lokówce, nosić gotycką biżuterię, glany (Zbyszek mawiał, że to buty w sam raz do obory) i spotykać się z ludźmi, których on nie lubił.

Rozstali się krótko po tym, jak test ciężowy wypadł pozytywnie, ale jak dotąd była tylko coraz bardziej wdzięczna losowi, że tak się to skończyło.

Utwór dobiegł końca i prowadzący audycję zaczął opowiadać, skąd wzięła się nazwa grupy. Iza słuchała go jednym uchem. Dziecko zawierciło się delikatnie. Nocny marek, jak mamusia.

Nadtopiony ser gouda przyjemnie się ciągnął. Woda w czajniku zaczęła szumieć. Nagle Iza zamarła z łyżką w połowie drogi do ust.

Z kuchenki wylewał się mrok, jak kipiąca smoła. Rozpływał się powoli po podłodze i wpełzał po ścianie do góry – dosięgł już szafek. Uszczypnęła się w rękę, ale nie, to nie był sen.

W następnej sekundzie poczuła dławienie w gardle i ból w skroni. Pociemniało jej przed oczami. Ostatnią rzeczą, którą zarejestrowały jej zmysły, był zapach gazu.

Chwilę później blokiem wstrząsnęła eksplozja. Posypały się szyby, w autach na parkingu zawyły alarmy, a na siódmym piętrze zamigotał ogień.

\*\*\*

Fosforyzujące cyferki budzika wskazywały wpół do czwartej.

W zamku zgrzytnął klucz, drzwi otworzyły się i zamknęły. Kobieta śpiąca na małżeńskim łóżu nie poruszyła się. Zażyła na noc wszystkie przepisane leki, w tym środek nasenny. Nie obudziły jej ostrożne kroki w przedpokoju, szelest zdejmowanego ubrania ani szept prysznic.

Mężczyzna w staroświeckiej pasiastej piżamie cicho wszedł do sypialni. Zanim się położył, starannie zasunął żaluzje.

2.

Strzyga Maszka dość mgliście pamiętała czasy sprzed swojej śmierci.

Maria Aleksandrowna Grinkowa przyszła na świat w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym w Lublinie, w kamienicy przy Rynku. Zmarła na dyfteryt, mając jedenaście lat.

Od tamtej pory jej domem pozostawał cmentarz leżący obecnie przy ulicy Lipowej.

Bywało, że z nudów podpływała do ogrodzenia i obserwowała zewnętrzny świat. Niewidzialna bariera powstrzymywała ją od powędrowania dalej. Masza melancholijnie przyjmowała do wiadomości zmiany, jakie zaszły w otaczającym świecie na przestrzeni prawie półtora wieku. Że cmentarz, który kiedyś leżał poza miastem, uległ wchłonięciu w jego obręb. Że kobiety już nie noszą kapeluszy i powłóczystych sukien, latarnie na ulicach nie są gazowe, lecz elektryczne, bruk został zastąpiony asfaltem, a miejsce turkoczących powozów i dorożek zajęły samochody i trolejbusy.

Niejasno przypominała sobie czasy wojenne – dolatujące z daleka wystrzały, huk bombardowań. Nie umiałyby powiedzieć, ile tych wojen było i ile lat minęło od tamtej pory.

Widziała, jak z roku na rok drzewa otaczające jej kryjówkę rosną, grubieją im pnie, a groby w prawosławnej części cmentarza porastają mchem, niszczeją i zapadają się w ziemię, aż po niektórych zostają jedynie porośnięte trawą wzgórki. Lecz wszystko to w niewielkim stopniu wpływało na pozagrobową egzystencję rosyjskiej dziewczynki, najmłodszej córki carskiego urzędnika, która miała pecha urodzić się z dwiema duszami.

Teraz był grudzień i zapadał zmrok. Śnieg sypał bezszelestnie, odrealniając znajome kształty nagrobków i drzew.

Wyłoniwszy się spod ziemi, Masza jak zawsze rozejrzała się z nadzieją. Kiedy ocknęła się po raz pierwszy po śmierci, na jej grobie siedział anioł ubrany w haftowane złotem szaty jak z ikony. Odczytał jej wyrok zapisany na pergaminowym zwoju, sformułowany tak zawile, że Masza zrozumiała zeń piątą przez dziesiątą. Przestraszona zaczęła płakać, a anioł, nim odleciał, zapewnił, że pewnego dnia wróci po nią. Czekala więc, lecz jak dotąd na próżno.

Przez prawie półtora wieku nauczyła się nie smucić tym, na co nie miała żadnego wpływu. Poszybowała w kierunku głównej części cmentarza, gdzie między drzewami migotały płomyki zniczy. Była głodna.

Od niechcienia czytała nazwiska na mijanych nagrobkach. Już od wielu lat nie były pisane cyrylicą, ale ona знаła alfabet łaciński, zdążyła się nauczyć.

*Lekcje francuskiego z madame Mignon-Borkowską, siwowłosą, zawsze uśmiechniętą, w grubych binoklach. Karmelki od ojca w nagrodę za pierwszy dobry stopień.*

Przywłaszczyła sobie leżący na jednym z grobów bukiet białych chryzantem, otrzepawszy go ze śniegu. Po namyśle skusiła się również na wiązankę żółtych kwiatków wyglądających jak miniaturowe gerbery.

Smakowały gorzkawo, ale i tak były lepsze niż róże. Nie lubiła róż.

Usiadłszy na ławeczce pod tują, obrywała na przemian to białe, to żółte płatki i wsuwała do ust, zastanawiając się, co zrobić z szeroką złotą wstążką od bukietu chryzantem. Można byłoby ją wpleść we włosy, ale po co, kiedy i tak nikt żywy nie może cię zobaczyć – nikt za wyjątkiem śmiesznego pana Gienka w okularach sklejonych taśmą, który czasem przechadza się alejkami, kłaniając się rzeźbom i rozmawiając z powietrzem. Więc może lepiej zawiązać wstążkę na którymś z żelaznych krzyży albo wokół nadgarstka kamiennego anioła, i zgadywać, kto ją stamtąd ściągnie – starsza pani w berecie czy jakieś dziecko?

Powiał wiatr, strącając śnieg z gałęzi, i nagle na nagrobku obok zmaterializowała się sylwetka. Kobieta o długich, zwichrzonych jasnych włosach.

– Zdrastwujcie – powiedziała nieśmiało Maszka. Starła się nawiązywać rozmowy ze zmarłymi, jeśli wyglądali choć trochę sympatycznie. Chociaż mówiła po rosyjsku, zawsze ją rozumieli; ona także rozumiała ich język lepiej niż za życia. Widać tak już to działało w zaświatach.

– Dobry wieczór – odpowiedziała obojętnie kobieta.

Miała na sobie ciemny kostium i kremową bluzkę z lejącego się materiału, do której przypięta była spora broszka w kształcie kwiatu. Jego płatki zostały sporządzone częściowo ze srebrnego drutu, a częściowo z powyginanych kawałków opalizującego szkliwa.

– Ładną ma pani broszkę.

– Dziękuję. – Nieznajoma uśmiechnęła się blado. – Sama ją zrobiłam, wiesz? Wyrabiałam biżuterię artystyczną.

– Mój wujek był jubilerem – odezwała się Masza w nadziei na podtrzymanie rozmowy, ale kobieta jakby jej nie usłyszała. W zamyśleniu obróciła ozdobę w palcach.

– Zabawne... Jak się zastanowić, to przecież duch broszki. Ta prawdziwa została pod ziemią... razem ze mną.

– To pani grób?

– Obawiam się, że tak.

Dziewczynka przyjrzała się napisowi na płycie. Jasne litery na grafitowym lastryko głosiły: „Eliza Pełka. 15.II.1976 – 25.X.2010. Cześć Jej pamięci”.

Na myśl, że o niej też kiedyś napisano podobnie, ale bukwę dawno się zatarły, a kamień popękał i zarósł chwastami, Masza zmarkotniała. Żeby się nad tym nie zastanawiać, wyciągnęła w stronę kobiety trzy chryzantemy, które jej jeszcze zostały.

– Chce pani kwiatka? Są świeże.

– Nie, dziękuję.

Wzruszywszy ramionami, strzyga podjęła przerwana konsumpcję. Milczały dłuższy czas. W końcu dziewczynka nie wytrzymała.

– Czekają pani na czarny dylizans?

– Co takiego?

– Dziś ma przyjechać czarny dylizans. Pojawia się w każdy piątek. Zabiera dusze... tam.

– Tam, to znaczy dokąd?

– No, na Dół.

– Do piekła?

Masza przytaknęła, wsuwając do ust łyżkę gipsówki.

– Może czekam. Nie wiem. – Eliza potarła czoło. – Dziwnie mi... Czuję się tak, jakby to świat był z mgły, a nie ja. – Uniosła rękę i powoli zatoczyła nią krąg. Jej dłoń przeniknęła przez gałązki tui, płytę nagrobną i znicze. Płomyk jednej ze świeczek zamigotał i zgasł. – Myślisz, że kiedy dylizans przyjedzie, będą wiedzieli, czy mam z nimi jechać?

– Woźnica będzie wiedział – odparła z przekonaniem Masza.

– Do piekła, co? – Kącik ust kobiety drgnął w gorzkim uśmiechu. Strzyga postanowiła jej dodać otuchy.

– Niech się pani nie boi. Tam wcale nie jest tak źle.

– Skąd wiesz?

– Woźnica mówił mi, że tata tam jest. Pracuje w biurze, tak jak na ziemi.

Eliza nie odpowiedziała. Nieobecny wzrokiem patrzyła na padający śnieg.

Maszka zdążyła zjeść wszystkie kwiaty, kiedy z wiatrem przypłynął słabiutki odgłos dzwonek. Obie drgnęły.

– Dylizans – szepnęła strzyga w odpowiedzi na pytanie, którego nowa znajoma nie zadała.

Dzwonienie przybliżało się, choć pojazdu nadal nie było widać. I nagle, jakby wyłaniając się z innego wymiaru, w powietrzu zmaterializowały się najpierw cztery kare konie, potem ciągnięty przez nie wehikuł. Zwierzęta parskały i potrzasały łbami, z ich pysków buchała para. Woźnica, szczelnie otulony

peleryną, uchylił cylindra, po czym sprawdził coś na karteczce.

– Pani Eliza Pełka, lat trzydzieści cztery, z wykształcenia plastik? Prosimy do pojazdu. Z tyłu jest dla pani wolne miejsce.

Przeniósł wzrok na dziewczynkę, która patrzyła na niego wyczekująco.

– Maszeńka, mam coś dla ciebie. Twój tata kazał ci przekazać. Karmelki z Zoth Tenebra, z cukierni „Czarna Ręka”. – Wyjął spod peleryny ozdobione złoceniami pudełko i podał je strydzde.

– Dziękuję panu! – Masza dygnęła. Uśmiech, który rozjaśnił jej buzię, sprawił, że przez chwilę wyglądała prawie jak żywe dziecko.

Zanim Eliza wsiadła do dylizansu, odpięła broszkę i wręczyła dziewczynce.

– Trzymaj. Myślę, że nie będzie mi już potrzebna.

\*\*\*

Kilka dni po tym spotkaniu Masza zawędrowała o zmierzchu aż pod bramę cmentarną od strony ulicy Białej, ot tak, żeby zabić czas. Po drodze jak zwykle zabawiała się, przestawiając palące się znicze z zadbanych, omiecionych ze śniegu nagrobków na te, którymi nikt od dawna się nie zajmował. Ukłoniła się grzecznie dwóm widmowym żołnierzom, którzy grzali dłonie nad świeczkami płonącymi na grobie Józefa Czechowicza, ale nie zwrócili na nią uwagi. Na skrzyżowaniu alejek dmuchnęła we włosy paniusi w kraciastym palcie i roześmiała się, kiedy ta, czując lodowaty powiew, podskoczyła jak oparzona.

Pod budynkiem stojącym obok bramy palił papierosa stróż. Pomachał Maszce, a ona jemu. Mieszkał przy cmentarzu od tylu lat, że nauczył się dostrzegać rzeczy, których zwykli ludzie nie umieli zobaczyć, więc nie dziwiła go mglista zjawa w sukience do pół łydki, z falbankami i kokardą, oraz w bucikach zapinanych na guziki. Masza posmutniała, widząc, że staruszek wspiera się na kuli, której nie miał, kiedy ostatnio się widzieli.

Kiedy wracała, wieczór przeszedł już w noc i alejki były puste. Znow zaczął prószyć śnieg. Nagle strzyga zamarła, widząc między drzewami światełko. Przetarła oczy, ale nie, wzrok jej nie mylił. Ktoś właśnie zapalił znicz, aby go ustawić... na jej grobie, czy raczej na ledwie widocznym wzgórku, jaki zeń pozostał.

Dziewczynka zbliżyła się, targana nadzieją i lękiem. Już z daleka czuła instynktownie, że to nie zwykły śmiertelnik, ale ktoś Stamtąd. Z tamtej strony. Z Góry... albo może...

Nieznajomy uśmiechnął się na jej widok.

– Jesteś Masza Aleksandrowna Grinkowa?

Potwierdziła, bo bała się skłamać. Przyjrzała się przybyszowi z ciekawością.

Był młodszy od jej ojca, szczupły, o śniadej cerze i czarnych, związanych z tyłu włosach. Ubrany dziwnie, prawie jak ołowiany żołnierz, w fioletowy mundur z ozdobnie szamerowaną kurtką i lśniące oficerki. Z ramienia zwisała mu czarna peleryna z czerwonym podszyciem.

– Nazywam się Tanatos. Ale tobie pewnie nic to nie powie.

– Nie – przyznała, choć wydało jej się mgliście, że skądś zna to imię.

– Niebo ma do ciebie sprawę, Maszko. Zdaje się, że możemy potrzebować twojej pomocy.

– Mojej? – zdziwiła się dziewczynka. – Ale...

– Zaraz ci wszystko wyjaśnimy. Kolega z Dołu czeka tuż za bramą. Nie wolno mu wkraczać na poświęconą ziemię.

– Ale... – powtórzyła Masza i spłonęła rumieńcem, gdy dotarło do niej, że głupio się jąka. – To nie jest podstęp, prawda? To znaczy...

Kilka razy udało jej się pogawędzić z woźnicą czarnego dylizansu, kiedy czekał na spóźniające się dusze. Opowiadał, że Niebo czasami poddaje zmarłych próbom, gdy nie ma pewności, na jaki wyrok



zasłużyli. Teraz ogarnął ją niepokój na myśl, że być może właśnie jest – lub zaraz będzie – sprawdzana. Może na przykład nie wolno jej rozmawiać ze sługą Dołu?

– Gdyby to był podstęp, raczej nie potwierdziłbym, prawda? – Tanatos patrzył na nią z uśmiechem, ale sympatycznym, bez śladu pobłażliwej wyższości, jakiej za życia okropnie nie lubiła u dorosłych. – Wiesz, możesz mi zaufać albo nie. Tak to już jest w zaświatach.

Masza po namyśle doszła do wniosku, że i tak ma niewiele do stracenia. Nagle o czymś sobie przypomniała.

– Ale przecież ja nie mogę opuścić cmentarza.

Wyszeptał kilka słów, chyba łacińskich, i dotknął jej czoła.

– Teraz już będziesz mogła.

\*\*\*

Wyszli przez bramę. Pan Gienek, niemrawo grzebiący w kontenerze, do którego trafiały wypalone znicze i zeschnięte wiązanki, odprowadził ich zdumionym wzrokiem i przeżegnał się ukradkiem.

Pod wiatą przystanku przy Lipowej siedział rudowłosy młodzieniec w czarnym skórzanym płaszczu i jadł kebab.

– To ona? – spytał, przełknąwszy. – *Pest*, ale przecież to dzieciak! Czy Bernarditę już do reszty pogięło?

Masza wzdrygnęła się, widząc, że w głębi jego oczu tlą się czerwone punkciki.

– Ten miły demon to Samir von Katzenkrallen, agent specjalny w służbie wielkiego Dajjala – powiedział Tanatos. – Samirze, poznaj Maszę.

– Nie poznaj Maszę, tylko Bernardita zakpiła sobie z nas – warknął rudzielec. – Przysięgam, że wrócę tam i wypruję jej flaki.

– Poczekaj. – Tanatos zmarszczył brwi. – Dziecko, które nie żyje. Które nie trafiło ani do Szeolu, ani do Nieba... To może mieć znaczenie.

– Myślisz...?

Dziewczynka patrzyła na nich z otwartymi ustami, czekając na wyjaśnienia.

Na przystanku, rozchlapując rozmokły śnieg, zatrzymał się trolejbus. Wsiadła zeń kobieta w kraciastym płaszczu i czerwonym filcowym kapelusiku. Rzuciła podejrzliwe spojrzenie na Samira – najwyraźniej nie był dla niej niewidzialny – i zbliżyła się do tablicy z rozkładem jazdy. Po drodze przeszła wprost przez Maszę, nie widząc jej. Strzyga wzdrygnęła się, bo uczucie było dość niemiłe.

– Chodźmy może gdzieś, gdzie jest spokojniej – zaproponował Tanatos. – Wyjaśnienie jej wszystkiego zajmie trochę czasu.

– Dobra, skoro się upierasz, żeby ją wtajemniczyć, niech będzie. Na twoją odpowiedzialność, Greku. Samir chciał wsunąć do ust resztkę kebaba, ale rozleciała mu się w rękę.

– Niech to Niebo! – zaklął, patrząc na umazane sosem palce. Masza sięgnęła do kieszeni.

– Chce pan chusteczkę?

### 3.

Siedzieli na ławce w Parku Saskim, o tej porze pustym i cichym. Śnieg sypał coraz gęściej, odgłosy aut słychać było już tylko z rzadka.

Strzyga rozglądała się, zachwycona. Po dziesięcioleciach spędzonych na cmentarzu świat wydawał jej się pełen dziwów i ciekawostek, jak choćby plakat z gołymi pośladkami, przyklejony do słupa latarni.

Nieopodal ktoś zaryczał pijackim basem, ktoś inny zarechotał. Dwie sylwetki wyłoniły się zza

krzaków i chwiejnie skierowały się w stronę wyjścia z parku. Samir zastrzygł uchem – spiczastym, jak dopiero teraz zauważyła Masza – potem wzruszył ramionami.

– Dobra, posłuchaj, mała. Tylko uważnie, żebym nie musiał powtarzać. Sprawa ma się tak, że pewien bezczelny typ z tego miasta podkrada nam dusze.

– Ściślej rzecz ujmując, nie mamy pewności, że to właśnie on – wtrącił Tanatos. Samir posłał mu nieprzyjazne spojrzenie.

– Nie przerywaj z łaski swojej, kiedy mówię. Mamy cztery tajemnicze przypadki, kiedy to umarli, którzy powinni trafić w zaświaty jak Góra przykazała, zamiast tego zniknęli nam z radaru. Dwie śmierci, w zasadzie nawet trzy, do których doszło w samym Lublinie, i dwie kolejne niezbyt daleko od miasta. Karolina Trzeszcz zmarła, kiedy pękł jej tętniak mózgu, który wcześniej nie dawał objawów. Izabela Marciniak zginęła wskutek wybuchu gazu wraz ze swym nienarodzonym dzieckiem. Jacek Waśkiewicz i jego córka Julia ponieśli śmierć w wypadku samochodowym kilkadziesiąt kilometrów stąd. Ich dusz nie ma ani na Górze, ani na Dole, ani w świecie snów. Amba fatima, było i ni ma. Minęło trochę czasu, zanim się zorientowaliśmy, że te sprawy są ze sobą powiązane. Zanim odrębne wydziały dogadały się między sobą... Rozpoczęliśmy śledztwo, zaczęliśmy się dyskretnie rozpytywać wśród nieśmiertelnych i wśród dusz. Od początku koncentrowaliśmy się na Lublinie, bo tym, co łączy wszystkich zaginionych, jest ewidentnie miejsce śmierci. Zresztą właśnie dlatego przydzielono mnie do tej sprawy. Jako jedyny z wydziału byłem tutaj, i to w zeszłym roku, w związku z inną historią... ale mniejsza z tym. Dość szybko otrzymaliśmy anonimowy donos i poszliśmy tym tropem.

– Ślad wydaje się prowadzić do pewnego człowieka w tym mieście – uzupełnił Tanatos. – Chociaż, zaznaczam, możemy się mylić.

Samir znowu popatrzył na niego krzywo.

– A co ja mam wspólnego z tym wszystkim? – zapytała szybko strzyga.

Grek wyglądał na zakłopotanego.

– No cóż, ujmijmy to tak. W Zoth Tenebra żyje wróżbitka, której przepowiednie mają to do siebie, że lubią się sprawdzać.

– Potwierdziła, że człowiek, na którego dostaliśmy donos, ma coś wspólnego z tą chryją, a oprócz tego poradziła Tanatosowi, żeby znalazł ciebie – odpowiedział niechętnie Samir. – Czemu, jeden Dajjal wie. – Spojrzał z wyrzutem na towarzysza. – No co? Do stu ghuli, ile ona ma lat? Dziesięć?

– Jedenaście – sprostowała z lekką urazą Masza. Rudy demon prychnął.

– Jedenaście! Co potrafisz, mała? Nawet mi nie mów, przecież gołym okiem widać. Znasz trochę francuskiego, trochę kaligrafii, uczono cię szyć, szydełkować i grać na pianinie. Słowo daję, Bernardita...

– Spróbujemy – powiedział spokojnie Tanatos. – Nie mamy w końcu wiele do stracenia, prawda? To znaczy – popatrzył na Maszę – zakładając, że zgodzisz się nam pomóc.

– A... – Dziewczynka zająknęła się. Chciała spytać, czy może to dla niej oznaczać skrócenie wyroku, ale zabrakło jej odwagi.

– Nie, nie wiem, czy Niebo raczy się w jakiś sposób odwdzięczyć – odparł Samir, uśmiechając się złośliwie, jakby odgadł jej myśli. – To nie zależy od nas. A już zwłaszcza nie ode mnie.

– A jeśli się nie zgodzę? – wypaliła strzyga. Natychmiast przestraszyła się własnej śmiałości, ale było za późno.

– To się nie zgodzisz – odparł po prostu Grek. – I będziemy musieli sobie poradzić sami.

– A... – Masza spuściła głowę. Nie umiała ująć swojego pytania w słowa, więc zamiast tego zmieniła temat. – Kim jest ten człowiek, którego podejrzewacie?

– To... ktoś w rodzaju czarodzieja. – Samir poruszył się na ławce.

– Złego czarodzieja?

– Nie mieszaj jej w głowie – zirytował się Tanatos. – Facet jest zwykłym medium, to wszystko.

Rozmawia ze zmarłymi – wyjaśnił dziewczynce. Masza poważnie skinęła głową.

– Wirujące talerzyki? Moja babcia miała książkę o tych, no, spiry...

– Nie, widzi zmarłych i rozmawia z nimi tak po prostu, bez żadnych talerzyków. Niektórzy posiadają tę umiejętność od dziecka. Sama w sobie nie jest niczym złym, ale w tym konkretnym przypadku trudno nie nabrać podejrzeń. Czy skomunikował się w jakiś sposób z tymi, którzy zaginęli? Może to oni skontaktowali się z nim pierwsi? Co mógł im przekazać? Namówić ich na coś? Pomóc w czymś?

– Ale... – Masza nagle uświadomiła sobie, co jej nie pasuje w całej historii. – Nie możecie jakoś... wytropić tych zaginionych dusz?

– Więc właśnie w tym sęk! – Samir podskoczył i uderzył pięścią w otwartą dłoń. – W tym cały dowcip! Dusze przepadły. Sam osobiście rzucałem zaklęcia tropiące, wróżyłem z mysich kości, wątroby lwa i liści bluszczu. Ślad prowadził mnie na pogranicze królestwa snów i tam się urywał. Żeby wkroczyć na teren tej krainy, musielibyśmy uruchomić całą procedurę formalną, bo tamtejsze władze nie lubią sług Szeolu, zresztą z wzajemnością. Zrobimy to, oczywiście, jeśli nie będzie innego wyjścia. Na razie woleliśmy pójść tropem donosu.

– Facet nazywa się Alfred Jasiński – podjął rzeczowo Tanatos. – Uczy historii w gimnazjum, jest żonaty, nie ma dzieci. Obserwowaliśmy go dyskretnie przez jakiś czas. Nie udało się nam wypatrzeć nic, co miałoby bezpośredni związek ze sprawą, ale parę rzeczy nam się nie podoba. Jasiński jest medium. To po pierwsze. Po drugie, jego żona leczy się na depresję... to znaczy na nerwy – doprecyzował, widząc po minie Maszy, że nie zrozumiała. – Po trzecie, facet prowadzi specyficzny tryb życia. Z rodziną prawie nie utrzymuje kontaktów. Nie ma przyjaciół. W wolnym czasie spaceruje samotnie po mieście, czasem do późna w nocy. Uczniowie go nie lubią, uważają za dziwaka. A po czwarte, nasz informator i Bernardita niezależnie od siebie podali jego nazwisko... choć za tym akurat może się kryć prozaiczne wyjaśnienie. – Spojrzał na Samira. Rudzielec skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę.

– Bernardita jest nieprzewidywalna, od początku to powtarzam. I przekupna. Możliwe, że ktoś ma interes w tym, żeby gościa wrobić, i stąd donos oraz przepowiednia. Ale chcemy zbadać sprawę do końca i mieć czyste sumienie.

– A wróżbitka powiedziała, że ty możesz nam pomóc – dopowiedział Tanatos. – Dokładniej, powiedziała, że jeśli chcemy poznać sekret Jasińskiego, powinniśmy się zwrócić do ciebie.

Masza, choć z oczywistych względów niewiele rzeczy się bała od czasu, gdy przyszło jej egzystować poza grobem, teraz zaczęła odczuwać niepokój.

– Na pewno do mnie? A może chodziło o kogoś innego?

– Och, Bernardita opisała cię tak dokładnie, że o pomyłce nie ma mowy. Maria, córka urzędnika Aleksandra Pawłowicza Grinkowa, pochowana w Lublinie, zmarła w wieku jedenastu lat. Sprawdziłem, na żadnym z lubelskich cmentarzy nie leży inna jedenastoletnia Masza Grinkowa.

– I co właściwie powinnam zrobić?

– To – rzekł powoli Samir, patrząc na towarzysza – jest naprawdę cholernie dobre pytanie.

– Możesz zacząć od tego, że jutro rano, kiedy Jasińskich nie będzie w domu, obejrzysz ich mieszkanie – powiedział Tanatos. – Przyjdziemy po ciebie na cmentarz i zabierzemy cię tam.

– Ale... – Strzyga chciała zaprotestować i uświadomiła sobie, że w zasadzie brakuje jej argumentów. Przenikanie przez ściany trudno nazwać włamaniem.

– My już tam byliśmy, oczywiście – dopowiedział Samir. – Pod nieobecność właścicieli przetrząsnęliśmy wszystkie kąty. Bez efektu, ale jeśli z przepowiednią Bernardity coś naprawdę jest na rzeczy, to fakt, że my dwaj nie znaleźliśmy niczego inkryminującego, nie ma znaczenia.

Powróciwszy na cmentarz, gdzie zgodnie z poleceniem miała zaczekać do następnego ranka, Masza odkryła, że nie może wytrwać w miejscu. Niespokojnie krążyła po alejkach, tak rozkojarzona, że jej uwagi nie zwrócił nawet świeży grób, na którym kusząco piętrzyły się wiązanki i wieńce. Wciąż powracało do niej pytanie, czy jeśli spełni pokładane w niej nadzieje (choć nie miała pojęcia, w jaki sposób mogłoby to nastąpić), Niebo ją wynagrodzi, a jeśli, to jak. Pozwalając, żeby znowu zamieszkała z rodziną? A w każdym razie z mamą i siostrami, bo ojciec wszak przebywał na zesłaniu w Zoth Tenebra?

W końcu wróciła na swój grób, ale nie skryła się pod ziemią, bo zaczynało już świtać, a chciała czekać w pełnej gotowości. Tak bardzo się niecierpliwiła, że gdy tylko zrobiło się jasno, podpłynęła do bramy od strony ulicy Lipowej. Na zewnątrz trwał już ruch, jeździły samochody, ktoś odśnieżał chodnik. Pan Gienek perorował przepitym głosem do kobiety handlującej zniczami, która potakiwała z wymuszoną uprzejmością.

W końcu po drugiej stronie ogrodzenia pojawił się Samir von Katzenkrallen. Nonszalancko kroczył przez breję z nadtopionego śniegu, która nie zostawiała śladów na jego wyczyszczonych jak lustro butach. Pogryzał z kartonika coś pachnącego smażeniną.

– Tanatos się nie zjawi – uprzedził pytanie strzygi. – Dostaliśmy kolejny cynk i musiał czym prędzej pojechać do królestwa snów. Chodź. Na co czekasz?

Dziewczynka nie wiedziała, czy pod nieobecność Greka będzie mogła opuścić teren cmentarza, ale okazało się, że owszem. Rudy demon ujął jej dłoń i pofrunęli, wznosząc się wysoko w blade niebo.

– Patrz i podziwiaj – rzucił Samir z nutką ironii. Poły czarnej płaszcza łopotały za nim jak skrzydła. – Witamy w dwudziestym pierwszym wieku.

Strzyga nie mogła wyjść ze zdziwienia, że miasto od jej czasów aż tak się rozrosło i sięga od horyzontu po horyzont, po wstęgach dróg pełzną sznury pojazdów, a niektóre budowle mają postać olbrzymich oszklonych brył, w których odbija się słońce.

Ich celem okazał się wielopiętrowy, brzydki budynek, podobny do szarego klocka. Wokół wznosiło się więcej podobnych. Przed nimi stały w rzędach zaparkowane samochody. Z przepełnionego kontenera wysypywały się kolorowe opakowania, które Maszę najpierw zaintrygowały, a potem rozczarowały, gdy zrozumiała, że to tylko śmieci.

Samir dojadł resztkę potrawy z kartonika, zmiął go i cisnął w dół.

– Pierwsza klatka od lewej, drugie piętro – poinstruował. Wskazał strzydze jedno z okien; podpłynęli do szyby i przeniknęli przez nią oraz przez zasunięte żaluzje do zabałaganionej sypialni. Masza wzdrygnęła się z poczuciem, że zakłóca cudzą prywatność.

– Widzisz tu coś ciekawego? – spytał rzeczowo demon.

– A czego szukamy?

– Nie wiem. Czegokolwiek, co wyda ci się podejrzane.

Dziewczynka pomyślała, że nietrafnie sformułował problem, ponieważ wszystko, co widziała wokół, wydawało jej się dziwne i obce. Rozglądała się z mieszaniną fascynacji i smutku. Właściwie nic w tym mieszkaniu nie przystawało do rzeczywistości, jaką zapamiętała ze swoich czasów.

Przełamawszy zakłopotanie, zaczęła myszkować po kątach. Obejrzała zarzucone papierami biurko i wiszące nad nim oprawione ślubne zdjęcia, na których pyzaty chłopak we fraku obejmował dziewczynę w sukni wyglądającej jak góra bitej śmietany. Zapatrzyła się na plakat z wielkim, dziwnym latającym pojazdem na tle gór, zastanawiając się, czy takie maszyny naprawdę istnieją. Zajrzała do wielkiej szafy wbudowanej w ścienną wnękę, gdzie po jednej stronie wisały garnitury i koszule, a po drugiej – sukienki, kostiumy i żakiety.

Postanowiła sprawdzić salon. Tu też panował nieład; po krzesłach walały się ubrania, na stoliku stały brudne szklanki i popielniczka pełna niedopałków, a półki regału pokrywał kurz.

– Co to jest? – spytała, wskazując ustawioną pionowo, prostokątną czarną płytę.

– Telewizor – odparł Samir, a widząc brak zrozumienia, dodał szybko: – Taka skrzynka, która gada i wyświetla obrazki.

W kuchni strzygę zaintrygowała elektryczna kuchenka i lodówka, a w łazience – kosmetyki i suszarka do włosów, ale nie było tam niczego, co można byłoby uznać za naprawdę wartę uwagi. Wrócili do salonu. Samir z westchnieniem opadł na kanapę.

– Nic – stwierdził. – Tak samo jak ostatnim razem. Tylko bajzel jakby większy.

– A czego się spodziewaliście? Że co tu znajdę?

– Nie wiem. – Demon poczęstował się czekoladką z pudełka stojącego przy telewizorze. – Liczyłem, że może w twojej obecności uaktywni się jakiś portal albo co. Otwierasz szafę, a tam przejście do tajnej enklawy w królestwie snów, dajmy na to. Bo że w samym mieszkaniu nie ma nic podejrzanego, to już stwierdziliśmy. A pan Jasiński nam się nie podoba. Może nie jest przestępcą w ludzkim rozumieniu tego słowa, ale ma coś takiego w sobie... Nie policzę, ilu znałem morderców, co niby też na co dzień byli spokojni, szanowani, tu praca, tu żona, nikt z otoczenia nie podejrzewał... – Skrzywił się. – Ech, to nie dla twoich uszu, mała.

– Gdzie jest Tanatos? – zmieniła temat strzyga.

– Powinien się niedługo zjawić z wieściami z królestwa snów.

– Po co właściwie tam pojechał?

– Dostaliśmy wiadomość... chociaż to może być zbieg okoliczności... że widziano tam błąkającą się zmarłą, której rysopis mógłby pasować do jednej z zaginionych. Po mojemu to fałszywy alarm, ale sprawdzić trzeba.

Masza wzięła ze stolika otwartą książkę – album historyczny – bo jej uwagę przykuły barwne ilustracje.

– Myślę, że powinnam tu zostać, aż ten człowiek wróci – powiedziała po chwili wahania.

– Jasiński?

– Tak.

– Czemu?

– Nie żyję, a on widzi zmarłych. Jeśli wierzyć tej wróżbitce, o której wspominaliście... – Zacięła się, nie umiając wyjaśnić swojego przeświadczenia, że wszystkie trzy fakty mają ze sobą związek. – No, wydaje mi się, że powinnam spróbować się z nim spotkać. Nie umiem wymyślić nic lepszego.

Rudy demon zastanowił się.

– Dobra. Słuchaj, będę czekał na zewnątrz, za blokiem. Pan Jasiński za jakiś kwadrans wróci z pracy. Żyje, psia jego jucha, jak w szwajcarskim zegarku, znam na pamięć rozkład jego tygodnia. Jeśli do ciebie zagada, udawaj głupią. Mów, żeś się zgubiła czy coś. Nakłam mu, jak to wy, dzieciaki, potraficie.

– Ja nie kłamię – odparła z godnością strzyga.

– A to przepraszam. – Samir wyszczerzył zęby, ubawiony. – No tak, zapomniałem: jesteś dobrze wychowaną nieżyjącą młodą damą.

\*\*\*

Gdy demon się oddalił, by zająć posterunek obserwacyjny w odpowiedniej odległości od budynku, Masza została na fotelu, przeglądając album. Zafascynowały ją kolorowe obrazki przedstawiające królów, królowe i wojowników.

Nie bała się. Po śmierci nie miała już czego. Mimo to z jakiegoś powodu wzdrygnęła się, kiedy w

zamku zachrobotał klucz.

Mężczyzna, który po chwili wszedł do pokoju, był niski i grubawy, o przedwcześnie postarzałej twarzy. Ciemną grzywkę ze ślubnego zdjęcia zastąpiła łysina.

Położył teczkę i marynarkę na fotelu – a potem zamarł.

– Co tu robisz? – spytał tak spokojnie, jakby duchy dziewczynek siedzące w jego salonie były zjawiskiem równie naturalnym, co wrony łązące po trawniku.

Masza przywołała najbardziej bezradną minkę, na jaką było ją stać.

– Zgubiłam się, proszę pana.

Jasiński przez długą chwilę gapił się na nią z niedowierzaniem.

– Jesteś strzygą, prawda? – zapytał w końcu. Przytaknęła nieufnie.

– Biedactwo, to znaczy, że błądasz się po świecie żywych, bo nie chcą cię puścić na Górę? – W jego oczach pojawił się chytry błysk. – Wiesz, znam miejsce, gdzie byłoby ci lepiej niż tutaj. Mieszkają tam moi przyjaciele, jeden ma córkę w twoim wieku.

Gdyby strzyga mogła oddychać, wstrzymałaby oddech.

Jakież to oczywiste. Jest na tropie! Mężczyzna ją kusi. Chce ją zwabić tam, gdzie pozostałe zaginione dusze.

– Co to za miejsce? – spytała, bardzo się starając, żeby głos jej nie drżał, a twarz nie zdradziła emocji.

– Czarodziejskie. – Jasiński uśmiechnął się tajemniczo. – Możemy się tam zaraz wybrać.

– Dobrze – odparła Masza.

Nie zastanawiała się, czy postępuje rozsądnie. Kierowało nią przekonanie, że musi działać tak, jak dyktują okoliczności i liczyć, że agenci zaświatów są na tyle blisko, żeby zareagować w razie potrzeby.

Nad komodą, na której stały zakurzone bibeloty i doniczka z przywiedłą paprotką, wisiało lustro. Jasiński stanął przy nim i stuknął palcem w tafłę.

– Chodź tu – zaprosił strzygę. – Zajrzyj.

Żeby spełnić polecenie, Masza musiała zawisnąć w powietrzu. Ujrzała siebie jako mglisty zarys, a obok pulchne oblicze Jasińskiego.

– Patrz w moje oczy. – Mężczyzna wskazał odbicie. – Zapraszam na drugą stronę lustra, Alicjo.

Gdy strzyga ujrzała, jaka satysfakcja maluje się na jego twarzy, przez głowę przemknęło jej, że jednak popełniła błąd.

Ale było już za późno.

Odbite w lustrze oczy Jasińskiego zmieniły się nagle w dwie czarne studnie, dwa leje, na dnie których pełgało nikłe światło. Potem samo lustro otwarło się, rozpostarło i zmieniło w przepaść, na skraju której chwiałały się dwie laleczki.

Masza nie zdążyła nawet krzyknąć. Gdy spadała, przed oczami przewinął się jej jeszcze obraz zaśniewanego cmentarza. Zaświtała jej absurdalna myśl, że może wszystko, ale to wszystko było snem, także śmierć, i za chwilę przyjdzie jej się obudzić w znajomym mieszkaniu w kamienicy, w wykrochmalonej pościeli, potem jeść na śniadanie kaszę z mlekiem, słuchając, jak szumi samowar i jak kucharka skarży się ojcu, że w spiżarni znów gospodarują myszy...

A potem wszystko zniknęło, zapadła ciemność.

5.

– Martynko, co ci jest? Proszę, obudź się.

Strzyga otwarła oczy i zamrugła. Pochyliła się nad nią młoda kobieta w nocnej koszuli, pod którą

rysował się zaokrąglony brzuch.

– Gdzie ja jestem? – spytała ogłupiała Masza. W pamięci miała białą plamę; daremnie usiłowała sobie przypomnieć, czemu jest tutaj, a nie na cmentarzu.

*A może śnię?*

– W domu – odparła kobieta.

Strzyga rozejrzała się nieufnie. Salon wyglądał znajomo, a zarazem sprawiał lekko niesamowite wrażenie. Lampa z pomarańczowym abażurem rzucała przyćmione światło; okno zasłaniały, dziwnie klójące się z resztą wystroju, ciemnozielone aksamitne zasłony ze złotymi sznureczkami. Zdawało się, że meble są zbyt duże, jakby się rozrosły, wypełniając przestrzeń. Kanapa sięgała od ściany do ściany, jej oparcie miało wysokość dorosłego człowieka. Także sufit znajdował się wyżej niż powinien; ginął w mroku, podobnie jak górne półki regału. Na ścianie naprzeciwko wisiało kilka portretów w złoconych ramach, a wszystkie, co dziwne, przedstawiały pulchnego mężczyznę z łysiną.

W pokoju były jeszcze inne osoby: młody człowiek w okularach i jasnowłose dziecko, którzy grali przy stoliku w grę planszową, oraz dziewczyna o włosach pofarbowanych na rudo, czytająca książkę. Wszyscy mieli taki sam senny, nie do końca przytomny wyraz twarzy, niczym lunatycy.

– Co ja tu robię? – spytała Masza. Nękało ją uporczywe uczucie, że nie pamięta czegoś ważnego. Popatrzyła na kobietę w ciąży, zastanawiając się, czy skądś ją zna. Kobieta uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Jak to co? Jesteś moją córeczką. Nazywasz się Martynka.

– Nazywam się... – Masza zawahała się, tracąc pewność siebie. A jeśli jest chora, śniła jakiś dziwny sen i wszystko jej się pomieszało?

– Chodź, Martynko – powiedziała kobieta. Wskazała strzydze krzesło przy stole. – Pobaw się grzecznie z Julą i wujkiem Jackiem, a mama zaparzy ci herbaty.

\*\*\*

Samir von Katzenkrallen siedział na ławce przed blokiem, paląc skręta z wysuszonych liści lulka i bielunia. Przechodniom – tym, którzy w ogóle byli w stanie go zobaczyć – jawił się po prostu jako czarno ubrany młody człowiek z papierosem.

Rozległ się świst i na trawniku zmaterializował się kary koń wraz z jeźdźcem, oczywiście nie zwracając niczyjej uwagi. Demon z Szeolu był bliższy tutejszej świadomości, więc łatwiejszy do dostrzeżenia niż pomniejsze greckie bóstwo.

Wierzchowiec parsknął, jakby widok świata ludzi wywoływał w nim niesmak. Tanatos zeskoczył z siodła. Od stóp do głów ochlapany był błotem i cuchnącym śluzem. Samir przyjrzał mu się beznamiętnie.

– Przygody po drodze? Niech zgadnę: jechałeś na skróty przez bagna nad Styksem i upiory się wkurzyły?

– A jakże – odparł Grek zmęczonym tonem.

– Doprowadź się do porządku, bo żal bierze, jak się na ciebie patrzy.

Tanatos zamknął oczy i skrzywił się z wysiłku. Po chwili jego płaszcz i mundur odzyskały nienaganny wygląd. Samir po raz ostatni zaciągnął się odurzającym dymem, rzucił niedopałek na chodnik i rozgniół go obcasem.

– Co tam odkryłeś w krainie snów?

– Udało mi się wytropić tę zagubioną duszę. To jakaś Litwinka, bez związku z naszą sprawą. Wywędrawała z Szeolu przez nieszczelne bariery, odstawiłem ją do punktu przyjęć nad Styksem. Mniejsza z tym. Gdzie Masza?

Samir wskazał blok.

– Zostawiłeś ją tam w środku?! Przecież Jasiński o tej porze wraca z pracy!

– No i? Co może zrobić dzieciakowi, który nie żyje?

– Może sprawić, że zniknie tak jak pozostali!

Rudy demon wzruszył ramionami.

– Jeśli tak, wreszcie będziemy mieli podstawy, żeby zdobyć oficjalny nakaz przeszukania tej chawiry, zamiast węszyć na własną rękę i ryzykować, że jakiś niebiański biurokrata się przyczepi. Trzeba będzie tylko umiejętnie pościemniać w raporcie... zostaw to mnie.

– Ty... – Grek popatrzył na niego z mieszanką niedowierzania i obrzydzenia. – Ech. Po prostu brak mi słów.

Obaj popatrzyli w stronę zasłoniętego żaluzjami okna na drugim piętrze.

– Idę tam – zdecydował Tanatos.

– Zwariowałaś?! Przecież on jest medium! Zdemaskujesz nas!

– A to czemu? Po prostu szukam kolejnej pokutującej duszy, która samowolnie oddaliła się z miejsca odbywania kary. To w końcu mój zawód, nieprawdaż? Ty siedź cicho i nie pokazuj się, chyba że cię wezwę.

– Ważniak – mruknął demon, ale skinął głową.

\*\*\*

Masza z wahaniem usiadła przy stole. Człowiek w okularach i dziewczynka nazwana Julą przesuwali po planszy kolorowe pionki w kształcie zwierząt. Strzyga nigdy wcześniej nie widziała takiej gry.

Ciężarna kobieta wyszła do kuchni. Julia zbiła czerwonym koniem niebieskiego psa, potem żółtą żabę, i zaklaskała radośnie.

– Wygrałam! Ha! Wygrałam! Gramy jeszcze raz?

– Teraz Martynka też musi zagrać z nami – odparł człowiek w okularach.

– Ale ja nie umiem – spróbowała się wykręcić Masza. Czuła się nieswojo, siedząc obok tych ludzi. Ich zamglone oczy przyprawiały ją o dreszcz. Przy tym nadal dręczyło ją dokuczliwe jak drzazga w palcu poczucie, że nie pamięta o czymś ważnym.

– Co to takiego? Pokaż. – Julia ujęła tymczasem w palce broszkę od Elizy, którą strzyga nosiła przypiętą do sukienki. – Jaka ładna. Dasz mi ją ponosić?

– Nie mogę – zaprotestowała Masza. – Dostałam ją od...

Znieruchomiała, bo wszystko powróciło do niej w jednym błysku.

Broszka.

Cmentarz.

Misja!

Strzyga ścisnęła głowę dłońmi; wspomnienia wróciły. Wszystko ułożyło się w zgrabną, lecz budzącą dreszcze całość.

Z narastającym przerażeniem popatrzyła na nieznanym. Nie wiedziała, gdzie się znalazła, ale było dla niej jasne, że ich ogłupiałe miny i senne ruchy nie oznaczają niczego dobrego.

– Obudźcie się! – zawołała. – To nie wasz dom! Jesteście tu uwięzieni!

Żadnej reakcji. Popatrzyli na nią obojętnie, jakby była dzieckiem awanturującym się na ulicy, po czym odwrócili wzrok.

– Martynko! – skarciła ją kobieta w ciąży, która wyłoniła się z kuchni, niosąc na tacy cztery parujące kubki. – Bądź grzeczna, bo tata się zdenerwuje!

– To miejsce nie jest prawdziwe – spróbowała jeszcze raz strzyga. – Jesteście tutaj zamknięci...

– Jak to nie jest prawdziwe? – Kobieta roześmiała się pobłażliwie. – Proszę, napijcie się herbaty. – Postawiła tacę na stole.



– To nie jest prawdziwa herbata! Nic tutaj nie istnieje naprawdę! – Masza chwyciła jeden z kubków i nie zważając na zaszokowane spojrzenia, wylała jego zawartość na dywan. Tak jak sądziła, płyn ulatniał się w oczach.

– Co tu się dzieje? – odezwał się groźny głos. Z sypialni wyłonił się Jasiński.

Po tej stronie rzeczywistości był wyższy i tęższy, górował nad pozostałymi. Miał na sobie garnitur i starannie odprasowaną śnieżnobiałą koszulę z krawatem.

– Izo, co ona wyprawia? – zwrócił się do ciężarnej. – Tak wychowujesz dzieci?

– Widzisz? – zawołała Iza, łapiąc strzygę za ramię. – Teraz się doigrasz! Rozgniewałaś tatę!

– To nie mój tata – odpowiedziała z ponurą determinacją Masza. – Mój jest w piekle.

– Co ty opowiadasz? – przestraszyła się kobieta, ale strzyga strząsnęła jej rękę. Podeszła do właściciela mieszkania, oskarżycielsko biorąc się pod boki.

– Oszukujesz ich! Więżisz tutaj!

– Ty również mnie oszukałaś – odparł Jasiński. Mówił bezbarwnym, monotonnym tonem, jak nakręcony mechanizm. – Nie przyznałaś się, że jesteś agentką Góry. A może Szeolu? Nieważne.

– Nie boję się ciebie! Co mi zrobisz? Nie żyję!

Uśmiechnął się pobłaźliwie, a zarazem złowroźnie.

– Widzę, moja droga, że musimy poważnie porozmawiać.

\*\*\*

Tanatos przeniknął do sypialni i natychmiast się spał. Aura mieszkania uległa subtelnej, lecz niepokojącej zmianie; pojawiła się w niej jakby obca nuta, obca woń.

– Masza? – zawołał z cicha. Nie było odpowiedzi. Zajrzał do salonu i zaklął.

Właściciel mieszkania leżał bez ruchu na kanapie. Oczy miał zamknięte, a oddech nienaturalnie spowolniony.

\*\*\*

– Czemu ich tu trzymasz? – zapytała strzyga, głównie po to, żeby zyskać na czasie, zanim czegoś nie wymyśli.

Demon powinien wyczuć, że coś się dzieje, i zareagować... Oby.

– A czemu nie? – odpowiedział retorycznym pytaniem Jasiński. – Ofiarowuję to, czego pragną wszyscy ludzie. Bezpieczeństwo i szczęście.

– Co ty wiesz o szczęściu! – krzyknęła. – Wypuść ich!

– Niemądre dziecko. – Astralny przestępca zaśmiał się. Jego głos odbił się zwielokrotnionym, głuchym echem. Głowa, a potem reszta jego postaci zaczęły puchnąć i rozmazywać się; usta i oczy przemieniły się w czarne otwory, jak wypalone dziury. Zanim Masza uświadomiła sobie, co się dzieje, Jasiński zniknął. Na jego miejscu pojawił się ruchliwy kłęb ciemności, który urósł, przesłaniając komodę i regał. Uwięzieni z lękiem skupili się razem, zakrywając oczy, a czerń wyciągnęła macki po strzygę.

Wtedy Masza spanikowała. Była ostatecznie tylko jedenastoletnią dziewczynką.

Tutaj nie była w stanie przenikać przez ściany i zamknięte okna. Wybiegła do przedpokoju i zobaczyła, że drzwi wejściowych w ogóle nie ma. W ich miejscu znajdowała się szkolna gablota z wystawą dziecięcych obrazków. Wszystkie przedstawiały pulchnego mężczyzny z łysiną; niektóre podpisane były „Tata”. Do reszty tracąc głowę, strzyga wpadła do łazienki, zatrzasnęła drzwi i zasunęła zasuwkę.

Wodoodporna tapeta w seledynowe i niebieskie esy-floresy ożyła; mazaje przemieniły się w węzowate stwory, kłapiące paszczami. Masza skuliła się przy drzwiach, nie wiedząc, czy mogą jej zrobić

krzywdę. Pisnęła w panice, kiedy zobaczyła, że przez dziurkę od klucza wlewa się cień. Opadł na podłogę, urósł i pogrubiał, przemieniając się w Jasińskiego w ludzkiej postaci, lecz z czarnymi otworami w miejscu oczu i ust.

– Nie zrobię ci krzywdy, dziewczynko – zasyczał. Machnął ręką i drzwi zniknęły, zastąpiła je gładka ściana. – Porozmawiajmy kulturalnie. To mój dom. Przygarnąłem zagubione dusze, które nie miały dokąd pójść. Udzieliłem tym ludziom schronienia, są tu szczęśliwi. Nie ma potrzeby, aby wtrącała się w to Góra, Dół czy ktokolwiek inny. Niepotrzebnie cię przysłano, żebyś mnie szpiegowała. To była bardzo nieładna zagrywka, ale wybaczę ci, bo jesteś tylko dzieckiem. Zostaniesz tu i sama się przekonasz, że w moim domu jest jak w raju.

– Nie – szepnęła strzyga, rozglądając się bezradnie po zamkniętym pomieszczeniu. Pyski tapetowych potworów, niepokojąco podobne do właściciela mieszkania, wykrzywiły się do niej w jednym i tym samym drwiącym grymasie.

\*\*\*

– No i co my tu mamy? – spytał dziarsko Samir von Katzenkrallen, wchodząc do salonu. Tanatos wskazał leżącego mężczyznę.

– Już wszystko jasne. Dał się omamić i opętać jednemu z tych drapieżnych świństw z Mirazu.

– A dusze? Co z duszami?

– Zajrzyj do jego umysłu.

Demon położył rękę na czole nieprzytomnego. Zamknął oczy i przez chwilę trwał w skupieniu.

– Niech mnie Belial – stwierdził. – Wygląda na to, że ich wchłonął jak pieprzony Kronos. Jak to się stało, że nie wyczuliśmy tego wcześniej, sprawdzając go?

– Nie wiem. Magia Mirazu, jak przypuszczam. Sam bym się nie zorientował, gdybym go nie zastał w transie.

Samir z namysłem przyglądał się leżącemu. Podniósł mu powiekę, następnie przytknął ucho do klatki piersiowej. Poskrobał się po głowie.

– Halo-o! – krzyknął Jasińskiemu w samo ucho. – Pobudka!

Nauczyciel usiadł z błędnym wyrazem twarzy. Z otwartych ust zwisała mu strużka śliny.

– Aśka, co ty wyprawiasz, odpiardoliło ci do reszty – zamamrotał, patrząc na intruzów niewidzącym wzrokiem. – Zadzwoń na policję i zabiorą cię do wariatkowa, słyszysz?

– Patrz no, jaki bezczelny – stwierdził demon. – Ten pasożyt, znaczy. Słyszcy nas, ale udaje, że go nie ma. Co teraz?

– Spróbuj go podrażnić – poradził Tanatos. – Zaserwuj mu trochę bólu. Stwory z Mirazu są mało odporne na nieprzyjemne doznania fizyczne.

Von Katzenkrallen zatarł ręce, po czym chwycił Jasińskiego za ramiona. Wokół jego rąk zabłysły iskry, a ciałem nieszczęsnego nauczyciela targnęły konwulsje. Tanatos obserwował to bacznie, jak lekarz nadzorujący przykry, lecz konieczny zabieg.

– Jeszcze, jeszcze – zachęcił. – No, jeszcze trochę... Oho! Wyłazi!

Demon puścił ofiarę. Jasiński szarpnął się po raz ostatni i zastygł. Z jego oczu i ust zaczęła wylewać się atramentowa czerń, formując się stopniowo w ruchliwy jak ameba kłęb.

– Gotów... – syknął Samir. – Na trzy! Raz, dwa...

Tanatos dobył szpady. Rudy demon zacisnął pięści, a w jego oczach zatańczyły języczki ognia.

\*\*\*

– Ale muszę cię ukarać za wścibstwo i za to, że mnie okłamałaś – kontynuował po namyśle astralny

przestępca. – Posiedzisz tu do czasu, aż cię wypuszczę. Musisz pamiętać, że ojcu należy się szacunek.

Nagle wydał zduszony okrzyk, a raczej skrzek, i rozpadł się, rozsypał na miliard czarnych kropeczek czy robaczków, które roiły się przez sekundę i znikły.

Masza rozejrzała się w oszołomieniu.

Spodziewała się, że wraz ze zniknięciem Jasińskiego mieszkanie-niemieszkanie zacznie się rozpadać, ale nie. Tapetowe potwory nie znikły, jedynie oklapły jak pacynki, którymi nikt nie porusza; niektóre nadal wykrzywiały się i wily niemrawo.

Przez zamknięte drzwi łazienki usłyszała przestraszone głosy więźniów, które urywały się jeden po drugim. Wtedy Masza zrobiła ostatnie, co jej pozostało. Zamknęła oczy i zaczęła krzyczeć, wkładając w ten krzyk całą desperację i złość, jakie może przywołać wieczna jedenastolatka.

I wtedy nareszcie stało się to, czego oczekiwała. Poczuła, że fałszywa rzeczywistość wali się wokół niej jak domek z kart.

\*\*\*

– Dobrze już, dobrze – odezwał się znajomy, szorstki głos. – Możesz przestać się drzeć.

Otworzyła oczy.

Pierwsze, co zobaczyła, to że ściana salonu jest osmalona i widnieją na niej ciemne rozbryzgi. Tanatos czyścił szmatką ostrze szpady.

– O Jezu – powiedziała ciężarna kobieta. Popatrzyła na swoje półprzezroczyste ręce, potem na resztę uwolnionych dusz, które skupiły się w kącie salonu. Na jej twarzy odmalowała się zgroza. – Boże drogi, my naprawdę nie żyjemy? To nie jest sen?

– Obawiam się, że nie – odrzekł uprzejmie Samir. Dzierżył Jasińskiego w żelaznym uścisku; nieszczęsny nauczyciel oklapł i dygotał.

Jasnowłosa dziewczynka wspięła się na palce, żeby szarpnąć mężczyznę w okularach za rękaw swetra.

– Tato? Oni mówią prawdę? Umarliśmy?!

– To wszystko przeze mnie, nie powinienem był jechać – wyszeptał okularnik i ukrył twarz w dłoniach.

Dziewczyna z pofarbowanymi na rudo włosami, widocznie opanowana z natury, tylko patrzyła niepewnie na pozostałych.

Tanatos w kilku zgrabnych, dyplomatycznych zdaniach objaśnił im sytuację.

– O dalszym państwa losie zadecyduje Góra – zakończył. – Winny oczywiście poniesie konsekwencje. Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości. Wysłannik Góry już tu zmierza.

Samir von Katzenkrallen, nie puszczając jeńca, skinął na Maszę. Strzyga podeszła niepewnie. Jasiński świdrował ją wzrokiem z niemą, wściekłą nienawiścią.

– Co znalazłaś po tamtej stronie? – spytał demon.

Masza dopiero teraz uświadomiła sobie, że pojmany Jasiński jest dziwnie przezroczysty, a obok kanapy leży nieruchome ciało.

– On nie żyje? – wyjąkała.

– Apopleksja albo atak serca – odparł wesoło Samir. – Mówiąc kolokwialnie, trafił go szlag, kiedy wywabiliśmy z niego to astralne świństwo. Od dawna był już zaledwie skorupą, pasożyt wyzwał jego osobowość. Współczuję tylko jego żonie. Zdradź mi, co ciekawego stworzył dla siebie w Mirażu? Co było tam, dokąd cię zabrał?

– Mieszkanie.

– To samo co tutaj?

– Prawie.

– A te dusze?

– Wmówił im, że są jego rodziną – odparła z wahaniem Masza. – Ale to on nimi rządził. A im zdawało się, że go kochają.

Samir ze znanstwem skinął głową.

– Znaczący, stworzył sobie coś w rodzaju prywatnej sekty. Widywałem to już na jawie. To coś, co w nim siedziało, pewnie pomogło mu ich ogłupić i żywiło się ich energią. W duszy kogoś, kto młodo zmarł, zwłaszcza gwałtowną śmiercią, jest mnóstwo astralnego paliwa. – Tu najwidoczniej połapał się, że strzyga nie ma ochoty drążyć tematu, bo zamilkł.

Tanatos skończył czyścić broń i teraz rozmawiał z alabastrowym puzderkiem w kształcie kwiatu, które wyjął z kieszeni.

– Tak, przecież mówię – podniósł nieco głos. – Cień z Mirażu uczynił go swoim narzędziem w materialnym świecie. Zagnieżdżył się w nim i zamplifikował jego zdolności, rozszerzając je o prekognicję i teleportację. Byli w stanie przeczuć, kiedy ktoś w dogodnej odległości ma umrzeć... lub też nie odległość się liczyła, a inne względy, nie wiem... Jasiński teleportował cień lub teleportował się wraz z cieniem... Tak, chwycił ich w momencie śmierci i w pewnym sensie pochłaniał... Nie, nie wiem jak. Przypuszczam, że w śledztwie to wyjaśnią. Tak, udało się zniszczyć pasożyta i odzyskać wszystkie dusze. Na razie. – Zamknął puzderko i schował.

– Pasożyt? Jaki pasożyt? – zaniepokoiła się ciężarna kobieta. Potem spostrzegła plamy na ścianie i aż się cofnęła. – To krew?!

– Kim ona jest? – ocknęła się nagle rudowłosa dziewczyna, wskazując palcem strzygę, i wszyscy pozostali też skierowali na nią wzrok. Masza, okropnie speszona, wcisnęła się w kąt.

Nikt nie zauważył, kiedy i skąd pojawił się anioł.

Miał na sobie czerwoną szatę haftowaną u dołu w złote meandry, a na nosie okulary w rogowych oprawkach. Dzierżył zwój pergaminu.

– Proszę o nic nie pytać – oświadczył z ważną miną. Zajrzał do zwoju, po czym szybko przeliczył grupkę zmarłych. – Zabieram was na Górę, tam wszystko wyjaśnimy.

Wyjął z zanadrza brokatowy woreczek.

– Hej, czekaj! – przerwał Tanatos. – A co będzie z nią? – Wskazał Maszę.

– Zapytaj na Dole. – Anioł wyglądał na niezadowolonego, że go nagabują. – Ja wiem tyle, że jej miejsce z pewnością nie jest u nas. Nie mam jej na liście. – Zwrócił się znowu do umarłych. – Za chwilę błysnie. Radzę zamknąć oczy. Proszę się nie bać.

Sypnął na grupkę proszkiem z woreczka i zniknął wraz z nimi w rozbłysku oślepiającego światła.

Jasiński poruszył niemo wargami, jakby się modlił. Samir wyszczerzył zęby i demonstracyjnie się oblizał.

– A ty, skurwielu, jesteś mój. *Adios, amigos.*

Wokół jego sylwetki wykwitły płomienie i obaj z pojmanym rozplłynęli się w kłębach śmierdzącego dymu. Masza jak zahipnotyzowana patrzyła w miejsce, gdzie przed chwilą stali.

– Chodź. – Tanatos wyciągnął do niej rękę. – Nic tu po nas.

Przełamując odrętwienie, podryfowała za nim przez okno, w wieczorną szarość.

Splłynęli ku ziemi, a strzyga dopiero teraz ze zdumieniem ujrzała, że na trawniku przed budynkiem stoi kary koń. Na grzbiecie miał siodło i czarny czaprak. Widząc ich, podniósł łeb i parsknął.

– Poznaj Azhara. – Tanatos poklepał wierzchowca, po czym dociągnął popręg. Koń wyciągnął szyję, żeby trącić dziewczynkę pyskiem, ale ta cofnęła się odruchowo. – Obawiam się, że czeka nas podróż na Dół.

Pod dziewczynką ugięły się nogi.

– Na Dół? Ale... ale czemu?

– Trzeba wyjaśnić, jaki jest twój status. Tylko tam z marszu udzielą nam informacji. Ale nie bój się – dorzucił szybko, widząc jej niepokój. – Nie zostaniesz u nich, za to mogę ręczyć.

Masza zwiesiła głowę, nie wiedząc, co myśleć. Po tym, co zrobiła, Tanatos chce ją wieźć do Szeolu? Przypomniała sobie anioła zachowującego się tak, jakby kompletnie go nie obchodziło, co się z nią stanie. Nie tak wyobrażała sobie aparat sprawiedliwości w zaświatach...

– Jedź sam i zapytaj – powiedziała, zdziwiona i przerażona tym, że jest w stanie się sprzeciwić nieśmiertelnemu. – Ja tu zaczekam. Mogę czekać i dziesięć lat...

– To na nic – zaprzeczył Grek. – Sytuacja jest nadzwyczajna, nie podpada pod moje zwykłe uprawnienia. Jeśli zjawię się sam, mogą odmówić udostępnienia ksiąg. Poza tym nie chcę cię tutaj zostawiać. Zabiliśmy to paskudztwo z Mirażu, ale nie wiadomo, jak głęboko sięga ta sprawa: jak się spiknęli z Jasińskim, po co tak naprawdę były im dusze i czy nie działali pod protektoratem kogoś z nieśmiertelnych. Śledztwo dopiero się rozkręca, a póki co im prędzej znikniemy z Lublina, tym lepiej.

Azhar kiwnął łbem i tupnął, jakby przytakując.

Starsza kobieta o lasce przeszła przez parking, nie widząc ich. Mijając Greka, wzdrygnęła się i mruknęła coś o strasznym zimnie.

Tanatos położył Maszy rękę na ramieniu.

– Musimy tylko dowiedzieć się, co piszą o tobie w księgach. Po tym, czego dokonałaś, na pewno już zaktualizowano dokumentację. Jeśli się okaże, że anulowano ci wyrok, zabiorę cię na Górę i przekażę w ręce aniołów.

– A jeśli nie?

– Wówczas to do mnie będzie należało zabranie cię tam, dokąd masz trafić. – Uśmiechnął się. – Ale to na pewno nie będzie Szeol, słowo nieśmiertelnego. Jesteś Słowianką, mogą cię wcielić do grona rusalek albo karpackich boginek. Wierz mi, widziałem już trochę takich spraw jak twoja.

Masza skapitulowała.

– W porządku. – Spojrzała z obawą na wierzchowca. – Tylko pilnuj, żebyś nie spadła.

Rumak prychnął, co zabrzmiało do złudzenia jak wybuch śmiechu.

Tanatos podsadził ją na konia, po czym wskoczył zwinnie na siodło i owinał ją swoim płaszczem.

– Trzymaj się grzywy – poradził, ujmując wodze. Azhar uderzył kopytami o bruk, krzesząc iskry, i wzbił się jak odcięty z uwięzi balon.

## 6.

Pędzili jak wichur. W dole przesuwały się pustynie, ośnieżone góry i zielone, żyzne równiny. Masza w końcu zasnęła, ukołysana przez miarowy rytm galopu.

Śniła, że znów jest żywą dziewczynką i karmi łąbędzie w Parku Saskim z jej czasów, gdzie spacerują damy w sukniach i panowie w surdutach, a zza ogrodzenia dolatuje turkot dorożek. Zastanawiała się tylko, dlaczego niektórzy z tych eleganckich ludzi mają różki, pazury albo nietoperze skrzydła, a zamiast psów prowadzą na smyczach tresowane, zadziwiająco grzeczne pawiany.

Obudziwszy się, zmarszczyła nos.

Śmierdziało obrzydliwie. Siarką, padliną, spalenizną i nie wiadomo czym jeszcze. To, że nie siedzi w siodle, tylko na ziemi, oparta o kamień i owinięta w czarny oficerski płaszcz, uświadomiła sobie dopiero w drugiej kolejności.

– Wy baranie łby! – pieklił się Tanatos. – Osły kastylijskie!

– Dobrze już, nie awanturuj się – odparł skrzekliwy głos. Masza przetarła oczy i zmroził ją dreszcz.

Niebo jarzyło się czerwienią i kołowały po nim skrzydlate bestie. Kawalek dalej wznosiła się brama, oświetlona ogniem płonącym w zawieszonych wysoko żelaznych koszach, o odrzwiach zdobionych płaskorzeźbami, które w migotliwym świetle wydawały się ożywać i wić. Azhar niecierpliwie grzebał kopytem i parskał, jakby jemu również nie podobało się to miejsce.

Greki kłócił się z brzuchatym diabłem, który pokazywał mu coś w grubej, poźółkłej księdze.

– Oficjalnie nie ma jej w spisie – upierał się diabeł, stukając pazurem w kartę. – I koniec, finito, dupa. Nie patrz tak na mnie, to naprawdę nie moja wina. Wiem tylko tyle, ile stoi w księgach.

– Mówię ci, coś się nie zgadza. Sprawdź jeszcze raz.

– Jak może się nie zgadzać?

– Ja mam wiedzieć?! O Zeusie! Za co bierzecie pensję, wy ogoniaste...

Piekielny urzędnik przyjrzał się Maszy i pstryknął palcami.

– Chwila! To jest strzyga, nie? Znaczący, ta druga, nieochrzczona dusza?

– Owszem.

– Było tak od razu! W złym miejscu szukam! – Przewrócił kilkanaście stron, ale mina szybko mu zrzędała. – A niech to Belial...

– Masz ją?

– Tu jest mowa o pierwszej duszy Marii Grinkowej. Zbawiona, od razu po śmierci wysłana do Nieba. O drugiej nie napisali ani słowa. Jeśli była w spisie, to ją wymazano, nie czyniąc adnotacji.

– Wymazano! Jedzie mi tu kwadryga? Macie w papierach taki burdel, że tylko wszetecznej Tais tam brakuje! Za Cezara umiano prowadzić spisy! Mamy, psiakrew, dwudziesty pierwszy wiek!

Diabeł nadął się, pełen urazy.

– Nie wrzeszcz na mnie, co ja ci poradzę. Codziennie miliony zmarłych, bywa, że kogoś przeoczymy, zwłaszcza jeśli to nietypowy przypadek. Jej rodzinę, i owszem, mam zapisaną, o tutaj. – Znowu przeczcił strony. – Matka i dwie siostry w Niebie, ojciec, niech się upewnię... tak, Aleksander Pawłowicz Grinkow, urzędnik, w Zoth Tenebra, w zakładzie o obniżonym rygorze.

Tanatos ze znużeniem przetarł twarz. Chwilę myślał, marszcząc czoło.

– Trudno – stwierdził. – Skoro nie mamy tu czego szukać, trzeba jechać. Gdyby ktoś od wielkiego Dajjala pytał o mnie albo o to dziecko, niech się kontaktują normalną urzędową drogą, przez Górę.

– To co z nią w końcu będzie? – Diabeł ciekawie zerknął na Maszę.

– Nie twój interes.

Strzyga wstała, nagle pełna obaw, że Tanatos po prostu ją zostawi. Ale Grek uśmiechnął się do niej uspokajająco.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Zabieramy się, nic tu po nas.

Podsadził dziewczynkę na konia i sam wsiadł. Otulił ją płaszczem i gwizdnął na wierzchowca, a ten zarżał i wzbił się w powietrze.

Masza aż westchnęła z zachwyty. Frunęli nad popielistą równiną, wzbijając się coraz wyżej i wyżej, aż niebo z czerwonego stało się czarne i zabłysły na nim gwiazdy. Potem równinę przesłonił opar, oni pędzili dalej, a wiatr gwizdał im w uszach.

I nagle już nie lecieli, lecz galopowali po spękanej ziemi, korytem wyschniętej rzeki, mijając kępy kolczastych zarośli. Wyjechali na rozległy płaskowyż, gdzie wznosiły się skalne ostańce. Niebo zniebieszczało, pojawiła się na nim różowa wstęga, od dołu zabarwiona złotem. Potem na horyzoncie zabłysło wschodzące słońce.

Strzyga uświadomiła sobie, że słyszy coraz głośniejsze dudnienie. Spomiędzy ostańców wyłoniły się jednorożce, całe stado. Z ich nozdrzy buchała para przemieszana z sinymi jęczyczkami płomienia.

Wierzchowiec Tanatosa pozdrowił je przenikliwym rżeniem, a one odpowiedziały skwirzącymi okrzykami.

Długo gnali wraz ze stadem. Masza w końcu znowu zapadła w sen, ukołysana przez tętent, podobny do stłumionego grzmotu.

\*\*\*

– Obudź się – powiedział cicho Tanatos. – Dojechaliśmy.

Strzyga potrząsnęła głową, starając się oprzytomnieć. Choć w materialnym świecie od czasu swojej śmierci nie czuła ani mrozu, ani upału, teraz była skostniała z zimna, zeszywniała i zmęczona.

– Gdzie jesteśmy? – szepnęła, przecierając oczy. Świtało. Z szarego nieba wolniutko opadały białe płatki. Naokoło wznosiły się ośnieżone świerki, wysokie i tajemnicze.

Przed nimi rozciągała się polana. Na niej stała chata z dachem krytym strzechą, ogrodzona płotkiem, który niemal ginął w zaspach. Jedynie do furtki i do studni prowadziły wydeptane ścieżki.

– W domu – odrzekł Tanatos. Pomógł dziewczynce zsiąść. Azhar parsknął i tupnął. Z jego sierści unosiła się para.

– Ściślej rzecz ujmując, dla tego łobuza to raczej miejsce, gdzie zjawia się od przypadku do przypadku, gdy zatęskni – uzupełnił i machnął ogonem, strącając śnieg z najbliższej gałęzi.

Masza wytrzeszczyła oczy.

– Ty mówisz?!

– Milczenie jest złotem – odrzekł filozoficznie rumak – ale, jakby ci to rzec, na ziemi Sigrid długo milczeć się nie da.

Drzwi chaty otwarły się ze skrzypnięciem. Na podwórze wyszła dziewczyna ubrana w haftowaną koszulę i ciemną spódnicę, bosa, z odkrytą głową. Śnieg osiadał na grubym jasnym warkoczu. Spod spódnicy – strzyga aż otwarła ze zdziwienia usta – wystawał krowi ogon.

– Witaj, Greku – rzuciła życzliwie właścicielka ogona. Ciekawie przyjrzała się Maszce. – A to kto?

– Ofiara biurokracji – wyjaśnił Tanatos. – W piekle jej nie chcą, w niebie też, ale myślę, że u ciebie znajdzie się dla niej przytulny kącik, prawda?

– Zawsze mówiłam, że zimą, kiedy trolle śpią, robi się tu trochę nudno. – Sigrid podeszła, żeby poklepać Azhara. Rumak przyjaźnie trącił ją pyskiem. – Odprowadzę go do stajni, a wy wejdźcie się ogrzać.

– Czemu ta pani ma ogon? – szepnęła skonfundowana Masza, gdy jasnowłosa zniknęła za chatą. Tanatos uśmiechnął się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Moja Sigrid jest huldrą. Myślę, że się dogadacie.

# Ostatnie piętro

Wspinam się wytrwale, krok za krokiem.

Nogi omdlewają, pot spływa po twarzy. Schody są strome i wąskie, dwie osoby z trudnością mogłyby się na nich minąć. Sięgają tak daleko w górę, że nie sposób dostrzec, gdzie się kończą.

Wielkie cyfry wymalowane farbą na ścianie pozwalają odliczać kolejne piętra. Sześćdziesiąt, sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dwa...

\*\*\*

Grudniowy mroźnik daje do wiwatu, więc sunę ociężale jak dobrze opatulony żółw. Gazety w butach, gazety pod ubraniem. Na grzbiecie sześć, siedem warstw odzieży wygrzebanej ze śmietników. Swetry, golfy, polary, na to wszystko wytarty, popękany skórzany płaszcz. To nadal za mało, żeby nie zmarznąć, gdy się spędza całe dni na dworze.

Takich jak ja jest na Manhattanie od cholery i ciut. Niemrawych, wlokących się ze spuszczoneymi głowami. Nocą kryjemy się pod podszewką metropolii, w załomach i zakamarkach, w tunelach metra, jak pluskwy chowające się w ciemnych kątach mieszkania, za obrazami i w szparach mebli. W dzień trzeba wypełznąć, żeby zarobić trochę grosza.

Carl, czarnoskóry kumpel Nancy, ostrzegł mnie na samym początku, że lepiej uważać, gdzie siępisz, bo policja się czepia. Kościół prezbiteriański przy Fifth Avenue, ten wielki, gotycko wyglądający, to jedno z miejsc, gdzie jest w miarę bezpiecznie. Ale wiem o tym nie tylko ja, dlatego wolę się tam nie pokazywać, żeby nie dostać w zęby od kulawego Lou albo od Trish. Oboje są z Harlemu i mogliby zjeść słabowitego, niedoświadczonego Gadułę na śniadanie. Lou siaduje we wnęce przy głównym wejściu, Trish jest bardziej bezczelna i zaczepia wiernych, gdy wychodzą po mszy. Zagaduje, jęczy, pokazuje tekturkę z napisem: „Jestem inwalidą, zbieram na jedzenie”. I białe protestanckie mamusie szepczą dzieciom: idź, daj pani monetę.

Popołudnie pod kawiarenką Caffè Cielo przyniosło mi marne dwa dolary. Elegancko ubrane pary, które tu zaglądają na małe co nieco przed wieczornym spektaklem na Broadwayu, wcale się nie kwapią, żeby rzucić trochę drobnych mamroczącemu żebrakowi w okularach. Wychodzą, gawędząc o tym, jak im smakowały naleśniki z truskawkami albo bruschetta z łososiem, i udają, że mnie nie widzą. Nancy twierdzi, że to dlatego, że jestem za pulchny. Nie schudłem jeszcze wystarczająco, żeby wzbudzać litość.

Koło osiemnastej, gdy przyszła ta wredna kelnerka z tlenionymi włosami, od razu kazała mi się wynosić, bo wezwie policję. Pierwsza lekcja przetrwania na ulicy – nie kłócić się z tymi, co stoją wyżej w łańcuchu pokarmowym. Nie, paniusiu, Gaduła nie będzie się kłócił. Jest zmarznięty i nie ma siły, już zabiera stąd swój tyłek w brudnych portkach od ocieplanego kombinezonu.

Idę wolno, żeby się nie pośliznąć na oblodzonym chodniku. Bobby i Gail przycupnęli gdzieś z tyłu głowy, nie odzywają się. Nie podsuwają zdradziecko obrazów mogących mi przesłonić rzeczywistość, ogłupić, zwalić z nóg. Może im też jest zimno i mają dość.

Z chińskiej restauracji wionie ciepłym powietrzem, pełnym zapachów. Duszone mięso, kwaskowate sosy. Wystawy butików i delikatesów całe w świątecznych dekoracjach. Tłumy kupujących roją się niczym mrówki na rozsypanych landrynkach.

Na placu przed Rockefeller Center gigantyczna choinka, cała w kolorowych światełkach. Wokół niej mniejsze drzewka, też pookręcane sznurami lampek. Obok na straganiku facet sprzedaje pieczone



kasztany.

Mija mnie rodzinka Latynosów na świątecznych zakupach. Wąsaty tatuś i gruba mama, obładowani torbami, plus dwoje dzieci, młodsze w wózeczku. Starsze, na oko sześćioletnie, zajada kasztany z papierowej tutki.

Podchodzę, wyciągam rękę.

– Pięćdziesiąt centów na jedzenie...

Patrzę na siebie spłoszonym wzrokiem. Po sekundzie wahania mężczyzna sięga do kieszeni.

\*\*\*

Nancy Quinn mieszka pod dwupasmowym wiaduktem na południowym Bronksie, tuż nad rzeką. Żeby się tam dostać, trzeba przewędrować na drugą stronę jezdni, unikając pędzących aut, przeskoczyć przez barierkę, zejść po stromym błotnistym zboczu i przeleźć przez dziurawe ogrodzenie z siatki.

Łóżkiem Nancy jest stary materac, znaleziony w śmieciach. Leży na nim śpiwór i kilka pledów. Po obu stronach materaca ustawiła drewniane ławki oraz pudła, w których trzyma swój skromny dobytek. Czasem śpiewa po nocach przeboje sprzed lat – Guns’N’Roses, Rolling Stones, Kiss – a jej głos niesie się po wodzie, w której odbijają się światła latarni.

Żyje na ulicy od czterech lat. Jest narkomanką od szesnastego roku życia. Zarabia na życie, prostytuując się na Bryant Avenue. Dwadzieścia dolców za lodzika, trzydzieści za seks, czterdzieści za „pół na pół”, czyli jedno i drugie. W dobrą noc zarabia setkę, czasem półtora. Większość wydaje na kokainę.

– Jutro stawiam ci pączka z kawą w Starbucks – obiecuje, odgarniając do tyłu długie, przetłuszczone brązowe włosy.

– Koniecznie z polewą czekoladową – odpowiadam.

– Masz to jak w banku. – Śmieje się. Wiem, że do jutra zapomni. Wróci nad rzekę z pustymi kieszeniami, bez jedzenia, tylko z woreczkiem białych okruszków. Może by mnie poczęstowała, gdybym poprosił, ale boję się prosić. Nie wiem, czy po cracku nie ześwirowałbym do reszty.

Siedzimy na materacu, jedząc zimną pizzę z opakowania, które godzinę temu wyciągnąłem ze śmietnika. Ktoś wyrzucił prawie pół średniej. Pizza margherita, rozmiękła, ale nadal całkiem niezła.

Nad nami – samochody, samochody, w tę i w tamtą, krwinki sunące arteriami miasta. Nancy wyciąga niedopałek znaleziony na chodniku, zapala.

– Hej, Gaduła – odzywa się – to prawda, że straciłeś pamięć? Carl nie buja?

Nie buja. Ocknąłem się pewnego dnia na tyłach chińskiej knajpy niedaleko Rockefeller Center. Zmarznięty, zeszywniały. W głowie pustka, mgła. I głosy.

Bobby i Gail. Domagają się, żebym z nimi rozmawiał. Stąd Gaduła, tak mnie przezwał Carl i tak zostało.

Czasem oślepiają mnie obrazami, czasem śnię ich sny.

Czasem, gdy zabłądzą w plątaniu ulic, litościwie podpowiadają mi, w którą przecznicę skręcić. Bobby Scott przez lata był gliniarzem w tym mieście, zna je jak własne portki. Gail McEwan wychowała się na Queens.

– To prawda – odpowiadam, sięgając po ostatni kawałek pizzy.

– Bez kitu. – Nancy śmieje się. Jest naćpana jak rakietka, oczy błyszczą w jej bladej, zniszczonej twarzy. Ma trzydzieści kilka lat, ale wygląda starzej. Na policzku ciemnieje siniec; oberwała pięścią od pijanego klienta. – A co pamiętasz?

– Nic – mówię cicho. – Nic, Nancy.

Za to Bobby pamięta. I Gail.

\*\*\*

– To było kwadrans przed dziewiątą. Pamiętam, że usłyszałam ryk – szepcze Gail McEwan. – Budynek zakołysał się ostro w jedną stronę, potem w drugą. Potem był ogień za oknami. I sypiące się kartki, mnóstwo kartek papieru, jak confetti.

Nie chcę tego słuchać, mam dość. Po trzech miesiącach mam, kurwa, dość. Słyszałem twoją opowieść już setki, jeśli nie tysiące razy. To było ponad rok temu, Gail. Przegrzebali te cholerne gruzy, obfotografowali je ze wszystkich stron, a potem wywieźli. Mamy grudzień 2002. Życie toczy się dalej.

Ludzie oglądają się na mnie, gdy tak stoję pod murem, kawałek za Caffè Cielo, kłócąc się z Gail. Rozkręciła się i nie ma sposobu, by ją uciszyć. Próbuję ją zagłuszyć, śpiewając, ale szybko chrypnę na mrozie.

Potem zaczyna mówić także Bobby.

Opowiada o piętnastu kolegach, którzy nie zdążyli uciec, kiedy waliła się pierwsza z wież. On zdążył wybiec w chmurze pyłu, uciekał ulicą razem z innymi, widział odjeżdżające w panice karetki, ludzi, którzy zdążyli się schronić pod osłoną budynków i tych, którzy upadali na asfalt.

Pamięta też kolejne dni.

Pamięta, jak grzebali w gruzowisku i wyciągali kawałki ciał. Popiół i piach, kurz, smród, spalenizna.

Nazajutrz po atakach, tuż po dwunastej w południe, któryś z ratowników dostrzegł odbłaskowe pasy na kurtce martwego strażaka leżącego wysoko na stercie betonu i poskręcanej stali, kilka pięter nad ziemią. Wspiął się tam, żeby spojrzeć z bliska. I wtedy zobaczył dłoń wystającą spomiędzy pokruszonych odłamków, usłyszał słaby głos.

Nazywała się Genelle Guzman. Spędziła pod gruzami dwadzieścia siedem godzin. Aby ją wydostać, musieli ciąć złamany filar.

Ustawili się w łańcuch, może trzystu ludzi, i znieśli ją, przekazując nosze z rąk do rąk. Bobby pamięta, że miała zamknięte oczy. Opuchnięta twarz, szara od pyłu, spieczone usta.

Po niej odkopywali już tylko trupy.

\*\*\*

– Łyknij sobie, Gaduła – mówi Nancy, podsuwając mi butelkę.

– Nie chcę – mruczę. Tania wódka na pusty żołądek to nie jest dobry pomysł.

Chciałem kupić sobie coś ciepłego do jedzenia w starym dobrym McDonalddie, skąd nie wyganiają bezdomnych. Ale w zaułku napadł mnie wyrośnięty nastoletni skurwysyn z roztrzęzionymi łapkami i podrapaną gębą. Feciarz, ci są najgorsi. Przystawił do szyi brzytwę i nie było przeprosić, musiałem oddać wszystkie drobniaki, jakie uzbierałem tego dnia. Od rana jestem o suchej bułce, brzuch boli z głodu.

Nienawidzę tego życia. Koce i pledy śmierdzą, śmierdzi rzeka i my też.

Podpita Nancy chichocze i nuci pod nosem.

Kulę się, chuchając w zziębnięte ręce. Ni stąd, ni zowąd wraca do mnie wspomnienie jaskrawego, gorącego słońca. Kiedy, gdzie?

– Słońce... – szepczę.

Nie ma słońca, jest ciemność, smród i rzeka.

– Masz, okryj się. – Nancy rzuca mi dodatkowy pled. Są na nim plamy olejnej farby. Nagle przypląwa do mnie obraz, który nie pochodzi ani od Bobby'ego, ani od Gail.

Pamiętam...

O ile to nie sen – pamiętam.

Zimowy zmierzch, taki jak dziś, w obcym mieście gdzieś daleko stąd. Ozdobne kamieniczki

przyprószone śniegiem. Byłem porządnie, ciepło ubrany, w rękę reklamówka z zakupami. Wracałem do domu – wtedy miałem dom. Miałem imię, nazwisko, pieniądze, miałem wszystko co trzeba. Byłem normalny.

Na deptaku roiło się od przechodniów, a z boku stał on – uliczny malarz, w zniszczonym szynelu z rękawami poplamionymi farbą. Bez szalika, bez czapki, zarośnięty, niechlujnie związane ciemne włosy. Rozstawił sztalugi w bramie, obok porozstawiał gotowe obrazki.

Podszedłem i przyjrzałem się z ciekawością. Spodziewałem się zobaczyć banalne widoczki miejskie albo portreciki dzieci. Zamiast tego ujrzałem pożary, ruiny, sceny bitew. Nie jestem żadnym znawcą sztuki, ale nawet ja byłem w stanie poznać, że są namalowane po fachowemu. Facet musiał mieć i talent, i wykształcenie artystyczne, a mimo to tkwił tutaj, na ulicy, w padającym śniegu.

Chciałem pójść dalej, ale się zawahałem. Było zimno, oddech zawisał w powietrzu kłębiącymi parami. Ja byłem syty, w markowej puchowej kurtce, a on – źle ubrany, na pewno zmarznięty, prawdopodobnie głodny.

Poszedłem do najbliższego fast foodu, kupiłem kanapkę z kurczakiem, duże frytki i kawę. Wróciłem i postawiłem to wszystko na bruku obok otwartej kasety z farbami.

Malarz roześmiał się jakoś nieprzyjemnie.

– Co pana tak śmieszy? – spytałem, czując irytację. Niech to szlag, mógłby przynajmniej podziękować.

– Przypomniałem sobie taką jedną dziewczynkę... Nieważne. – Wziął plastikowy kubek z kawą, ostrożnie zdjął wieczko i upił łyk. – Dzięki – powiedział, ale miałem wrażenie, że w głębi czarnych oczu dostrzegam ironiczny błysk. Pożałowałem odruchu, który kazał mi ofiarować pasożytowi kolację. Pewnie wcale jej nie potrzebował.

Gdy odchodziłem, nagle zawołał za mną:

– Hej, koleś!

Odwrociłem się.

– Uda się wam – rzucił malarz z dziwnym uśmiechem.

Nie wiedziałem, o czym mówi, lecz nagle ogarnął mnie chłód. Oddaliłem się pośpiesznie. Gonił mnie jego ochrypły chichot.

Nancy śpi, pochrapując przez otwarte usta, a ja odtwarzam i analizuję epizod z malarzem, jakbym oglądał film z kasety wideo, klatka po klatce. Zastanawiam się, czy nie wyśniłem tego, lecz coś mówi mi, że nie.

– Co to znaczy? – pytam cicho. Ani Bobby, ani Gail nie odpowiadają.

\*\*\*

Koło południa, gdy ludki w garniturach robią sobie przerwę i idą do kafeterii albo zakładają płaszcze i wyskakują do bistra na rogu, ja grzebię w koszu na śmieci przed chińską knajpą. Ociepliło się od wczoraj i całe szczęście. Śnieżek prósz, ale dwugodzinny spacer z południowego Bronksu na Manhattan trochę mnie rozgrzał.

Znajduję porcję pierożków zapakowaną na wynos, w nienaruszonej tekturce. Cholera wie, czemu ktoś je wywalił, ludziom od sytości w głowach się przewraca. Są jeszcze ciepławe, pachną pysznie. Właśnie szykuję się, żeby wbić w nie zęby, gdy Bobby się budzi. Niech go szlag.

Zataczam się i opieram o latarnię, bo znów widzę jego wspomnienia. Zamiast na jezdnię i reflektory aut w padającej bieli, spoglądam na placyk przed wieżowcami WTC, gdzie ludzie kiedyś wychodzili w porze lunchu, żeby posiedzieć przy fontannie.

Odłamki szkła, rozsypane kartki, gruba warstwa pyłu zaścielająca wszystko. Tuziny martwych gołębi.

Powykręcane fragmenty blachy, krew i ciała tych, którzy skakali z najwyższych pięter.

– Jak można było zrobić coś takiego? – pyta Bobby.

Ja też nie wiem, chłopie.

Wiem jedno. Mam już dość patrzenia na to twoimi oczami.

Teraz odzywa się Gail.

– Zjechaliśmy z góry i utknęliśmy w lobby na siedemdziesiątym ósmym piętrze. Mnóstwo ludzi się tam tłoczyło, czekając na windy kursujące na sam dół. Jakiś kretyn ogłosił przez megafon, że samolot wleciał w północną wieżę, ale nasz budynek jest bezpieczny, nie ma potrzeby się ewakuować, mamy wracać do biur. Część ludzi posłuchała i pojechała z powrotem na wyższe piętra.

– Przestań – proszę, bo wiem, co będzie dalej. Słyszałem to już. Ale Gail kontynuuje.

– I wtedy walnął w nas drugi samolot. Był huk i płomienie, zawalił się sufit. Upadłam. Usłyszałam krzyki. Kiedy wygrzebywaliśmy się z gruzu, zobaczyłam kobietę, której ubranie oraz skóra na plecach spaliły się i zwinęły na karku w makabryczny naszyjnik. Poczułam ten smród. Jak z grilla.

Wiatr wieje mi w twarz i nagle czuję zapach, o którym mówi. W chińskiej restauracji coś się, kurwa, przypaliło.

Żółć podchodzi mi do gardła. Rzygam na chodnik, krztusząc się. Przechodnie odwracają wzrok.

\*\*\*

Kolejny parszywy dzień przechodzi w zmierzch.

Siedzę przy ruchliwej ulicy, której nazwy nie kojarzę, niedaleko zejścia do metra. Jestem tak obolała, że ledwo się ruszam. Widzę nieostro, latarnie i neony rozmywają się w świetliste plamy.

Dwóch ostrzyżonych na zero białych gówniarzy skopało mnie przed godziną. Wiem z doświadczenia, że nie ma sensu się bronić. Grube warstwy ciuchów wystarczą, żeby uchronić człowieka przed czymś poważniejszym niż rozkrwawiony nos, spuchnięta warga i siniaki. Ale okulary, już trzykrotnie sklepane taśmą, rozleciały się na amen.

Od strony skrzyżowania zbliża się wóz policyjny, migocząc błękitnym kogutem.

Prędko zabieram kubeczek z monetami i chowam się w bramie. Policja przejeżdża obok. Gdy ich światła chowają się za rogiem, z powrotem zajmuję miejsce na chodniku.

Podchodzi do mnie dziewczyna. Nawet bez okularów widzę, że jest ubrana tylko w cienką wojskową kurtkę i bojówki, z gołą głową. Przy tym mrozie?

Przystaje. Kłeka.

– I jak ci się żyje na ulicy, Gaduła? – Jej miękki, z pozoru przyjazny ton przywodzi na myśl osłodzoną trutkę na szczury.

– Nie rozumiem – mamroczę.

– Jeśli masz już dość, pamiętaj, że zawsze możesz pójść na skróty – ciągnie tym samym słodkim szeptem.

Wyciąga rękę, słyszę ciche brzęknięcie w kubku. Potem dziewczyna wstaje i odchodzi.

Sięgam do kubka, żeby sprawdzić, co wrzuciła. Ale to nie moneta.

To żyletka.

\*\*\*

Jest noc. Auta szumią, w tę i w tamtą, w tę i w tamtą.

Okrywam się pledem, rozcieram ręce. Gdy Nancy nie widzi, dopijam resztkę wódki, by stłumić ćmiący ból poobijanych kości.

Nancy cicho płacze, patrząc na rzekę. Mówi, że płacz to jej Prozac, poszłocha trochę i rano będzie jak

nowa.

Gdy nie widzi, obracam żyletkę w rękę i chowam ją z powrotem.

Boję się.

\*\*\*\*

– Zabrakło mi czasu – jęczy Gail. – Byłam ranna, nie mogłam iść szybciej. Dotarłam do drugiego piętra. Jezu, dlaczego? Zabrakło mi tylko dwóch pięter! Pięciu minut!

– Przestań – syczę. Ale wtedy włącza się Bobby.

– Najgorsi byli ci, do których dogrzebywaliśmy się po kilku tygodniach, ci, których przysypało w podziemnym centrum handlowym. Gliniarze, strażacy. Śnili mi się później noc w noc. Te zgniłe twarze. I krótkofalówki, przez które wzywali pomocy. Słyszeliśmy ich, ale nie mieliśmy jak do nich dotrzeć. Nie przez sześć pięter gruzu. – Bobby śmieje się histerycznie, przez łzy. – Cztery miesiące temu wziąłem służbową broń i strzeliłem sobie w usta.

– Przestańcie! – wrzeszczę. – Zamknijcie się!

Turyści fotografujący wielką choinkę odwracają się.

– Ej, gościu, wyluzuj – mówi ciemnoskóry chłopak w pomarańczowej narciarskiej czapce.

Osuwam się na chodnik i zaczynam płakać.

\*\*\*\*

Zapada wieczór, a ja leżę na tyłach chińskiej knajpy, prawie w tym samym miejscu, gdzie się obudziłem trzy i pół miesiąca temu. Między wielkimi kontenerami na śmieci a ścianą budynku jest akurat dość przestrzeni, żeby dało się tam wcisnąć.

Nikt tutaj nie zagląda. Myślę, że nikt mnie nie znajdzie przez kilka dni, może dłużej.

Leżę na spłaszczonym tekturowym pudle. Zimno przenika mnie aż do kości. Łagodzi rwący ból w nadgarstkach. Gorąca krew przecieka przez palce i rozlewając się stygnie.

Wybrałem drogę na skróty. Bobby, Gail i ja umieramy razem.

Nancy pewnie pomyśli, że Gaduła miał już dość mrozów i schronił się w noclegowni. Nie sądzę, by się zmartwiła.

Z ulicy dobiega szum aut, czasem zabrzmie klakson. W regularnych odstępach czasu włącza się sygnalizacja dźwiękowa na pobliskim przejściu. Łagodne pulsowanie miasta, które nocami przycicha, lecz nigdy nie milknie.

Mimo zimna tak cholernie chce mi się spać, powieki ciężą. Przymykam oczy.

Gdy je otwieram, zamiast ciemnego kontenera widzę nad sobą schody, wąskie i strome. Z góry, z bardzo daleka sączy się blade światło.

– Już nie krwawisz – mówi Bobby. Patrzę na swoje ręce. Mówi prawdę, rany zniknęły. – Wiesz, myślę, że powinieneś iść.

– Tam na górę?

– Na samą górę – przytakuje Gail.

\*\*\*\*

Muszę dotrzeć na szczyt tej pieprzonej wieży. Zaciskając zęby i dysząc, odliczam piętra.

Sto osiem. Sto dziewięć.

Sto dziesięć.

Na miękkich nogach pokonuję ostatnie stopnie. Nagle dopada mnie strach, że drzwi na dach będą zamknięte.

Ale są otwarte. Przez otwór widzę wygwieżdzone niebo.

Odczekuję chwilę, by kolana przestały się trząść. Potem wychodzę na dach i chwytam oddech.

W dole – aż po horyzont morze dymu. Owiewają mnie podmuchy gorąca, jakbym stał na kraterze wulkanu. Z nieba wolno, jak płatki śniegu, opadają kartki papieru. Niektóre mają nadpalone brzegi, w locie żarzą się, czernieją.

Krawędzie dachu jeżą się antenami, lecz przestrzeń na środku jest pusta. I stoi tam anioł.

Jego skrzydła, szaty i ciało są szare, jak pokryte popiołem. Wyglądałby jak posąg, gdyby nie długie srebrzyste włosy, poruszane podmuchami.

Ujmuję smukłymi palcami nadpaloną kartkę i zręcznie składa z niej papierowego żurawia, potem rzuca go tak, by poszybował niesiony prądem powietrza.

Cisza aż dzwoni w uszach. Stoję i patrzę, jak wiatr porywa papierowe żurawie, jednego za drugim.

Wreszcie anioł podnosi głowę. Jego oczy przypominają mleczne szkło, lecz nie jest ślepy – uśmiecha się na mój widok.

– Proszę, proszę, kto przyszedł – szepcze jadownicie.

– Znasz mnie? – pytam.

– Czy znam? – Wybuch śmiechem, stopniowo przechodzącym w grzmot. Rozpościera skrzydła, które rosną w oczach jak chmury, na chwilę przesłaniają niebo, a ja znów zamykam oczy, gdy wracają obrazy.

Gigantyczny obłok pyłu i dymu pędzi, pochłaniając wszystko na swej drodze. Policjanci, strażacy, ratownicy medyczni porzucają sprzęt i uciekają.

Czuję zawrót głowy, gwiazdy wirują. Wspieram się o antenę, próbując chwycić oddech, utrzymać równowagę. Nie upaść. Nie runąć.

Szary anioł o zasnutych bielmem oczach czy ciemnowłosy uliczny malarz w szynelu ubrudzonym farbą? Widzę ich obu naraz, twarze nakładają się na siebie.

– Wszyscy prędzej czy później trafiacie do mnie. Popatrz. – Dwupostać zatacza ręką szeroki krąg. – Tam, w dole, to moje królestwo.

Dym rozwiewa się, stopniowo odsłaniając widok. Naokoło rozpościera się morze ruin. Czarne, wypalone. Odwracam się i zamieram, bo anioł na sekundę traci oba oblicza. Jest teraz szkieletem odzianym w pył.

Dreszcz opływa mnie jak zimna woda. Podświadomość już wie, zna prawdę, lecz nie dopuszcza tej wiedzy wyżej. Jeszcze przez kilka sekund chce mi jej oszczędzić.

Anioł podchodzi do mnie, teraz olśniewająco piękny, świetlisty. Jasność prześwieca przez niego, jak wtedy gdy spalona do białości kartka wciąż zachowuje swój kształt, lecz za sekundę się rozsypie. Jego oddech pachnie paliwem lotniczym.

– Niektórym dana zostaje na koniec łaska zrozumienia – szepcze. – To i tak dużo.

I nareszcie przypominam sobie. Wspomnienie wali się na mnie jak sto pięter muru.

*Niebo jest przejrzyste błękitne, bezchmurne. Ściany wieżowców Manhattanu migoczą w porannym słońcu.*

*Za mną, za drzwiami kokpitu, krzyki.*

*Ze słowami modlitwy na ustach kładę maszynę w ostry skręt.*

Mrugam, by oprzytomnieć, i nagle dociera do mnie, że stoję na krawędzi dachu, na samym skraju. Nogi jak przylutowane – nie jestem w stanie się cofnąć.

Dygoczę na całym cieple, a władca ruin, ten, który narodził się z ognia, patrzy na mnie oczami jarzącymi się niczym flary.

– Leć, Marwanie – szepcze z drwiną, do której ma pełne prawo.

Bobby i Gail milczą.

Stojąc na krawędzi przez trwającą wieki sekundę, już rozumiem. Rozumiem wszystko.  
Powoli rozpościeram skrzydła, a gorący wiatr unosi mnie ku ciemnościom.

*Marwan al-Shehhi miał 23 lata, kiedy 11 września 2001 r. wleciał porwanym samolotem w południową wieżę World Trade Center. Był najmłodszym z czterech pilotów terrorystów, którzy brali udział w atakach. Zanim przyjechał do USA, studiował w Niemczech.*

*Bobby Scott i Gail McEwan są fikcyjnymi postaciami. Ich historie zostały skompilowane w oparciu o wspomnienia ratowników oraz osób, którym udało się ewakuować z WTC, zanim budynek runął. Nancy Quinn istnieje naprawdę – została zapożyczona z reportażu o nowojorskich bezdomnych opublikowanego w 2008 r. przez „New York Magazine”.*

# Oficyna wydawnicza [RW2010](#) proponuje:

**Agnieszka Hałas: Dwie karty, I tom cyklu Teatr węży**

**Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli.**

Magia dzieli się na srebrną i czarną; ta druga jest skażona, wyklęta. Po ziemi grasują demony, czyhające na dusze śmiertelników.

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się obłąkany człowiek, który twarz ma pociętą ranami, a ze swej przeszłości pamięta jedynie urywki. Walcząc o byt w świecie żebraków i przestępców, stopniowo buduje sobie nową tożsamość. Jego perypetie splatają się z losami całej gamy postaci – bezdomnego chłopca imieniem Znajda, alchemika, na którym ciąży paskudna klątwa, szczurołapa, którego córkę uwiódł i porzucił pewien nicpoń, arystokratki, której brat zginął zabity przez srebrnych magów... A w tle toczy się intryga uknuta przez Otchłani.

Mroczne, lecz bez epatowania makabrą, pełne plastycznych szczegółów obyczajowych, *Dwie karty* otwierają cykl powieściowy o świecie Zmroczy, na który składają się jeszcze powieści: *Pośród cienie* oraz *W mocy wichru*.

**Szablą i wąsem. Antologia opowiadań sarmackich**

Autorzy: Andrzej W. Sawicki, Monika Sokół, Agnieszka Hałas, Stanisław Truchan, Tomasz Kilian, Dawid Juraszek

**Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.**

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ognie i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i licho wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

*Szablą i wąsem* to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.



## **Maciej Żytowiecki: Szuje, mątwy i straceńcy**

Zbiór opowiadań fantastycznych. Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno. Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

## **Andrzej W. Sawicki: Kolce w kwiatkach**

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg”, w której grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmienicy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

## **Dariusz Kankowski: Re-Horachte. Pierwsze spotkanie**

### **Podróż, przygoda, przyjaźń, poświęcenie**

Powieść przygodowo-fantastyczna, w której akcja goni akcję i roi się od tajemnic. Czterech chłopców wyrusza w rejs, który na zawsze odmieni ich życie. Zaczyna się od katastrofy morskiej, następnie wybucha wulkan, a potem napięcie rośnie.

Młody autor w swoim powieściowym debiucie funduje nam fantastyczną podróż, pełną przygód, zwrotów akcji, gwałtownych emocji i wzruszeń. Czytelnik, zasiadając do lektury, rusza razem z młodymi bohaterami w jazdę bez trzymanki. Czeka ich: walki, ucieczki, dziwne spotkania, wędrówki w czasie i przestrzeni, zmagania z przeznaczeniem, mordercze turnieje, a przede wszystkim szukanie drogi do prawdy o sobie samym...

Kontynuacja cyklu w powieści *Re-Horachte. Martwy chłopiec*.

## **Romuald Pawlak: Rycerz bezkonny**

## **Zaczynał od pasowania zwłok...**

Nie całkiem poważna fantazy o rycerzu bezkonnym, który zaczął od dorabiania pasowaniem zwłok, zrobił krótką, ale intensywną karierę jako świecki inkwizytor, by wreszcie oddać się swemu prawdziwemu powołaniu: magii.

A wszystko to za sprawą kupca, który przejął za długi rodzinny majątek Fillegana, zmuszając go do emigracji z rodzinnego Wake w Anglii na kontynent. Oto dlaczego kupiec zawsze będzie wrogiem rycerza, a rycerz krzywo spoglądać będzie na bogatego kupca... chyba że sam stanie się po stokroć bogatszy.

Skoro nie całkiem poważna literatura, to należy się tu spodziewać i kultu Monty Pychotka, i morderczej mandragory, wystąpienia mumii Ramzesa XII, a nawet gadającego mchu.

## **Katarzyna Uznańska: Ziemią wypełnisz jej usta**

### **Kiedy łowca staje się ofiarą...**

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Stare legendy czasem ożywają, by zawładnąć ludzką wyobraźnią. Na żydowskim Kazimierzu czają się one tuż pod powierzchnią życia, wystarczy tylko zeszkrobać nieco tynku z zaniedbanych ścian, poruszyć luźną cegłę, wejść do małego antykwariatu pełnego rupieci, by znaleźć się w innej epoce i czasie minionym. Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści teraźniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

## **Dawid Juraszek: Jedwab i porcelana, tomy I, II, III i IV**

### **O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał.**

*Jedwab i porcelana* to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zmaga się z własnymi demonami i samym sobą. *Jedwab i porcelana* to opowieść o Chinach i Chińczykach,

opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów. *Biały tygrys i Niebieski smok* (nowe wersje oraz *Czerwony ptak i Czarny żółw* (prapremiery).

# Przypisy

- [1](#) (niem.) Boże drogi, jesteśmy zgubieni!
- [2](#) (ros.) Moje oczy, o, moje oczy!
- [3](#) (niem.) Sonia, mój skarbie! Gdzie jesteś?
- [4](#) (fr.) Do diabła, to gaz...
- [5](#) (niem.) Odwrót! Odwrót! Ruszaj się, głupcze!
- [6](#) (fr.) Sprawiedliwy Boże, przebacz...
- [7](#) „Władca pierścieni”, t. 1, „Wyprawa”, tłum. Maria Skibniewska
- [8](#) Kat, „Łza dla cieniów minionych”
- [9](#) (niem.) Z czym przybywasz, mój chłopcze?
- [10](#) (niem.) ułaskawienie
- [11](#) (niem.) z powrotem w ciemność
- [12](#) (niem.) Szkoda